

MARK  
ALPERT

**TEORIA  
OSTATECZNA**

*Wyzwolenie potęgi ukrytej w atomie zmieniło  
wszystko z wyjątkiem naszego sposobu myślenia.  
I dlatego zmierzamy nieuchronnie  
ku katastrofie bez precedensu.*

Albert Einstein

## Rozdział pierwszy

Hans Walther Kleinman, jeden z najwybitniejszych fizyków teoretyków naszych czasów, tonął w wannie. Długie, żylaste ręce nieznajomego przyciskały jego barki do porcelanowego dna.

Chociaż woda miała zaledwie trzydzieści centymetrów głębokości, Hans nie mógł się wydostać ponad jej powierzchnię. Kurczowo szarpał ręce napastnika, próbując rozluźnić chwyt, ale nieznajomy był młodym, agresywnym osiłkiem, a Hans siedemdziesięciodziewięcioletnim schorowanym starcem o słabym sercu. Młócił rękami, wściekle kopał brzegi wanny, rozchlapując dookoła letnią już wodę. Nie zdążył nawet przyjrzeć się napastnikowi - jego twarz majaczyła teraz niewyraźnie nad powierzchnią wody. Osilek musiał wśliznąć się do mieszkania przez otwarte okno przy schodach pożarowych, a potem, kiedy dotarło do niego, gdzie może być Hans, popędził prosto do łazienki.

Hans walczył, czując ciśnienie rosnące wewnątrz klatki piersiowej. Poczawszy od środka, tuż pod mostkiem, szybko opanowało całą przestrzeń między żebrami. Zabójcze ciśnienie, rozrywające go od środka, ściskające płuca. W ciągu kilku sekund dławiący gorący uścisk dosięgnął szyi i Hans, dusząc się, otworzył usta. Letnia woda wdarła mu się prosto do gardła.

Hans zaczął się wić w ostatnich konwulsjach, niczym zwierzę ogarnięte paniką i pierwotnym lękiem. *Nie, nie, nie, nie, nie!* Po chwili zastygł w bezruchu. Ostatnią rzeczą, jaką widział, była powierzchnia wody falująca raptem kilka centymetrów nad jego twarzą. Szereg Fouriera, pomyślał. Jaki piękny...

Ale to wcale nie był koniec. Kiedy odzyskał przytomność, leżał twarzą do dołu na zimnej posadzce, krztusząc się i plując wodą. Oczy go bolały, w żołądku czuł szarpiający ból, a każdy oddech rozrywał go od środka. Powrót do życia był większym cierpieniem niż umieranie. Po chwili poczuł ostre uderzenie w plecy, między łopatki, i usłyszał czyjś energiczny głos:

- Pobudka!

Nieznajomy chwycił go za łokcie i przewrócił na plecy. Hans uderzył potylicą w mokre kafelki. Ciężko oddychając, spojrzał na napastnika, klęczącego na dywaniku obok wanny. Olbrzymi facet, musiał ważyć co najmniej sto kilo. Pod czarnym podkoszulkiem widać było napięte bicepsy. Spodnie bojówki z nogawkami wciśniętymi w czarne skórzane buty, ogolona głowa, nieproporcjonalnie mała w stosunku do reszty ciała, twarz z czarnym zarostem i szarą blizną na szczęce. Pewnie jakiś ćpun, pomyślał Hans. Jak mnie zabije, wywróci cały dom do góry nogami w poszukiwaniu kosztowności. I dopiero wtedy prostak zorientuje się, że nie mam ani centa.

Osilek rozciągnął wąskie usta w uśmiechu.

- A teraz sobie pogadamy, dobra? Możesz mi mówić Simon.

W jego głosie pobrzmiwał dziwny akcent, którego Hans nie potrafił zidentyfikować. Facet miał małe oczka, krzywy nos, a jego skóra miała odcień zwietrzałej cegły. Był brzydki, ale mało charakterystyczny - równie dobrze mógł być Hiszpanem, Rosjaninem, Turkiem albo kimkolwiek innym.

Hans chciał spytać „Czego chcesz?“, ale kiedy otworzył usta, zemdlilo go.

Simon wyglądał na rozbawionego.

- Wiem, wiem, przepraszam. Ale musiałem ci jakoś poka-  
zać, że to poważna sprawa. Lepiej na samym początku, nie?

Co ciekawe, Hans już się nie bał. Pogodził się z tym, że  
nieznajomy go zabije. Denerwowała go tylko bezczelność  
gościa, któremu uśmiech nie schodził z twarzy, podczas gdy  
on leżał nagi na podłodze. Dalszy ciąg wydawał się oczywi-  
sty: Simon zażąda numeru jego karty. To samo przydarzyło  
się sąsiadce Hansa, osiemdziesięciodwuletniej kobiecie, którą  
napadli w jej mieszkaniu i bili, dopóki nie wyjawiała owego  
numeru. Nie, Hans już się nie bał - był wściekły! Kaszlnął,  
wypluwając ostatnie kropelki wody, po czym podniósł się na  
łokciu.

- Tym razem się pomyliłeś, szmondaku. Nie mam pienię-  
dzy. Nie mam nawet karty do bankomatu.

- Nie chcę twoich pieniędzy, doktorze Kleinman. Interesuje  
mnie fizyka, nie pieniądze. Zakładam, że na tym się znasz?

Na początku Hans poczuł tylko rosnący gniew. Ten przyglup  
robi sobie kpiny? Za kogo on się ma? Po chwili jednak zadał  
sobie znacznie bardziej kłopotliwe pytanie: Skąd on wie, jak się  
nazywam? I skąd wie, że jestem fizykiem?

Wydawało się, że Simon czyta w jego myślach.

- Nie dziw się tak, profesorze. Nie jestem taki głupi, na  
jakiego wyglądam. Być może nie mam tytułów naukowych,  
ale szybko się ucę.

Hans domyślił się już, że nie ma do czynienia z ćpunem.

- Kim jesteś? Co tutaj robisz?

- Powiedzmy, że to dość skomplikowany i tajny projekt  
naukowy. - Simon uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Przyznaję,

niektóre równania z trudem rozgryzłem. Ale mam paru przyjaciół, którzy doskonale mi je wyjaśnili.

- Przyjaciół? Jakich przyjaciół?

- No, może źle się wyraziłem. To raczej klienci. Mam bardzo mądrych i zamożnych klientów, którzy zatrudnili mnie, żebym wydobyl od ciebie pewne informacje.

- O czym ty mówisz? Jesteś jakimś szpiegiem?

Simon zachichotał.

- Nie, skąd, aż tak dobrze to nie jest. Jestem niezależnym zleceniobiorcą. Tyle wystarczy.

Umysł Hansa pracował teraz na pełnych obrotach. Osilek był szpiegiem, a być może terrorystą. Nie wiadomo dokładnie, dla kogo pracował - dla Iranu? Korei Północnej? Dla Al Kaidy? Ale to i tak nie miało znaczenia. Wszystkim chodziło o jedno. Hans nie rozumiał tylko, dlaczego te szumowiny zajęły się właśnie nim. Jak większość fizyków jądrowych jego pokolenia, Hans w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych zajmował się tajnymi badaniami dla Departamentu Obrony, ale specjalizował się w radioaktywności. Nigdy nie pracował nad projektowaniem ani budową bomb; większość życia spędził na czysto teoretycznych badaniach, które nie miały nic wspólnego z działaniami militarnymi.

- Mam złe wiadomości dla twoich klientów, kimkolwiek są - powiedział. - Wybrali złego fizyka.

Simon potrząsnął głową.

- Nie wydaje mi się.

- A niby jakie informacje mógłbym ci przekazać? Metody wzbogacania uranu? Nic na ten temat nie wiem! O projektowaniu głowic atomowych też nie. Zajmuję się fizyką cząstek elementarnych, a nie inżynierią nuklearną. Wszystkie moje prace można znaleźć w internecie, nie ma w tym nic tajnego!

Nieznajomy nie wydawał się tym poruszony.

- Obawiam się, że doszedłeś do błędnych wniosków. Nie obchodzą mnie głowice atomowe ani twoje prace naukowe. Interesuje mnie praca kogoś innego, nie twoja.

- To dlaczego jesteś w moim mieszkaniu? Podali ci zły adres?

Twarz Simona stężała. Pchnął Hansa na plecy, położył mu dłoń na klatce piersiowej i pochylił się, jakby chciał się na nim oprzeć.

- Tak się składa, że znałeś tę osobę. Pamiętasz swoje go profesora z Princeton pięćdziesiąt pięć lat temu? Żyda Wiecznego Tułacza z Bawarii? Człowieka, który napisał *Zur Elektrodynamik bewegter Korpert* Nie sądzę, żebyś go zapomniał.

Hans z trudem łapał oddech. Dłoń osiłka wydawała się nieprawdopodobnie ciężka. *Mein Gott*, pomyślał. To się nie dzieje naprawdę!

Simon pochylił się jeszcze niżej, zbliżając twarz tak, że Hans mógł dostrzec czarną szczecinę w jego nosie.

- Bardzo cię podziwiał, doktorze Kleinman. Uważał cię za jednego ze swoich najzdolniejszych asystentów. Pracowaliście razem przez parę lat tuż przed jego śmiercią, prawda?

Hans nie odpowiedziałby, nawet gdyby chciał. Simon przygniatał go tak mocno, że nieomal czuł, jak kręgosłup zgrzyta na zimnych, twardych płytkach posadzki.

- Tak, podziwiał cię. A co więcej, ufał ci. Zwierzał ci się ze wszystkiego, nad czym pracował przez te kilka lat. W tym również ze swojej *Einheitliche Feldtheorie*.

W tym momencie pękło jedno z żeber Hansa. Po lewej stronie, od zewnątrz, tam gdzie spoczywał największy ciężar. Ból przeszył klatkę piersiową; Hans otworzył usta, ale nie dał

radę nawet nabrać powietrza, żeby krzyknąć. *Oh Gott, Gott im Himmel!* W jednej chwili jego racjonalny umysł poszybował w niebyt i pozostało tylko przerażenie. Bo teraz już wiedział, czego nieznajomy od niego chce. I wiedział, że w końcu nie da rady stawić mu oporu.

Simon cofnął dłoń z piersi Hansa. Profesor odetchnął głęboko, a kiedy powietrze wdarło się do płuc, znów poczuł ostry ból po lewej stronie. Żebro przebiło opłucną, a to oznaczało, że lewe płuco wkrótce przestanie funkcjonować. Szlochał z bólu i dygotał przy każdym oddechu. Simon stał nad nim, oparłszy ręce na biodrach. Uśmiechał się, najwyraźniej zadowolony z wykonanej roboty.

- To jak, rozumiemy się? Już wiesz, czego szukam?

Hans kiwnął głową, po czym zamknął oczy. Przepraszam, *Herr Doktor*, pomyślał. Za chwilę pana zdradzę. Oczyma duszy znów ujrzał profesora. Widział go tak wyraźnie, jak gdyby wielki naukowiec stał tuż obok niego w łazience. Ale w niczym nie przypominał znanego wszystkim zdjęcia niedbałego geniusza z rozwianą czupryną białych włosów. Hans zapamiętał profesora w ostatnich miesiącach życia. Zapadnięte policzki, podkrążone oczy i twarz wykrzywiona grymasem porażki. Człowiek, który dostrzegł prawdę, ale ze względu na losy świata nie mógł mówić o niej na głos.

Poczuł kopnięcie w bok, tuż pod złamanym żebrem. Przeszywający ból sprawił, że Hans otworzył oczy. Skórzany but Simona spoczął na jego nagim biodrze.

- Nie spać - warknął. - Mamy sporo do zrobienia. Przynioś ci z biurka papier, to mi wszystko napiszesz. - Odwrócił się i wyszedł z łazienki. - Jak nie będę czegoś rozumiał, to mi wyjaśnisz. Jak na seminarium, jasne? Kto wie, może ci się to nawet spodoba?



Simon skierował się korytarzem do sypialni. Chwilę później Hans usłyszał, jak intruz przetrząsa szuflady. Kiedy Simon zniknął mu z oczu, poczuł się trochę lepiej. Wreszcie mógł się zastanowić, przynajmniej dopóki ten sukinsyn nie wróci. Myślał przede wszystkim o błyszczących czarnych wojskowych butach osiłka. Poczuł obrzydzenie. Facet próbował wyglądać jak nazista. W zasadzie tym właśnie był - nie różnił się niczym od bandziorów w brązowych mundurach, których Hans widywał na ulicach Frankfurtu, kiedy miał siedem lat. A ci ludzie, dla których pracował Simon, ci bezimienni „klienci”? Kim mogą być, jeśli nie nazistami?

Simon wrócił, trzymając długopis i notatnik.

- Dobra, zacznijmy od początku - powiedział. - Chcę, żebyś mi napisał poprawione równanie pola.

Nachylił się, podając notatnik, ale Hans nie wyciągnął po niego ręki. Lewe płuco zapadło się, każdy oddech sprawiał potworny ból, ale tak czy owak profesor nie miał zamiaru pomagać temu przekłętemu naziście.

- Idź do diabła - wychrypiął.

Simon popatrzył na niego z delikatnym wyrzutem, zupełnie jakby patrzył na niegrzecznego pięciolatka.

- Wiesz co, doktorze Kleinman? Wydaje mi się, że przydałaby ci się jeszcze jedna kąpiel.

Zwinnym ruchem uniósł Hansa i ponownie zanurzył go w wodzie. Po raz kolejny starzec próbował wydostać się na powierzchnię, szamocząc się w wannie i zaciskając palce na ramionach osiłka. Tym razem był jeszcze bardziej przerażony niż poprzednio, bo doskonale wiedział, co zaraz nastąpi - bolesny skurcz, szaleńczy ścisk i nieświadome pogrążanie się w ciemnościach. Teraz ugrzązł jeszcze głębiej w otchłani nieprzytomności. Wrócił do świata żywych nadludzkiem

wysiłkiem, ale po otwarciu oczu nadal nie czuł się w pełni świadomy. Oddychał płytko, a przed oczami majaczył mu niewyraźny obraz.

- Jak tam, doktorze Kleinman? Słyszysz mnie?

Głos, który go dochodził, był przytłumiony. Spoglądając w górę, dostrzegł sylwetkę osiłka, miał jednak wrażenie, że ciało napastnika otacza półcień drgających cząsteczek.

- Naprawdę powinieneś być rozsądniejszy, doktorze Kleinman. Jeśli spojrzysz na tę sprawę logicznie, sam dojdiesz do wniosku, że tego typu wybiegi są po prostu śmieszne. Nie możesz w nieskończoność ukrywać czegoś takiego.

Hans przyjrzał się dokładniej aurze otaczającej Simona i stwierdził, że cząsteczki nie wibrują - po prostu pojawiają się i znikają. Pary cząsteczek i antycząsteczek wyłaniały się z kwantowej próżni, by równie szybko w niej zniknąć. To niesamowite, pomyślał. Szkoda, że nie mam aparatu.

- Nawet jeśli nam nie pomożesz, moi klienci i tak zdobędą to, czego chcą. Być może o tym nie wiesz, ale twój profesor miał również innych powierników. Uznał, że będzie rozsądniej podzielić informacje między kilka osób. Skontaktowaliśmy się już z kilkoma starszymi panami i muszę powiedzieć, że byli bardzo pomocni. Tak czy owak, zdobędziemy to, czego nam potrzeba, więc po co utrudniasz sobie życie?

Efemeryczne cząsteczki rosły, w miarę jak Hans się im przyglądał. Po dokładniejszej analizie doszedł do wniosku, że to wcale nie cząsteczki, tylko cieniuteńkie struny biegnące od jednej przestrzeni do drugiej. Drżały pomiędzy falującymi kurtynami przestrzeni, które zwijały się w walce, stożki i niewymiarowe membrany. Cały ten skomplikowany taniec odbywał się dokładnie tak, jak przewidziano - tak, jak opisał to *Herr Doktor!*

- Przykro mi, doktorze Kleinman, ale moja cierpliwość się kończy. Wcale nie sprawia mi to przyjemności, ale nie zostawiasz mi wyboru.

Osilek kopnął profesora trzy razy w lewy bok na wysokości klatki piersiowej, ale Hans nawet tego nie poczuł. Ze wszystkich stron otaczały go przezroczyste kurtyny przestrzeni. Widział je wyraźnie, wyglądały zupełnie jak wyginające się płyty dmuchanego szkła, błyszczące, nie do przeniknięcia, a jednak delikatne w dotyku. Ten drugi najwyraźniej ich nie dostrzegał. Zresztą kimże był? Wyglądał jak błazen w tych swoich czarnych skórzanych butach.

- Nie widzisz ich? - wyszeptał Hans. - Masz je przed oczami.

Osilek westchnął.

- Obawiam się, że potrzebna będzie nieco silniejsza metoda perswazji. Udał się do przedpokoju i otworzył drzwi do szafki z bielizną.

- Co my tu mamy...

Po chwili wrócił, niosąc butelkę denaturatu i żelazko.

- Doktorze Kleinman, gdzie znajdę jakieś gniazdko?

Hans zapomniał o napastniku. Widział tylko koronkowe fałdy wszechświata, otulające go niczym niesamowicie miękki kocyk.

## Rozdział drugi

David Swift był w niezwykle dobrym nastroju. Razem z synem, siedmioletnim Jonahem, spędzili właśnie wspaniale popołudnie w Central Parku. Na zakończenie miłego dnia David kupił lody w rożkach w budce przy Siedemdziesiątej Drugiej ulicy i teraz ojciec z synem maszerowali w parny czwrcowy wieczór do mieszkania byłej żony Davida. Jonah był w równie dobrym humorze, ponieważ w prawej ręce - w lewej trzymał loda - dzierżył nowiutki pistolet na wodę. Idąc chodnikiem, Jonah powoli mierzył z pistoletu w dowolnie wybrane cele - okna, skrzynki pocztowe, stada gołębi - ale David się tym nie przejmował. Opróżnił pojemnik na wodę zanim wyszli z parku.

Jakimś cudem chłopiec zdołał jednocześnie lizać loda i patrzeć na celownik pistoletu.

- To jeszcze raz, jak to działa? Dlaczego woda wylatuje z niego tak szybko?

David już dwukrotnie tłumaczył mu ten proces, ale nie miał nic przeciwko jeszcze jednej próbie. Uwielbiał takie rozmowy z synem.

- Kiedy ruszasz tym czerwonym uchwytem od pompki, woda jest wypychana z dużego zbiornika do mniejszego.

- Czekał, a gdzie jest ten mniejszy?

David wskazał zbiorniczek z tyłu pistoletu.

- Jest tutaj. W małym zbiorniku jest powietrze i kiedy wpompujesz do środka wodę, brakuje mu miejsca. Cząsteczki powietrza ścisają się i zaczynają wypychać wodę.
- Nie rozumiem. Dlaczego wypychają wodę?
- Bo cząsteczki powietrza cały czas drgają, wiesz? A jak je ściśniesz, to tym silniej odbijają się od wody.
- Mogę zabrać pistolet na prezentację w szkole?
- No, nie wiem...
- Dlaczego nie? W końcu to nauka, nie?
- Nie sądzę, żeby pistolet na wodę był mile widziany w szkole. Ale masz rację, to zdecydowanie nauka. Facet, który wymyślił ten pistolet, był naukowcem. Inżynierem jądrowym pracującym dla NASA.

Wzdłuż Columbus Avenue przejechał autobus i Jonah wymierzył w niego swoją nową broń. Wydawało się, że stracił zainteresowanie zasadami działania pistoletu.

- Dlaczego TY nie zostałeś naukowcem, tato?

David zastanowił się przez chwilę.

- Wiesz, nie każdy może zostać naukowcem. Ale piszę książki o historii nauki, a to też niezła zabawa. Dowiaduję się sporo o sławnych ludziach, jak na przykład Izaak Newton albo Albert Einstein, a potem prowadzę wykłady na ich temat.

- To nie dla mnie. Ja będę prawdziwym naukowcem. Wymyślę statek kosmiczny, który doleci do Plutona w pięć sekund.

Rozmowa o statku kosmicznym i Plutonie zapowiadała się całkiem przyjemnie, ale David nagle poczuł się nieswojo. Zapragnął bardzo zaimponować synowi.

- Dawno temu, kiedy byłem na studiach, zajmowałem się prawdziwą nauką. Wszystkim, co dotyczy kosmosu.

Jonah odwrócił się i zapatrzył na ojca szeroko otwartymi oczami.

- Zajmowałeś się statkami kosmicznymi? - spytał głosem pełnym nadziei. - Takimi, które lecą z prędkością miliardów kilometrów na sekundę?

- Nie, tylko kształtem przestrzeni. Jak wyglądałaby przestrzeń, gdyby były dwa wymiary zamiast trzech.

- Nie rozumiem. Co *to* jest wymiar?

- Wszechświat z dwoma wymiarami ma długość i szerokość, ale nie ma głębokości. Jak wielkie prześcieradło. - David rozpostarł dłonie, jak gdyby wyglądał nieskończenie wielkie prześcieradło. - Miałem nauczyciela, profesora Kleinmana. Jest jednym z najmądrzejszych naukowców na świecie. Razem napisaliśmy pracę o dwuwymiarowych wszechświatach.

- Pracę? - podniecenie odplynęło z twarzy Jonaha.

- Tak, tym zajmują się naukowcy: piszą prace o swoich odkryciach, żeby pokazać kolegom własne dokonania.

Jonah odwrócił się z powrotem w kierunku ulicy. Był tak znudzony, że nawet nie chciało mu się pytać, kim są ci koledzy.

- Zapytam mamę, czy mogę zabrać pistolet do szkoły.

Minutę później weszli do apartamentowca, w którym mieszkał Jonah z mamą. David też tam mieszkał, dopóki nie rozeszli się z Karen dwa lata temu. Teraz miał swoje małe mieszkanko trochę dalej od centrum, ale za to bliżej Uniwersytetu Columbia, gdzie pracował. Codziennie o trzeciej odbierał Jonaha ze szkoły i cztery godziny później odprowadzał go do matki. Dzięki takiemu układowi oszczędzali sporo pieniędzy, które musieliby w innym wypadku zapłacić opiekunce. Ale i tak serce mu krwawiło, kiedy szedł kory-

tarzem swojego starego domu i wchodził do wolno jadącej windy. Czuł się jak wygnaniec.

Kiedy w końcu dotarli na czternaste piętro, David ujrzał stojącą w drzwiach Karen. Jeszcze nie zdążyła się przebrać po pracy - miała na sobie czarne spodnie i szarą marynarkę, czyli standardowy strój firmowego prawnika. Skrzyżowała ręce na piersi i bacznie przyglądała się byłemu mężowi. Z wyraźną dezaprobatą spoglądała na kilkudniowy zarost na twarzy Davida, na ubłocone džinsy i podkoszulek z nazwą jego drużyny softballu - Hiciarscy Historycy. Potem utkwiała wzrok w pistolecie na wodę. Jonah wręczył broń ojcu, przeczuwając kłopoty, po czym prześliznął się za matką do mieszkania.

- Muszę siku! - krzyknął, biegnąc do łazienki.

Karen potrząsnęła głową, patrząc na pistolet. Zabłąkany jasny kosmyk kołysał się przy jej policzku. Nadal jest piękna, pomyślał David, ale to chłodne piękno, chłodne i nieprzystępne. Podniosła dłoń i odgarnęła kosmyk:

- Co ty sobie, do cholery, wyobrażasz?

David był na to przygotowany.

- Wyjaśniłem już Jonahowi, jakie są zasady. Nie ma strzelania do ludzi. Poszliśmy do parku i strzelał do kamieni i drzew. Świetnie się bawił.

- Sądzisz, że pistolet to odpowiednia zabawka dla siedmiolatka?

- Przecież to nie automatyczny pistolet. A na pudełku było napisane „Powyżej siedmiu lat”.

Karen zmrużyła oczy i zacisnęła usta. Często robiła taką minę, kiedy o coś się zażarcie kłócili. David nienawidził tego.

- Wiesz, co dzieci robią z takimi pistoletami? - spytała.  
- Wczoraj mówili w wiadomościach. Banda dzieciaków w Sta-

ten Island naląła do środka benzyny zamiast wody, żeby zrobić miotacz ognia. O mało nie spalili całego osiedla.

David westchnął głęboko. Nie miał zamiaru znowu się kłócić z Karen. To był zresztą powód ich rozstania - ciągle sprzeczki przy Jonahu. Ciągnięcie tej rozmowy nie miało sensu.

- W porządku, nie denerwuj się. To co mam zrobić?

- Zabierz pistolet ze sobą. Możesz pozwalać Jonahowi bawić się nim, kiedy go pilnujesz, ale nie życzę sobie w domu takich zabawek.

Zanim David miał szansę coś odpowiedzieć, usłyszał dobiegający z mieszkania dzwonek telefonu. Po chwili Jonah krzyknął:

- Ja odbiorę!

Karen zerknęła w bok - przez moment zdawało się, że ma ochotę puścić się pędem do telefonu, ale tylko nastawiła ucha. David zastanawiał się, czy to jej nowy chłopak. Zaczęła się umawiać z kolejnym prawnikiem, pocziwym siwym gościem po dwóch rozwodach i z mnóstwem forsy. David nie był zazdrosny w potocznym rozumieniu tego słowa - już dawno przeszła mu namiętność do Karen. Nie mógł jedynie znieść myśli, że ten pi-cuś-głancuś będzie próbował się zaprzyjaźnić z Jonahem.

Chłopiec podszedł do drzwi ze słuchawką w ręce. Zatrzymał się, zbity z tropu zniecierpliwionymi spojrzeniami rodziców, po czym wręczył telefon Davidowi:

- To do ciebie, tato.

Karen wyglądała na rozczarowaną.

- To dziwne. Dlaczego ktokolwiek miałby cię tutaj szukać? Nie mają twojego nowego numeru?

Jonah wzruszył ramionami.

- Ten pan powiedział, że jest z policji.



David siedział na tylnym siedzeniu taksówki jadącej na północ, do Szpitala Świętego Łukasza. Ściemniało się już. Na Amsterdam Avenue widać było zakochane pary, które zamierzały spędzić czwartkowy wieczór przy romantycznej kolacji. Gdy taksówka przeciskała się przez sznur samochodów, zwinnie wymijając powoli sunące autobusy i samochody dostawcze, David patrzył na neony nad restauracjami. Pomarańczowe litery błyskały w oknach taksówki.

Zaatakowano go, tak powiedział policjant. Profesora Kleinmana zaatakowano w jego własnym mieszkaniu przy Sto Dwudziestej Siódmej ulicy. Teraz w stanie krytycznym leżał na oimie w Szpitalu Świętego Łukasza. I chciał się widzieć z Davidem Swiftem. Wyszeptał jego numer telefonu sanitariuszom. Detektyw prosił, żeby się pospieszyć.

- Dlaczego? - zapytał David. - Co się dzieje?

- Po prostu proszę jak najszybciej przyjechać - odpowiedział tamten.

Trapiło go poczucie winy. Nie widział profesora Kleinmana od trzech lat. Starszy pan wiódł życie pustelnika, odkąd przeszedł na emeryturę i odszedł z wydziału fizyki Uniwersytetu Columbia. Mieszkał w małym mieszkanku na obrzeżach zachodniego Harlemu, wszystkie pieniądze wysyłał do Izraela. Nie miał żony ani dzieci. Fizyka była całym jego życiem.

Dwadzieścia lat temu, kiedy David kończył studia, Kleinman był jego promotorem. David od razu go polubił. Profesor nie był wyniosły ani zbyt surowy. W trakcie wykładów z mechaniki kwantowej miał zwyczaj wtrącać zwroty w jidysz. Raz w tygodniu David odwiedzał Kleinmana w jego gabinecie, gdzie profesor wyjaśniał mu tajniki funkcji falowych i cząstek wirtualnych. Niestety, cierpliwe wyjaśnienia nie wystarczyły:

po dwóch latach frustracji David musiał przyznać, że nie jest w stanie sprostać temu wyzwaniu. Po prostu nie był wystarczająco zdolny, żeby zostać fizykiem. Zrezygnował z tego kierunku i przeniósł się na inne studia, gdzie zrobił doktorat z historii nauki.

Kleinman był zawiedziony, ale wykazał zrozumienie. Mimo, że David okazał się daleki od jego ideału studenta, polubił go. Przez następne dziesięć lat byli w kontakcie, a kiedy David rozpoczął pracę nad książką na temat współpracy Alberta Einsteina z jego asystentami, Kleinman zaproponował, że podzieli się z nim swoimi wspomnieniami na temat człowieka, którego nazywał *Herr Doktor*. Książka zatytułowana *Na ramionach gigantów* odniosła ogromny sukces i dzięki niej nazwisko Davida stało się sławne. Był teraz profesorem zwyczajnym na wydziale historii nauki Uniwersytetu Columbia. Ale sam zdawał sobie sprawę, że to niewiele znaczy. W porównaniu z geniuszem, jakim był Kleinman, jego własne osiągnięcia wydawały się mierne.

Taksówka z piskiem opon zatrzymała się przed izbą przyjęć Szpitala Świętego Łukasza. Zapłaciwszy kierowcy, David popędził przez automatycznie rozsuwane szklane drzwi i natychmiast zauważył trzech policjantów stojących tuż obok recepcji. Dwóch było w mundurach: sierżant w średnim wieku, ze sporym brzuchem i wysoki, chudy żółtodziób, który wyglądał, jakby dopiero co skończył szkołę. Trzeci oficer był detektywem w cywilnym ubraniu - przystojny Latynos w starannie wyprasowanym garniturze. To ten do mnie dzwonił, pomyślał David.

Zapamiętał nazwisko detektywa: Rodriguez.

Z bijącym sercem David podszedł do policjantów.

- Przepraszam bardzo, nazywam się David Swift. Czy mam przyjemność z detektywem Rodriguezem?

Detektyw rzeczowo pokiwał głową. Dwaj pozostali wyglądali jednak na rozbawionych. Brzuchaty sierżant uśmiechnął się do Davida:

- Ma pan pozwolenie na tę giwerę?

Wskazał pistolet na wodę. David z przejęcia zapomniał, że cały czas trzyma go w ręku.

Rodriguez rzucił sierżantowi ponure spojrzenie. Od razu przeszedł do rzeczy:

- Dziękuję, że pan przyjechał. Czy jest pan krewnym pana Kleinmana?

- Nie, nie, jestem tylko przyjacielem. Właściwie to byłem jego studentem.

Detektyw wyglądał na zaskoczonego.

- Był pana wykładowcą?

- Tak, na Uniwersytecie Columbia. Jak on się czuje? Czy jest ciężko ranny?

Rodriguez położył dłoń na ramieniu Davida.

- Proszę z nami. Jest przytomny, ale nie odpowiada na pytania. Nalegał, by z panem porozmawiać.

Detektyw poprowadził Davida korytarzem, a dwaj policjanci podążyli za nimi. Minęli dwie pielęgniarki, które przyjrzały się im z powagą. To nie był dobry znak.

- Co się stało? - zapytał David. - Mówił pan, że go zaatakowano?

- Raport z włamania jest w przygotowaniu - powiedział Rodriguez bez emocji. - Ktoś po drugiej stronie ulicy zobaczył, że jakiś człowiek wchodzi do mieszkania wyjściem ewakuacyjnym. Kiedy policja przyjechała, znaleźli ciężko pobitego pana Kleinmana w łazience. W tej chwili tyle wiemy.

- Co to znaczy „ciężko pobitego”?

Detektyw spojrzał przed siebie.

- Ktokolwiek to zrobił, musiał być szaleńcem. Pan Kleinman ma oparzenia trzeciego stopnia na twarzy, klatce piersiowej i genitaliach. Do tego pęknięte płuco i uszkodzone inne organy wewnętrzne. Lekarze twierdzą, że serce też pracuje ostatkiem sił. Bardzo mi przykro, panie Swift.

David poczuł ścisk w gardle.

- Nie mogą go operować?

Rodriguez potrząsnął głową.

- Nie przeżyje.

- Cholera jasna - mruknął David. Czuł raczej wściekłość niż smutek. Zaciśnął pięści na myśl o tym, że doktor Hans Walther Kleinman, człowiek dobry i mądry, musiał cierpieć z ręki jakiegoś sadystycznego bandziora.

Weszli do sali z napisem „Chirurgia urazowa”. Przez drzwi David zauważył jeszcze dwie pielęgniarki w zielonych kitlach. Stały przy łóżku otoczonym sprzętem medycznym - monitor pracy serca, wózek ze sprzętem szybkiego dostępu, defibrylator, kroplówka. Z korytarza nie było widać, kto leży na łóżku. David miał już wejść do sali, kiedy detektyw Rodriguez chwycił go za ramię.

- Wiem, że to będzie dla pana trudne, ale potrzebujemy pańskiej pomocy. Proszę zapytać pana Kleinmana, czy pa mięta jakiegokolwiek szczegóły napaści. Sanitariusze mówią, że w karetce powtarzał kilka nazwisk. - Rodriguez spojrzał przez ramię na młodego oficera. - Co to były za nazwiska?

Młodziak przekartkował swój notatnik.

- Hm, chwileczkę. Jakies niemieckie, tyle pamiętam. O, już mam: Einhard Liggin i Feld Terry.

Rodriguez utkwiał wzrok w Davidzie:

- Czy zna pan kogoś z tych ludzi? Czy to byli współpracownicy pana Kleinmana?

David po cichu powtórzył usłyszane nazwiska: Einhard Ligin, Feld Terry. Dziwne, nawet jak na niemieckie. I wtedy do niego dotarło:

- To nie nazwiska - powiedział. - To dwa słowa po niemiecku. *Einheitliche Feldtheorie*.

- Co to znaczy?

- Zunifikowana teoria pola.

Rodriguez wpatrywał się w niego.

- A co to u diabła jest?

David postanowił wyjaśnić mu tak, jakby tłumaczył Jonahowi.

- To teoria, która wyjaśniałaby wszystkie siły istniejące w przyrodzie. Wszystko, począwszy od grawitacji czy elektryczności aż po siły jądrowe. To święty Graal fizyki. Naukowcy pracowali nad tym od lat, ale nikomu jeszcze nie udało się sformułować teorii.

Brzuchaty sierżant zachichotał.

- Oto i mamy sprawcę. Zunifikowana teoria pola. Mam tak napisać w raporcie?

Rodriguez znów zmarszczył brwi, po czym zwrócił się jeszcze raz do Davida.

- Proszę zapytać pana Kleinmana, co pamięta. Każdy szczegół może nam się przydać.

David odpowiedział:

- W porządku, spróbuję.

Ale poczuł się dziwnie. Dlaczego Kleinman powtarzał akurat te słowa? Zunifikowana teoria pola była terminem nieco przestarzałym. Większość fizyków nazywała ją teraz teorią strun lub M-teorią, bądź też kwantową teorią grawitacji. Te nazwy odzwierciedlały współczesne podejście do problemu. Poza tym Kleinman nigdy nie był entuzjastą żadnego z nich.

Jego zdaniem inni fizycy źle się do tego zabierali. Zamiast próbować zrozumieć, jak działa wszechświat, budowali wieże matematycznych wzorów.

Rodriguez spojrział na niego ze zniecierpliwieniem. Wyjął z dłoni Davida pistolet na wodę i popchnął go w kierunku oddziału urazowo-ortopedycznego.

- Proszę wchodzić. Nie zostało mu zbyt wiele czasu.

David kiwnął głową, po czym wszedł do sali. Kiedy podszedł do łóżka, pielęgniarki taktownie się usunęły i zajęły obserwowaniem monitora pracy serca.

Najpierw zobaczył bandaż, grubą warstwę gazy przyklejoną plasterem do prawej strony twarzy i przesiąkniętą krwią opatrunki na klatce piersiowej Kleinmana. Opatrunki zakrywały większość jego ciała, ale nie zdołały ukryć wszystkich ran. Pod siwymi włosami starego człowieka David widział zaschniętą krew, a na jego ramionach widniały fioletowe sińce o kształcie ludzkich dłoni. Ale najgorszy ze wszystkiego był ciemnoniebieski odcień skóry - David znał się na fizjologii na tyle, by wiedzieć, co to oznacza: serce Kleinmana nie pompuje już natlenionej krwi z płuc do innych organów. Lekarze założyli mu maskę tlenową i ułożyli pacjenta w pozycji siedzącej, żeby płyn mógł odpływać z płuc, ale to najwyraźniej nic nie dało. Patrząc na profesora Kleinmana, David poczuł, że serce mu się ściska. Starzec już teraz wyglądał, jakby nie żył.

Jednak po kilku sekundach Kleinman się poruszył. Otworzył oczy i powoli podniósł lewą dłoń do twarzy. Zakrzywionymi palcami postukał w plastikową maskę, która zakrywała mu usta i nos. David pochylił się nad łóżkiem.

- Doktorze Kleinman? To ja, David, słyszy mnie pan?

Mętny wzrok profesora zatrzymał się na twarzy Davida. Kleinman znów postukał w maskę tlenową, a potem sięgnął

po winylową poduszkę powietrzną wiszącą poniżej, która miarowo napełniała i opróżniała się niczym trzecie płuco. Chwilę poszukał, po czym, chwyciwszy poduszkę, zaczął ją szarpać. David przeraził się.

- Coś jest nie tak? Powietrze się nie przedostaje?

Kleinman szarpnął mocniej, zgniatając poduszkę dłonią. Jego usta poruszały się pod plastikową maską. David pochylił się niżej.

- Co się dzieje? Co jest nie tak?

Stary człowiek potrząsnął głową. Kropelka potu spłynęła po jego brwi.

- Nie widzisz tego? - wyszeptał zza maski. - Naprawdę nie widzisz?

- Czego?

Kleinman wypuścił poduszkę i unióś rękę, obracając dłoń tak, jakby pokazywał mu coś cennego.

- Takie piękne... - szepnął.

David usłyszał wilgotny szmer dobiegający z klatki piersiowej profesora. Płyn zaczął zbierać się w płucach.

- Profesorze, wie pan, gdzie jesteśmy? Jest pan w szpitalu.

Kleinman nadal patrzył z podziwem na własną dłoń, a raczej na pustą przestrzeń, na której zaciskał palce.

- Tak, tak - wychrypiał.

- Ktoś zaatakował pana w pańskim mieszkaniu. Policja chce wiedzieć, czy coś pan pamięta.

Profesor zakaszłał, a różowe kropelki ozdobiły wnętrze maski tlenowej. Ale wzrok miał nadal utkwiony w niewidzialnym skarbie na dłoni.

- Miał rację. *Mein Gott*, miał rację!

David przygryzł wargę. Doskonale wiedział, że Kleinman umiera. Już raz widział coś podobnego. Dziesięć lat temu stał

przy łóżku szpitalnym swojego ojca i patrzył, jak ten umiera na raka wątroby. Ojciec Davida, John Swift, był kierowcą autobusu i emerytowanym bokserem, który porzucił rodzinę i zapił się na śmierć. Pod koniec nie poznawał nawet własnego syna. Brudził za to pościel i przeklinał po nazwisku sławnych niegdyś bokserów wagi średniej, którzy stłukli go do nieprzytomności jakieś trzydzieści lat wcześniej.

David chwycił Kleinmana za rękę - była miękka, bezwładna i bardzo zimna.

- Profesorze, proszę mnie posłuchać. To bardzo ważne.

Wzrok starca znów spoczął na nim. Zdawało się, że życie tliło się już tylko w jego oczach.

- Wszystkim się wydawało... że przegrał... Ale udało mu się. Udało się! - Kleinman mówił krótkimi, urywanymi zdaniami, od czasu do czasu biorąc płytki oddech. - Ale nie mógł... tego opublikować. *Herr Doktor* zdawał sobie... sprawę z niebezpieczeństwa. Znacznie gorszego... niż bomba. Niszczyciel... światów.

David patrzył na profesora ze zdumieniem. *Herr Doktor? Niszczyciel światów? Mocniej ścisnął dłoń starca.*

- Profesorze, proszę mnie posłuchać. Proszę mi powiedzieć o człowieku, który to panu zrobił. Pamięta pan, jak wyglądał?

Twarz Kleinmana lśniła od potu.

- Dlatego przyszedł... ten osiłek... Dlatego mnie... torturował.

- Torturował? - David poczuł dreszcz obrzydzenia.

- Tak, tak... Chciał, żebym... mu to napisał. Ale nie napisałem. Nie napisałem!

- Co miał pan napisać? Czego chciał?

Kleinman uśmiechnął się zza maski.



- *Einheitliche Feldtheorie*- szepnął. - Ostatni podarunek...  
*Herr Doktora*.

David był kompletnie zdezorientowany. Nasuwało się oczywiste wyjaśnienie, że profesor ma halucynacje. Trauma po napadzie wyzwoliła wspomnienia sprzed ponad pół wieku, kiedy to Kleinman, młody fizyk w Institute for Advanced Study w Princeton, został zaangażowany jako asystent legendarnego, lecz już niedomagającego Alberta Einsteina. David opisał to w swojej książce: niekończący się ciąg obliczeń na tablicy w gabinecie Einsteina, mozolne, bezowocne poszukiwanie równań pola, które objęłyby zarówno grawitację, jak i elektromagnetyzm. Nic dziwnego, że Kleinman w przedśmiertnym majaczeniu wspominał właśnie tamte czasy. A jednak nie wyglądał na kogoś, kto bredzi. Z piersi dobywał mu się świst, czoło pokrywał pot, ale jego twarz zdawała się całkiem spokojna.

- Przepraszam, David... - chrypiał. - Przepraszam... że ci tego nigdy nie powiedziałem. *Herr Doktor* widział... niebezpieczeństwo... Ale nie mogłem... Nie mogłem... - Kleinman znów zakaszłał, a jego ciałem wstrząsnęły dreszcze. - Nie mogłem... spalić... swoich notatek. Teoria była... zbyt piękna.

Kaszlnął jeszcze raz, po czym upadł w przód.

Jedna z pielęgniarek podbiegła z drugiej strony łóżka. Chwyliła profesora za posiniaczone ramiona i posadziła. David przez cały czas trzymał dłoń Kleinmana. Teraz zauważył, że maska tlenowa wypełniła się różową pianą.

Pielęgniarka szybko zdjęła maskę i oczyściła ją z plwociny. Ale kiedy próbowała założyć ją z powrotem, Kleinman potrząsnął głową. Próbowała go przytrzymać, łapiąc za kark, ale odrzucił maskę wolną ręką.

- Nie! - zachrypiał. - Dość tego!

Pielęgniarka rzuciła mu piorunujące spojrzenie, po czym odwróciła się do drugiej siostry, która wciąż patrzyła na monitor serca.

- Idź po lekarza dyżurnego - powiedziała. - Musimy intubować.

Kleinman oparł się o Davida, który objął starca ramieniem, żeby uchronić go przed upadkiem. Bulgotanie w klatce piersiowej wydawało się teraz jeszcze głośniejsze. Wzrok profesora szaleńczo błędził po pomieszczeniu.

- Umieram... - chrypiał. - Nie ma... wiele czasu...

David poczuł pieczenie w oczach.

- Wszystko będzie dobrze, profesorze...

Kleinman podniósł rękę i chwycił Davida za kołnierzyk koszuli.

- Słuchaj, David... Musisz być... ostrożny. Twoja praca, pamiętasz? Ta, nad którą pracowaliśmy... razem. Pamiętasz?

Upłynęła chwila, zanim David przypomniał sobie, o co chodzi profesorowi.

- Jeszcze na studiach? *Ogólna teoria względności w dwu wymiarowej czasoprzestrzeni*? Chodzi o tę pracę?

Profesor kiwnął głową.

- Tak, tak... Byłeś blisko... bardzo blisko... prawdy. Jak mnie nie będzie... mogą przyjść do ciebie.

David poczuł niemiły skurcz w żołądku.

- O kim pan mówi?

Kleinman zacisnął palce na kołnierzyku Davida.

- Mam... klucz. *Herr Doktor*... dał mi... ten podarunek. A teraz ja daję go... tobie. Pilnuj go. Nie pozwól... żeby go zdobyli. Rozumiesz? Nie dawaj nikomu!

- Klucz? Ale o co...

- Nie ma czasu... nie ma czasu! Słuchaj! - Kleinman z za-  
dziwiającą siłą przyciągnął Davida. Wilgotne usta profesora  
musnęły jego ucho - Zapamiętaj... te liczby. Cztery, zero...  
dwa, sześć... trzy, sześć... siedem, dziewięć... pięć, sześć...  
cztery, cztery... siedem, osiem, zero, zero.

Ledwo profesor wypowiedział ostatnią cyfrę, puścił kolnie-  
rzyk Davida i opuścił głowę na piersi.

- A teraz powtórz... sekwencję.

Mimo zakłopotania, David posłusznie spełnił polecenie.  
Pochylił się nad uchem Kleinmana i powtórzył sekwencję.  
Chociaż nie udało mu się nigdy opanować równań fizyki  
kwantowej, miał szczególny dar zapamiętywania długich  
ciągów liczbowych. Kiedy skończył, profesor pokiwał głową.

- Dobry chłopak - wymruczał w koszulę Davida. - Dobry  
chłopak.

Pielęgniarka stała tuż obok, przygotowując sprzęt do in-  
tubacji. David patrzył, jak bierze do ręki srebrny przyrząd w  
kształcie sierpa i długą plastikową rurkę z czarną podziałką.  
Wsuną to profesorowi do gardła, pomyślał. A potem poczuł  
coś ciepłego na brzuchu. Spojrzał w dół i zobaczył strumyczek  
lepkiego różowego płynu spływający z ust Kleinmana po  
podbródku. Oczy profesora były zamknięte. Bulgotanie w  
klatce piersiowej ustało.

Kiedy przybył lekarz dyżurny, wyprosił Davida z sali i zadzwo-  
nił po wsparcie. Po chwili pół tuzina lekarzy i pielęgniarek  
otoczyło łóżko profesora, próbując go reanimować. Ale David  
wiedział, że to na nic. Hans Kleinman odszedł.

Rodriguez i dwóch policjantów zbliżyło się do niego, gdy  
szedł korytarzem. Detektyw popatrzył na niego ze współczu-

ciem, wciąż trzymając w ręku pistolet na wodę. Oddał mu go, pytając:

- Jak poszło, panie Swift? Powiedział coś?

David potrząsnął głową.

- Niestety, bredził. Niewiele w tym było sensu.

- Ale co powiedział? Czy to był napad rabunkowy?

- Nie. Powiedział, że go torturowano.

- Torturowano? Dlaczego?

Zanim David zdążył odpowiedzieć, ktoś z końca korytarza zawołał:

- Hej, wy! Zatrzymajcie się!

Był to wysoki rumiany facet o grubym karku, w szarym garniturze, ostrzyżony na jeża. Towarzyszyło mu dwóch potężnych osiłków - wyglądali mniej więcej tak samo jak on. Cała trójka szybkim krokiem maszerowała przez korytarz. Kiedy podeszli do policjantów, facet w środku wyjął z kieszeni marynarki identyfikator i pokazał odznakę.

- Agent Hawley, FBI. - oznajmił. - Czy to wy pracujecie nad sprawą Kleinmana?

Gruby sierżant i młody oficer wystąpili, stając ramię w ramię z Rodriguezem. Wszyscy razem spojrzeli z pogardą na agentów federalnych.

- Tak, to nasza sprawa - odparł Rodriguez.

Agent Hawley dał znak jednemu ze swych towarzyszy, który natychmiast skierował się na oddział chirurgii urazowej. Hawley znów sięgnął do kieszeni marynarki, tym razem wyjmując złożony list.

- Przejmujemy sprawę - powiedział, wręczając list Rodriguezowi. - Oto upoważnienie z prokuratury.

Rodriguez rozłożył list. Czytając, zmarszczył brwi.

- To jakaś bzdura. Jesteśmy poza zasięgiem waszej jurysdykcji.

- Jeżeli chcecie złożyć skargę, możecie się zwrócić do prokuratury - odparł Harley z kamienną twarzą.

David przyglądał się Harleyowi, który popatrywał na prawo i lewo, obiegając korytarz wzrokiem pozbawionym jakiegokolwiek wyrazu. Nie miał nowojorskiego akcentu. Mówił raczej jak wieśniak z Oklahomy, który sztukę konwersacji opanował w korpusie marynarki wojennej. David zastanawiał się, dlaczego ten rzeczowy agent FBI jest tak zainteresowany morderstwem emerytowanego fizyka. Znów poczuł skurcz żołądka.

Agent Hawley wskazał na Davida, jak gdyby wyczuwając jego niepewność:

- A to kto? - spytał Rodrigueza. - Co on tu robi?

Detektyw wzruszył ramionami.

- Kleinman chciał się z nim widzieć. Nazywa się David Swift. Właśnie skończyli rozmawiać i...

- Ty cholerny durniu! Pozwoliłeś mu rozmawiać z Kleinmanem?

David zmarszczył brwi. Kawał dupka z tego agenta.

- Chciałem pomóc - powiedział. - Jak się na moment zamkniesz, detektyw ci wszystko wyjaśni.

Hawley nagle odwrócił się od Rodrigueza. Zmrużył oczy i zrobił krok w kierunku Davida.

- Panie Swift, jest pan fizykiem?

Staął nad nim niczym chmura gradowa. Mimo to Davidowi udało się zapanować nad drzeniem głosu.

- Nie, jestem historykiem. Doktor Swift, jeśli chodzi o ścisłość.

Gdy Hawley próbował zmierzyć Davida wzrokiem, z oddziału wrócił drugi agent. Podszedł do Hawleya i zaczął mu coś mówić na ucho. Przez ułamek sekundy usta Hawleya zacisnęły się w grymasie. Natychmiast jednak odzyskał kamienną twarz.

- Kleinman nie żyje, panie Swift. To oznacza, że musi pan iść z nami.

David o mało co się nie roześmiał.

- Z wami? Nie sądzę.

Ale zanim dokończył zdanie, trzeci z agentów FBI zaszedł go od tyłu, wykręcił mu ręce i założył kajdanki. Pistolet na wodę upadł na ziemię.

- Co ty do cholery robisz? - krzyknął David. - Jestem aresztowany?

Hawley nie zadał sobie trudu, by odpowiedzieć. Chwył Davida za ramię tuż powyżej łokcia i go obrócił. Agent, który go zakuł w kajdanki, podniósł pistolet, trzymając go na odległość ramienia, zupełnie jakby to była prawdziwa broń. Trzech agentów wyprowadziło Davida korytarzem, zwinnie mijając oniemiałych lekarzy i pielęgniarzy. Swift rzucił przez ramię spojrzenie detektywowi Rodriguezowi i policjantom, ale oni stali bez ruchu.

Jeden z agentów ruszył przodem i otworzył drzwi na schody. David był zbyt wystraszony, aby protestować. Gdy schodzili, zmierzając do wyjścia ewakuacyjnego, przypomniał sobie, co profesor Kleinman powiedział mu kilka minut temu. To był fragment słynnej wypowiedzi J. Roberta Oppenheimera, kolejnego sławnego fizyka, który pracował z Einsteinem. Oglądając pierwszy test bomby atomowej, powiedział: „Oto stałem się śmiercią, niszczycielem światów”.

## Rozdział trzeci

Simon grał w tetrisa, siedząc za kierownicą swojego mercedesa. Jednym okiem patrzył na grę na ekranie telefonu, a drugim na wejście do Szpitala Świętego Łukasza. Tetris świetnie się nadawał do takich spraw. Można się było zabawić, nie odrywając się od pracy. Klikając w klawisze telefonu, Simon manewrował klockami, ustawiając je na miejscu, a jednocześnie obserwował samochody i taksówki podjeżdżające pod izbę przyjęć. Był rozluźniony, ale skupiony - spoglądał na samochody na Amsterdam Avenue, jak gdyby były olbrzymimi klockami tetris - sześciiany, klocki w kształcie litery T lub L, krążące po ciemnej ulicy.

Wszystko sprowadza się do elastyczności, pomyślał Simon. Nieważne, w co grasz, musisz umieć dopasować strategię. Wystarczy spojrzeć, co stało się z Hansem Klejmanem. Na początku robota wydawała się prosta, ale umysł Kleinmana rozplynął się, zanim udało się cokolwiek z niego wydobyć. A potem na dokładkę pod dom profesora podjechały dwa policyjne auta. Simon był zaskoczony, ale nie spanikował - po prostu zmodyfikował strategię. Najpierw udało mu się uniknąć konfrontacji z policją, ponieważ wyszedł wyjściem ewakuacyjnym na dach i zeskoczył do sąsiadującego z budynkiem magazynu. Potem wsiadł do mercedesa i pojechał

za karetką, która wiozła Kleinmana do szpitala. Opracował nowy plan: zaczeka aż policjanci opuszczą oddział, a wtedy - Kleinman będzie jeszcze żywy - znowu spróbuje wydobyć od niego *Einheitliche Feldtheorie*.

Właściwie podziwiał profesora. Co za mały twarzą z niego! Przypominał Simonowi jego niegdysiejszego dowódcę w specnazie, pułkownika Aleksieja Łatypowa. Aleksiej był oficerem rosyjskich służb specjalnych przez prawie trzydzieści lat. Szybki, sprytny i bezlitosny. Dowodził jednostką Simona przez najgorsze lata wojny w Czeczenii, ucząc swoich ludzi, jak przechytrzyć i zwyciężyć rebeliantów. Aż któregoś razu, podczas napadu na jeden z czeczeńskich obozów, snajper strzelił Aleksiejowi w głowę. Koszmarna rzecz, ale do przewidzenia. Simon przypomniał sobie, co kiedyś usłyszał od dowódcy: Życie to jedno wielkie gówno, a to, co nas czeka potem, jest prawdopodobnie jeszcze gorsze.

Klocki tetrisa piętrzyły się na ekranie telefonu, tworząc postrzępione urwisko z dziurą po lewej stronie. A potem spadł prosty klocek w kształcie litery I. Simon przesunął go w lewo i natychmiast cztery rzędy kostek zniknęły przy akompaniamencie cichego dźwięku. Co za miłe uczucie. Zupełnie jak wbijanie noża.

Chwilę później Simon zobaczył czarnego chevroleta suburban z przyciemnianymi szybami, jadącego wzdłuż Amsterdam Avenue. Samochód zwolnił, podjeżdżając pod szpital, po czym zaparkował na miejscu dla samochodów dostawczych. Trzech rosnących mężczyzn w identycznych szarych garniturach wyskoczyło z auta i pomaszzerowało w równym szyku do szpitalnego wejścia, błyskając odznakami w kierunku przerażonego ochroniarza. Choć byli trzy metry od niego, Simon rozpoznał ich charakterystyczny chód: byli komandosi, a dzisiaj prawdo-



podobnie agencji FBI. Amerykański wywiad najwyraźniej też zainteresował się profesorem Kleinmanem. To by wyjaśniało, dlaczego policja tak szybko przyjechała do mieszkania. Agenci federalni musieli zainstalować podsłuch w ścianach i dzięki temu mogli słyszeć rozmowę Simona z profesorem.

Agenci weszli do szpitala - pewnie chcieli przesłuchać Kleinmana, póki jeszcze żyje. Simon nie cieszył się z takiego obrotu sprawy, ale nie był to również powód do szczególnego zmartwienia. Choć żywił szacunek do amerykańskich agentów - z pewnością byli dobrze wyszkoleni i zdyscyplinowani - wiedział, że bez problemu zdoła wyeliminować całą trójkę. Miał nad nimi przewagę - pracował sam, więc miał znacznie lepiej wyostrożony instynkt. To była jedna z dwóch najważniejszych zalet pracy wolnego strzelca.

Drugą zaletą były pieniądze. Odkąd odszedł ze specnazu, zarabiał więcej w jeden dzień niż cały pluton rosyjskich spadochroniarzy przez cały rok. Sztuka polegała na tym, by znaleźć klientów, którzy mają dużo pieniędzy i są zdesperowani. W tej kategorii znajdowała się zaskakująco spora liczba ludzi, firm i organizacji rządowych. Niektórzy rozpaczliwie pragnęli władzy, inni pieniędzy, jeszcze inni szacunku. Jedni chcieli rakiet, inni plutonu. Niezależnie od rodzaju zlecenia Simon nie miał wyrzutów sumienia. Było mu wszystko jedno.

Czekając na powrót agentów FBI, zastanawiał się, czy nie skontaktować się z obecnym klientem. Misja odbiegła nieco od początkowego planu, a klienci zwykle chcieli być informowani o tego rodzaju zmianach. W końcu jednak zdecydował, że to nie będzie konieczne. Klient był chyba bardziej zdesperowany niż wszyscy poprzedni. Kiedy zadzwonił po raz pierwszy, Simon myślał, że to jakiś kawał. Wydawało mu się absurdalne, że ktoś może płacić tyle pieniędzy za teorię naukową. Ale

kiedy poznał szczegóły misji, zaczął dostrzegać potencjalne zastosowania teorii, między innymi militarne. Dotarło do niego, że ta konkretna robota może dać mu coś nieskończenie cenniejszego niż pieniądze.

Agenci pojawili się w jednym z wyjść ewakuacyjnych szpitala. Simon zakładał, że zajmie im to więcej czasu. Ciągnęli ze sobą więźnia. Był trochę niższy od nich, ale mocno zbudowany. Miał na sobie tenisówki, dżinsy i podkoszulek z nadrukiem jakiejś drużyny baseballowej - taki, za jakimi szaleją Amerykanie. Ręce miał wykręcone do tyłu i skute kajdankami. Rozglądał się na prawo i lewo, jak przestraszony ptak. Dwóch agentów popychało go w kierunku samochodu. Trzeci niósł kolorowy pistolet-zabawkę. Simon zachichotał - to FBI testuje teraz pistolety na wodę? Cała scena wyglądała dziwnie i przez moment miał wątpliwości, czy to aresztowanie ma cokolwiek wspólnego z Kleinmanem. Być może więźniem był jakiś ekscentryczny nowojorczyk, który próbował pistoletem na wodę sterroryzować personel szpitala? Ale zanim agenci wpełchnęli mężczyznę do samochodu, założyli mu na głowę czarny kaptur i zacisnęli pod szyją. W porządku, pomyślał Simon, to nie jest przypadkowy wariat. To ktoś, kogo agenci chcą przesłuchać.

Kierowca chevroleta włączył przednie światła i zjechał z krawężnika. Simon skulił się, gdy samochód przejeżdżał obok niego. Niech odjadą kilka bloków dalej, zanim ruszy za nimi. Kręcenie się koło szpitala nie miało już sensu - jeżeli agenci wyszli bez Kleinmana, to znaczy, że profesor prawdopodobnie już nie żyje. Na szczęście wygląda na to, że zdążył się podzielić swoją wiedzą z młodszym kolegą.

Simon przycisnął klawisz na telefonie, kończąc partię tetrisa. Zanim telefon się wyłączył, na wyświetlaczu pojawił się

wygaszacz - zdjęcie, które oglądał za każdym razem, kiedy włączał lub wyłączał telefon. Nierozsądnie jest zachowywać prywatne zdjęcie na telefonie służbowym, ale Simon pozwolił sobie na tę nierozwagę. Nie chciał zapomnieć ich twarzy. Siergiej z jedwabistymi włosami i niebieskimi oczami. Larisa z jasnymi loczkami, kilka tygodni przed swoimi czwartymi urodzinami.

Wyświetlacz zgasł. Simon włożył telefon do kieszeni i wrzucił bieg.

Usłyszał kobiecy głos z wyraźnym południowym akcentem.

- W porządku, Hawley, możesz mu to zdjąć.

David głęboko zaczerpnął powietrza, kiedy ściągnięto mu kaptur. Od oddychania przez czarny materiał, wilgotny od jego własnego potu, zrobiło mu się niedobrze. Najpierw zmrużył oczy, pozwalając, by wzrok przyzwyczaił się do fluorescencyjnego światła.

Siedział przy szarym stole w pustym pokoju bez okien. Przy jego krześle stał agent Hawley. Zwinął czarny kaptur i schował go do kieszeni. Dwóch partnerów Hawleya przyglądało się pistoletowi na wodę, metodycznie otwierając zbiorniczki i zaglądając do każdej dziury. Po drugiej stronie stołu siedział ktoś, kogo jeszcze nie miał okazji poznać - mniej więcej sześćdziesięcioletnia kobieta z szerokimi barkami, dużym biustem i imponującym hełmem z platynowych włosów.

- Dobrze się pan czuje, panie Swift? - zapytała. - Wygląda pan na odrobinę zmarnowanego.

Zdecydowanie nie czuł się dobrze. Był przestraszony, zdezorientowany i nadal miał ręce skute kajdankami. A teraz już w ogóle nie wiedział, co się dzieje. Kobieta nie wyglądała na agentkę FBI. W jaskrawoczerwonej marynarce i luźnej

białej bluzce wyglądała raczej jak babcia, która wybiera się na partię bingo.

- Kim jesteś? - zapytał.

- Lucille, koteczku. Lucille Parker. Ale możesz mi mówić Lucy. Wszyscy tak na mnie mówią. - Sięgnęła po dzbanek z wodą i dwa stojące na stole kubki. - Hawley, zdejmijże panu te kajdanki.

Agent Hawley niechętnie otworzył kajdanki. David potarł obolałe nadgarstki i przyjrzał się Lucille, która właśnie nalewała wody do papierowych kubeczków. Miała szminkę w tym samym kolorze, co marynarka. Twarz pokrywało mnóstwo mimicznych zmarszczek, przez co robiła bardzo miłe wrażenie. Na łańcuszku zwisały okulary do czytania, a za lewym uchem widać było spiralny kabel - słuchawkę, jakiej używają wszyscy agenci rządowi.

- Czy jestem aresztowany? - spytał David. - Bo jeżeli tak, chciałbym rozmawiać z prawnikiem.

Lucille uśmiechnęła się.

- Nie jesteś aresztowany. Przykro mi, jeśli odniosłeś takie wrażenie.

- Wrażenie? Wasi agenci skuli mnie i włożyli mi na głowę jakiś cholerny worek!

- Spróbuję ci to wyjaśnić, kotku. Ten budynek to dobrze strzeżony obiekt. Mamy standardową procedurę wprowadzania ludzi z zewnątrz. Nie możemy ujawnić dokładnej lokalizacji, dlatego musimy używać kaptura.

David wstał.

- Jeżeli nie jestem aresztowany, to mam prawo wyjść, prawda?

Agent Hawley złapał Davida za ramię. Lucille z uśmiechem potrząsnęła głową.

- Obawiam się, że to trochę bardziej skomplikowane.

Przesunęła jeden z papierowych kubeczków w jego stronę.

- Proszę usiąść, panie Swift. Niech się pan napije.

Dłoń na ramieniu Davida stawała się coraz cięższa. Zrozumiał aluzję i usiadł.

- Proszę się do mnie zwracać per: doktor Swift - powiedział. - I nie chce mi się pić.

- Może coś mocniejszego? - Lucille mrugnęła do niego w niepokojąco zalotny sposób, po czym sięgnęła do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjęła srebrną piersiówkę. - To prawdziwa biała błyskawica z Teksasu, najwyższej klasy. Mój przyjaciel w Lubbock ma destylator. Dostał koncesję, więc może to robić legalnie. Łyczek?

- Nie, dziękuję.

- Prawda, zapomniałam - wsunęła manierkę z powrotem do kieszeni. - Przecież ty nie pijesz. Z powodu tatusia?

David zeszytniał na krześle. Paru jego kolegów i współpracowników wiedziało, że od dawna nie pije, ale tylko jego była żona i kilku najlepszych przyjaciół wiedziało dlaczego. A teraz Lucille rzuca to w rozmowie jak gdyby nigdy nic.

- Co jest grane? - zapytał ostro.

- Uspokój się, słonko. Mamy to w twoich aktach. - Sięgnęła do opasłej torby wiszącej na oparciu jej krzesła i wyjęła z niej dwie teczki: jedną grubą, drugą cienką. - Zobaczmy, historia rodziny. Imię ojca: John Swift. Zawodowy bokser w latach 1968-1974. Przydomek: Postrach o Dwóch Pięściach. A to akurat dobre!

David nie odpowiedział. Ojciec nigdy nie dorósł do własnego przydomka na ringu. Skutecznie terroryzował tylko członków własnej rodziny.

Lucille przebiegła wzrokiem kartkę, zatrzymując się na samym końcu strony:

- Całkowita dokumentacja: cztery zwycięstwa, szesnaście porażek. Zatrudniony jako kierowca autobusu w Miejskim Przedsiębiorstwie Komunikacji w 1975. Zwolniony po aresztowaniu za jazdę pod wpływem alkoholu w 1979. Skazany na trzy lata w Ossining za udział w napadzie, 1981. - Zamknęła teczkę i spojrzała Davidowi w oczy. - Przykro mi. To musiał być koszmar.

Sprytnie, pomyślał David. To pewnie jedna ze standardowych technik, jakich uczą się wszyscy agenci FBI. Najpierw pokaż przesłuchiwanemu, że znasz jego sekrety. A potem uderz w czuły punkt.

- Macie całkiem niezły wywiad - zauważył David. - Dokończycie się tego wszystkiego w ciągu pół godziny?

- Nie, zaczęliśmy kompletować pana akta przed paroma dniami. Zbieraliśmy wiadomości o wszystkich, którzy pracowali z Kleinmanem, a pan figurował jako współautor jednej z jego prac.

Podniosła grubą teczkę:

- A to akta samego profesora.

Otworzyła teczkę i kartkowała ją, potrząsając głową.

- Coś panu powiem, ciężka sprawa z tą fizyką. Co to, na przykład, w ogóle jest efekt Kleinmana-Gupty? Jest wspomniany chyba ze sześć razy, a ja zupełnie nie wiem, o co chodzi.

David przyjrzał się jej dokładnie. Nie był pewien, czy naprawdę nie wie, czy po prostu udaje głupią, żeby zachęcić go do mówienia.

- To zjawisko, które ma miejsce, kiedy pewne niestabilne atomy się rozpadają. Doktor Kleinman odkrył je razem z Amilem Gupta w 1965 roku.

- I stąd się bierze promieniowanie, prawda? Z rozpadu atomów?

David zmarszczył brwi.

- Bardzo chętnie pani o tym opowiem, ale na pewno nie tutaj. Proszę mnie odwiedzić do mojego gabinetu. Tam możemy porozmawiać.

Lucille zdjęła okulary.

- Widzę, że się pan niecierpliwi, ale, niestety, musi pan jeszcze trochę ze mną wytrzymać. Widzi pan, profesor Kleinman miał dostęp do tajnych informacji i podejrzewamy, że doszło do nadużycia.

David popatrzył na nią spode łba.

- O czym pani mówi? Od czterdziestu lat nie pracował dla rządu. Zaprzeszał pracy na rzecz wojska, kiedy zakończył badania nad promieniowaniem.

- To nie jest coś, czym by się chwalił. Kiedy przeszedł na emeryturę, wziął udział w projekcie Departamentu Obrony.

- I myśli pani, że dlatego go napadnięto?

- Mogę tylko powiedzieć, że Kleinman był w posiadaniu wysoce poufnych materiałów i musimy je teraz odnaleźć. Jeżeli powiedział panu cokolwiek podczas pańskiej wizyty w szpitalu, musi nam pan to powtórzyć.

Lucille pochyliła się, położywszy łokcie na stole. Nie uśmiechała się już, nie nazywała go koteczkiem. Miała śmiertelnie poważny wyraz twarzy. Teraz David nie miał wątpliwości, że ma przed sobą agentkę FBI. Nie wierzył jednak w to, co powiedziała.

- Przykro mi bardzo, ale coś tu nie gra. To nie pasuje do doktora Kleinmana. Profesor żałował tego, czego dokonał w dziedzinie militarnej. Twierdził, że to było niemoralne.

- Może nie znał go pan tak dobrze, jak się panu wydawało.

David potrząsnął głową.

- To nie ma sensu. Organizował protesty na uniwersytecie, przekonywał każdego fizyka, żeby podpisał petycję przeciwko broni nuklearnej.

- Nie powiedziałaś, że pracował nad bronią. Zgłosił się do Departamentu Obrony po 11 września 2001. Zaoferował pomoc przy działaniach antyterrorystycznych.

David rozważył tę możliwość. Trochę daleko posunięta hipoteza, ale nie tak całkiem bez sensu. Kleinman był ekspertem od rozpadu promieniotwórczego, a w szczególności od rozpadu atomów uranu używanego w głowicach nuklearnych. Ta wiedza z pewnością miałaby zastosowanie w działaniach antyterrorystycznych.

- To nad czym pracował? - spytał David. - Jakiś nowy wykrywacz promieni?

- Tego nie mogę powiedzieć. Ale coś panu pokażę.

Znów podniosła teczkę Kleinmana i poszperała w dokumentach. Po chwili wyjęła przedruk jakiejś starej pracy i wręczyła go Davidowi. Praca miała pewnie z dziesięć stron, które zdążyły już z lekka pożółknąć.

- Proszę rzucić na to okiem. To jeden z kilku dokumentów w jego tezcze, które nie są utajnione.

Artykuł opublikowano w „Physical Review” w 1975 roku. Tytuł brzmiał: *Pomiary strumienia mezonów* p, a autorem był H.W. Kleinman. David nigdy wcześniej nie widział tego artykułu. Temat był mało znany, a poza tym nie zajmował się tym na studiach. Co gorsza, artykuł był naszpikowany niesamowicie skomplikowanymi równaniami.

- Dlatego pana tu sprowadziliśmy. Priorytetem operacji antyterrorystycznych jest dopilnowanie, by terroryści nie znali naszych mechanizmów obrony. Musimy się dowiedzieć, co Kleinman mógł im powiedzieć o naszej pracy.



David przyjrzał się uważnie artykułowi, starając się jak najwięcej zrozumieć. Kleinman najwyraźniej odkrył, że skupiając wiązkę promieniowania na atomach uranu, można wygenerować intensywny strumień cząstek, zwanych mezonami  $\rho$ . Chociaż artykuł nie mówił nic na temat praktycznych zastosowań tego odkrycia, wnioski nasuwały się same: za pomocą tej technologii można by wykryć uran w głowicach nuklearnych, nawet gdyby bomba była w ołowianej osłonie. David przypomniał sobie swoją ostatnią rozmowę z profesorem i zaczął się zastanawiać, czy aby na pewno dobrze zrozumiał jego ostatnie słowa. Kiedy Kleinman ostrzegał przed „zagładą światów”, mógł mieć na myśli broń nuklearną przemycaną do Stanów Zjednoczonych.

- Czy pracował nad aktywnym systemem skanowania?
- zapytał David. - Coś, co mogłoby wykryć głowicę ukrytą w ciężarówce lub na statku?
- Nie mogę potwierdzić ani zaprzeczyć - odparła Lucille.
- Ale chyba już pan rozumie, dlaczego podchodzimy do tego tak poważnie.

David miał już odłożyć artykuł, ale nagle coś rzuciło mu się w oczy. Na ostatniej stronie znajdowała się tabelka porównująca właściwości mezonów  $\rho$  z ich bliskimi krewniakami, mezonami  $\omega$  i  $\phi$ . Ostatnia kolumna tabelki szczególnie zwróciła uwagę Davida - podano tam czas życia cząstek. Przez kilka sekund przyglądał się wypisanym tam liczbom.

- To co Kleinman panu powiedział?
- Lucille utkwiała w nim wzrok, znów przyjmując pozę troskliwej babci. Ale tym razem David ją przejrzał.
- Kłamie pani - powiedział. - Doktor Kleinman nie pracował nad detektorem. W ogóle nie pracował dla rządu.

Lucille wydawała się zmartwiona, tak jakby go nie zrozumiała. Otworzyła usta:

- Co takiego? Czy pan...

David postukał palcem w ostatnią stronę artykułu Kleinmana.

- Długość życia mezonu p wynosi  $10^{23}$  sekundy.

- No i co z tego? Co to znaczy?

- To znaczy, że wasz wydział spieprzył sprawę, wymyślając tę historyjkę. Nawet gdyby mezon p poruszał się z prędkością światła, zdołałby przebyć przed rozpadem mniej niż jedną trylionową centymetra. Nie dałoby się wykryć, czy te cząstki wydobywają się z głowicy nuklearnej, więc niemożliwe byłoby skonstruowanie systemu skanowania w oparciu o ten artykuł.

Lucille siedziała z miną osoby skrzywdzonej i przez chwilę Davidowi wydawało się, że będzie zgrywała niewiniątko. Jednak po paru sekundach zacisnęła usta. Zmarszczki wokół oczu pogłębiły się, ale już nie przypominały zmarszczek mimicznych. Lucille była wkurzona.

- W porządku, zacznijmy jeszcze raz - zaproponował David. - Proszę mi powiedzieć, dlaczego tak was zainteresował Kleinman? Chodzi o jakąś broń, prawda? O jakąś supertajną broń, o której nie chcecie pisać ani słówka, ale wydajecie na nią miliardy dolarów?

Nie odpowiedziała. Zdjęła marynarkę i powiesiła ją na oparciu krzesła. David zauważył, że Lucille ma przymocowaną kaburę, a w niej zgrabny czarny pistolet.

Gdy on przyglądał się broni, Lucille odwróciła się do dwóch agentów, którzy w dalszym ciągu byli zajęci rozpracowywaniem pistoletu na wodę.

- Chłopcy, skończyliście już z tym badziewiem?

Jeden z agentów podszedł i położył pistolet na wodę na stole.

- Czysty - zameldował.
- Co za ulga! Skontaktujcie się z logistyką i powiedzcie, że za dziesięć minut potrzebujemy transportu na lotnisko.

Agent wycofał się na tyły pokoju i zaczął coś mamrotać do mikrofonu ukrytego w rękawie. Tymczasem Lucille obróciła się na krześle i znów sięgnęła do kieszeni marynarki. Tym razem wyjęła paczkę marlboro i zapalniczkę, na której widniała Samotna Gwiazda Teksasu. Wyjmując papierosa, wpatrywała się w Davida.

- Strasznie jesteś upierdliwy, wiesz?
- Odwróciła się do Hawleya, który cały czas stał za krzesłem Davida.

- Prawda, że jest upierdliwy?
- Jak cholera - odparł.

Lucille wetknęła papierosa w kącik ust.

- Spójrz na niego. Palenia pewnie też nie aprobuję. Pewnie uważa, że jak mamy ochotę na dymka, to powinniśmy wyjść.
- Szybkim ruchem otworzyła zapalniczkę i zapaliła papierosa, wydmuchując dym prosto w twarz Davida. - No cóż, Swift, mam dla ciebie wiadomość. Możemy zrobić, co nam się żywnie podoba. - Zamknęła zapalniczkę i schowała ją z powrotem do kieszeni marynarki. - Rozumiesz?

Gdy David zastanawiał się, co odpowiedzieć, Lucille kiwnęła na Hawleya, który chwilę później uderzył Davida w skroń.

- Masz problemy ze słuchem? - krzyknął. - Agent Parker zadała ci pytanie.

David zacisnął zęby. Uderzenie było mocne i bolało jak diabli, ale znacznie gorsza była sama zniewaga. Poczł ściskanie w żołądku, ale tym razem z wściekłości. Spojrzał w górę

na Hawleya. Siedział spokojnie tylko ze względu na półautomatyczne pistolety w kaburach agentów. Lucille uśmiechnęła się.

- Mam dla ciebie jeszcze jedną wiadomość. Pamiętasz pielęgniarkę w sali Kleinmana? Jeden z naszych agentów rozmawiał z nią. - Zaciągnęła się papierosem i wydmuchnęła kolejny kłęb dymu. - Powiedziała, że profesor szeptał ci na ucho jakieś liczby.

Cholera jasna, pomyślał David. Pielęgniarka.

- Mówiła, że to był długi ciąg liczb. Ona ich oczywiście nie pamięta. Ale założę się, że ty pamiętasz.

Pamiętał. Oczywiście umysłu widział tę sekwencję cyfr, jak gdyby unosiły się w powietrzu tuż przed nim. Tak działała jego pamięć. Cyfry przelatywały mu przed oczami w tej samej kolejności, w jakiej wykrztusił je Kleinman.

- Powtórzysz nam teraz te liczby - mówiła Lucille. Podwinęła lewy rękaw bluzki, ukazując staroświecki zegarek na srebrnej bransoletce. - Daję ci trzydzieści sekund.

Lucille oparła się na krzesło, a Hawley w tym czasie wyjął z kieszeni czarny kaptur. David spojrział na ten przedmiot i poczuł ściskanie w gardle. Rany boskie, myślał, jak do tego doszło? Agentom najwyraźniej wydawało się, że mają pełne prawo włożyć mu kaptur na głowę i stłuc na kwaśne jabłko. W tej chwili najrozsądniej byłoby puścić w niepamięć ostrzeżenia Kleinmana i wyjawić im liczby. Z tego, co David wiedział, sekwencja i tak mogła nie mieć dla nich żadnego znaczenia. A nawet jeśli cyfry nie były przypadkowe, nawet jeśli były kluczem do jakiejś koszmarnej tajemnicy, dlaczego niby on miałby być odpowiedzialny za utrzymanie sekretu? Nie prosił o to. W końcu tylko napisał jakiś tam artykuł o ogólnej teorii względności.

Chwycił się krawędzi stołu, żeby się uspokoić. Zostało mu jeszcze pięć, może dziesięć sekund. Lucille patrzyła na zegarek, a Hawley rozprostowywał czarny kaptur. Przyglądając się im, David doszedł do wniosku, że nawet gdyby wymienił im te liczby, nie wypuściliby go. Dopóki cyfry pozostawały tylko i wyłącznie w jego pamięci, miał jakieś zabezpieczenie. Jego jedyną szansą byłoby zawrzeć z nimi jakiś układ, najlepiej z kimś stojącym jeszcze wyżej niż agenci Parker i Hawley.

- Muszę mieć jakieś zabezpieczenie, zanim wam cokolwiek powiem - zaczął. - Chcę rozmawiać z waszym przełożonym.

Lucille zmarszczyła brwi.

- Co ty sobie myślisz, że jesteś w supermarkecie? Nie podobają ci się obsługa i chcesz się poskarżyć kierownikowi zmiany?

- Muszę wiedzieć, po co wam potrzebne te liczby. Jeżeli nie umiecie mi tego powiedzieć, zaprowadźcie mnie do kogoś, kto będzie wiedział.

Lucille westchnęła głęboko. Wyjęła papierosa z ust i zatopiła go w kubeczku z wodą. Potem odsunęła krzesło i wstała, krzywiąc się trochę podczas rozprostowywania nóg.

- W porządku, panie Swift. Spełnimy pana życzenie. Za bierzemy pana tam, gdzie będzie mnóstwo osób chętnych do pogawędki.

- Gdzie? Do Waszyngtonu?

Zachichotała.

- Nie, trochę dalej na południe. Malowniczy zakątek zwany zatoką Guantanamo.

Adrenalina uderzyła mu do głowy.

- Chwila, moment! lestem obywatelem! Nie możecie...

- Na mocy Aktu Patriotycznego uznaję pana za walczącego w armii wroga. - Odwróciła się do Hawleya. - Załóż mu z powrotem kajdanki. Resztę założymy w samochodzie.

Hawley chwycił go za ramię i krzyknął:

- Wstawaj!

Ale David nie ruszył się z miejsca. Serce waliło mu jak szalone, a nogi drżały.

Hawley krzyknął jeszcze głośniej:

- Powiedziałem WSTAWAJ! - i już miał go szarpnąć, kiedy podszedł drugi agent i postukał go w ramię. To ten, który miał się skontaktować z logistyką. Był nieco błądy.

- Eee, sir - szepnął. - Chyba mamy problem.

Lucille usłyszała, co mówił. Wcisnęła się między Hawleya i jego partnera.

- Co jest? Jaki problem?

Poblady agent był tak wytrącony z równowagi, że dopiero po chwili odzyskał głos.

- Nie mogę się połączyć z logistyką. Próbowalem każdej częstotliwości, ale nie odpowiadają. Na wszystkich kanałach są tylko zakłócenia.

Lucille popatrzyła na niego z powątpiewaniem.

- Coś jest nie tak z twoim radiem.

Sięgnęła po mikrofon przyczepiony do kołnierza bluzki i przycisnęła klawisz rozmowy.

- Czarny Jeden do logistyki. Logistyka, odbiór?

Ale zanim nadeszła odpowiedź, ścianami wstrząsnęło mocne uderzenie.

Zbliżając się do garażu, gdzie zaparkowano czarnego chevroleta suburban, Simon doszedł do wniosku, że gdyby kiedykolwiek chciał zmienić zawód, z pewnością znalazłby pracę jako konsultant do spraw ochrony i bezpieczeństwa. W końcu kto umiałby lepiej doradzić w kwestiach ochrony rządu lub

budynku firmy niż ten, kto ma doświadczenie we włamywaniu się do takich obiektów?

Mógłby na przykład dać parę wskazówek FBI. W budce strażnika przy wejściu do garażu był tylko jeden agent, przysadzisty młody byczek w pomarańczowej wiatrówce i czapce z nadrukiem New York Yankees - nieudolna próba udawania zwykłego parkingowego. Jeden agent w budce strażnika zamiast dwóch to zdecydowanie błąd, pomyślał Simon. Nie należy oszczędzać na ochronie obrzeży, a już na pewno nie na nocnej zmianie.

Simon przebrał się w elegancki garnitur, a w ręce trzymał skórzaną aktówkę. Kiedy zapukał w kuloodporne szkło budki wartownika, agent spojrzął na niego, po czym uchylił drzwi.

- Co jest? - zapytał.

- Przepraszam za kłopot - zaczął Simon. - Ale chciałem zapytać, ile kosztuje miesięczny abonament na parkowanie w tym miejscu?

- Ale tu nie...

Simon pchnął drzwi i uderzył agenta w żołądek, przewracając go na plecy. W budce była tylko jedna kamera, umieszczona tak wysoko, że nie obejmowała podłogi. Kolejny błąd. Leżąc na agencie, Simon zatopił nóż bojowy w jego sercu i przytrzymał go, dopóki tamten nie przestał się ruszać. To właściwie nie jego wina, pomyślał. Po prostu wpadka instytucji.

Kiedy Simon wstał, miał na sobie wiatrówkę i czapkę z Jankesami. Wyjął z aktówki uzi i amunicję. Schował pistolet maszynowy pod wiatrówką, wyszedł z budki i poszedł podjazdem wprost do garażu.

Tutaj było już więcej kamer, więc pochylił głowę. Skręcił i tuż za rogiem zobaczył sześć takich samych chevroletów zaparkowanych niedaleko nieoznakowanych stalowych drzwi. Kiedy zostało mu do przejścia jakieś dziesięć metrów, drzwi otworzyły się i wyrzwał jakiś poirytowany facet w szarym garniturze:

- Anderson! - ryknął. - Co ty do cholery...

Simon podniósł głowę i w tej samej chwili wystrzelił z uzi. Mężczyzna padł twarzą do ziemi, uniemożliwiając zamknięcie drzwi. Simon popędził w ich kierunku i dotarł w sam czas, by pozbyć się kolejnego agenta, który pospieszył na pomoc partnerowi.

To okropne, pomyślał Simon. Cholernie ułatwiają mi sprawę.

Tuż za drzwiami mieściło się centrum dowodzenia i kierowania, gdzie pełnili służbę nieszczęśni agenci. Simon najpierw rozłączył centralę radiową, a potem przejrzał obrazy z kamer monitorujących pomieszczenia. Zlokalizował swój cel na ekranie oznaczonym jako SUB-3A, który pokazywał jeden z pokoiów przesłuchań w piwnicy. Simon wiedział, jaki jest rozkład pomieszczeń w budynku. Będąc w zawodzie już dobrych parę lat, miał swoje źródła w amerykańskim wywiadzie. Dzięki temu znał zasady działania takich instytucji.

Pozostała jeszcze jedna przeszkoda - drugie stalowe drzwi w przeciwległym końcu pokoju. Przy drzwiach zobaczył klawiaturę kontrolki zamka. Przez moment Simon żałował, że tak szybko zlikwidował agentów - mógł chociaż jednego zostawić przy życiu, dopóki nie wyjawiłby mu kodu. Na szczęście dla niego FBI popełniło kolejny błąd, instalując na drzwiach pojedynczy rygiel zamiast jakiegoś solidniejszego mechanizmu.



Simon wyjął z torby z amunicją pół kilo C-4. Obklejenie zamka, włożenie detonatorów i poprowadzenie lontu przez pokój zajęło mu osiemdziesiąt trzy sekundy. Przykucnąwszy za filarem, Simon zakrzyknął:

- *Na zdrowie!* - tradycyjny rosyjski toast.

Potem zdetonował ładunek.

Usłyszawszy wybuch, Lucille, Hawley i dwóch pozostałych agentów wyjęło glocki. W zasięgu wzroku nie było żadnego przeciwnika, ale zrobili to odruchowo i wymierzyli broń w zamknięte drzwi pokoju przesłuchań. Po raz pierwszy David pożałował, że też nie ma pistoletu.

- Kurwa mać! - krzyknął Hawley. - Co to do cholery było?

Lucille wydawała się odrobinę spokojniejsza. Dała agentom znak dłonią - podniosła trzy środkowe palce. Trzech mężczyzn powoli podeszło do drzwi. Hawley chwycił klamkę i szybkim ruchem otworzył drzwi, a jego dwóch partnerów wybiegło na korytarz. Po chwili niespokojnej ciszy krzyknęli:

- Czysto!

Lucille odetchnęła z ulgą.

- W porządku. Hawley zostaje tutaj i pilnuje zatrzymanego. Reszta idzie ze mną zidentyfikować zagrożenie i przywrócić łączność.

Zebrała leżące na stole teczki i włożyła je pod pachę. Potem zwróciła się do Davida:

- Pan zostanie na tym krześle, panie Swift, i nie odezwie się ani słowem. Agent Hawley będzie stał tuż za drzwiami. Jeżeli usłyszysz jakikolwiek dźwięk, wejdzie i odstrzeli ci tę nie szczęsną dupę. Zrozumiano?

Nie czekała na odpowiedź, ale może to i dobrze - David był zbyt przestraszony, by cokolwiek powiedzieć. Lucille

wypadła na korytarz, mijając Hawleya, który nadal stał z ręką na klamce.

- Szeffowo? - spytał. - A w razie czego, to co? Co, jeżeli nie będę mógł go upilnować?

- W razie czego zezwalam na podjęcie wszelkich stosownych kroków.

Hawley wyszedł na korytarz, zamykając za sobą drzwi. David usłyszał zgrzyt zamka. A potem w pokoju zrobiło się tak cicho, że słyszał szum fluorescencyjnych żarówek na suficie.

Stosowne kroki. Nagle dotarło do niego znaczenie tego wyrażenia. Był w posiadaniu informacji, które z jakichś powodów były cenne dla FBI. Gotowi byli gorliwie pilnować, by nie wpadły w niepowołane ręce. Prawdopodobnie zniszczyliby te informacje, gdyby zaistniało ryzyko, że ktoś inny wejdzie w ich posiadanie. Nawet gdyby to oznaczało zniszczenie jego samego. Wyobraził sobie Hawleya, który wchodzi do pokoju z wycelowanym w niego pistoletem.

Skoczył na równe nogi. Nie może tu zostać - musi się jakoś wydostać! Rozejrzał się po pokoju, szukając drogi ucieczki - być może jakaś płyta w suficie, którą dałoby się podważyć, albo przewód wentylacyjny, którym mógłby się przeczołgać. Ale sufit i ściany były z jednolitego białego betonu. Żadnych otworów. W pokoju nie było nic poza krzesłami i szarym stołem, na którym stał dzbanek z wodą, kubeczki i starannie sprawdzony pistolet na wodę.

I wtedy jego wzrok padł na coś innego. Lucille w pośpiechu zostawiła na oparciu krzesła czerwoną marynarkę. W kieszeni znajdowała się zapalniczka i piersiówka z alkoholem. David przypomniał sobie, co jego była żona mówiła o niebezpieczeństwach związanych z pistoletami na wodę.

Simon musiał przyznać jedno na korzyść systemu bezpieczeństwa FBI: przynajmniej nie umieścili bezpieczników w łatwych do przewidzenia miejscach, takich jak na przykład centrum dowodzenia i kierowania. W poszukiwaniu panelu sterowania musiał prześledzić widoczne zwoje kabli. Ale natychmiast zmienił zdanie na temat agencji, okazało się bowiem, że pomieszczenie z panelem jest otwarte. Potrząsnął głową, kiedy po wejściu do małego pokoiku od razu zlokalizował miejsce, gdzie zbiegały się przewody. Niewiarygodne, pomyślał. Gdybym płacił podatki, pewnie bym się wściekł.

Wyłącznik kliknął i cały budynek natychmiast pograżył się w ciemnościach. Simon sięgnął do kieszeni i wyjął swoją nową zabawkę: parę gogli na podczerwień. Włączył urządzenie i dopasował pasek na głowę, nasuwając okulary na oczy. Znacznie lepsza technologia niż noktowizory armii amerykańskiej, które tylko wzmacniają słabo widzialne światło. Gogle ukazują promieniowanie cieplne, nie światło, więc nadają się do użytku w absolutnej ciemności. Na wyświetlaczu widać było tylko blask dopiero co wyłączonych monitorów i komputerów. Stalowe drzwi były czarne jak smoła. Bez trudu znalazł drogę do schodów, podążając za stygnącymi fluorescencyjnymi żarówkami, które przed chwilą zgasły. Simon uśmiechnął się w ciemnościach - uwielbiał najnowsze technologie. Teraz był gotów na polowanie - na gonitwę za dobrze zbudowanym więźniem, który przypominał mu wystraszonego ptaka.

Zanim usłyszał kroki zdążył zejść dwa piętra w dół. Bardzo cicho wycofał się na półpiętro i wycelował uzi w wejście na klatkę schodową. Po kilku sekundach zobaczył trzy oddzielne słupy światła maszerujące korytarzem. To nie do końca można było uznać za błąd agentów - w tych okolicznościach nie mieli wyboru, musieli użyć latarek. Ale efekt był ten sam. Na

wyświetlaczu Simon ujrzał ciepłą dłoń trzymającą jaskrawą rurkę i makabryczną twarz, która wyglądała jak pomalowana farbą odbłaskową. Zanim agent zdążył skierować na niego światło latarki, Simon wystrzelił dwa pociski prosto w jego świecącą głowę.

Szorstki głos krzyknął:

- Zgasić światła! - po czym dwa pozostałe promienie zniknęły.

Simon bezszelestnie zszedł po schodach, przekroczył ciało zastrzelonego agenta i wyrzwał za róg. Dwie postaci skradały się korytarzem - jedna jakieś dziesięć metrów od niego, druga jeszcze dalej. Pierwszy z agentów przyjął pozycję do strzału, trzymał pistolet obiema rękami i wymachiwał nim w jedną i w drugą stronę, szukając w ciemności celu. Obraz w podczerwieni był tak wyraźny, że Simon widział szare nitki zimnego potu spływające po białej twarzy agenta. Położył nieszczęsnego osobnika jednym strzałem w czoło, ale zanim zdążył wyeliminować ostatniego z nich, kula świsnęła mu tuż koło prawego ucha.

Przy następnym strzale Simon wycofał się za róg. Trzeci agent strzelał w ciemno w jego kierunku. Nawet nieźle, pomyślał. Przynajmniej jeden ma jaja. Poczekał kilka sekund, po czym znów wyrzwał na korytarz, aby ustalić położenie przeciwnika. Agent obrócił się bokiem, by stać się mniejszym celem. Na wyświetlaczu oczom Simona ukazała się przysadzista postać z masywnymi nogami i okazałym biustem. Simon zawahał się, zanim uniósł broń - toż to babuszka! Mogłaby być jego babcią. Ten moment wahania wystarczył - agentka oddała jeszcze trzy strzały w jego kierunku.

Rozpłaszczył się o ścianę. Rany boskie, o mały włos! Uniósł pistolet i szykował się do strzału, ale babuszka wzięła nogi za pas i zniknęła za rogiem.

Teraz dopiero się wkurzył. Upokorzyła go staruszka! Zaczął za nią podążać, cicho sunąc wzdłuż korytarza. Zanim uszedł kawałek, usłyszał zduszony krzyk dobiegający z tyłu. Zatrzymał się i odwrócił o sto osiemdziesiąt stopni. Usłyszał kolejny krzyk gdzieś z oddali. Odległy, lecz donośny męski głos. Tak donośny, że słysząc go było przez ściany w całym budynku.

- Słyszałeś, Hawley! Otwieraj te cholerne drzwi!

Simon niechętnie zaprzestał pościgu za babuszką. Zajmie się nią później. Teraz ma coś ważniejszego do zrobienia.

Światła zgasty w momencie, gdy David włożył rękę do kieszeni marynarki Lucille. Zamarł niczym kieszonkowiec schwytany na gorącym uczynku. Stojący za zamkniętymi drzwiami agent Hawley był równie zaskoczony nagłą ciemnością. David usłyszał, jak woła:

- Ożeż... - po czym zamilkł i zapadła cisza.

David westchnął głęboko. W porządku, pomyślał. To nadal nic nie zmienia. Jasno czy ciemno, w dalszym ciągu muszę się jakoś stąd wydostać. Wyjął piersiówkę z kieszeni marynarki Lucille i ostrożnie położył ją na stole, uważając, by nie wydać przy tym żadnego dźwięku. Sięgnął głębiej i wyciągnął zapalniczkę. Przez chwilę zastanawiał się, czyby jej nie zapalić, ale wiedział, że Hawley zauważy blask w szparze pod drzwiami. Nie, należało to zrobić po ciemku. Położył zapalniczkę na stole i dokładnie zapamiętując miejsce.

Na szczęście obsługa pistoletu nie sprawiała mu już kłopotu. Napelniał i opróżniał zbiorniczek co najmniej dwanaście razy w trakcie zabawy z Jonahem zaledwie kilka godzin temu. Teraz bez trudu znalazł otwór i zdjął pokrywkę. Wspomnienie popołudnia spędzonego z synem zatrzymało go na chwilę, a ucisk w żołądku powrócił, gdy zastanowił się, czy go jeszcze

kiedyś zobaczy. Nie, powiedział sobie, nie myśl o tym. Do dzieła.

Chwycił srebrną piersiówkę i odkręcił. W środku mogło być dwieście, może dwieście trzydzieści gramów płynu, Lucille twierdziła, że był to prawie czysty alkohol - opary aż piekły w oczy, kiedy David napełniał pistolet. Ale czy to wystarczy? Potrzeba co najmniej pół litra, żeby w drugim zbiorniczku wytworzyło się ciśnienie umożliwiające wystrzał. Cholera!

Mimo że w pokoju było ciemno choć oko wykol, David zamknął oczy, by się skupić. Woda. Gdzieś na stole stały dwa kubeczki z wodą. Alkohol rozcieńczony pół na pół wodą nadal jest palny. Ostrożnie wybadawszy teren, trafił po omacku na jeden z kubeczków, wyłowił resztki papierosa i wlał do zbiorniczka niecałe sto gramów wody. Tyle mógł zaryzykować. Miał nadzieję, że to wystarczy.

Zamknął zbiorniczek i po cichu przycisnął rączkę. W ciemności wyobrażał sobie, jak mieszanka wody i alkoholu przelewa się do drugiego zbiorniczka i zwiększa ciśnienie powietrza. Kiedy napompował tyle, ile się dało, przekręcił końcówkę pistoletu, ustawiając ją na „Potężny wybuch”. Alkohol łatwiej się zapali, jeśli rozpyli się go w małych kropelkach. Potem sięgnął po zapalniczkę, ale kiedy już miał ją schwycić, usłyszał dwa ostre dźwięki dobiegające gdzieś z korytarza. Wystrzały. Przerażony zrzucił zapalniczkę ze stołu. Poleciała nie wiadomo gdzie.

Wydawało mu się, że pokój zaczyna się przechylać. David czuł się tak, jakby tonął w odmętach czarnego oceanu. Bezsilnie patrzył w ciemną otchłań, gdzie upadła zapalniczka. Osunął się na czworaki i zaczął jej szukać. Metodycznie obmacywał całą powierzchnię od stołu do ścian, zataczając rękami szerokie łuki na zimnej podłodze. Nic z tego.

Z korytarza dały się słyszeć kolejne strzały. Tym razem padły bliżej. David gorączkowo przeszukiwał każdy centymetr podłogi, wciskając palce w każdy kąt. Jezu Chryste! Gdzie to do cholery może być? Nagle uderzył głową w jedno z krzeseł i w tym momencie, sięgając dłonią pod stół, trafił na zapalniczkę.

Drżącą ręką otworzył ją i pstryknął. Płomień pojawił się niczym anioł, mały cud zesłany z niebios. David skoczył na równe nogi, złapał pistolet na wodę i wymierzył w drzwi. Usłyszał trzeci wystrzał, kiedy ustawiał płomień przed wylotem plastikowej lufy pistoletu, ale tym razem się zawahał.

- Hawley! - krzyknął. - Otwieraj drzwi! Musisz mnie wypuścić!

Cichy głos z drugiej strony drzwi wysyczał:

- Zamknij się, dupku.

Hawley najwyraźniej nie chciał zwracać uwagi tego kogoś, kto strzelał. Ale David miał przeczucie, że tak czy owak ta osoba się tu pojawi.

- Słyszałeś, Hawley! - ryknął. - Otwieraj te cholerne drzwi!

Upłynęło kilka sekund. Przygotowuje się, pomyślał David. Nie dało się mu już dłużej upilnować i teraz musi podjąć stosowne kroki. Nie ma wyjścia, musi mnie zabić.

W tym momencie drzwi się otworzyły, a David pociągnął za spust.

Simon dotarł do skrzyżowania korytarzy i na wyświetlaczu zobaczył kolejnego agenta. Stał przed drzwiami - jedną dłoń położył na klamce, a drugą trzymał pistolet. Zaciekawiony Simon podkraść się bliżej, cały czas mając faceta na celowniku. Agent kilka sekund stał bez ruchu, powtarzając niczym mantrę:

- Co za skurwysyn! - widocznie chciał się w ten sposób uspokoić.

Po chwili otworzył drzwi na oścież i sięgnął do kieszeni po latarkę. Nagle przez drzwi wypadł snop białego światła.

Oślepiło go. Gorący płomień rozprzestrzenił się, aż wypełnił każdy punkt wyświetlacza, zamieniając go w biały prostokąt. Simon zrzucił bezużyteczne już gogle i upadł na ziemię, zasłaniając głowę rękami. To musiało być coś łatwopalnego, ale nie pachniało jak benzyna ani biały fosfor. Ciekawe, śmierdziało raczej jak samogon. Po kilku sekundach kula ognia rozproszyła się, pozostawiając tylko kilka niebieskawych płomyków w kałuży na podłodze. Agent FBI osunął się do tyłu, po czym zaczął się turlać po ziemi, próbując ugasić smużkę niebieskiego ognia na marynarce.

Simon usłyszał serię pisków, coś jakby pocieranie gumą. Dźwięk minął go, kiedy zorientował się, co to takiego: tenisówki więźnia. Odruchowo podniósł broń i wymierzył w kierunku, z którego dobiegał odgłos kroków, ale nie odważył się strzelić. Potrzebował go żywego. Dźwignął się na nogi i puścił pędem wzdłuż ciemnego korytarza. Był zaledwie parę kroków od więźnia, kiedy usłyszał, jak coś upada na ziemię. Coś plastikowego, pustego w środku. Chwilę później wszedł na ten przedmiot i stracił równowagę. To ten pieprzony pistolet na wodę, pomyślał, upadając na plecy, po czym uderzył czaszką we framugę.

Leżał tak ogłuszony przez dziesięć, może piętnaście sekund. Kiedy otworzył oczy, zobaczył, jak mija go agent w tłęcej się marynarce. Pędził za zbiegłym więźniem. Prawdziwy amerykański idiota, pomyślał Simon. Pełen poświęcenia, a jednocześnie bez pojęcia. Odetchnął głęboko dla odświeżenia umysłu, wstał i na powrót założył okulary termiczne.



Wyświetlacz się zresetował i znów działał tak jak powinien. Simon podniósł uzi i pobiegł korytarzem.

David pogрузzył się w ciemnościach, myśląc tylko o ucieczce. Upuściwszy pistolet, usłyszał ciężki odgłos padania, ale nie odwrócił się, biegł dalej. Nie zwalniając kroku, zapalił zapalniczkę, tak by płomień oświetlił chociaż kawałek drogi. Najpierw zobaczył tylko puste ściany korytarza, ale po chwili dostrzegł błyszczący czerwony znak wskazujący schody. Popędził w tym kierunku i uderzył barkiem w drzwi. Z przerażeniem stwierdził, że ani drgnęły. Pokręcił klamką, ale bez rezultatu. Nie do wiary! Jak mogli zamknąć drzwi wyjściowe? Gdy tak stał, na próżno szarpiąc klamkę, usłyszał z oddali krzyk:

- Ty skurwysynu! - a potem echo kroków agenta Hawleya.

Znów zaczął biec. Skręcił w lewo i pobiegł innym korytarzem, desperacko szukając jakichś schodów lub innego wyjścia. Rozglądał się na obie strony, biegnąc tak szybko, jak umiał, gdy nagle potknął się o coś, co wydawało się workiem ubrań. David znów zapalił zapalniczkę i ujrzał, że stoi na czyichś zwłokach. To jeden z partnerów Hawleya, w szarym garniturze, z dwoma zakrwawionymi otworami w czole. Dławiąc się ze strachu, David skoczył na nogi. Wtedy zauważył, że ciało leży u stóp schodów.

Chwilę później Hawley skręcił za róg i pojawił się na końcu korytarza. Przybrał pozycję do strzału, gdy tylko zobaczył zapalniczkę, więc David zgasił płomień i popędził schodami do góry. Wspinał się po omacku, gorączkowo chwytając się poręczy i objijając golenie o stopnie. Hawley był tylko kilka sekund za nim. Kiedy wyszedł trzy piętra wyżej, zobaczył słabe żółte światło dobiegające zza uszkodzonych drzwi. Przebiegł przez pokój pełen rozwalonych monitorów, natknął się na

dwa kolejne trupy, ale nie przystanął. Teraz znajdował się w garażu i czuł zapach zanieczyszczonego nowojorskiego powietrza. Wybiegł podjazdem w kierunku upragnionego ulicznego światła.

Ale do końca podjazdu zostało jeszcze co najmniej trzysta metrów. Nie było się gdzie ukryć, więc kiedy odwrócił się przez ramię i na początku wjazdu ujrzał Hawleya, wiedział, że już po nim. Na poparzonej, szerniałej twarzy agenta rysował się szeroki uśmiech. Hawley powoli unióśł glocka, dokładnie mierząc w cel. A potem rozległ się strzał i Hawley osunął się na ziemię.

David wpatrywał się w ciało agenta, leżące w pozycji płodowej. Przez chwilę wydawało mu się, że ktoś sobie z niego żartuje. Był tak zdezorientowany, że nie czuł ulgi, i zbyt przerażony, by się zatrzymać. Nogi niosły go do końca podjazdu i po kilku sekundach stał na opustoszałej ulicy, nad którą piętrzyły się budynki biurowe. Przeczytał tabliczkę na rogu: skrzyżowanie ulic Liberty i Nassau. Znajdował się na Dolnym Manhattanie, trzy kamienice na północ od nowojorskiej Giełdy Papierów Wartościowych. Ale słysząc policyjne syreny, postanowił biec dalej na zachód, w stronę Broadwayu i rzeki Hudson.

Kiedy Simon rozprawił się z osmalonym agentem FBI i dotarł do końca podjazdu, Liberty Street mknęło sześć wozów policyjnych. Babuszka, pomyślał. Musiała się skontaktować z nowojorską policją i poprosić o wsparcie. Gdy samochody stanęły z piskiem opon, a tłum policjantów pędem ruszył w kierunku garażu, przykucnął za zamkniętym kioskiem. Więzień był zaledwie jeden blok dalej, na rogu Broadwayu i Liberty, ale Simon nie mógł ryzykować spotkania z całym oddziałem policjantów, mając pod wiatrówką uzi. Wymknął

się na Nassau Street i pobiegł na północ, do Maiden Lane, licząc, że uda się przeciąć drogę zbiegowi. Jednak kiedy dotarł na Broadway, nigdzie nie było śladu uciekiniera. Simon biegł aleją, rozglądając się na boki, ale facet zapadł się pod ziemię.

- *Jobanyj w rot* - zaklął, ze złością uderzając się w udo.

Ale złość trwała tylko chwilę. Liczy się elastyczność, przypomniał sobie. Po prostu kolejny raz trzeba będzie zmodyfikować strategię.

Stojąc na rogu ulicy, dysząc jak pies, Simon rozmyślał o więźniu. Mógł pójść w parę miejsc, a wszystkie łatwo dało się przewidzieć. Pierwszym krokiem będzie zidentyfikowanie faceta i ustalenie jego powiązań z profesorem Kleinmanem. Jeszcze pozostawała kwestia dotarcia do jego znajomych. Prędzej czy później gość w tenisówkach doprowadzi go do *Einheitliche Feldtheorie*.

Simon złapał oddech, idąc na miejsce, gdzie zaparkował mercedesa. Patrząc w górę na drapacze chmur na Manhattanie, ciemne wieże zwisające nad ulicą, czuł ponurą satysfakcję. Już niedługo tego wszystkiego tu nie będzie.

## Rozdział czwarty

- Do ciężkiej cholery, Lucy! Co się u diabła stało?

Lucille siedziała w sali konferencyjnej biura FBI przy Federal Plaza, rozmawiając z szefem przez bezpieczną linię telefoniczną. Zarządziła ewakuację budynku przy Liberty Street i ustanowiła tymczasowy posterunek w rejonowym biurze w Nowym Jorku. Wszyscy agenci, którzy akurat nie byli na dyżurze, zostali wyrwani z łóżek i wezwani do wypełnienia nowych rozkazów. Teraz, piętnaście minut po północy, Lucille zabrała się do najtrudniejszego zadania, czyli przekazania wieści szefowi.

- Zaskoczyli nas - przyznała. - Najpierw wyeliminowali logistyków i przerwali łączność. Potem odcięli zasilanie i roz poczęli pościg za zatrzymanym. Straciliśmy sześciu agentów.

Sama była zdziwiona spokojem, z jakim to zakomunikowała. Sześciu agentów. Co za pieprzony koszmar!

- Biorę za to pełną odpowiedzialność, proszę pana.

- Kurwa, kto to mógł zrobić? Macie jakieś nagranie?

- Nie, proszę pana. Niestety, wszystkie systemy monitorujące zostały zniszczone. Ale mamy pewne wskazówki. Mieli pistolety uzi i używali C-4. Prawdopodobnie mieli również gogle na podczerwień.

- Myślisz, że to al Kaida?

- Nie, sprzęt był zbyt zaawansowany. Być może Rosjanie. Być może ktoś z Chin lub Korei Północnej. Cholera, to mogli nawet być Izraelczycy. To była bardzo sprawnie zorganizowana akcja.

- A co z zatrzymanym? Myślisz, że jest z nimi w zмовie?

Lucille zawahała się, zanim udzieliła odpowiedzi. Szczerze mówiąc, sama nie wiedziała, co myśleć o Davidzie Swifcie.

- Na pierwszy rzut oka nie. Facet jest profesorem historii. Nie był notowany, nie odbywał służby wojskowej, żadnych niezwykłych podróży ani zagranicznych telefonów. Ale przyznał, że Kleinman przekazał mu klucz numeryczny, pewnie kod do jakiegoś zaszyfrowanego pliku w komputerze. Być może próbowali sprzedać informację, ale transakcja się nie udała.

- Jakie są szanse odnalezienia tego faceta? Sekretarz obrony dostaje z jego powodu białej gorączki. Co pół godziny dzwoni do mnie i pyta, czy mam jakieś nowe wiadomości.

Lucille poczuła niesmak. Cholerny sekretarz! To on zmusił FBI do wykonywania całej brudnej roboty związanej z tą sprawą, na domiar złego nie chciał wyjaśnić, o co dokładnie chodzi.

- Proszę mu powiedzieć, że wszystko jest pod kontrolą - odparła. - Nowojorska policja sprawdza punkty kontrolne na mostach i w tunelach. Mają psy, które w razie czego wytropią ślady C-4. Na wszystkich stacjach kolejowych i przystankach autobusowych mamy rozstawionych agentów.

- Macie zdjęcie tego faceta? Dla celów identyfikacyjnych?

- Mamy jego zdjęcie z prawa jazdy przekazane przez miejski wydział komunikacji oraz zdjęcie z okładki książki, którą napisał, *Na ramionach gigantów*. Właśnie drukujemy ulotki

i mniej więcej za godzinę rozdamy je agentom. Proszę się nie martwić, nigdzie nie ucieknie.

David biegł w stronę przedmieść, wzdłuż rzeki Hudson. Teraz, gdy wyrwał się z rąk agentów FBI, opanowała go jedna przemożna myśl: uciec jak najdalej od kompleksu przy Liberty Street. Ale był zbyt zdenerwowany, by zatrzymać taksówkę lub wsiąść do metra - bał się, że zostanie zatrzymany przez patrol drogowy lub policjanta w wagonie. Zbliżył się do ścieżki rowerowej, biegnącej wzdłuż rzeki i wmieszał w tłum fanatyków ćwiczeń nocnych, biegaczy, rowerzystów i wrotkarzy obwieszonych odblaskowymi paskami.

Dotarł do Trzydziestej Czwartej ulicy. Pokonawszy do tej pory dystans pięciu kilometrów, w końcu się zatrzymał. Ciężko oddychając, oparł się o latarnię i na moment zamknął oczy.

- Jezu Chryste - wyszeptał. - Boże wszechmogący, to się nie dzieje naprawdę.

Spędził zaledwie pięć minut przy szpitalnym łóżku umierającego profesora, wysłuchał jego ostatnich słów, a teraz musiał uciekać, żeby ratować życie. Co takiego cholernie ważnego powiedział Kleinman? *Einheitliche Feldtheorie*. Niszczyciel światów. David potrząsnął głową. Do jasnej cholery, co jest grane?

Jedno było pewne: nie tylko agenci FBI chcą poznać sekret Kleinmana. Ktoś inny torturował profesora, ktoś inny napadł na kompleks przy Liberty Street. David nie miał pojęcia, kto to mógł być.

Przeżony tą myślą otworzył oczy i przyjrzał się ścieżce rowerowej. Nie może tu zostać, musi wymyślić jakiś plan. Wiedział, że nierozsądnie byłoby iść do domu albo do mieszkania Karen - FBI na pewno obserwuje oba miejsca.

Z tego samego powodu nie mógł iść do nikogo z przyjaciół czy znajomych z pracy. Musi się wydostać z Nowego Jorku. Zdobyć trochę gotówki i ruszać w drogę - być może uda mu się wymyślić, jak przekroczyć kanadyjską granicę. Nie może wynająć auta - federalni zaraz odkryliby transakcję płaconą jego kartą, a potem rozesłaliby numery rejestracyjne każdemu strażnikowi na północnym wschodzie. Ale być może, przy odrobinie szczęścia, uda mu się niepostrzeżenie wsiąść do pociągu albo autobusu.

Znalazł bankomat i wybrał z kont maksymalną ilość gotówki. FBI z pewnością odkryje również i te transakcje, ale nie dało się tego uniknąć. Wziąwszy pieniądze, skierował się prosto na Penn Station.

Kiedy jednak wszedł na stację od strony Ósmej Alei, wiedział, że się spóźnił. Przed kasą biletową kłębił się tłum policjantów i członków Gwardii Narodowej. Przy wejściu na perony policjanci prosili każdego pasażera o okazanie dokumentów, a psy wytresowane do szukania bomb obwąchiwały każdą torebkę, walizkę i nogawkę od spodni. Klnąc na czym świat stoi, skierował się na drugą stronę stacji. Powinien był wsiąść do pociągu godzinę temu na stacji PATH w centrum miasta.

Podchodząc do drzwi, które prowadziły na Siódmą Aleję, David zauważył jeszcze jedną grupę policjantów. Weszli do hali dworca i ustawili się w zwartym szeregu, blokując wejście na ruchome schody i klatki schodowe.

- O cholera! - wyszeptał David.

Jeden z policjantów wyjął megafon.

- Proszę państwa - zahuczał - proszę ustawić się w rzędzie naprzeciwko schodów i przygotować prawo jazdy. Musimy sprawdzić państwa tożsamość, zanim będziecie mogli opuścić stację.

Starając się nie wzbudzać podejrzeń, David obrócił się i wycofał tam, skąd przyszedł, ale przy wyjściu na Ósmą Aleję też stała policja. Spanikował - mieli go teraz jak na dłoni. Zaczął się rozglądać za kryjówką - przydałby się jakiś kiosk albo budka z hamburgerami, gdzie mógłby na chwilę przycupnąć i zebrać myśli, ale większość sklepów w hali dworca była już zamknięta. Otwarta była tylko cukiernia Dunkin' Donuts, gdzie kłębił się rój policjantów, oraz mała obskurna knajpa o nazwie Station Break. David po raz ostatni widział jej wnętrze kilka lat temu i na samą myśl, że miałby tam wejść, zrobiło mu się niedobrze. Ale to nie był czas na wybrzydzenie.

Kiedy wszedł do baru, ujrzał gromadkę napakowanych brodatych młodzieńców skaczących dookoła stołu zawalonego puszkami budweisera. Wszyscy mieli na sobie identyczne podkoszulki szyte na zamówienie. Na koszulkach widniał napis: WIECZÓR KAWALERSKI PETE'A, a pod spodem nadrukowana była biuściasta figura. Panowie bawili się tak głośno, że najwyraźniej odstraszyli wszystkich innych poza barmanem, który z ponurym wyrazem twarzy stał za kon- tuarem. David usiadł za barem i uśmiechnął się, jak gdyby nigdy nic:

- Poproszę coca-colę.

Barman bez słowa sięgnął po średnio czystą szklanekę i napełnił ją lodem. Na drugim końcu baru David zauważył drzwi do toalety, ale nie widział żadnego wyjścia ewakuacyjnego. Na ścianie wisiał telewizor, dźwięk był wyłączony; na ekranie młoda prezenterka z jasnymi włosami spokojnym wzrokiem patrzyła w kamerę, a obok niej widniał napis: ALARM TER- RORYSTYCZNY.

- Hej, niezła dupcia! - krzyknął jeden z imprezowiczów. Z trudem stanął na nogi, żeby lepiej się przyjrzeć prezenterce.



- O, tak, złotko, przeczytaj mi wiadomości! Poczytaj Larry'emu! Larry chce usłyszeć całą historię, kotku!

Towarzystwo wybuchnęło rehotliwym śmiechem, a Larry podszedł do baru. Brzuch wielkości piłki plażowej zwisał mu nad paskiem od spodni. Miał przekrwione oczy, szalony wzrok, na brodzie kawałki popcornu i tak śmierdział piwem, że David musiał wstrzymać oddech.

- Hej, barman! - ryknął Larry. - Ile za setkę jagermeistera? Barman spojrzał na niego jeszcze bardziej ponuro:
- Dziesięć dolarów.
- Jezusie święty! - Larry uderzył masywną pięścią w bar.
- I właśnie dlatego więcej nie przyjadę do tego zasranego miasta!

Ignorując go, barman podał Davidowi coca-cole.

- To będzie sześć dolarów.

Larry zwrócił się tym razem do Davida:

- Widzisz? Przecież to rozbój w biały dzień! Trzy razy drożej niż w Jersey!

David nie odpowiedział. Nie chciał go zachęcać do rozmowy, i bez tego miał dość zmartwień. Wręczył barmanowi banknot dwudziestodolarowy.

- Tak samo w barach ze striptizem - ciągnął Larry. - Właś nie byliśmy w jednym, nazywał się Cat Club. Na Dwudziestej Pierwszej, kojarzysz? Panienki chciały pięćdziesiąt dolarów za taniec. Dasz wiarę? Pięćdziesiąt pieprzonych dolarów! No to żem powiedział: „Pierdzielę to, wracajmy do Metuchen”. Mamy tam klub na Route 9, Lucky Lounge. Panienki nie gorsze niż te, a taniec za dyche.

David miał ochotę udusić gościa. Policjanci zbliżali się z owczarkami i karabinami M-16, otaczając Przerwywnik, a Da-

vid, zamiast planować ucieczkę, musiał wysłuchiwać jakiegoś buca z New Jersey. Sfrustrowany potrząsnął głową:

- Przepraszam, ale w tej chwili...

- Hej, stary, jak masz na imię? - Lany wyciągnął do niego dłoń.

David zacisnął zęby.

- Phil. Jestem odrobinę...

- No to graba, Phil! Jestem Larry Nelson. - Chwycił dłoń Davida i energicznie nią potrząsnął. Potem wskazał na resztę towarzystwa: - A to moi kumple z Metuchen. Widzisz tamtego? To Pete. W niedzielę się żeni.

Przyszły pan młody leżał na stole z głową schowaną gdzieś między puszkami piwa. Oczy miał zamknięte, policzek przyciśnięty do blatu, jak gdyby chciał posłuchać stukotu pociągów wjeżdżających na stację. David wykrzywił twarz. To ja dwadzieścia lat temu, pomyślał. Głupi dzieciak, pijący na umór z przyjaciółmi. Jedyna różnica polegała na tym, że David nie potrzebował tak wyjątkowej okazji jak wieczór kawalerski, żeby się zalać w trupa. Przez kilka ostatnich miesięcy na studiach noc w noc upijał się do nieprzytomności.

- Chcieliśmy wsiąść do pociągu powrotnego do Jersey o wpół do pierwszej - dodał Larry - ale gliny zaczęły sprawdzać dokumenty, cholerna kolejka rozciągnęła się na cały dworzec i pociąg nam uciekł. A teraz musimy godzinę czekać na następny.

- A co, jak ktoś nie ma dokumentów? - zapytał David. - Nie wpuszczą do pociągu?

- Nie, nie dzisiaj. Widzieliśmy jednego faceta, powiedział, że zostawił portfel w domu. Wyciągnęli go z kolejki i gdzieś wprowadzili. To jakiś pieprzony alarm terrorystyczny. Żółty

alarm, pomarańczowy alarm, już nie pamiętam który tym razem.

David poczuł mdłości. Jezu, pomyślał, w życiu się stąd nie wydostanę. Cały cholerny kraj mnie szuka.

- Ale plus jest taki - dodał Larry - że nie muszę iść do pracy jutro rano. W tym tygodniu mam wieczorną zmianę, więc muszę być na posterunku dopiero o czwartej po południu.

David patrzył na niego oczami jak spodki. Na faceta z brzuchem piwnym i rozczochraną brodą.

- Jesteś glina?

Larry dumnie kiwnął głową.

- Dyspozytorem na komendzie policji w Metuchen.

Niesamowite, pomyślał David. Znalazł chyba jedyne policjanta, który go nie szukał. Na początku sytuacja wydawała mu się co najmniej dziwaczna, ale po chwili dostrzegł w tym szansę. Spróbował sobie przypomnieć jakiegokolwiek szczegóły geografii New Jersey.

- Mieszkam niedaleko Metuchen. W Nowym Brunszwiku.

- Bez jaj! - Larry obrócił się do przyjaciół. - Hej, słuchajcie, ten koleś jest z Nowego Brunszwiku!

Kilku z nich niedbale podniosło puszki z piwem w geście pozdrowienia.

Są już zmęczeni, pomyślał David. Potrzebują czegoś na wzmocnienie.

- Słuchaj, Larry, chciałbym zrobić prezent twojemu kum plowi Pete'owi. Z okazji ślubu i w ogóle. Może postawiłbym wszystkim kolejkę jagermeistera?

Larry szeroko otworzył oczy.

- No, to by było świetnie!

David wstał ze stolka i podniósł ręce jak sędzia piłkarski ogłaszający przyłożenie.

- Setka jagera dla każdego!

Ożywione towarzystwo wydało radosny okrzyk. Jednak kiedy David odwrócił się do barmana, ten nie wyglądał na zadowolonego.

- Najpierw proszę zapłacić - powiedział. - To będzie sto trzydzieści dolarów.

David wyciągnął z kieszeni gruby plik dwudziestodolarówek i położył je na kontuarze.

- Lej pan.

Karen leżała w łóżku obok Amory'ego Van Cleve'a, jednego z dyrektorów Morton McIntyre & Van Cleve, i słuchała dziwnego świstu, jaki dobywał się z nozdrzy śpiącego prawnika. Wcześniej nie zwróciła na to uwagi, choć spotykała się z Amorym już od kilku tygodni. Świst składał się z trzech wyraźnych dźwięków - F nad środkowym C przy wdechu, opadało najpierw do D, a na końcu, przy wydechu do B (zanim Karen poszła na prawo, studiowała na akademii muzycznej). Po chwili dotarło do niej, dlaczego ten dźwięk brzmiał znajomo - to pierwsze trzy nuty hymnu narodowego. Karen zdusiła śmiech. Jej nowy chłopak w głębi duszy był po prostu dobrym staroświeckim patriotą.

Leżał na plecach, starannie wypielegnowane dłonie złożył na klatce piersiowej. Karen przysunęła się do niego, przyglądając się gęstej czuprynie siwych włosów, arystokratycznemu nosowi i podbródkowi. Świetnie wyglądał jak na sześćdziesięciolatka, stwierdziła. I chociaż miał parę drobnych wad, jak na przykład świszczący oddech, chociaż słuch miał już nie najlepszy i nie był z niego energiczny kochanek, to jego zalety

znacznie przewyższały te mało znaczące minusy. Amory był dystyngowany, uśmiechnięty i miał znakomite maniere. A co najważniejsze, wiedział, czego Karen potrzebuje. Wiedział, co jest dla niej ważne. To coś, czego David nigdy nie pojął, mimo że przez trzy lata się spotykali, a przez dziewięć byli małżeństwem.

Gdzieś dalej przy Columbus Street wyła syrena. Dzisiaj wieczorem słyhać je było co chwila. Może gdzieś jest pożar albo pękła rura w wodociągu. Sprawdzi to w porannej gazecie.

Oczywiście, nie można wszystkiego zwać na Davida. Karen sama nie wiedziała, czego chce przez ponad cztery lata ich małżeństwa. Kiedy się poznali, miała dwadzieścia trzy lata. Była naiwną studentką w klasie fortepianu w konserwatorium Juilliard School i pozostawała nieco w tyle za bardziej utalentowanymi pianistami. David był o pięć lat starszy i już wtedy odnosił sukcesy jako profesor historii nauki na Uniwersytecie Columbia. Karen zakochała się w nim, ponieważ był zabawny, przystojny i inteligentny. Zaczęła sobie wyobrażać przyszłość, jaką mogliby razem zbudować. Po ślubie rzuciła konserwatorium i zaczęła studiować prawo. Po narodzinach Jonaha zrobiła sobie rok przerwy, ale w ciągu dziesięciu następnych lat osiągnęła pozycję starszego wspólnika w Morton McIntyre & Van Cleve, z zarobkami dwa razy wyższymi niż pensja męża. Co więcej, teraz już doskonale wiedziała, czego chce: wygodnego domu dla całej rodziny, prywatnej szkoły dla syna i lepszej pozycji w sferach towarzyskich Nowego Jorku.

Karen mogła wybaczyć Davidowi to, że nie podzielał jej poglądów - w głębi duszy był naukowcem, więc nie dbał o pozory. Nie mogła jednak pogodzić się z tym, że całkowicie lekceważył jej pragnienia. Wydawało się, że znajduje perwersyjną przyjemność w niedbałym wyglądzie - na zaję-

cia chodził w dzinsach i tenisówkach, potrafił się nie golić przez kilka dni z rzędu. Częściowo winą za to należało niewątpliwie obarczyć niestaranne wychowanie. Dorastał z okrutnym ojcem i zastraszoną, poniewieraną matką. Chociaż bardzo się starał przezwyciężyć tę traumę, nie udało mu się odnieść całkowitego zwycięstwa. David był wspaniałym ojcem dla Jonaha, ale mąż z niego był żaden. Torpedował wszelkie pomysły Karen. Nie chciał nawet rozważyć przeprowadzki do większego mieszkania ani złożenia podania do prywatnej szkoły dla Jonaha. Czara goryczy przepełniła się, kiedy odrzucił posadę kierownika katedry historii, która dałaby mu dodatkowe trzydzieści tysięcy dolarów rocznie. Wystarczyłoby na remont kuchni lub część opłaty za domek na wsi, ale David odmówił, ponieważ stwierdził, że „będzie mu to przeszkadzało w pracy badawczej”. Po tej decyzji Karen zdecydowała się na rozwód. Nie mogłaby żyć z człowiekiem, który nie zamierzał jej ustąpić ani o włos.

Przestań już rozmyślać o Davidzie, powiedziała sobie. Po co? Teraz ma Amory'ego. Rozmawiali już o kupnie mieszkania. Apartament we wschodniej części miasta byłby miłą odmianą. Może wybiorą trzypokojowe mieszkanie w jednej z kamienic przy Park Avenue. Albo dom w mieście, z ogrodem na dachu. Będzie trochę kosztowało, ale Amory'ego na to stać.

Karen była tak pochłonięta wyobrażaniem sobie swojego wymarzonego apartamentu, że nie usłyszała pierwszego dzwonka do drzwi. Usłyszała jednak drugi, bo towarzyszyło mu walenie.

- Pani Swift? - wołał ktoś nagłym basem. - Jest tam pani?

Usiadła na łóżku. Serce jej łomotało. Kto mógł o tej porze pukać do jej drzwi? I dlaczego użył nazwiska, którego nie

nosiła od dwóch lat? Przerazona chwyciła Amory'ego za ramię i potrząsnęła nim:

- Amory! Wstawaj! Ktoś puka do drzwi!

Amory odwrócił głowę i wymruczał coś pod nosem. Miał twardy sen.

- Proszę otworzyć, pani Swift! - zawołał ktoś inny donośnym głosem. - Jesteśmy z FBI. Musimy z panią porozmawiać.

FBI? Co to jest, jakiś dowcip? Nagle przypomniała sobie, że kilka godzin temu dzwonił policyjny detektyw i prosił Davida. Czy tym razem też o to chodzi? Czy David wpakował się w jakieś tarapaty?

Jeszcze raz szarpnęła Amory'ego, tym razem mocniej, aż otworzył oczy.

- Co jest? - zaskrzeczał. - O co chodzi? Co się dzieje?

- Wstawaj! Jacyś faceci stoją pod drzwiami! Twierdzą, że są z FBI!

- Co takiego? Która godzina?

- Wstawaj wreszcie i zobacz, kto to jest!

Amory westchnął, sięgnął po okulary i wstał z łóżka. Zrzucił kasztanowy szlafrok na żółtą pizamę i zawiązał pasek. Karen włożyła stary podkoszulek i spodnie od dresu.

- Prosimy po raz ostatni! - ryknął trzeci głos. - Jeżeli nie otworzy pani drzwi, wyważymy je! Słyszysz pani?

- Chwila, chwila, proszę poczekać! - odpowiedział Amory. - Już idę!

Karen wyszła za nim z sypialni, ale trzymała się z tyłu. Gdy Amory wyszedł do hallu, instynktownie ustawiła się przed drzwiami sypialni Jonaha. Dzięki Bogu jej syn również miał twardy sen.

Amory pochylił się, patrząc przez dziurkę od klucza.

- Kim panowie są? - zapytał przez drzwi. - I co tu robicie o tak późnej porze?

- Mówiliśmy już, jesteśmy z FBI. Proszę otwierać.

- Przepraszam bardzo, ale chciałbym najpierw zobaczyć wasze odznaki.

Karen patrzyła na tył głowy Amory'ego, gdy ten mrużył oczy, przyglądając się czemuś przez dziurkę. Po kilku sekundach odwrócił się i spojrzał na nią przez ramię.

- To naprawdę agenci FBI - powiedział. - Zobaczą, czego chcą.

Karen krzyknęła:

- Poczekaj! Nie... - ale było za późno.

Amory odsunął rygiel i przekręcił klamkę. W tej chwili drzwi frontowe otworzyły się i dwóch wielkich facetów w szarych garniturach obezwładniło Amory'ego, przewracając go na plecy i przygważdżając do podłogi. Kolejnych dwóch przeskoczyło przez niego i wpadło do mieszkania - ciemnoskóry mężczyzna o byczym karku i wysoki barczysty blondyn. Po chwili Karen zorientowała się, że obaj mierzą do niej z pistoletów.

- Nie ruszać się! - krzyknął blondyn. Miał potworną, bladą, spiętą twarz. Nie odrywając wzroku od Karen, dał znak partnerowi. - Sprawdź pokoje.

Karen cofnęła się o krok. Plecami oparła się o drzwi pokoju Jonaha.

- Proszę, nie! Mam dziecko! On...

- Powiedziałem, NIE RUSZAĆ SIĘ! - Blondyn podszedł do niej. Pistolet drżał w jego dłoni, jak gdyby był odrębnym bytem.

Przez drzwi usłyszała odgłos kroków, a potem cichutkie wystraszone:

- Mamusiu?



Ale agenci jakby tego nie słyszeli. Obaj podchodzili do niej z uniesionymi pistoletami i z oczami utkwionymi w drzwiach, jakby próbowali zobaczyć, co dzieje się po drugiej stronie.

- NA BOK! - rozkazał blondyn.

Karen stała jak skamieniała, przestała nawet oddychać.

O Jezu, o Jezu, zastrzelą go!

Potem usłyszała kroki Jonaha tuż za plecami i odgłos przekręcanej klamki. Jednym szybkim ruchem obróciła się i otworzyła drzwi, rzucając się na syna.

- NIE! NIE! - krzyknęła. - NIE RÓBCIE MU KRZYWDY!

Agenci stali nad nią, blokując przejście. Skierowali broń w dół, ale teraz było już w porządku. Już w porządku. Zakryła sobą każdy centymetr ciała Jonaha. Czubek głowy chłopca spoczywał pod jej podbródkiem, a ramiona utkwiły między jej piersiami. Czuła, jak drży ze strachu i zdezorientowania, słyszała, jak szlocha: - Mamo, mamó - z ustami przy drewnianej podłodze.

Ale był już bezpieczny.

Jasnowłosy mężczyzna pilnował Karen i Jonaha, podczas gdy czarny agent wszedł do pokoju i otworzył drzwi do szafy.

- Czysto! - zawołał.

Potem poszedł sprawdzić pozostałe pokoje. W tle, poprzez płacz Jonaha i krzyki agenta, Karen słyszała rozwścieczony głos Amory'ego.

- Co wy sobie wyobrażacie? Nie możecie przeszukiwać mieszkania bez nakazu! To jawne łamanie prawa!

Po kilku sekundach czarny agent wrócił, by zdać raport jasnowłosemu, który wyglądał na dowódcę akcji.

- Nikogo więcej tu nie ma - powiedział. - A starszy pan nie pasuje do opisu.

Jasnowłosy agent odsunął się od Karen i wszedł do hallu, żeby naradzić się z partnerami. Włożył pistolet do kabury. Karen usiadła, przytulając Jonaha do piersi. Czowała ulgę. Amory leżał na brzuchu kawałek dalej, miał ręce związane z tyłu jakimś plastikowym sznurkiem.

- Pożałujecie tego, panowie! - krzyczał. - Dobrze znam Prokuratora Generalnego USA!

Jasnowłosy agent spojrział na niego wilkiem:

- Zamknij się, dziadku - powiedział, po czym zwrócił się do Karen: - Gdzie jest pani były mąż, pani Swift?

Co ciekawe, Karen już się nie bała. Teraz, kiedy agent odłożył broń, czuła do niego tylko pogardę.

- I tylko po to tu wpadliście? Szukać Davida?

- Proszę odpowiedzieć na...

- Ty pieprzony gnoju! Mierzyłeś z broni do siedmioletniego chłopca!

Kiedy Karen wbiła wzrok w agenta FBI, Jonah szarpnął ją za koszulkę. Buzię miał całą we łzach.

- Gdzie jest tata? - krzyknął. - Chcę do taty!

Przez moment agent się zawahał - jabłko Adama skakało mu, gdy przyglądał się Karen i Jonahowi skulonym w drzwiach. Ale po chwili jego rysy na powrót stwardniały.

- David Swift jest poszukiwany za morderstwo. Musieliśmy podjąć konieczne środki ostrożności.

Karen zakryła usta dłonią. Nie, pomyślała. To niemożliwe. David miał mnóstwo wad, ale nigdy nie stosował przemocy. Najbardziej agresywną rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobił, było uderzenie w rękawicę do softballu, kiedy jego drużyna przegrała. Zawsze panował nad emocjami. Na przykładzie własnego ojca widział, co może się stać, jeśli przestanie się je kontrolować.

- To nieprawda! - krzyknęła. - Kto wam to powiedział?

Agent zmrużył oczy.

- Znałem kilku z tych, których zabił, pani Swift. Dwóch było moimi przyjaciółmi.

Patrzył na nią przez kilka sekund zimnym i niewzruszonym wzrokiem. Potem zaczął mówić do mikrofonu ukrytego w rękawie marynarki.

- Tu agent Brock. Wieziemy trójkę. Skontaktuj się z kwa terą główną i powiedz, że mamy kobietę i dziecko.

Karen przytuliła Jonaha jeszcze mocniej.

- Nie! Nie możecie tego zrobić!

Agent potrząsnął głową.

- To dla waszego bezpieczeństwa. Dopóki nie znajdziemy pani byłego męża.

Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął kilka kawałków plastikowego sznurka.

- Zdrowie Phila! Jesteś gość, Phil! Kurna, jesteś równy gość! Zebrani wokół stołu w Station Break uczestnicy wieczoru kawalerskiego Pete'a unosili szklanki jagermeistera w toaście za alter ego Davida, czyli za szczodrego Phila z Nowego Brunswiku. David postawił im już trzecią kolejkę drinków i widać było, że towarzystwo odzyskało wigor. Larry, ze szklanką w każdej ręce, zaintonował:

- Phil! Phil! Phil! - po czym opróżnił obie jedną po drugiej.

Nawet Pete, pijany pan młody, na moment uniósł głowę ze stołu i mruknął:

- Jesteś gość - na co David odpowiedział w podobnym tonie, obejmując go i krzycząc:

- Nie, to TY jesteś gość! To ty rządzisz, durna pało!

Ale chociaż David krzyczał i rechotał razem z resztą bandy,

nie tknął ani kropli alkoholu. Ukradkiem podsuwał drinki Larry'emu, który opróżniał je bez wyrzutów sumienia.

Kiedy chór skandujący „jesteś gość” wreszcie ucichł, Larry stanął na chwiejnych nogach i powiedział:

- Nie zapominajmy o Vinniem! Wypijmy zdrowie Vinniego, tego durnego mięczaka, którego dzisiaj z nami nie ma, bo jego dziewczyna uważa, że mamy na niego, kurna, zły wpływ!

Wszyscy zaczęli wykrzykiwać wariacje na temat „Pieprzonej suki”, tymczasem Larry otworzył leżącą na stole plastikową reklamówkę i wyjął z niej starannie złożoną niebieską koszulkę. Była to jedna z robionych na zamówienie koszulek, które wszyscy panowie mieli na sobie. Z przodu widniał napis WIECZÓR KAWALERSKI PETE'A.

- Patrzcie! - zahuczał Larry. - Jako że Vinniego nie ma, mamy, w mordę, nadprogramową koszulkę! - Potrząsnął głową z niesmakiem. - Wiecie, co zrobić? Każę jego dziewczynie za nią zapłacić!

Reszta towarzystwa krzyknęła zgodnie:

- Niech suka płaci! - oraz parę innych opinii pod adresem owej pani, lecz David patrzył tylko na koszulkę. Po chwili zastanowienia uderzył pięścią w stół, zwracając na siebie uwagę zebranych.

- Ja od ciebie kupię tę koszulkę! - oznajmił. - He kosztuje?

Larry spojrzał na niego zdziwiony.

- Ej, Phil, nie musisz za nią płacić. Postawiłeś nam przecież drinki i...

- Nie, nie, nalegam. Chcę ją kupić! Chcę być oficjalnym uczestnikiem pieprzonego wieczoru kawalerskiego Pete'a! - Wstał i wcisnął Larry'emu do ręki banknot dwudziestodo-

larowy. Potem wziął od niego koszulkę i założył ją na swój podkoszulek z nazwą drużyny softballowej. Wszyscy natychmiast zaczęli skandować:

- Phil, Phil, Phil, Phil!

A potem ktoś krzyknął:

- Hej, już prawie wpół do drugiej, zaraz nam pieprzony pociąg ucieknie! - i cała ekipa spiesznie wstała z krzeseł.

- Idziemy! - zarządził Larry. - Musimy zdążyć do Lucky Lounge, zanim zamkną! Niech ktoś weźmie Pete'a!

Kiedy dwóch towarzyszy wzięło Pete'a pod rękę, David postanowił wykorzystać okazję. Krzyknął zduszonym głosem:

- Zaczekajcie! - po czym runął na ziemię, amortyzując upadek wyciągniętymi rękoma.

Larry pochylił się nad nim. Śmierdziało od niego jagermeistrem.

- Hej, Phil, wszystko w porządku?

- Trochę jestem... narąbany - odparł David, próbując bełkotać jak prawdziwy pijak. - Mógłbyś mi... podać rękę?

- Jasne, stary, żaden problem!

Larry chwycił Davida za rękę, podniósł go i poprowadził do wyjścia ze Station Break. David oparł się na ramieniu wielkoluda i wyszli z baru. Choć ostatni raz upił się jakieś dwadzieścia lat temu, z łatwością udawał charakterystyczny pijacki chód. Znakomicie pamiętał to uczucie.

W hali głównej dworca została już tylko garstka pasażerów i cały tłum policjantów. Sześciu oficerów stało przed wejściem na peron dziesiąty, gdzie właśnie zmierzała grupka panów po imprezie. Larry potrząsnął pięścią w powietrzu, gdy zbliżali się do patrolu.

- W porządku, NYPD! - huknął. - Jesteśmy z wami! Złapcie pieprzonych terrorystów!

- Taaak! Dorwijcie dupków! - krzyknął ktoś inny. - ZABIĆ ICH!

Mizernej postury sierżant wyciągnął ręce, jakby zatrzymywał ruch uliczny.

- OK, koledzy, uspokójcie się - powiedział. - Wyjmijcie prawa jazdy.

David poczuł mdłości, kiedy cała reszta wyciągnęła portfele. No, dobra, pomyślał. Zaczyna się. Z przesadnym niepokojem sprawdzał kieszenie spodni z przodu, potem z tyłu.

- Cholera jasna! - krzyknął. - Ożeż w mordę!

Upadł na kolana i zaczął szukać dokumentów na oślep, jak to pijak.

Larry pochylił się nad nim:

- Co jest, Phil?

- Mój portfel - odparł David, z trudem łapiąc oddech i chwytając Larry'ego za ramię. - Nie mogę znaleźć... pieprzonego portfela.

- Zostawiłeś go w knajpie?

David potrząsnął głową.

- Cholera... nie wiem... może być wszędzie...

Policjanci zauważyli zamieszanie i podeszli.

- Co się tu dzieje?

- Phil zgubił portfel - powiedział Larry.

Z otwartymi ustami i przechyloną głową David spojrzał w górę na sierżanta:

- Nie rozumiem... Przed chwilą... go miałem.

Gliniarz zmarszczył brwi. Ponuro zacisnął usta.

Aha. Pomyślał David. Twarda sztuka.

- Nie ma pan żadnego dowodu tożsamości?

- To Phil. Z Nowego Brunszwiku - wyjaśnił Larry. - Jest z nami.

Sierżant był nieprzejednany:

- Żeby wsiąść do pociągu, trzeba okazać dowód tożsamości.

W tej chwili, jakby na sygnał, z głośnika na stacji rozległ się wysoki dźwięk.

- Uwaga, uwaga - ogłaszał głos z nagrania - ostatni dzwonek dla pasażerów pociągu Northeast Corridor Line! Pociąg odjeżdża z peronu dziesiątego. Zatrzymuje się w Newark, Elizabeth, Rahway, Metuchen, Nowym Brunzswiku i na Princeton Junction. Proszę wsiadać z peronu dziesiątego!

- Musimy złapać ten pociąg! - krzyknął Larry. Gorączkowo szperał w kieszeni spodni, po czym wyjął portfel i otworzył go przed policjantem. - Panie władzo, jestem z komendy policji w Metuchen. To moja odznaka. Mówię panu, Phil jest z nami. To mój kumpel.

Sierżant spojrział na odznakę, wciąż marszcząc brwi. Nadal nie chciał ich przepuścić. W tym momencie David usłyszał szczekanie psa. Odwrócił się i zobaczył członka Gwardii Narodowej przechadzającego się z owczarkiem niemieckim obok tablicy przyjazdów i odjazdów jakieś piętnaście metrów dalej. Pies zmierzał wprost do nich, szarpiąc smycz z takim entuzjazmem, że gwardzista musiał się odchylić, aby utrzymać równowagę. Chryste, pomyślał David. To pieprzone zwierzę coś wyczuło.

Zamknął oczy i opanowała go fala mdłości. Beznadzieja, pomyślał. Zaaresztują mnie i przekażą FBI, a oni odwiozą mnie z powrotem do jakiegoś pokoju przesłuchań. Oczyma wyobraźni widział już goły pokój bez okien, z fluorescencyjnymi świetłówkami na suficie i agentów w szarych garniturach dookoła metalowego stołu. Ogarnęła go kolejna fala mdłości, tym razem tak silna, że zgiął się wpół i wydał z siebie chra-

pliwę oddech. Cienka strużka śliny wydobyła się z jego ust, spadając na linoleum.

- Uwaga! - ostrzegł Larry. - Phil będzie rzygał!

Policjant gwałtownie się cofnął.

- O kurwa! - krzyknął. - Weźcie go ode mnie!

David podniósł głowę i spojrzął na sierżanta. Facet wykrzywił usta z wyraźnym obrzydzeniem. Wiedziony nagłym impulsem David podczołgał się do niego, wydając zduszony dźwięk, mokre gardłowe:

- Ughhhhhhhh!

Sierżant odepchnął go w kierunku Larry'ego.

- Jasna cholera, zabierajcie go stąd! - wrzasnął. - No już, weźcie go do pociągu!

- Rozkaz, panie władzo! - odparł Larry, biorąc Davida pod rękę.

Cała grupa pospieszyła schodami na peron dziesiąty i wsiadła w odjeżdżający o wpół do drugiej pociąg do Metuchen.

Simon siedział przy staroświeckim biurku w jednym z koszmarne drogich apartamentów w Waldorf Astorii. Hotel liczył sobie dwa tysiące dolarów za noc w dusznym salonie wychodzącym na Park Avenue z sypialnią udekorowaną niczym carski burdel. Simon miał to szczęście, że stać go było na taką cenę, ale dla zasady odmówił zapłaty; zamiast tego skopiował numer karty kredytowej zdobyty przez internet. Niczego niepodejrzewający Oregończyk nazwiskiem Neil Davison zafundował tym samym Simonowi pobyt w Waldorfie oraz dodatkowo porcję jagnięciny i pół litra stolicznej zamówione do pokoju.

Opróżniając kolejną szklanekę, Simon spojrzął na ekran laptopa, na którym widniała strona wydziału fizyki Uni-



wersytetu Columbia. Dobrze się składało, bo przy liście nazwisk była umieszczona kolorowa fotografia każdego profesora, wykładowcy i postdoca. Simon powoli przewijał stronę, przyglądając się każdej twarzy. Wydawało się logiczne, że współnik Kleinmana będzie profesorem fizyki. *Einheitliche Feldtheorie* była zbyt skomplikowana dla laika; żeby rozpoznać matematyczne pojęcia w sprawdzonych równaniach pola, konieczna była szczegółowa wiedza z zakresu teorii względności i mechaniki kwantowej. A jednak na stronie wydziału fizyki nie było faceta w tenisówkach. Postanowił zatem sprawdzić listy na wydziałach dwudziestu innych uniwersytetów z najlepszymi wydziałami fizyki - Harvard, Princeton, MIT, Stanford i tak dalej - ale w żadnej galerii pełnej uśmiechniętych zdjęć nie było naukowca, którego szukał. Po godzinie zatrzasnął laptop i wrzucił pustą butelkę po stolicznej do kosza na śmieci. Doprowadzało go to do furii. Potrzebował tylko nazwiska tego faceta.

Żeby się uspokoić, podszedł do okna i spojrzął na latarnie wzdłuż Park Avenue. Nawet o drugiej w nocy ulicą sunęło mnóstwo taksówek. Przyglądając się, jak taksówki urządzają wyścig na postój, Simon zastanawiał się, czy przypadkiem czegoś nie przeoczył, jakiegoś istotnego szczegółu w biografii profesora Kleinmana, który wyjawilby tożsamość jego współnika. Może to był chrześniak lub siostrzeniec Kleinmana, albo nieślubny syn, owoc dawnego romansu? Simon podszedł do szafki, otworzył imitację teczki i wyjął książkę, której używał, próbując dowiedzieć się więcej o Kleinmanie. To była gruba książka, miała ponad pięćset stron, pełna użytecznych informacji o wszystkich fizykach, którzy pracowali z Einsteinem w ostatnich latach jego życia. Nosila tytuł *Nararnionach gigantów*.

Kiedy Simon otwierał książkę, wpadł mu w oko znajomy szczegół. Spojrzał na wewnętrzną stronę okładki z tyłu książki. Pod obszerną notką z „Library Journal” znajdowało się zdjęcie autora.

Simon uśmiechnął się.

- Witaj, Davidzie Swift - powiedział na głos. - Miło cię poznać.

## Rozdział piąty

Mimo próśb Larry'ego, Pete'a i reszty kompanii, David nie chciał wsiąść na stacji w Metuchen. Powiedział, że żona go zabije, jeśli nie pojedzie prosto do domu do Nowego Brunswiku, ale obiecał, że któregoś wieczoru wpadnie do Lucky Lounge napić się z nowymi przyjaciółmi. Cała pijana załoga przybiła mu piątki, wysiadając z pociągu, po czym stanęli na peronie, skandując chórem: „Phil! Phil! Phil! Phil!” David podziękował im za uznanie, pokazując wyciągnięte do góry kciuki, po czym wyczerpany osunął się na siedzenie.

Gdy pociąg odjechał ze stacji, zaczął drzeć. Nawiew z klimatyzacji wydał mu się potwornie zimny. Skrzyżował ręce na piersiach i potarł ramiona, żeby się trochę rozgrzać, ale nadal nim trzęsło. Wiedział już, co się dzieje: to reakcja organizmu na stres, opóźniona odpowiedź na straszne wydarzenia ostatnich czterech godzin. Zamknął oczy i wziął kilka głębokich wdechów. Już dobrze, powtarzał sobie. Uciekasz z Nowego Jorku. Zostawiasz ich wszystkich za sobą.

Otworzył oczy, kiedy pociąg wjeżdżał na stację w Nowym Brunswiku. Przestał już dygotać i umysł trochę mu się rozjaśnił. Postanowił zostać w pociągu aż do Trenton. Tam wsiądzie w autobus linii Greyhound do Toronto. Ale kiedy drzwi się zamknęły i pociąg ruszył dalej na zachód,

David zauważył kilka wad tego planu. Co, jeśli na stacjach autobusowych też będą sprawdzać dokumenty? Nie bardzo mógł liczyć na kolejny wieczór kawalerski. Poza tym, jeśli dotrze do kanadyjskiej granicy, tam też będzie już policja. Nie, autobus to zbyt duże ryzyko, chyba że udałoby mu się zdobyć fałszywe prawo jazdy. A niby jak u diabła miałby to zrobić?

David był zbyt podenerwowany, by siedzieć w miejscu. Zaczął się przechadzać prawie pustym korytarzem wagonu. Poza nim było tam tylko trzech innych pasażerów: dwie nastolatki w krótkich spódniczkach i starszy pan w srebrzystym swetrze, cicho rozmawiający przez komórkę. Przez chwilę David zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Karen i Jonaha ze swojego telefonu, ale zdał sobie sprawę, że gdyby go tylko włączył, wysłałby sygnał do najbliższej wieży i w FBI już wiedzieliby, gdzie jest. Frustracja Davida była tym większa, że zaczynał się martwić o byłą żonę. Miał przecucie, że faceci w szarych garniturach będą próbowali ją przesłuchać.

Po chwili konduktor oznajmił:

- Zbliżamy się do Princeton Junction. Stąd dojazd do Princeton linią Princeton Branch.

Powtórzenie nazwy Princeton trzy razy dało Davidowi do myślenia. Nagle zorientował się, kto może mu pomóc. Nie widział tej osoby od prawie dwudziestu lat, ale wiedział, że nadal mieszka w Princeton. Szansa, że FBI czeka na niego u niej w domu była minimalna. Choć na pewno przeprowadzili szczegółowe śledztwo, badając jego przeszłość, nie sądził, żeby odkryli coś na jej temat. Co więcej, była fizykiem - jednym z pionierów teorii strun. David podejrzewał, że tylko fizyk umiałby doszukać się sensu w całej tej historii.

Pociąg zatrzymał się i drzwi się otworzyły. David wyszedł na peron i skierował się tam, skąd odchodziły pociągi w kierunku Uniwersytetu Princeton.

W 1989 roku, kiedy David jeszcze studiował fizykę, brał udział w konferencji poświęconej teorii strun na Uniwersytecie Princeton. Środowisko naukowe było mocno poruszone nowym pomysłem, ponieważ istniała szansa, że pomoże on rozwiązać problem, który od dawna trapił naukowców. Chociaż teoria względności Einsteina doskonale tłumaczyła grawitację, a mechanika kwantowa wyjaśniała wszelkie niuanse świata subatomowego, obie teorie były niezgodne z matematycznego punktu widzenia. Przez trzydzieści lat Einstein próbował ujednoczyć oba zestawy praw fizyki, aby utworzyć jedną, nadrzędną teorię, która tłumaczyłaby wszystkie siły natury. Ale wszystkie opublikowane rozwiązania Einsteina okazywały się wadliwe, a po jego śmierci wielu fizyków uznało, że kwestia jest zbyt skomplikowana, by dało się ją ująć w jednym zestawie równań.

Jednak od lat siedemdziesiątych niektórzy fizycy powrócili do idei zunifikowanej teorii, wysuwając hipotezę, że cząstki elementarne są w istocie miniaturowymi strunami energii, krótszymi niż jedna trylionowa jednej trylionowej milimetra. W latach osiemdziesiątych zwolennicy tej hipotezy udoskonalili swój model, twierdząc, że te struny wibrują w dziesięciu wymiarach czasoprzestrzeni, z których to wymiarów sześć jest zwiniętych i zbyt małych do zaobserwowania. Teoria była nieokreślona, niekompletna i niesamowicie trudna do zastosowania, ale mimo to zainspirowała wyobraźnię uczonych na całym świecie. Jednym z nich była Monique Reynolds, dwudziestoczteroletnia studentka wydziału fizyki na Uniwersytecie Princeton.

David zobaczył ją po raz pierwszy podczas sesji zamykającej konferencję, która miała miejsce w olbrzymim audytorium w Jadwin Hall. Monique stała na scenie, gotowa zreferować pracę na temat wielowymiarowych rozmaitości. David ze zdziwieniem zauważył, że jest bardzo wysoka - o głowę wyższa od pomarszczonego kierownika wydziału fizyki, który przedstawił Monique jako „najmądrzejszą studentkę, z jaką kiedykolwiek miał przyjemność pracować”. David zastanawiał się, czy staruszek tak za nią przepada, bo nie dość, że jest wysoka, to jeszcze bardzo atrakcyjna. Miała twarz jak ze starożytnych portretów przedstawiających Atenę, grecką boginię mądrości, ale zamiast hełmu miała na głowie koronę splecioną z cienkich warkoczyków. Jej skóra miała barwę likieru kawowego. Monique była ubrana w żółto-czerwoną suknię z kente, udrapowaną na dekolcie, a na brązowych ramionach widniało kilka złotych bransolet. W szarej auli Jadwin Hall błyszczała jak strumień cząstek.

W latach osiemdziesiątych mało było kobiet fizyków, ale czarna kobieta zajmująca się teorią strun była zjawiskiem wprost niespotykanym. Naukowcy obecni w audytorium patrzyli na nią takim wzrokiem, jakim obserwowali każde rzadkie zjawisko, z mieszaniną zachwytu i sceptycyzmu. Jednak kiedy zaczęła odczyt, zaakceptowali ją jako jedną z nich, ponieważ mówiła ich językiem, zawiłym językiem matematyki. Podeszła do tablicy i napisała długą serię równań, każde naszpikowane fundamentalnymi parametrami wszechświata, takimi jak: prędkość światła, stała grawitacji, masa elektronu czy stała Plancka. A potem, z łatwością, której David mógł jej tylko pozazdrościć, przekształcała gęstwinę symboli, aż skróciły się do pojedynczego, eleganckiego równania opisującego przestrzeń wokół wibrującej struny.

David nie podązał za jej logiczną argumentacją; na tym etapie studiów już wyczerpał swoje zdolności matematyczne i często czuł się sfrustrowany i zazdrosny w obliczu geniuszu, takiego, jaki prezentowała na przykład Monique. Ale kiedy odprawiała na tablicy swoje czary, nie odczuwał żadnej zawiści. Bez walki poddał się jej władzy. Kiedy skończyła odczyt, skoczył na równe nogi i popędził w stronę podium, aby się przedstawić.

Monique uniosła brwi, kiedy David powiedział, jak się nazywa.

- Ależ oczywiście, że cię znam! - wykrzyknęła mile za skoczona. - Właśnie przeczytałam artykuł, który napisałeś wspólnie z Hansem Kleinmanem. Teoria względności w dwu wymiarowej czasoprzestrzeni, prawda? Bardzo dobra praca.

Chwyliła jego dłoń i uściśnięła. David oniemiał - nie mógł uwierzyć, że naprawdę czytała jego artykuł.

- To nic takiego - odparł. - Nic w porównaniu z tym, czym ty się zajmujesz. Twój referat był niesamowity. - Próbował wymyślić bardziej inteligentną odpowiedź, ale nic nie przyszło mu do głowy. - Jestem pod wrażeniem. Autentycznie.

- O matko boska, przestań! - wybuchnęła pięknym wysokim śmiechem. - Zaczynam się czuć jak jakaś gwiazda filmowa!

Podeszła do niego, położyła mu dłoń na przedramieniu, jakby byli starymi znajomymi.

- Studiujesz na Uniwersytecie Columbia, tak? Jaki jest wasz wydział?

Rozmowa ciągnęła się jeszcze przez kilka godzin. Najpierw przenieśli się do pokoju wykładowców, gdzie David poznał kilku innych doktorantów z Princeton, a potem do pobliskiej restauracji zwanej Rusty Scupper, gdzie mała

grupka obiecujących naukowców zamówiła margherity i dyskutowała na temat względnych zalet chiralnej i niechiralnej teorii strun. Po kilku drinkach David przyznał się Monique, że nie zrozumiał niektórych części jej referatu, a ona z chęcią zgodziła się uzupełnić luki w jego wiedzy, cierpliwie wyjaśniając każde równanie krok po kroku. Po następnych kilku drinkach zapytał, jak to się stało, że zainteresowała się fizyką, a ona powiedziała, że to wszystko zasługa jej ojca, który sam skończył tylko dziewięć klas, ale za to stale wymyślał ciekawe teorie na temat świata. Do północy w lokalu zostali już tylko David i Monique, a o pierwszej obmacywali się już na kanapie w jej małym mieszkanku.

Dla Davida taka kolej rzeczy była czymś naturalnym. Był w samym środku trwającej sześć miesięcy pijatyki, która nieco przyćmiła jego wspomnienie drugiego roku studiów doktoranckich, a kiedy pił z kobietą, zwykle kończyło się to w łóżku. I choć Monique była znacznie bardziej inteligentna i piękniejsza niż większość kobiet, z którymi sypiał, pod innymi względami była typowa - impulsywna, samotna i zdawało się, że skrywa jakiś smutek. Wszystko toczyło się zwykłym torem, ale kiedy Monique wstała z kanapy i rozpięła suknię, pozwalając jej opaść do kostek w kolorowym nieładzie, coś się stało. Gdy David zobaczył jej nagie ciało, rozplakał się. Było to tak niespodziewane i niewytłumaczalne, że przez chwilę wydawało mu się, że *to* Monique płacze, a nie on. Pomyślał: Dlaczego ona płacze? Zrobiłem coś nie tak?

Ale to nie ona płakała. Szloch dobywał się z jego piersi, a łzy płynęły mu po policzkach. Szybko wstał i odwrócił się upokorzony.

Chryste, co się ze mną dzieje? - pomyślał.



Po kilku sekundach poczuł na ramieniu dłoń Monique.

- David? - wyszeptła. - Wszystko w porządku?

Potrząsnął głową, rozpaczliwie próbując ukryć twarz.

- Przepraszam - wymamrotał, cofając się przed nią. - Lepiej już pójdę.

Ale Monique go nie puszczła. Otoczyła go ramionami w pasie i przyciągnęła do siebie.

- Co się stało, kochanie? Mnie możesz powiedzieć.

Jej skóra była delikatna i chłodna w dotyku. Poczuł, jak coś w nim ustępuje i w tej chwili już wiedział, dlaczego płacze. W porównaniu z Monique Reynolds był nikim. Tydzień wcześniej oblał końcowy egzamin, a to oznaczało, że niedługo zostanie poproszony o opuszczenie wydziału i zakończenie studiów doktoranckich. Picie z pewnością miało swój udział w jego porażce - nie da się ogarnąć kwantowej teorii pola, będąc cały czas na kacu. Ale jego zdaniem nawet gdyby był trzeźwy jak świnia, efekt byłby dokładnie taki sam. Co gorsza, ojciec przewidział, że tak się to skończy. Kiedy odwiedził starego dwa lata wcześniej w zapuszczonym pokoju hotelowym, który był domem Johna Swifta od czasu wyjścia z więzienia, ojciec śmiał się na wieść o tym, że David zamierza zostać fizykiem.

- Nigdy nie będziesz naukowcem - przestrzegał go. - Spie przysz to.

Ale tego David nie mógł powiedzieć Monique. Wyzwolił się z jej uścisku:

- Przepraszam - powtórzył - ale muszę już iść.

Płakał w drodze z mieszkania Monique, idąc przez pograżony w ciemności kampus Princeton.

- Ty idioto! - mamrotał do siebie. - Ty pieprzony idioto! To wszystko alkohol, wszystko przez tę cholerną wódę. Nie

potrafisz już myśleć logicznie. Przystanął koło jednego z akademików dla magistrantów i oparł się o gotycki kamienny budynek, by przejrzeć na oczy. Koniec z piciem, powiedział sobie. To był twój ostatni drink.

Ale kiedy nazajutrz wrócił do Nowego Jorku, pierwsze kroki skierował do Tawerny West End na Broadwayu i zamówił setkę jacka danielsa. Jeszcze nie sięgnął dna. Dopiero dwa miesiące później, kiedy wyrzucono go ze studiów, osiągnął taki poziom upodlenia, że przestał pić raz na zawsze.

W ciągu kilku następnych lat, kiedy David pozbierał się i zaczął robić doktorat z historii, od czasu do czasu przechodziło mu przez myśl, czy nie skontaktować się z Monique, żeby wyjaśnić, co się właściwie wtedy stało. Ale nigdy tego nie zrobił. W 2001 roku wpadł mu w ręce artykuł o niej w „Scientific American”. Nadal była w Princeton i wciąż zajmowała się teorią strun, która od lat osiemdziesiątych posunęła się mocno do przodu, ale w dalszym ciągu była nieokreślona, niekompletna i niepraktyczna. Monique badała teraz hipotezę, jakoby dodatkowe wymiary przewidziane w teorii strun nie były zwinięte w miniaturowe rozmaitości, ale leżały za kosmiczną barierą uniemożliwiającą ich zaobserwowanie. Davida nie interesowały jednak szczegóły badań, ale raczej biograficzne dane wspomniane w artykule. Jak się okazało, Monique wychowała się w Anacostii, najuboższej dzielnicy Waszyngtonu. Jej matka była uzależniona od heroiny, a ojciec został zastrzelony podczas napadu rabunkowego, kiedy Monique sama miała zaledwie dwa miesiące. Czytając to, David poczuł ukłucie w środku klatki piersiowej. Mówiła mu, że to dzięki ojcu została fizykiem, ale tak naprawdę nigdy go nie znała.

Po raz kolejny David pomyślał o Monique, kiedy rozpadło się jego małżeństwo. Kilka razy chciał nawet do niej zadzwonić.

Ale za każdym razem odkładał słuchawkę i zamiast dzwonić, wyszukiwał w Google jej nazwisko. Wpisywał je w wyszukiwarce i przeglądał strony, które się wyświetlały. W ten sposób dowiedział się, że jest teraz profesorem fizyki, że brała udział w internetowym czacie na temat historii Afryki i że ukończyła Maraton Nowojorski w trzy godziny i pięćdziesiąt dwie minuty, co było sporym osiągnięciem, zważywszy, że miała czterdzieści trzy lata. Jednak najcenniejszym odkryciem było zdjęcie Monique na internetowych stronach gazety „Princeton Packet”, gdzie widać ją było na tle skromnego dwupiętrowego domku z dużą werandą. David od razu rozpoznał miejsce: Mercer Street 112, dom, w którym Albert Einstein spędził ostatnie dwadzieścia lat życia. W testamencie zazaczył, że nie wolno robić z tego domu muzeum, więc przekształcono go w rezydencję dla profesorów związanych z Institute for Advanced Study w Princeton. Podpis pod zdjęciem informował, że profesor Reynolds niedawno przeprowadziła się do tego domu, zajmując miejsce innego członka wydziału, który przeszedł na emeryturę.

David skierował się pod ten adres, gdy wysiadł z pociągu na stacji w Princeton. Znów przeszedł przez ciemny kampus - tym razem trzeźwy i czysty, ale wciąż zdesperowany. Wątpił, czy Monique ucieszy się na jego widok.

Lucille rozmawiała przez telefon ze swoimi agentami w Trenton, kiedy sekretarz obrony wpadł do sali konferencyjnej. Była tak zaskoczona, że o mało nie upuściła słuchawki. Do tej pory spotkała sekretarza tylko raz, w Białym Domu podczas ceremonii ogłoszenia nowej inicjatywy antyterrorystycznej - wtedy tylko wymienili uściski dłoni i kilka uprzejmości. Ale tym razem facet stał nad nią z kwadratową głową przechyloną pod kątem,

który nie wróżył nic dobrego. Jego małe zmrużone oczka spoglądające zza okularów bez oprawek wyrażały głęboką dezaprobatę. Chociaż była trzecia w nocy, jego rzadkie siwe włosy były starannie uczesane, a krawat zawiązany na węzeł windsorski zwisał nienagannie prosto pod szyją. Tuż za nim wszedł dowódca korpusu sił powietrznych, niosąc teczkę sekretarza.

- Hm, oddzwonię - rzuciła Lucille do telefonu. Odłożyła słuchawkę i posłusznie wstała z krzesła. - Panie sekretarzu, ja...

- Siadaj, Lucy, siadaj. - Machnął ręką. - Darujmy sobie formalności. Chciałem na własne oczy zobaczyć, jak się sprawa posuwa. Siły powietrzne użyczyły mi samolotu, bym mógł się prędko dostać do Nowego Jorku.

Świetnie, pomyślała Lucille. Szkoda, że nikt mnie nie uprzedził.

- Chyba namierzylismy uciekiniera. Otrzymaliśmy informację, że w tej chwili znajduje się w New Jersey i właśnie...

- Co takiego? - Sekretarz pochylił się i przechylił głowę, jakby gorzej słyszał na jedno ucho. - Wydawało mi się, że już go mieliście na Manhattanie. Co się działo na wszystkich punktach kontrolnych, mostach i w tunelach?

Lucille niespokojnie poruszyła się na krześle.

- Niestety, fotografia Davida Swifta dotarła do policji z opóźnieniem. Kiedy rozesłaliśmy ulotki, natychmiast rozpoznał go oficer na Penn Station. Powiedział, że Swift wsiadł do pociągu odjeżdżającego do New Jersey o pierwszej trzydzieści.

- Jak udało mu się wsiąść do pociągu? Miał fałszywe papiery?

- Nie, podobno dołączył do grupy mężczyzn wsiadających do pociągu. Jakaś banda hałaśliwych pijaków. W całym tym zamieszaniu oficer nie zdążył sprawdzić jego dokumentów.

Sekretarz zmarszczył brwi. Lewy kącik jego ust opadł, wykrzywiając się niczym haczyk do wędki.

- To niedopuszczalne. Gdyby to się zdarzyło w armii, ten oficer zostałby rozstrzelany. Wyrok wykonaliby o świcie członkowie jego własnej jednostki.

Lucille nie była pewna, co na to odpowiedzieć. Postanowiła całkowicie zignorować ten dziwaczny komentarz.

- Właśnie rozmawiałam z jednym z naszych agentów w New Jersey. Wsiedli do pociągu na stacji w Trenton, ale nie znaleźli podejrzanego. Teraz badają inną możliwość: Swift mógł wysiąść razem z tą pijaną bandą. Oficer na Penn Station mówi, że byli z Metuchen.

- To nadal nie brzmi obiecująco. Macie jakieś inne ślady?

- Ustawiliśmy zespoły inwigilacyjne przy miejscach zamieszkania współpracowników Swifta z wydziału historii Uniwersytetu Columbia. Kilku z nich mieszka w New Jersey, więc jest szansa, że zwróci się do któregoś o pomoc. Przywieźliśmy również byłą żonę Swifta na przesłuchanie. Jest na dole z synem i z przyjacielem, to starszy mężczyzna nazwiskiem Amory Van Cleve. Mamy zamiar...

- Chwileczkę, jak on się nazywa?

- Amory Van Cleve. Prawnik, jeden z dyrektorów Morton McIntyre i...

- Jezu Chryste! - Sekretarz uderzył się w czoło. - Nie wiesz, kim on jest? Van Cleve odegrał znaczną rolę w ostatnich wyborach, na miłość boską! Zebrał dwadzieścia milionów dolarów na kampanię prezydencką!

Lucille zeszytniała. Nie podobał jej się jego ton.

- Proszę pana, wypełniam tylko rozkazy dyrektora naszego biura. Powiedział mi, żebym poprowadziła tę sprawę z pełnym zaangażowaniem, i właśnie to robię.

Krzywiąc się, sekretarz zdjął okulary i ścisnął palcami grzbiet nosa:

- Wierz mi, Lucy, chcę, żebyś działała agresywnie. Chcę, żebyś włożyła w tę sprawę całą swoją energię. Ten projekt to jeden z priorytetów Pentagonu. Gdyby te informacje wpadły w ręce Irańczyków lub Koreańczyków, konsekwencje byłyby tragiczne. - Z powrotem włożył okulary i spojrzał na nią zmrużonymi oczami, które teraz wyglądały jak para snajperów. - Ale z kimś takim jak Amory Van Cleve nie możesz stosować standardowych technik przesłuchania. Zdobywa największe fundusze na rzecz republikanów w całym kraju. Kiedy prezydent był tu na wiosnę, grał z nim w golfa!

- Co w takim razie pan proponuje?

Spojrzał przez ramię na dowódcę korpusu obrony powietrznej. Mężczyzna bez słowa otworzył walizkę, wyjął teczkę i wręczył ją sekretarzowi, który natychmiast zaczął przeglądać jej zawartość.

- W porządku, tutaj jest napisane, że Swift ma na koncie jakąś historię z nadużywaniem pewnych substancji.

- Miał problem z alkoholem, kiedy miał dwadzieścia parę lat - wyjaśniła Lucille.

Sekretarz obrony wzruszył ramionami:

- Ktoś, kto kiedyś był pijakiem, na zawsze nim pozostanie. Możemy powiedzieć, że później przerzucił się na kokainę i zaczął ją sprzedawać bogatym dzieciakom na Uniwersytecie Columbia. FBI miało go aresztować w domu dla ćpunów w Harlemie, ale razem z kolegami zaskoczył naszych agentów i zabili sześciu z nich. Czy taka przykrywka wystarcza?

Lucille zastanawiała się, jak dyplomatycznie z tego wybrnąć.

- Jest kilka problemów. Po pierwsze, biuro w zwykłych okolicznościach nie...

- Nie chcę znać szczegółów. Proszę jakoś pozmienić tę historyjkę i przekazać ją Van Cleve'owi i byłej żonie Swifta. Być może stracą resztki sympatii dla Swifta i powiedzą nam, gdzie może się ukrywać. Prasie podajcie tę samą historię. W ten sposób uruchomimy polowanie na skalę krajową.

Lucille potrząsnęła głową. Jezu miłosierny! Informowanie sekretarza obrony to jedno, a przyjmowanie od niego rozkazów to drugie. Czy temu pajacowi wydaje się, że może przejąć dowodzenie akcji mającej na celu wyegzekwowanie obowiązujących praw?

- Nie wiem, czy to właściwe podejście - powiedziała. - Być może powinniśmy się skontaktować z dyrektorem biura i

...

- Proszę się tym nie martwić, dyrektor z pewnością się na to zgodzi. Porozmawiam z nim, jak tylko wrócę do Waszyngtonu. - Zamknął teczkę i oddał ją dowódcy korpusu. Później obrócił się na pięcie i wyszedł z sali konferencyjnej. Drugi mężczyzna podążył za nim.

Oburzona Lucille zerwała się z krzesła.

- Chwileczkę, proszę pana! Myślę, że powinien się pan jeszcze raz nad tym zastanowić!

Nawet się nie odwrócił. Uniósł rękę w geście pożegnania i wymaszerował z sali.

- Nie ma czasu na rozmyślanie, Lucy. Idziemy na wojnę z taką armią, jaką dysponujemy.

David już raz odwiedził dom Einsteina przy Mercer Street, kiedy pisał *Na ramionach gigantów*. Jako że był to dom należący do wydziału, nie był otwarty dla zwiedzających, ale kiedy

David złożył na piśmie specjalną prośbę, wyjaśniając swój cel, Institute for Advanced Study wyraził zgodę na półgodzinną wizytę. Te trzydzieści minut okazało się bezcenne dla jego badań. Większość czasu spędził w gabinecie na drugim piętrze, gdzie Einstein wykonywał prawie całą pracę w ostatnich latach swego życia. Trzy ściany pokoju były zastawione sięgającymi aż do sufitu regałami z książkami, a na czwartej ścianie było okienko wychodzące na podwórko na tyłach domu. Davidowi zakreśliło się w głowie, kiedy spojrzął na biurko pod oknem. Jego myśli powędrowały pół wieku wstecz i wydawało mu się, że widzi Einsteina zgarbionego nad biurkiem, godzinami skrobącego piórem, wypełniającego kartkę po kartce metrykami czasoprzestrzennymi i tensorami Ricciiego.

Zbliżając się do domu po ciemku, David zauważył, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat trochę tu ogarnięto. Ktoś postawił doniczki z kwiatami na ganku i przyciął niesforną winorośl, która swego czasu oplatała rynnę. David po cichuteńku wszedł schodkami na ganek i podszedł do drzwi frontowych. Nacisnął dzwonek, który wydał niesamowicie głośny dźwięk, i czekał. Ku jego przerażeniu nie zapaliło się żadne światło. Minęło pół minuty, zanim po raz kolejny nacisnął dzwonek, nasłuchując jakichkolwiek oznak życia. Cholera, pomyślał, może nikogo nie ma w domu? Być może Monique wyjechała na weekend?

Był coraz bardziej zdesperowany i już miał nacisnąć dzwonek po raz trzeci, ale jego wzrok przykuł dziwny szczegół. Najwyraźniej niedawno przebudowano framugę. Nowe węgaraki były jeszcze niepomalowane, zainstalowano nowy zamek z błyszczącą brązową dziurką na klucz. Całość wyglądała na pospieszoną i niestaranną robotę, co kontrastowało z zadbanym wyglądem reszty domu. Ale zanim zdążył się nad tym porządnie zastanowić, usłyszał za sobą okrzyk:



- Hej, dupku!

Obrócił się i ujrzał bosego młodzieńca bez koszuli wchodzącego po schodkach na ganek. Facet miał na sobie tylko dzinsy. Miał długie, jasne włosy i imponująco umięśnioną klatkę, ale uwagę Davida zwrócił kij baseballowy w jego rękę.

- Tak, do ciebie mówię - powiedział mężczyzna, zupełnie niepotrzebnie zresztą. - Co ty, do cholery, robisz? Sprawdzasz, czy nikogo nie ma?

David odsunął się od drzwi, pokazując, że nie ma żadnej broni.

- Przepraszam, że przeszkadzam o tak późnej porze. Jestem David...

- Przepraszasz? Mówisz, że niby przepraszasz? Zaraz przeprosisz, gnoju!

Gdy tylko facet stanął na ganku, zamachnął się kijem na Davida, uderzając w powietrze kilka centymetrów od głowy, tak blisko, że ten usłyszał świst.

- Jezu! - krzyknął David. - Przestań! Jestem przyjacielem...

- Na pewno nie moim. - Mężczyzna zbliżał się. - Jesteś pieprzonym nazistą.

Chwytał kij i szykował się do kolejnego ciosu.

Nie było czasu na zastanawianie, więc David zaufał instynktowi. Potrafił walczyć. Ojciec nauczył go podstawowej zasady: nie bać się nieczystych zagrań. Cofnął się, a kiedy blondyn wziął zamach, ruszył na niego i kopnął go w jaja. Facet zgiął się wpół, a wtedy David uderzył go przedramieniem w klatkę piersiową, przewracając na ziemię. Z głośnym stukotem uderzył plecami o ganek. Kiedy próbował złapać oddech, David wyrwał mu kij z rąk. Trzy sekundy i było po wszystkim.

David pochylił się nad leżącym mężczyzną.

- Dobra, spróbujemy jeszcze raz - powiedział. - Przepraszam, że przeszkadzam o tak późnej porze. Nazywam się...

- Ręce do góry, skurwielu!

David spojrział w górę i zobaczył w drzwiach Monique z wymierzonym w niego pistoletem. Jej piękne oczy lśniły. W dłoniach trzymała zgrabny rewolwer. Jaskrawożółta koszulka nocna osłaniała jej uda, falując delikatnie na wietrze.

- Rzuć kij i odejź od niego - rozkazała.

David posłuchał. Upuścił kij na ziemię i cofnął się trzy kroki.

- Monique - zaczął. - To ja, David. Jestem...

- Zamknij się, do cholery! - W dalszym ciągu mierzyła w jego głowę, najwyraźniej go nie poznając. - Keith, wszystko w porządku?

Jasnowłosy facet podniósł się na łokciu.

- Nic mi nie jest - powiedział słabym głosem.

- Monique, to ja - powtórzył David. - David Swift. Poznaaliśmy się na konferencji Struny '89, kiedy wygłaszałaś referat o rozmaitościach Calabi-Yau.

- Powiedziałam, żebyś się zamknął! - krzyknęła, ale David już wiedział, że zwrócił jej uwagę. Zmarszczyła brwi.

- David Swift - powtórzył kolejny raz. - Byłem wtedy doktorantem na Uniwersytecie Columbia. Teoria względności w dwuwymiarowej czasoprzestrzeni. Pamiętasz?

Otworzyła usta, jakby zaczynała sobie przypominać, ale tak jak David się spodziewał, nie była zachwycona. Wydała się teraz jeszcze bardziej wściekła. Spojrzała na niego ponuro, opuszczając rewolwer i klikając zabezpieczenie.

- Co się do diabła dzieje? Czemu przychodzisz tu w środku nocy? O mało nie rozwaliłam ci głowy.

- Znasz tego gościa, Mo? - spytał Keith. Wreszcie udało mu się stanąć na nogi.

Kiwnęła głową.

- Znałam go na studiach. Bardzo słabo.

Szybkim ruchem otworzyła bębenek rewolweru i wytrząsnęła pociski na dłoń.

W domu obok zapaliły się światła.

Cholera, pomyślał David. Jeśli się nie uciszymy, ktoś wezwie gliny. Popatrzył na Monique błagalnym wzrokiem.

- Słuchaj, potrzebuję twojej pomocy. Nie zawracalbym ci głowy, gdyby to nie było coś ważnego. Możemy wejść do środka i porozmawiać?

Monique nadal przyglądała mu się groźnym wzrokiem. Po kilku sekundach jednak westchnęła.

- A niech tam, wchodź. I tak już nie zasnę.

Przytrzymała mu drzwi. Keith podniósł kij i przez chwilę Davidowi wydawało się, że jeszcze raz się na niego zamachnie, ale on tylko potrząsnął głową.

- Ech, przepraszam - powiedział. - Myślałem, że jesteś kolejnym nazistowskim bucem. Sprawiają Mo trochę kłopotu.

- Naziści? O czym ty mówisz?

- Zobaczysz, jak wejdziemy do środka.

David wszedł wąskim korytarzem do małego salonu z ceglany kominkiem po jednej stronie i oknem wykuszowym po drugiej. Pamiętał z poprzedniego pobytu w tym domu, że nad kominkiem wisiała potężna drewniana obudowa, ale teraz wyglądała, jakby ktoś ją potraktował siekierą. Polakierowana półka była na całej długości pokryta głębokimi bruzdami. Sam kominek też był zdewastowany - co najmniej tuzin cegieł

wydlubano lub wyszczerbiono. Na ścianach salonu było pełno dziur, które prawdopodobnie zrobiono młotem, a klepki z podłogi w kilku miejscach zerwano, zostawiając pod nogami czarne kraterki. Ale najgorsze ze wszystkiego były widniejące dookoła swastyki: wryte na kominku, wycięte dłutem na pozostałych klepkach, wymalowane sprayem na ścianach. Na suficie, nie wiedzieć jak, wymalowano dwie czerwone swastyki, a między nimi napis: DO DOMU CZARNUCHU.

- O nie! - wyszeptał David.

Odwrócił się do Monique, która odłożywszy rewolwer i naboje na kominek, spoglądała na sufit.

- Jacyś huligani, pewnie uczniowie liceum - powiedziała. - Widziałam, jak przesiadują na przystanku w skórzanych kurtkach i martensach. Pewnie zobaczyli moje zdjęcie w gazecie i pomyśleli: O kurde, co za okazja! Czarna suka mieszka w domu najślawniejszego Żyda na świecie. Co może być lepszego?

David skrzywił się:

- Kiedy to się stało?

- W zeszły weekend, kiedy byłam u przyjaciół w Bostonie. Skurwiele byli na tyle sprytni, żeby poczekać, aż nikogo nie będzie w domu, a potem wyważyli drzwi frontowe. Nie pisali sprayem po zewnętrznej stronie, bo wiedzieli, że ktoś z ulicy mógłby ich przyuważyć.

David pomyślał o gabinecie na drugim piętrze.

- Pokoje na górze też zdewastowali?

- Tak, prawie wszystko zniszczyli. Wyrwali nawet trawę na tyłach domu. Na szczęście nie ruszyli kuchni i nie wyżywali się za bardzo na meblach - wskazała czarną skórzaną sofę, chromowany stolik do kawy i czerwone krzesło. Te przedmioty akurat nigdy nie należały do Einsteina.

Keith przekroczył jedną z dziur w podłodze, wetknąwszy kciuki do kieszeni dżinsów. David dopiero teraz zauważył, że ma szczerą twarz dwudziestojednolatka, a na lewym ramieniu wytatuowanego grzechotnika.

- Usłyszeliśmy, że dzwonisz, zdawało nam się, że to kolejny huligan sprawdza, czy dom jest pusty. Uznaliśmy, że gnojki uciekną, jak pozapalamy światła, więc wyszedłem na zewnątrz tylnymi drzwiami, żeby ich zaskoczyć.

Monique objęła Keitha w pasie i oparła głowę na jego wytatuowanym ramieniu.

- Keith jest naprawdę kochany - powiedziała. - W tym tygodniu śpi u mnie noc w noc.

Keith odpowiedział, ściskając biodro Monique i całując czubek jej głowy.

- A co innego miałbym zrobić? Jesteś moją najlepszą klientką. - Odwrócił się do Davida z szerokim uśmiechem na młodzieńczej twarzy: - Wiesz, naprawiam auto Monique w Princeton Auto Shop. Ma zajebistą corvetę, ale z wybuchowym charakterkiem.

David przez chwilę patrzył na nich zdezorientowany. Monique, uznany naukowiec, specjalista od teorii strun, umawia się ze swoim mechanikiem? Wydawało się to nieprawdopodobne. Ale szybko przegnał tę myśl, miał poważniejsze problemy.

- Monique, moglibyśmy gdzieś usiąść? Wiem, że przecho dzisz teraz ciężkie chwile, ale jestem w strasznych opałach i muszę wykombinować, o co w tym wszystkim chodzi.

Uniosła brwi i spojrzała na niego uważnie, jak gdyby dopiero teraz spostrzegła, że jest zdesperowany.

- Możemy pójść do kuchni - zaproponowała. - Jest bała gan, ale przynajmniej żadnych swastyk.

Kuchnia była duża i nowoczesna. Została dobudowana kilka lat temu, zamiast starej ciasnej kuchenki, w której niegdyś gotowała Elsa, druga żona Einsteina. Pod rzędem szafek znajdował się szeroki marmurowy blat, a we wnęce stał okrągły stół. Ale chociaż kuchnia była duża, nawet jak na podmiejskie standardy, każdy kąt był zapchany pudłami, lampami i bibelotami przeniesionymi tutaj z innych pomieszczeń. Monique poprowadziła Davida do stołu i zdjęła stos książek z jednego z krzesel.

- Przepraszam za nieporządek, ale musiałam przynieść tu trochę rzeczy - powiedziała. - Gabinet jest w opłakanym stanie.

David pomógł jej uprzątnąć stół i krzesła. Przekładając stos książek na parapet, rozpoznał jedną z nich: *Na ramionach gigantów*.

Monique jęknęła ze zmęczenia, gdy w końcu usiedli. Potem odwróciła się do Keitha, delikatnie kładąc dłoń na jego kolanie.

- Kochanie, zrobiłbyś kawy? Muszę się napić.

Poklepał ją po dłoni.

- Jasne. Colombian supremo, tak?

Kiwnęła głową, po czym przyglądała się, jak podchodzi do ekspresu do kawy na drugim końcu kuchni. Kiedy oddalił się na bezpieczną odległość, pochyliła się nad stołem do Davida:

- Dobra. W czym problem?

Kiedy Simon był w specnazie, walcząc z czeczeńskimi powstańcami, nauczył się pożytecznej techniki lokalizowania wroga. Można ją było streścić w ośmiu słowach: żeby kogoś znaleźć, musisz wiedzieć, czego on chce. Na przykład czeczeń-

ski buntownik chce zabić rosyjskich żołnierzy, więc trzeba go szukać w górach niedaleko baz wojskowych. Bardzo proste. Ale w przypadku Davida Swifta dochodził skomplikowany czynnik: Amerykanie też go szukali. Zakładając, że ten profesor historii ma co nieco w głowie, można przewidzieć, że będzie się trzymał z daleka od własnego mieszkania, gabinetu na Uniwersytecie Columbia i każdego miejsca, gdzie może na niego czekać FBI. Simon znów musiał improwizować. Z pomocą internetu rozpoczął poszukiwanie ukrytych pragnień Davida Swifta.

O trzeciej nad ranem nadal wpatrywał się w ekran laptopa w niebotycznie drogim apartamencie w holetu Waldorf Astoria. Włamał się do sieci wewnętrznej Uniwersytetu Columbia i po chwili dokonał szczęśliwego odkrycia: administrator monitorował działania pracowników wydziału w internecie, prawdopodobnie po to, by upewnić się, że nie oglądają filmów pornograficznych podczas dyżurów. Simon zachichotał - Sowieciom by się to spodobało. Co więcej, zapis użytkownika sieci nie był nawet zaszyfrowany. Wystarczyło kilka uderzeń klawiszy, żeby zapisać adres każdej strony, którą David Swift odwiedził w ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy.

Na ekranie pojawiła się długa lista adresów - było ich dokładnie 4755. Za dużo, żeby je wszystkie przeglądać. Ale można było skrócić listę: wybrać tylko wyszukiwanie w Google. To, czego szukasz, pokazuje, czego pragniesz, pomyślał Simon. Google były nowym oknem ludzkiej duszy.

Znalazł 1126 wyszukiwanych adresów. To nadal dużo, ale można było się teraz skupić na wpisywanych słowach. Miał na komputerze program, który rozpoznawał imiona własne w dowolnej próbce tekstu. Analiza wybranych adresów pokazała, że David Swift wpisał imiona w 147 wyszukiwaniach.

Teraz lista była na tyle krótka, że Simon mógł przejrzeć wszystkie elementy, ale Swift jeszcze bardziej ułatwił mu robotę. Tylko jedno nazwisko pojawiło się więcej niż raz. David Swift szukał kogoś, kto nazywał się Monique Reynolds w trzy różne dni, począwszy od września. A kiedy Simon sam spróbował ją znaleźć, wiedział już, dlaczego tak było.

Zadzwoił na recepcję i powiedział portierowi, by kazał wyprowadzić jego mercedesa za pięć minut. Wybierał się do New Jersey odwiedzić ostatni dom Żyda Wiecznego Tułacza z Bawarii.

David wziął głęboki oddech:

- Hans Kleinman nie żyje - zaczął. - Zamordowano go dzisiaj w nocy.

Monique podskoczyła na krześle, jakby ją ktoś uderzył. Otworzyła usta w pełnym zdziwienia O.

- Zamordowano go? Jak? Kto to zrobił?

- Nie wiem. Policja twierdzi, że to był nieudany napad rabunkowy, ale wydaje mi się, że to coś innego. - Przerwał. Jego teoria na temat śmierci profesora była w najlepszym wypadku niekompletna i zupełnie nie wiedział, jak ją przedstawić Monique. - Rozmawiałem z Kleinmanem w szpitalu na chwilę przed tym, zanim umarł. I tak zaczął się ten cały koszmar.

Już miał opowiedzieć jej, co się stało w kwaterze FBI na Liberty Street, ale umilkł. Lepiej działać powoli. Nie chciał jej wystraszyć na samym początku.

Potrząsnęła głową, wpatrując się ślepo w stół.

- Rany boskie! - powiedziała. - To straszne. Najpierw Bouchet, a teraz Kleinman.

Na dźwięk pierwszego nazwiska, które wymieniła, David zadrzał.



- Bouchet?

- Tak, Jacques Bouchet z uniwersytetu w Paryżu. Znasz go, prawda?

David znał go nawet dość dobrze. Bouchet był jednym ze starych wielkich francuskich fizyków, wybitnym uczonym, który pomógł zaprojektować najpotężniejsze akceleratory cząstek w Europie. Był również jednym z asystentów Einsteina na początku lat pięćdziesiątych.

- Co mu się stało?

- Jego żona dzwoniła dzisiaj do dyrektora instytutu. Powiedziała, że Bouchet zmarł w zeszłym tygodniu, i chciała uczcić jego pamięć, zakładając fundację. Dyrektor był zaskoczony, bo nigdzie nie natknął się na jego nekrolog. Żona powiedziała, że rodzina trzymała to w tajemnicy, bo chodzi o samobójstwo. Podobno podciął sobie żyły w wannie.

David przeprowadził rozmowę z Bouchetem w ramach badań, pisząc *Na ramionach gigantów*. Zjedli wystawny obiad w wiejskiej posiadłości fizyka w Prowansji i do trzeciej naderanem grali w karty. Bouchet był mądrym, zabawnym i bez troskim człowiekiem.

- Był chory? Dlatego to zrobił?

- Dyrektor nic o tym nie wspominał. Ale mówił, że jego żona robiła wrażenie, jakby sama nie mogła w to uwierzyć.

Myśli Davida gnały jak szalone. Najpierw Bouchet, teraz Kleinman. Dwóch asystentów Einsteina umiera w odstępnie tygodnia. Oczywiście, byli już starzy, mieli albo siedemdziesiąt parę albo osiemdziesiąt lat. Można było się spodziewać, że zaczną odchodzić. Ale nie w ten sposób.

- Masz może komputer, z którego mógłbym skorzystać?  
- zapytał. - Muszę coś sprawdzić w internecie.

Zdezorientowana Monique wskazała czarny laptop leżący na blacie kuchennym obok jakiegoś pudełka.

- Możesz skorzystać z mojego macbooka, ma bezprzewodowy dostęp do sieci. Czego chcesz szukać?

David położył laptop na stole, włączył go i otworzył stronę wyszukiwania Google.

- Amil Gupta - wyjaśnił, wpisując nazwisko do wyszukiwarki. - On również pracował z Einsteinem w latach pięćdziesiątych.

Wyniki pojawiły się w ułamku sekundy. David szybko przesuwiał listę stron. Większość z nich dotyczyła pracy Gupty w Instytucie Robotyki na Uniwersytecie Carnegie Mellon. W latach osiemdziesiątych, po trzydziestu latach pracy naukowej, Gupta przestał zajmować się fizyką i założył firmę produkującą oprogramowanie. Dziesięć lat później przedsiębiorstwo było warte kilkaset milionów dolarów. Gupta został filantropem, finansował różne dziwaczne projekty, ale najbardziej interesowało go zagadnienie sztucznej inteligencji. Przekazał pięćdziesiąt milionów dolarów Instytutowi Robotyki, a kilka lat później stał się jego dyrektorem. Kiedy David z nim rozmawiał, ciężko mu było wydobyć jakiegokolwiek informacje o Einsteinie. Gupta chciał rozmawiać tylko o robotach.

David przejrzał ponad sto wyników, nim upewnił się, że nie było żadnych strasznych wiadomości na temat Amila Gupty. Marne to było pocieszenie. Mógł już nie żyć, tylko nikt jeszcze nie odkrył ciała.

Gdy wpatrywał się w ekran laptopa, Keith podszedł do stołu, trzymając w każdej ręce kubek kawy. Jeden dał Davidowi:

- Proszę - powiedział. - Chcesz mleka albo cukru?

David z wdzięcznością wziął od niego kubek. Jego umysł rozpaczliwie domagał się kofeiny.

- Nie, nie, lubię czarną. Dzięki.

Keith podał drugi kubek Monique.

- Słuchaj, Mo, pójdę na górę. Muszę być w warsztacie o ósmej rano. - Położył jej dłoń na ramieniu i pochylał się, zbliżając twarz do jej policzka. - Poradzisz sobie?

Ścisnęła jego dłoń i uśmiechnęła się.

- Tak, nic mi nie będzie. Idź, odpocznij, kochanie.

Pocałowała go w policzek, a kiedy odchodził, poklepała go po tyłku.

David obserwował jej twarz, pijąc kawę wielkimi łykami. To, co teraz czuła, było oczywiste. Najwyraźniej bardzo lubiła tego gościa. I choć była od niego dwadzieścia lat starsza, w tej chwili wyglądali jak rówieśnicy. Odkąd David widział ją po raz ostatni na kanapie w jej malutkim studenckim mieszkaniu, prawie w ogóle się nie zmieniła na twarzy.

Po kilku sekundach Monique zorientowała się, że David się jej przygląda. Zawstydzony podniósł kubek do ust i wypił połowę duszkiem, choć napój był gorący. Potem odstawił kubek na stół i spojrzał na ekran laptopa. Chciał sprawdzić jeszcze jedno nazwisko. Wpisał w wyszukiwarkę „Alastair MacDonald”.

MacDonald był najbardziej pechowym asystentem Einsteina. W 1958 roku przeszedł załamanie nerwowe i musiał odejść z Institute for Advanced Study. Pojechał do swego rodzinnego domu w Szkocji, ale nigdy do końca się nie otrząsnął. Zaczął się dziwnie zachowywać, pokrzykiwał na przechodniów na ulicach Glasgow. Kilka lat później zaatakował policjanta i rodzina postanowiła umieścić go w zakładzie dla obłąkanych. David odwiedził go w 1995 roku i choć MacDonald uściskał

mu dłoń i usiadł, by z nim porozmawiać, nie odpowiedział ani słowem na pytania dotyczące pracy z Einsteinem. Tylko siedział i patrzył przed siebie.

Na ekranie pojawiła się długa lista adresów, ale przejrawszy je, David stwierdził, że odnoszą się do innych ludzi - Alastair MacDonald, pieśniarz ludowy, Alastair MacDonald, australijski polityk, i tak dalej. Ani śladu Alastaira MacDonalda, fizyka.

Monique wstała i spojrzała mu przez ramię.

- Alastair MacDonald? Kto to taki?

- Kolejny asystent Einsteina. Wypadł z obiegu, że tak powiem, więc trudno znaleźć o nim jakiegokolwiek informacje.

Pokiwała głową.

- A, prawda, wspominałeś o nim w swojej książce. To ten, który zwariował, tak?

David poczuł się mile polechtany. Całkiem dokładnie przeczytała *Na ramionach gigantów*. Podszedł do parapetu, podniósł egzemplarz własnej książki i otworzył rozdział o MacDonaldzie. Znalazł nazwę zakładu, w którym go umieszczono - Instytut Psychiatryczny Holyrood. Pochylił się nad laptopem i wpisał tę nazwę w wyszukiwarce, obok nazwiska Alastaira MacDonalda.

Wyskoczył tylko jeden wynik. David kliknął na adres strony i chwilę później na ekranie pojawiła się internetowa wersja gazety „Glasgow Herald”, a konkretnie mówiąc, krótka wzmianka z trzeciego czerwca, czyli sprzed dziewięciu dni:

#### DOCHODZENIE W HOLYROOD Szkockie

Ministerstwo Zdrowia ogłosiło, że przeprowadzi dochodzenie w sprawie śmiertelnego wypadku w Instytucie Psychiatrycznym Holyrood. Jednego z mieszkańców,

osiemdziesięcioletniego Alastaira MacDonalda, znaleziono martwego w sali do hydroterapii wczesnym rankiem w poniedziałek. Urzędnicy z ministerstwa powiedzieli, że MacDonald wyszedł z pokoju w nocy i utonął w jednym z basenów. Ministerstwo chce ustalić, czy do wypadku przyczyniło się niedopatrzenie personelu dyżurującego w nocy.

David zadrżał, patrząc na ekran. MacDonald utonął w basenie do hydroterapii, Bouchet podciął sobie żyły w wannie. W tej chwili przypomniał sobie, co Rodriguez powiedział w Szpitalu Świętego Łukasza: policja znalazła Kleinmana w łazience. Trzech starych fizyków łączyła nie tylko historia współpracy z Einsteinem, ale również koszmarny modus operandi. Ci sami zwyrodnialcy, którzy zakatowali na śmierć Kleinmana, zabili również MacDonalda i Boucheta, pozorując wypadek i samobójstwo. Ale motyw, jaki był motyw? Jediną wskazówką były ostatnie słowa Kleinmana: *Einheitliche Feldtheorie*. Niszczyciel światów.

Monique pochyliła się nad Davidem, chcąc przeczytać mu przez ramię notatkę z gazety. Gdy przeczytała, jej oddech przyspieszył.

- Cholera - szepnęła. - To bardzo dziwne.

David odwrócił się i spojrzął jej w oczy.

- Co wiesz na temat prac Einsteina dotyczących zunifikowanej teorii pola?

- Co takiego? - cofnęła się. - Prace Einsteina? Co to ma...

- Cierpliwości. Mam na myśli próby wyprowadzenia równania pola, które obejmowałyby grawitację i elektromagnetyzm. Wiesz, pięciowymiarowe różnorodności, geometria postrie-mannowska. Jak dobrze znasz te prace?

Wzruszyła ramionami:

- Niezbyt dobrze. Te materiały mają tylko historyczną wartość. Nie mają żadnego odniesienia do teorii strun.

David zmarszczył brwi. Być może zbyt optymistycznie założył, że Monique zna ten temat na wylot i będzie umiała pomóc mu zbadać wszelkie możliwości.

- Jak możesz tak mówić? Oczywiście, że to się łączy z teorią strun. A co powiesz o pracy Einsteina z Kaluzą? Oni jako pierwsi sugerowali istnienie piątego wymiaru. A ty przecież poświęciłaś całą swoją karierę badaniu dodatkowych wymiarów!

Potrząsnęła głową. Przybrała wyraz twarzy umęczonego profesora, który wyjaśnia podstawowe pojęcia opornemu pierwszakovi.

- Einstein chciał stworzyć klasyczną teorię. Teorię z wyraźną przyczyną i skutkiem, bez żadnych dziwacznych kwantowych niepewności. Ale teoria strun czerpie z mechaniki kwantowej. To teoria kwantowa, która obejmuje również grawitację i dlatego jest całkowicie różna od tego, czym zajmował się Einstein.

- Ale w późniejszych pracach przyjął nowe podejście - argumentował David. - Próbował włączyć mechanikę kwantową w bardziej ogólną teorię. Teoria kwantowa byłaby przypadkiem szczególnym w obrębie szerszej, klasycznej teorii.

Monique lekceważąco machnęła ręką.

- Wiem, wiem. Ale koniec końców, co z tego wynikło? Żadne z proponowanych przez niego rozwiązań się nie utrzymało. Jego ostatnie prace to czysty nonsens.

Twarz Davida poczerwieniała. Nie podobał mu się jej ton. Być może nie był geniuszem matematycznym tak jak ona, ale wiedział, że tym razem ma rację.

- Einstein odkrył poprawne rozwiązanie, tylko go nie opublikował.

Przekrzywiła głowę i spojrzała na niego pytająco. Kąciki jej ust leciutko się uniosły.

- Doprawdy? Czyżby ktoś przesłał ci zaginiony manuskrypt?

- Nie, Kleinman mi to powiedział, zanim umarł. Powiedział: „*Herr Doktorowi* się udało”. To jego dokładne słowa. Dlatego zginął dzisiaj w nocy, dlatego oni wszyscy zginęli.

Monique usłyszała nacisk w jego głosie, jej twarz spoważniała.

- David, rozumiem, że jesteś zdenerwowany, ale to, co sugerujesz, jest niemożliwe. Einstein nie mógł sformułować zunifikowanej teorii. Znał się tylko na grawitacji i elektro magnetyzmie. Fizycy nie rozumieli oddziaływań słabych do lat sześćdziesiątych, a silne zrozumieli dopiero dziesięć lat temu. Jak w takim razie mógł Einstein sformułować teorię ostateczną, jeśli nie znał dwóch z czterech podstawowych sił? To tak jakbyś chciał ułożyć puzzle, nie mając połowy kawałków.

David chwilę się nad tym zastanowił.

- Nie musiał znać wszystkich szczegółów, żeby skonstruować ogólną teorię. To przypomina raczej krzyżówkę, a nie puzzle. Jeśli masz wystarczająco dużo haseł, możesz wymyślić, jaki jest wzór, a brakujące litery uzupełnić później.

Monique nie była przekonana. Po wyrazie jej twarzy David widział, że nadal uważa cały pomysł za absurdalny.

- No dobra, jeżeli udało mu się stworzyć prawdziwą teorię, dlaczego jej nie opublikował? Czy nie o tym marzył przez całe życie?

Pokiwał głową.

- O tym. Ale to wszystko miało miejsce kilka lat po wydarzeniach w Hiroszynie. I chociaż Einstein nie przyłożył ręki do skonstruowania bomby atomowej, wiedział, że jego rów-

nianie wskazało do niej drogę.  $E = mc^2$ , olbrzymia ilość energii z maleńkich cząstek uranu. To go dręczyło. Kiedyś powiedział: „Gdybym wiedział, że to zrobią, zostałbym szewcem”.

- Wiem, wiem, słyszałam to już.

- Zastanów się nad tym przez chwilę. Gdyby Einstein istotnie sformułował zunifikowaną teorię, nie martwiłby się, że historia się powtórzy? Wiedział, że musi przewidzieć implikacje takiego odkrycia, wszelkie możliwe konsekwencje. I chyba przewidział, że teorię można będzie wykorzystać do celów militarnych. Być może posłużyłaby do stworzenia czegoś jeszcze gorszego niż bomba atomowa?

- O czym mówisz? Co może być gorsze?

David pokręcił głową. To był najstarszy punkt jego argumentacji. Nie miał pojęcia, czym jest *Einheitliche Feldtheorie*, a tym bardziej nie wiedział, do czego może prowadzić.

- Nie wiem, ale to musi być coś potwornego. Coś tak koszmarnego, że Einstein uznał, że nie może opublikować teorii. Ale z drugiej strony nie mógł jej zarzucić. Wierzył, że fizyka jest objawieniem boskiego dzieła. Nie mógł tak po prostu wykreślić teorii i udawać, że nigdy nie istniała. Zamiast tego powierzył ją swoim asystentom. Prawdopodobnie dał każdemu z nich małą cząstkę teorii i polecił pilnować jej jak oka w głowie.

- A co by to dało? Jeśli teoria jest taka straszliwa, asystenci też nie mogliby jej opublikować.

- Myślał o przyszłości. Einstein był niepoprawnym optymistą. Wydawało mu się, że za kilka lat Amerykanie i Rosjanie złożą broń i wspólnie stworzą światowy rząd. Wtedy wojna stałaby się przeżytkiem i wszyscy żyliby w pokoju. Jego asystenci mieli poczekać na ten dzień i dopiero wtedy ujawnić teorię. - David poczuł nagle, że oczy go pieką. - Czekali całe życie.



Monique spojrzała na niego ze współczuciem, ale najwyraźniej nie uwierzyła w ani jedno słowo.

- To niezwykle hipoteza, David. A niezwykle twierdzenia wymagają niezwykle dowodów.

David wyprostował się.

- Kleinman przekazał mi sekwencję cyfr, kiedy z nim rozmawiałem dziś w nocy w szpitalu. Powiedział, że to klucz, który dał mu Einstein i teraz zostawia go mnie.

- No, ale to...

- Nie, to nie jest dowód. Dowodem jest to, co stało się później.

Opowiedział jej o przesłuchaniu w kwaterze FBI i masakrze, która się tam potem dokonała. Najpierw tylko patrzyła na niego z niedowierzaniem, ale kiedy opisał, jak pogasły światła, a echo wystrzałów niesło się po korytarzu, nieświadomie złapała za brzeżek koszuli nocnej i ścisnęła go w pięści. Kiedy skończył, Monique była tak samo zszokowana, jak on, kiedy wychodził z garażu przy Liberty Street. Złapała go za ramię:

- O Boże! - wyszeptała. - Kto napadł na to miejsce? Terrorysty?

- Nie wiem, nikogo nie widziałem. Widziałem tylko ciała agentów FBI. Ale założę się, że to ci sami ludzie, którzy zabili Kleinmana, Boucheta i MacDonalda.

- Skąd wiesz? Może to FBI ich zabiło? Wygląda na to, że rząd i terroryści polują na to samo.

Potrząsnął głową.

- Nie, FBI zabrałoby ich na przesłuchanie. Myślę, że terroryści pierwsi dowiedzieli się o zunifikowanej teorii. Być może któryś z nich, Kleinman, Bouchet albo MacDonald puścił farbę. I terroryści zaczęli ich tropić, torturami wyciągając z nich informacje. Ale kiedy uczeni zaczęli umierać jeden po drugim,

amerykańskie agencje wywiadowcze musiały się zorientować, że coś jest nie tak. Dlatego agenci FBI tak prędko pojawili się w szpitalu. Prawdopodobnie obserwowali Kleinmana już od jakiegoś czasu.

David podniósł głos, relacjonując ten scenariusz, a jego ostatnie słowa odbiły się echem od ścian kuchni. Uspokoiwszy się, spojrzał na Monique, żeby sprawdzić jej reakcję. Nie miała już tak sceptycznego wyrazu twarzy jak na początku, ale nie była jeszcze całkowicie przekonana. Puściła jego ramię i popatrzyła na ekran laptopa, na którym teraz włączył się wygaszacz przedstawiający animację z wirującą różnorodnością Calabi-Yau.

- To nie ma sensu - powiedziała. - To znaczy, pewnie masz rację z tymi zabójstwami, pewnie terroryści ścigali Kleinmana i pozostałych ze względu na jakiś tajny projekt, nad którym wszyscy pracowali. Ale nie chce mi się wierzyć, żeby ten projekt to była zunifikowana teoria, którą asystenci Einsteina rzekomo ukrywali przez pięćdziesiąt lat. To zbyt niewiarygodne.

Znów pokiwał głową. Rozumiał jej niedowierzanie. To nie była tylko kwestia jej przekonania o wyższości teorii kwantowej nad klasyczną. Chodziło o pracę jej życia. David sugerował, że cały dorobek, który ona i inni naukowcy broniący teorii strun zgromadzili w ciągu ostatnich dwudziestu lat, cały z trudem osiągnięty postęp, wszystkie spostrzeżenia i doskonałe przekształcenia nagle traciły znaczenie. Uczony, który umarł, zanim większość z nich przyszła na świat, zdołał zgarnąć pierwszą nagrodę - teorię ostateczną. A taka możliwość była, delikatnie mówiąc, ciężka do przyjęcia.

Odwrócił się od Monique, zastanawiając się, jak ją przekonać. Miał odkrywcze twierdzenie, ale potrzebował niezwykłego

dowodu. Nie miał nawet wystarczająco dobrego dowodu. Wpatrując się w ściany kuchni, wpadł jednak na nowy pomysł. To nie była przyjemna myśl; szczerze mówiąc, była tak odrażająca, że serce zaczęło mu walić jak oszalałe. Ale to był jakiś dowód.

- Rozejrzyj się - powiedział, zwracając się do Monique i wskazując na ściany i szafki. - Popatrz na tę kuchnię. Nie zniszczono jej, nie ma żadnych graffiti, ani jednej swastyki.

Popatrzyła na niego, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

- No i co z tego?

- Dlaczego banda skinów z New Jersey miałyby niszczyć wszystkie pokoje, oszczędzając kuchnię? Nie wydaje ci się to dziwne?

- A co to ma wspólnego z...

- Nie było żadnych skinów, Monique. Ktoś przeczesał to miejsce, szukając notatników Einsteina. Szukali pod podłogą, wykopali dziury w ogródku i dłubali w ścianach. Namalowali swastyki, żeby to wyglądało na robotę zwykłych wandalów. Nie ruszali kuchni, bo wiedzieli, że dobudowano ją długo po śmierci Einsteina, więc tutaj nie mógł nic ukryć. Z tego samego powodu nie interesowały ich twoje meble.

Monique uniosła dłoń, zakrywając usta. Jej długie szczupłe palce dotknęły warg.

- Gdybym miał zgadywać - ciągnął David - powiedziałbym, że to FBI przeszukało ci dom. Terrorysty nie czekaliby, aż wyjedziesz na weekend. Zabiliby cię we śnie. Zgaduję również, że agenci FBI nie znaleźli żadnych notatek. Einstein był na to za mądry. Nie zostawiłby nic na piśmie.

Chociaż Monique zakryła dłonią usta, David widział, jak zmienia się wyraz jej twarzy. Jej oczy najpierw rozszerzyły się ze strachu i zdziwienia, ale po paru sekundach zwęziły

się, a pomiędzy brwiami pojawiła się głęboka pionowa bruzda. Monique była teraz wściekła, aż się w niej gotowało. Skini neonaziści stanowili problem, ale agenci federalni malujący swastyki na ścianach, aby ukryć tajną operację? To była zupełnie inna kategoria zagrożenia.

W końcu opuściła dłoń i znów chwyciła Davida za ramię.

- Jakie cyfry podał ci Kleinman?

Simon nie miał trudności w przedostaniu się na drugą stronę rzeki Hudson. Punkt kontrolny znajdował się przy wjeździe do Lincoln Tunnel, gdzie dwóch policjantów kazało mu opuścić szybę, żeby pies mógł wsunąć nos do samochodu i powęszyć. Simon jeszcze w hotelu zdążył się przebrać i zmyć wszelkie ślady C-4 ze skóry, więc owczarek niemiecki tylko tępo popatrzył na kierownicę. Simon pokazał policjantom dokument - bezbłędnie podrobione prawo jazdy ze stanu Nowy Jork - i machnęli rękami, przepuszczając go.

Pięć minut później był na rogatkach New Jersey, jadąc drogą wokół ciemnych, wilgotnych bagien Meadowland. Mógł jechać tak szybko, jak mu się podobało, ponieważ o czwartej nad ranem autostrada była prawie pusta, a wszyscy strażnicy z New Jersey pomagali nowojorskiej policji przy mostach i tunelach. Przemknął więc obok lotniska w Newark z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, a potem skierował się na zachód w stronę rozrastającej się wciąż rafinerii Exxon.

To była najcichsza, najbardziej martwa pora nocy. Przed nim z ciemności wylaniały się kolumny destylacyjne rafinerii. Z urządzeń do spalania odpadów petrochemicznych wydobywały się cienkie migoczące płomienie, tak słabe, jakby to była tylko lampka sygnalizacyjna. Wydawało się, że droga staje się

coraz ciemniejsza. Gdy Simon minął labirynt rur i zbiorników na ropę, przez parę sekund czuł się, jakby jechał pod wodą. Pusty ekran jego umysłu pokazywał mu tylko dwie twarze, twarze jego dzieci, ale tym razem nie był to kojący obrazek, który zachował w telefonie. W tej chwili nie miał przed oczyma uśmiechniętych buzi Siergieja i Larisy. Oczy Siergieja były zamknięte. Leżał w błotnistym rowie, na jego ramionach widniały podłużne ślady oparzeń, a jego włosy były pozlepiane krwią. Oczy Larisy były otwarte, jak gdyby cały czas była żywa, jakby patrzyła z przerażeniem na kulę ognia, która jej dosięgła.

Simon przycisnął pedał gazu, mercedes skoczył do przodu. Wkrótce dotarł do wyjazdu numer dziewięć i pomknął drogą numer jeden na południe. Będzie w Princeton za piętnaście minut.

40 26 36 79 56 44 7800

David napisał cyfry ołówkiem na kartce wyrwanej z zeszytu. Podał kartkę Monique i w tej samej chwili poczuł przemożne pragnienie, aby wyrwać jej ten świstek i podrzeć na strzępy. Bał się tych szesnastu cyfr. Chciał je zniszczyć, spalić, wymazać na zawsze. Ale wiedział, że nie może. Nie miał nic poza nimi.

Monique trzymała kartkę w dłoniach i uważnie przyglądała się liczbom. Jej wzrok biegł od lewej do prawej, szukając jakiejś prawidłowości, regularnego wzrostu, sekwencji geometrycznych. Na jej twarzy malowało się to samo skupienie, które David zauważył, kiedy wygłaszała referat o różnicach Calabi-Yau na konferencji o teorii strun. Niczym twarz Ateny szykującej się do walki.

- Rozkład wygląda na nieprzypadkowy - stwierdziła. - Trzy zera, trzy czwórki i trzy szóstki, ale tylko jedna para

siódemka. W ciągu numerycznym tej długości wystąpienie większej ilości trójek niż par jest nieprawdopodobne.

- Czy to może być klucz do odszyfrowania pliku komputerowego? Kleinman użył słowa „klucz”, więc to wydawałoby się logiczne.

Nadal wpatrywała się w liczby.

- Rozmiar by pasował. Szesnaście cyfr, każda może być przekształcona w cztery bity kodu cyfrowego. To dałoby sześćdziesiąt cztery bity, a to jest nasza standardowa długość kodu szyfrującego. Ale żeby ta technika działała, sekwencja musi być losowa. - Potrząsnęła głową. - Przy nieprzypadkowej sekwencji można zbyt łatwo złamać kod. Dlaczego Kleinman miałby wybrać tak niedoskonały klucz?

- Być może to inny rodzaj kodu. Może raczej wskaźnik do identyfikacji. Coś, co miałoby pomóc znaleźć plik, a nie rozszyfrować go.

Monique nie odpowiedziała. Zamiast tego przysunęła kartkę bliżej twarzy, jak gdyby miała problemy z odczytaniem cyfr.

- Dziwnie zapisałeś ten ciąg.

- Co masz na myśli?

Odwróciła kartkę, żeby mógł zobaczyć.

- Cyfry są za blisko siebie. Większe odstępy co drugą cyfrę, a na końcu już są równe.

Zabrał jej kartkę. Miała rację, pierwsze dwanaście cyfr było ułożone parami. Zapisał to w ten sposób zupełnie nieświadomie, ale tak to teraz wyglądało.

- Hm - chrząknął. - To faktycznie dziwne.

- Czy Kleinman podał ci te cyfry w takich grupkach?

- Nie, niezupełnie. - Na chwilę zamknął oczy i znów ujrzał Kleinmana siedzącego na szpitalnym łóżku, próbującego

wydusić ostatnie słowa. - Miał uszkodzone płuca, więc mówił szybko, urywanym głosem, po dwie cyfry. I tak zapamiętałem ten ciąg. Sześć dwucyfrowych liczb i jedna czterocyfrowa na końcu.

- Ale możliwe, że chciał je podać w ten sposób, prawda? Chciał, żebyś tak je ułożył?

- Tak, wydaje mi się, że tak. Ale co to zmienia?

Monique wyrwała mu kartkę i położyła na stole kuchennym. Znalazłszy ołówek, postawiła kreski między dwucyfrowymi blokami.

40 / 26 / 36 / 79 / 56 / 44 / 7800

Jeżeli tak zapiszesz ten ciąg, wydaje się jeszcze mniej przypadkowy niż do tej pory - powiedziała. - Na razie zapomnij o czterocyfrowej liczbie na końcu, popatrz tylko na dwucyfrowe. Pięć z sześciu mieści się w przedziale między dwadzieścia pięć a sześćdziesiąt. Tylko siedemdziesiąt dziewięć wyłamuje się z tego wzoru. To dość wąski przedział.

David przyglądał się liczbom. Dla niego nadal wyglądały na przypadkowe.

- No nie wiem. Wydaje mi się, że na siłę starasz się znaleźć wzór.

Zmarszczyła brwi.

- David, wiem, co robię. Spędziłam sporo czasu, analizując punkty pomiarowe z doświadczeń fizyki cząstek elementarnych. Potrafię rozpoznać wzór, kiedy go mam przed oczami. Z jakiegoś powodu te liczby zawężono do takiego przedziału.

Znów spojrzął na sekwencję i spróbował popatrzeć na nią z punktu widzenia Monique. W porządku, wydaje się, że faktycznie są pogrupowane poniżej sześćdziesięciu. Ale czy to nie może być przypadkowe ułożenie? Dla Davida ciąg wyglądał

dał tak przypadkowo, jak wygrana w lotto, w które grywał od czasu do czasu mimo nieustannego pecha. Liczby na loterii też zwykle były mniejsze niż sześćdziesiąt, ale dlatego, że najwyższą liczbą było pięćdziesiąt dziewięć. I wtedy to zobaczył, było jasne jak słońce.

- Minuty i sekundy - powiedział.

Zdawało się, że Monique go nie słyszy. Nadal pochylała się nad stołem kuchennym, przyglądając się liczbom.

- Patrzysz na minuty i sekundy - powtórzył, tym razem odrobinę głośniejsze. - Dlatego wszystkie liczby są poniżej sześćdziesięciu.

Podniosła głowę:

- Co takiego? Twierdzisz, że to jakiś pomiar czasu?

- Nie, nie czasu. To wymiary przestrzenne. - David po raz kolejny spojrzął na sekwencję i tym razem jej znaczenie otworzyło się przed nim niczym kwiat o perfekcyjnie ułożonych sześciu płatkach. - To współrzędne geograficzne, szerokość i długość. Pierwsza dwucyfrowa liczba to stopnie, druga to minuty, trzecia - sekundy.

Monique przyglądała mu się przez chwilę, po czym jeszcze raz rzuciła okiem na liczby. Nagle jej twarz rozjaśnił uśmiech, jeden z najpiękniejszych, jakie kiedykolwiek widział.

- No, dobra, Davidzie Swift - powiedziała. - Spróbujmy twojej teorii.

Podeszła do laptopa i zaczęła coś wpisywać.

- Wpiszę te współrzędne na Google Earth. Sprawdzimy, co to za miejsce. - Znalazła program i wpisała liczby. - Zakładam, że szerokość to czterdzieści stopni na północ, nie na południe, bo inaczej byłibyśmy gdzieś na Pacyfiku. Co



do długości, zakładam, że chodzi o zachodnią, nie wschodnią.

David stał za nią, chcąc zobaczyć ekran laptopa. Pierwszym obrazem, jaki się pojawił, było ziarniste zdjęcie satelitarne. Na górze widać było duży budynek w kształcie litery H, a poniżej rząd małych budynków w kształcie plusa lub litery L. Budowle były za duże na domy, ale za niskie na biurowce. Nie były ustawione wzdłuż ulicy ani przy autostradzie; większość z nich stała na obrzeżach długiego prostokątnego dziedzińca poprzecinanego ścieżkami. Kampus, pomyślał David. Kampus uniwersytecki.

- Co to za miejsce?

- Poczekaj, wywołam mapę ulic. - Monique kliknęła w ikonkę, która przyporządkowywała adres każdemu budynkowi i ulicy.

- To jest w Pittsburghu. Współrzędne wskazują na ten budynek, o tutaj. - Postukała palcem punkt na ekranie i zmrużyła oczy, chcąc przeczytać podpis. - Podany adres to 5000 Forbes Avenue. Newell-Simon Hall.

David rozpoznał tę nazwę. Kiedyś już tam był.

- To uniwersytet Carnegie Mellon. Instytut Robotyki. Amil Gupta tam pracuje.

Monique szybko znalazła stronę uniwersytetu. Kliknęła na listę pracowników wydziału.

- Patrz na numery telefonów - powiedziała, oglądając się przez ramię na Davida. - Każdy ma czterocyfrowy numer wewnętrzny zaczynający się od 78.

- Jaki jest wewnętrzny Gupty?

- Jego prywatna linia to 7832. Ale on jest dyrektorem instytutu, prawda?

- Tak, od dziesięciu lat.  
- Spójrz na to. Wewnętrzny do biura dyrektora to 7800. - Monique wręcz promieniowała triumfem. - To cztery ostatnie cyfry sekwencji Kleinmana.

Była tak uradowana sukcesem, że wymachiwała pięścią w powietrzu. Ale David nadal patrzył na listę pracowników wydziału.

- Coś tu nie gra - mruknął. - To nie jest właściwa informacja.

- O czym ty mówisz? Teraz to ma sens. Jeżeli Einsteinowi faktycznie udało się stworzyć zunifikowaną teorię, prawdopodobnie powiedział o tym również Gupcie. Kleinman chciał ci powiedzieć, żebyś skontaktował się z Gupta, żeby strzec teorii. Przecież to oczywiste!

- W tym właśnie jest problem. To zbyt oczywiste. Każdy wie, że Gupta pracował z Einsteinem. FBI wie, terroryści wiedzą, a w mojej książce jest o tym cały pieprzony rozdział. Dlaczego Kleinman zadał sobie tyle trudu, wymyślając skomplikowany kod, tylko dla tego szczegółu?

Wzruszyła ramionami.

- Cholera, pytasz niewłaściwą osobę. Nie mam pojęcia, co Kleinman miał na myśli. Może to był najlepszy plan, jaki udało mu się opracować?

- Nie, nie wierzę w to. Kleinman nie był głupi. - David chwycił kartkę z szesnastoma cyframi. - W tym ciągu musi kryć się coś więcej. Coś, co nam umknęło.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać. Musimy porozmawiać z Gupta.

- Nie możemy do niego zadzwonić. Jestem pewien, że federalni mają jego telefon na podsłuchu.

Monique wyłączyła laptop i zamknęła ekran.

- W takim razie musimy jechać do Pittsburgha.

Przeniosła laptop na ladę kuchenną i zapięła go w skórzaną walizkę. Potem znalazła małą torbę podróżną i zaczęła pakować do niej różne przedmioty wyjmowane po kolei z szafek: ładowarkę do baterii, parasolkę, iPod, paczkę krakersów. David patrzył na nią z zaniepokojeniem:

- Zwariowałaś? Nie możemy tak po prostu pojawić się u Gupty w domu! FBI na pewno go obserwuje. Chyba że już go odwieźli do Guantanamo. - Albo terroryści zakatowali go już na śmierć, pomyślał. - Tak czy tak, nie uda nam się do niego zbliżyć.

Monique zapięła torbę.

- Sprytna z nas para, David, coś wymyślimy. - Trzymając torbę w jednej ręce, a laptop w drugiej, wymaszerowała z kuchni.

David podążył za nią do salonu.

- Poczekaj! Nie możemy! Policja już mnie szuka! To cud, że w ogóle udało mi się wydostać z Nowego Jorku!

Przystanęła przed zdewastowanym kominkiem i położyła bagaże na podłodze. Podniosła rewolwer z kominka i otworzyła bębenek. Między jej brwiami znów pojawiła się pionowa zmarszczka, a jej usta zacisnęły się ponuro.

- Patrz na to - powiedziała, wskazując na dwie czerwone swastyki na suficie i napis DO DOMU CZARNUCHU. - Te dupki włamały się do mojego domu - do mojego domu! - i powypisywały te bzdety na moich ścianach. Nie puszczę im tego płazem! - Zebrała pociski z kominka i zaczęła jeden po drugim wrzucać je do komór magazynka. - Nie, dotrę do sedna tej sprawy. Dowiem się, co jest grane, i każę tym skurwielom za to zapłacić.

David zatrzymał wzrok na rewolwerze w dłoni Monique. Nie podobało mu się to.

- Ten rewolwer na nic ci się nie przyda. Oni mają setki agentów i tysiące glin. Nie utworzysz sobie drogi jednym pistoletem.

- Nie martw się, nie mam zamiaru wszczynać strzelaniny. Będziemy podstępni, a nie głupi. Nikt nie wie, że jesteś ze mną, więc FBI nie będzie mi zaglądać do auta. Schowasz się i wszystko będzie w porządku. - Włożyła ostatni nabój na miejsce i zamknęła magazynek. - Idę na górę zabrać jakieś ubrania. Wziąć ci maszynkę do golenia z kosmetyczki Keitha?

Kiwnął głową. Nie był w stanie się z nią dłużej spierać. Była niczym siły natury, nieustępliwa i nie do powstrzymania; naginała cały materiał czasoprzestrzeni do swoich wymagań.

- A co powiesz Keithowi?

Monique podniosła obie torby jedną ręką, w drugiej trzymała pistolet.

- Zostawię mu kartkę. Napiszę, że musieliśmy jechać na konferencję czy coś takiego. - Poszła do przedpokoju i zaczęła wchodzić na górę po schodach. - Nie zmartwi się za bardzo. Ma trzy inne dziewczyny, z którymi może spędzać czas. Ten chłopak jest niezwykle wytrzymały.

Znów kiwnął głową. Czyli jej związek z Keithem to nic poważnego. David ze zdziwieniem skonstatował, że to odkrycie nawet go ucieszyło.

Simon pruł Alexander Road. Był już tylko kilometr od domu Einsteina, kiedy zobaczył w tylnym lusterku błyskające światła. To niebiesko-biały wóz policyjny z miejskiej komendy policji w Princeton.

- *Job twoju mat!* - zaklął, uderzając pięścią w kierownicę.

Gdyby to się wydarzyło minutę wcześniej, na drodze numer jeden, po prostu nacisnąłby pedał gazu - mercedes był modelem SLK 32 AMG, więc z łatwością mógł prześcignąć każdy amerykański samochód - ale teraz był już w mieście i szansa, że go złapią, była zbyt duża. Nie miał wyboru, musiał się zatrzymać.

Stał na poboczu opustoszałej ulicy, jakieś pięćdziesiąt metrów od wjazdu na okręgowy parking. W pobliżu nie było żadnych domów ani sklepów, nie jechały też żadne samochody. Radiowóz zatrzymał się dziesięć metrów za nim, zostawił włączone światła i przez kilka denerwujących sekund po prostu stał. Siedzący w środku policjant prawdopodobnie przekazywał opis auta Simona swojemu dyspozytorowi przez krótkofalówkę. W końcu po pół minuty z wozu wysiadł przypakowany facet w niebieskim mundurze. Simon przechylił boczne lusterko, żeby mu się przyjrzeć. Młody gość, mógł mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat. Miał umięśnione ramiona i barki, ale w pasie był lekko pulchny. Pewnie większość swojej służby spędza, siedząc w samochodzie, czekając na pijanych studentów za kierownicą.

Simon opuścił szybę, gdy policjant się zbliżył. Młody człowiek oparł ręce o drzwi od strony kierowcy i zajrzał do samochodu.

- Czy wie pan, jak szybko pan jechał?

- Sto czterdzieści trzy kilometry na godzinę - odpowiedział Simon. - Mniej więcej.

Policjant zmarszczył brwi.

- To nie żarty. Mógł pan kogoś zabić. Proszę mi pokazać prawo jazdy i dowód rejestracyjny.

- Oczywiście - Simon sięgnął pod marynarkę. Miał fałszywe prawo jazdy, ale nie miał dowodu rejestracyjnego mercedesa,

którego ukradł od dilerów w Connecticut dwa dni wcześniej. Zamiast portfela wyciągnął więc uzi i strzelił policjantowi w czoło.

Mężczyzna zatoczył się do tyłu. Simon odpalił samochód i odjechał. Za kilka minut przejeżdżający motocyklista zauważył ciało i w ciągu pół godziny cała policja w Princeton będzie szukała jego auta. Nie zamierzał jednak zabawić w mieście zbyt długo.

Keith śnił o corvette Monique. Przyjechała nią do warsztatu i powiedziała, że się grzeje, ale kiedy uniósł maskę, zobaczył, że nie ma silnika. Na miejscu silnika leżał zwinięty ten gość, David Swift. Keith odwrócił się do Monique, żeby spytać, co jest grane, ale ona wesoło przebiegła mu za plecami.

Poczuł dłoń na ramieniu. Naprawdę, nie we śnie. Ręka chwyciła go za ramię i obróciła na plecy. Pewnie Monique wraca do łóżka, pomyślał. I pewnie chce się poprzytulać. Niezła była i lubiła to jak diabli.

- Oj, Mo - jęknął, nie otwierając oczu. - Mówiłem ci, że muszę wcześniej wstać.

- Nie jesteś David Swift.

Nieznamy głos natychmiast go obudził. Otworzył oczy i ujrzał w ciemności zarys łysej czaszki i tęgi kark. Ręka faceta przesunęła się na gardło Keitha, przyciskając go mocno do łóżka.

- Gdzie oni są? - zapytał. - Gdzie pojechali?

Palce zacisnęły się na tchawicy Keitha. Leżał bez ruchu, zbyt przerażony, żeby stawić opór.

- Na dole! - wychrypiął. - Są na dole!

- Nie, tam ich nie ma.

Keith usłyszał szelest w ciemnościach i zobaczył szybki błysk. To było długie ostrze, odbijające niebieskawe światło poranka wpadające przez okno sypialni.

- W porządku, przyjacielu - powiedział mężczyzna - po rozmawiamy sobie troszeczkę.

## Rozdział szósty

Karen przechadzała się po pokoju przesłuchań w kwaterze FBI na Federal Plaza. Najpierw przeszła obok stalowych drzwi zamkniętych od zewnątrz. Potem minęła lustro, które ciągnęło się prawie na całej długości ściany - pewnie lustro weneckie, dzięki któremu agenci po drugiej stronie mogli obserwować przesłuchania. W końcu przeszła obok niebiesko-złotego godła z orłem i napisem FEDERALNE BIURO ŚLEDICZE - CHRONIMY AMERYKĘ. Dookoła stołu na środku pokoju stało kilka krzeseł, ale Karen była zbyt podenerwowana, żeby usiąść. Okrążyła pokój co najmniej pięćdziesiąt razy, kręciło jej się w głowie ze strachu, wściekłości i zmęczenia. Agenci zabrali gdzieś Jonaha.

O piątej nad ranem usłyszała kroki na korytarzu, za zamkniętymi drzwiami. Klucz obrócił się w zamku i chwilę później do pokoju wszedł agent, który ją aresztował. Wysoki umięśniony blondyn nadal miał na sobie paskudną szarą marynarkę, pod którą widać było kaburę. Szarżując na niego, Karen przypomniała sobie, jak się nazywał: agent Brock. Ten skurwiel zakął w kajdanki siedmioletniego chłopca.

- Gdzie jest mój syn? - zapytała ostrym tonem. - Chcę go zobaczyć!

Brock wyciągnął przed siebie ręce, jakby chciał ją złapać. Miał zimne, niebieskie oczy.



- Hola, pomalutku! Nic mu nie jest. Zasnął w którymś pokoju kawałek dalej.

Karen nie uwierzyła. Jonah wrzeszczał jak opętany, kiedy agenci wyrwali go z jej ramion.

- Proszę mnie tam zabrać! Chcę go w tej chwili zobaczyć!

Próbowała przejść obok Brocka, żeby dostać się do drzwi, ale agent zastąpił jej drogę.

- Hej, powiedziałem: pomalutku! Za chwilę będzie go pani mogła zobaczyć. Najpierw muszę pani zadać kilka pytań.

- Słuchaj pan, jestem prawnikiem. Być może nie specjalizuję się w prawie karnym, ale wiem, że coś takiego jest nielegalne. Nie macie prawa nas tu przetrzymywać bez podania zarzutów.

Brock skrzywił się. Najwyraźniej miał gdzieś wszystkich prawników.

- Możemy zaraz sformułować zarzuty, jeśli tylko o to pani chodzi. Co pani powie na zaniedbywanie dziecka? Czy to brzmi legalnie?

- Co takiego? O czym pan mówi?

- Mówię, że pani były mąż jest uzależniony od narkotyków. I o tym, jak zdobywał środki na narkotyki, sprzedając kokainę swoim studentom na Uniwersytecie Columbia. Większość transakcji miała miejsce w Central Parku, po tym jak odbierał syna ze szkoły.

Karen wpatrywała się w niego. To najbardziej niedorzeczny zarzut, jaki kiedykolwiek słyszała.

- To absurd! Najgorszą rzeczą, jakiej kiedykolwiek dopuścił się w parku, była zabawa pistoletem na wodę!

- Mamy filmy z kamer monitorujących park. Widać na nich dokonywane transakcje. Nasze źródła podają, że David Swift prowadził tę działalność od lat.

- Rany boskie, wiedziałabym chyba, gdyby David rozprowadzał narkotyki w parku!

Brock wzruszył ramionami:

- Może tak, a może nie. Ale jedna rzecz jest pewna: sąd rodzinny będzie chciał się dowiedzieć, czy pani również była w to zaangażowana. Do czasu zakończenia śledztwa sąd może umieścić dziecko w placówce opiekuńczej.

Karen potrząsnęła głową. Brock kłamał. Jako radca prawny przedsiębiorstwa zarabiała na życie, negocjując umowy dotyczące fuzji i potrafiła rozpoznać, kiedy druga strona blefuje.

- Dobrze, proszę mi to udowodnić. Chcę zobaczyć film z tej kamery.

Brock zbliżył się o krok.

- Bez obaw, zobaczy je pani dziś wieczorem w wiadomościach. Pani były mąż chciał rozszerzyć swoją działalność, więc rozpoczął współpracę z Latynoskimi Królami. Zakładam, że słyszała pani o nich?

Spojrzała na niego spode łba:

- Chce pan powiedzieć, że David zaprzyjaźnił się z jakąś bandą gangsterów?

- Latynoscy Królowie kontrolują handel narkotykami na Górnym Manhattanie. To oni wczoraj w nocy zabili naszych agentów. Zastrzelili trzech agentów, którzy po cywilu próbowali zawrzeć transakcję ze Swiftem, i kolejnych trzech, którzy nadzorowali operację.

Karen parsknęła z niesmakiem. Historyjka była wyszana z palca. Każdy, kto zna Davida, od razu by to poznał. Ale po co FBI wymyślało takie bzdury? Co próbowali ukryć? Odsuwając się od Brocka, Karen podeszła do metalowego stołu i usiadła na jednym z krzeseł.

- W porządku, agencie Brock. Na razie powiedzmy, że panu wierzę. Czego ode mnie chcecie?

Brock wyjął spod marynarki notes i ołówek.

- Potrzebujemy informacji na temat kontaktów pani byłego męża. W szczególności ludzi mieszkających w New Jersey.

- New Jersey? Myślicie, że tam teraz jest?

Brock zmarszczył brwi.

- Ja tu zadaję pytania, zgoda? Mamy już nazwiska jego współpracowników z Uniwersytetu Columbia. Teraz próbujemy skompletować listę przyjaciół, znajomych i tym podobnych.

- Nie jestem odpowiednią osobą, żeby odpowiedzieć na to pytanie. David i ja od dwóch lat jesteśmy rozwiedzeni.

- Zdecydowanie jest pani najlepszą osobą. Swift jest teraz uciekinierem i prawdopodobnie szuka przyjaciela, który mógłby mu udzielić pomocy. Bardzo bliskiego przyjaciela, jeśli pani wie, co mam na myśli. - Przekrzywił głowę i spojrzał na nią porozumiewawczo. - Czy ma takich przyjaciół w New Jersey?

Karen znów pokręciła głową. Jakie to żalodne, pomyślała. Brock próbował zagrać na kobiecej zazdrości.

- Nie mam pojęcia.

- Oj, proszę pani. Nie wie pani nic na temat jego spraw sercowych?

- A co mnie to obchodzi? Nie jesteśmy już małżeństwem.

- No, a jak to było przed rozwodem? Czy Davidowi zdarzały się skoki w bok? Jeździł na nocne wycieczki na drugą stronę mostu Jerzego Waszyngtona?

Spojrzała mu prosto w oczy:

- Nie.

Stanął tuż przed jej krzesłem. Położył dłoń na brzegu stołu i pochylił się do twarzy Karen:

- Nie jest pani szczególnie pomocna. Nie chce pani zobaczyć syna?

Poczuła ścisk w żołądku:

- Pan mi grozi?

- Ależ skąd! Chciałem pani tylko przypomnieć o sądzie rodzinnym. Mogą umieścić pani syna w rodzinie zastępczej, chyba że przekazemy im pozytywny raport. Nie chce pani stracić dziecka, prawda?

Twarz Brocka była tak blisko, że Karen czuła lekko miętowy zapach jego płynu do płukania ust. Przez chwilę myślała, że zwymiotuje. Ale zamiast tego odsunęła krzesło i wstała. Wymieniła Brocka i szybkim krokiem podeszła prosto do lustra weneckiego na przeciwległej ścianie. Próbowwała dostrzec coś po drugiej stronie, ale nie widziała nic poza własnym odbiciem.

- W porządku, dupki - powiedziała, zwracając się do lustra. - Sprawdziliście już, z kim zadzieracie?

W lustrze zauważyła, że Brock zbliża się do niej.

- Nikogo tam nie ma, Karen. Jesteśmy tylko ty i ja.

Wycelowała palec wskazujący w szkło:

- Amory Van Cleve. Mówi wam to coś? Zna połowę prawników w Departamencie Sprawiedliwości i nie będzie zadowolony, kiedy się dowie, co tu ze mną robiliście.

Brock był już metr za nią.

- Dobra, dość tego. Lepiej...

- Zabierzcie mi z oczu tego przydupasa! - krzyknęła Karen, wskazując na Brocka, ale nie spuszczać wzroku z lustra. - Jeżeli jeszcze tu będzie, jak doliczę do dziesięciu, Amory położy szlaban na te wasze gierki. Słyszycie? Porozmawia ze

znajomymi z Departamentu Sprawiedliwości i wszyscy skończycie w pudle!

Na jakieś pięć sekund w pokoju zapanowała cisza. Nawet Brock zamknął usta, czekając na to, co teraz nastąpi. Karen znów usłyszała kroki na korytarzu. Drzwi otworzyły się i weszła starsza pani w białej bluzce i okularach do czytania.

- Coś nie tak, kołeczku? - wycedziła. - Usłyszałam jakieś krzyki i pomyślałam...

Karen obróciła się na pięcie:

- Nawet nie zaczynaj! - wrzasnęła. - Zabierz mnie do mojego syna!

David obudził się na obniżonym siedzeniu corvetty Monique. Zaspany i zdezorientowany wyjrzał przez przednią szybę. Samochód sunął autostradą międzystanową, przez zielony, pagórkowaty krajobraz. W delikatnym świetle poranka zieleń była jasna i żywa. Stado brązowych krów stało na pochyłej polance obok dużej czerwonej stodoły przy świeżo zaoranym polu. Widok był piękny i David przez chwilę przyglądał się spokojnym zwierzętom stojącym bez ruchu na łące. Potem poczuł tępy ból w dolnej części kręgosłupa, spowodowany zapewne nocnym maratonem i w tej chwili przypomniał sobie, z jakiego powodu podróżuje po kraju.

Poprawił się na niewygodnym głębokim siedzeniu. Monique patrzyła przed siebie na drogę. Jedną rękę położyła na kierownicy, a drugą szperała w pudełku waniliowych ciastek. Zanim wyszła z domu, przebrała się w białą tunikę i szorty w kolorze khaki. Na uszach miała słuchawki od iPod'a, które w tej chwili leżały na jej kolanach. Z początku nie zauważyła, że David już się obudził. Przez kilka chwil przyglądał jej się kątem oka, podziwiając zgrabną szyję i długie uda barwy

kakao. Po chwili zaczął się jednak czuć jak podglądacz, więc ziewnął, by zwrócić jej uwagę. Przeciągnął się na tyle, na ile pozwalało ciasne wnętrze corvetty. Monique odwróciła się:

- No nareszcie! - rzuciła. - Odpłynąłeś na trzy godziny.

Zdjęła słuchawki i zanim wyłączyła iPod, David usłyszał stłumiony nieco kawałek rapu.

Monique podsunęła mu pudełko ciastek:

- Masz ochotę na śniadanie?

- Jasne, wielkie dzięki. - Biorąc pudełko z jej ręki, David zdał sobie sprawę, że jest głodny jak wilk. Wpakował do ust dwa ciastka naraz, po czym wziął kolejne trzy. - Gdzie jesteśmy?

- Cudowna zachodnia Pensylwania. Jeszcze niecała godzina do Pittsburgha.

Rzucił okiem na zegar na desce rozdzielczej: 8.47.

- Dobry czas.

- Zglupiałeś? - parsknęła sarkastycznie. - Gdybym jechała tak jak zwykle, już bylibyśmy na miejscu. Jadę z bezpieczną prędkością, na wypadek gdyby po drodze stały jakieś patrole.

David pokiwał głową.

- Słusznie. Teraz pewnie mają już moje zdjęcie.

Wyjął jeszcze dwa ciastka z pudełka. Potem spojrzął na Monique. Dopiero teraz zauważył, że ma podkrążone oczy.

- Hej, na pewno jesteś wykończona. Chcesz się zamienić za kółkiem?

- Nie, wszystko w porządku - odparła szybko. - Nie jestem zmęczona.

Zacisnęła dłonie na kierownicy, jakby chciała się utwierdzić w tym, co właśnie powiedziała. Najwyraźniej nie podobała jej się myśl, że ktoś inny może usiąść za kierownicą jej samochodu.

Cóż, pomyślał David, to zrozumiałe. Jej corvetta była wyjątkowo piękna.

- Jesteś pewna?

- Tak, nic mi nie dolega. Lubię długie trasy. Najlepiej mi się myśli, kiedy prowadzę. Kojarzysz mój ostatni artykuł w „Physical Review”? *Grawitacyjne efekty niezwartych dodatkowych wymiarów?* Wpadłam na pomysł, jadąc w któryś weekend do Waszyngtonu.

Stamtąd pochodzi, przypomniał sobie David. Waszyngton, dzielnica Anacostia, tam, gdzie zamordowano jej ojca, a matka uzależniła się od heroiny. David chciał spytać, czy ma tam jeszcze jakąś rodzinę, ale się powstrzymał.

- To o czym teraz myślałaś? - zapytał zamiast tego. - Znał czy, zanim się obudziłem?

- O zmiennych ukrytych. Pewnie się na tym znasz.

David przestał jeść i odłożył pudełko z ciastkami. Zmienne ukryte były dla Einsteina istotną częścią poszukiwań zunifikowanej teorii. W latach trzydziestych Einstein był przekonany, że istnieje jakiś porządek w dziwnych kwantowych zachowaniach cząstek subatomowych. Świat pod mikroskopem robił wrażenie chaotycznego, ale dlatego, że nikt nie dostrzegał zmiennych ukrytych, maleńkich kopii wszechświata.

- Próbujesz wykombinować, jak Einstein do tego do szedł?

Zmarszczyła brwi.

- Nadal nie umiem sobie tego wyobrazić. Teoria kwantowa nie pasuje do klasycznego schematu. To jakby próbować wcisnąć kwadratowy klocek do okrągłej dziury. Matematyka tych dwóch systemów jest zupełnie różna.

David próbował sobie przypomnieć, co napisał o zmiennych ukrytych w *Na ramionach gigantów*.

- No cóż, nie pomogę ci z matematyką. Ale Einstein uważał, że teoria kwantowa jest niekompletna. We wszystkich listach i wykładach porównywał ją do gry w kości. Ta teoria nie wyjaśnia dokładnie, kiedy radioaktywny atom się rozpadnie albo gdzie kończą się wyrzucane cząstki. Mechanika kwantowa może tylko podać prawdopodobieństwo, a dla Einsteina to było nie do przyjęcia.

- Tak, tak, wiem. „Bóg nie gra w kości z wszechświatem”.  
- Przewróciła oczami. - To dość aroganckie stwierdzenie, jeśli chcesz znać moją opinię. Dlaczego Einstein uważał, że może dyktować Bogu, co ma robić?

- Ale analogia sięga głębiej. - David właśnie przypomniał sobie akapit ze swojej książki. - Kiedy rzucisz dwie kości, cyfry wyglądają na przypadkowe, ale tak naprawdę nie są. Gdyby dało się kontrolować zmienne ukryte - to, z jaką siłą rzucisz kości, kąt ich trajektorii, ciśnienie powietrza w pokoju - dałoby się za każdym razem wyrzucać siódmkę. Jeżeli doskonale rozumiesz system, nie ma niespodzianek. Einstein uważał, że tak samo jest z cząstkami elementarnymi. Da się je doskonale zrozumieć, jeżeli znajdzie się zmienne ukryte łączące mechanikę kwantową z teorią klasyczną.

Monique potrząsnęła głową.

- W zasadzie to brzmi dobrze, ale wierz mi, to nie takie proste. - Zdjęła jedną rękę z kierownicy i wskazała krajobraz rozciągający się przed nimi. - Widzisz tę piękną scenerię? To dobra ilustracja klasycznej teorii pola, takiej jak teoria względności. Przecudnie łagodne pagórki i doliny odzwierciedlające krzywiznę czasoprzestrzeni. Jeżeli zobaczysz krowę, idącą przez pole, możesz dokładnie obliczyć, gdzie się znajdzie za pół godziny. Ale teoria kwantowa? Jest jak najgorsza część południowego Bronksu. Wszystkie dziwaczne,



nieprzewidywalne rzeczy wyskakują niczym króliki z kapelusza i pędzą, przebijając się przez ściany. - Jej ręka poruszała się gwałtownym zygzakiem, przekazując sens kwantowego szaleństwa. - Do tego mniej więcej sprowadza się problem. Nie można sprawić, żeby południowy Bronx zniknął z pola kukurydzy, jak za dotknięciem magicznej różdżki.

Monique sięgnęła do pudełka z ciastkami i wyciągnęła kolejne. Gryząc krakersa, patrzyła na drogę przed sobą, i chociaż właśnie stwierdziła, że cały wysiłek był bez sensu, David widział, że cały czas się nad tym zastanawia. Przeszło mu przez myśl, że może ma więcej niż jeden powód, by udać się do Pittsburgha. Do tej chwili zakładał, że jedyną jej motywacją jest gniew i głęboka nienawiść do agentów FBI, którzy splądrowali jej dom, ale teraz zaczął podejrzewać, że kieruje nią coś innego. Chciała poznać teorię ostateczną. Nawet gdyby nie mogła jej opublikować, nawet gdyby nie mogła o niej powiedzieć żywej duszy, chciała wiedzieć.

David też chciał ją poznać. Wróciło do niego wspomnienie ostatniej nocy.

- Profesor Kleinman wspomniał jeszcze o czymś. O artykule na temat względności, który pisałem na studiach.

- Ten, który pisaliście wspólnie z Kleinmanem?

- Tak. *Ogólna teoria względności w dwuwymiarowej czasoprzestrzeni*. Wspomniał o tym, zanim podał mi tę sekwencję cyfr. Powiedział, że byłem bliski prawdy.

Monique uniosła brwi.

- Ale ten artykuł nie przedstawiał żadnych realistycznych modeli wszechświata, prawda?

- Nie, badaliśmy Krainę Płaszczków, wszechświat dwuwymiarowy. Matematyka jest o wiele prostsza, kiedy nie trzeba się zajmować trzema.

- A jakie były wyniki? Czytałam to strasznie dawno temu.  
- Odkryliśmy, że między masami dwuwymiarowymi nie ma przyciągania grawitacyjnego, ale mogą one zmieniać kształt przestrzeni wokół siebie. Opracowaliśmy model dwuwymiarowej czarnej dziury.

Spojrzała na niego z pytaniem w oczach:

- Jak wam się to, u diabła, udało?

David rozumiał jej zakłopotanie. W trójwymiarowym świecie czarne dziury powstają, kiedy gigantyczne gwiazdy zapadają się pod własnym ciężarem. Ale w dwuwymiarowym wszechświecie nie byłoby grawitacji, która powodowałaby zapadnięcie.

- Stworzyliśmy scenariusz, w którym dwie cząstki zderzają się, w wyniku czego powstaje czarna dziura. To było dość skomplikowane, więc szczegółów nie pamiętam. Ale ten artykuł jest w internecie.

Monique zastanowiła się nad tym, stukając palcem w kierownicę.

- To ciekawe. Pamiętasz, co mówiłam przed chwilą o tym, że teoria klasyczna jest piękna i gładka? Czarne dziury są jednym wielkim wyjątkiem. Ich fizyka jest pokręcona jak cholera.

Zamilkła, gdy podjeżdżali do rogatek Pensylwanii. David dostrzegł znak na poboczu: PITTSBURGH, 60 KILOMETRÓW. Poczł ukłucie niepokoju, kiedy dotarło do niego, jak blisko mają do celu. Zamiast rozmyślać nad możliwą formą zunifikowanej teorii Einsteina, powinni wykombinować, jak dotrzeć do Amila Gupty. Agenci FBI prawdopodobnie obserwowali Instytut Robotyki, przyglądając się każdemu, kto zbliży się do Newell-Simon Hall. Nawet gdyby udało im się niepostrzeżenie

prześliznąć, co mieliby potem zrobić? Ostrzec Gupta przed niebezpieczeństwem i przekonać go, żeby wyjechał z kraju? Przemycić go przez kanadyjską lub meksykańską granicę gdzieś, gdzie nie będzie mu grozić ani FBI, ani terroryści? Zadanie było tak trudne, że David w żaden sposób nie mógł skupić na nim myśli.

Po chwili Monique przerwała swoje obliczenia i odwróciła się do niego. David myślał, że zada mu kolejne pytanie dotyczące artykułu o Krainie Płaszczaków, ale zamiast tego spytała:

- To teraz jesteś żonaty, prawda?

Usiłowała mówić rzeczowym tonem, ale niezbyt jej się to udało. David wyczuł w jej głosie lekkie wahanie.

- Dlaczego tak myślisz?

Wzruszyła ramionami.

- Kiedy czytałam twoją książkę, zobaczyłam, że jest dedykowana komuś o imieniu Karen. Domyśliłam się, że to musi być twoja żona.

Jej twarz wyrażała totalny brak zainteresowania czy zaangażowania, ale David przejrzał ją na wylot. Zwykle nie pamięta się dedykacji na pierwszych stronach książek. Monique wykazywała zdrowe zainteresowanie jego osobą od tej nocy, którą spędzili razem dwadzieścia lat temu. Pewnie wyszukiwała jego nazwisko w Google tyle samo razy, co on wyszukiwał jej.

- Nie jesteśmy już małżeństwem. Karen i ja rozwiedliśmy się dwa lata temu.

Pokiwała głową, w dalszym ciągu bez wyrazu.

- Czy ona wie cokolwiek o tej sprawie? Chodzi mi o to, co ci się przydarzyło wczoraj w nocy.

- Nie, nie rozmawiałem z nią od wizyty w szpitalu u Kleinmana. I nie mogę do niej teraz zadzwonić, bo FBI mnie namie-

rzy. - Znow poczuł niepokój na myśl o Karen i Jonahu. - Mam tylko nadzieję, że ci cholerni agenci nie będą ich niepokoić.

- Ich?

- Mam siedmioletniego syna. Ma na imię Jonah.

Monique uśmiechnęła się. Uśmiech jakby mimochodem przebił się przez jej udawaną obojętność. Po raz kolejny David musiał przyznać, że był to wyjątkowo uroczy uśmiech.

- To wspaniale - powiedziała. - Jaki on jest?

- Hm, uwielbia naukę, to cię pewnie nie zdziwi. Już teraz pracuje nad statkiem kosmicznym, który będzie podróżował szybciej od światła. Ale oprócz tego uwielbia koszykówkę i pokemony i, ogólnie rzecz biorąc, kocha robić zamieszanie. Szkoda, że go nie widziałas, jak wczoraj szalał w parku z pistoletem na...

David urwał, kiedy przypomniał sobie, co się stało z pistoletem na wodę.

Monique przez kilka sekund nic nie mówiła, patrząc na drogę. Najwyraźniej oczekiwała dalszego ciągu. Potem spojrzała na niego i jej uśmiech zniknął.

- Co jest?

David westchnął głęboko. Zdawało mu się, że serce wyskoczy mu z klatki piersiowej.

- Jezu - wyszeptał. - Jak my przez to przejdziemy?

Monique przygryzła dolną wargę. Patrząc na jezdnię kątem oka, sięgnęła do tyłu i położyła mu dłoń na kolanie.

- Nie panikuj, David. Nie wszystko naraz. Najpierw musi my porozmawiać z Gupta. Potem wymyślimy jakiś plan.

Jej długie palce poklepały go po kolanie. Ścisnęła je, chcąc dodać mu otuchy, po czym odwróciła się z powrotem do kierunku jazdy. Ten gest nie zdołał ani trochę rozwiać wątpliwości Davida, ale i tak był jej za to wdzięczny.

Minutę później Monique wskazała kolejny znak drogowy. Tym razem widniał na nim napis: STACJA OBSŁUGI POJAZDÓW NEW STANTON - 3,2 KM.

- Zatrzymajmy się tutaj - powiedziała. - Kończy nam się paliwo.

David rozglądał się za patrolami, kiedy wjeżdżali na stację. Dzięki Bogu, żadnych nie było widać. Monique podjechała do samoobsługowego stanowiska i napełniła bak corvetty olejem Shell Ultra Premium. David w tym czasie schował się na tylnym siedzeniu. Wróciła do samochodu i podjechała w kierunku parkingu przy stacji. Kiedy przejeżdżali obok dużego betonowego budynku, w którym mieścił się Burger King, Nathan's i Starbuck's, odezwała się:

- Nie chciałabym utrudniać sprawy, ale chce mi się sikać. Tobie nie?

David rozejrzał się po parkingu. Nie było widać żadnych wozów policyjnych. Ale co, jeśli jacyś policjanci są rozstawieni w środku, pod drzwiami męskiej toalety? Prawdopodobieństwo było minimalne, ale było.

- Zostanę w samochodzie. Mogę się wysikać do kubeczka albo jakoś tak.

Posłała mu ostrzegawcze spojrzenie:

- Tylko ostrożnie. Lepiej nie nalej na siedzenie.

Zaparkowała w pustym rogu parkingu, dziewięć metrów od najbliższego pojazdu. David wręczył jej parę banknotów dwudziestodolarowych.

- Mogłabyś coś kupić po drodze? Jakies kanapki, wodę, chipsy?

- Czy mam rozumieć, że znudziły ci się moje ciasteczka? - Znów się uśmiechnęła, otwierając drzwi, po czym udała się do toalety.

Kiedy zniknęła, David zdał sobie sprawę, że musi się wysikać. Przeszukał samochód, chcąc znaleźć jakiś pojemnik. Macał pod siedzeniami w nadziei, że zabłąkała się tam pusta butelka po wodzie albo kubeczek po kawie, ale nie miał szczęścia - samochód był dokładnie wysprząpany. Żadnych śmieci, nawet w schowku podręcznym. Sądził, że udałoby mu się wytrzymać, dopóki nie wróci Monique z jakąś butelką wody, którą mógłby szybko opróżnić, ale nie chciał się załatwiać przy niej. Zrozpaczony wyjrzał przez okno i zobaczył mały trawniczek pod drzewami w odległości piętnastu metrów. Na trawniku przy jednym ze stolików jakaś rodzina jadła śniadanie przyniesione z Burger Kinga, ale wyglądało na to, że niedługo się wyniosą. Młoda matka krzyczała na dzieci, żeby pozbierały papierki, a zniecierpliwiony ojciec stał obok, trzymając w ręce kluczyki do samochodu.

Po kilku minutach rodzina odjechała minivanem, a David wreszcie wysiadł z corvetty. Podszedł do trawniczka, oglądając się to przez jedno, to przez drugie ramię. Jedyną osobą w zasięgu wzroku był starszy pan spacerujący z jamnikiem skrajem parkingu. David minął stoliki, stanął pod największym drzewem i rozpiął spodnie. Kiedy skończył, z wielką ulgą poszedł prosto do samochodu. Ale kiedy tylko zszedł z trawy, starszy pan ruszył biegiem w jego kierunku.

- Hej, ty! - krzyknął.

David zamarł. Przez sekundę wyobraził sobie, że to tajniak. Ale kiedy podszedł bliżej, David przekonał się, że mężczyzna jest naprawdę mocno wiekowy. Ślinił się nieco, a różową twarz miał pomarszczoną jak rodzynek. Zwiniętą gazetą uderzył Davida w klatkę piersiową.

- Widziałem, co zrobiłeś! - zbeształ go. - Nie wiesz, że tam są toalety?

Rozbawiony David uśmiechnął się do staruszka.

- Przepraszam, to była wyjątkowa sytuacja.

- To po prostu obrzydliwe, nie inaczej! Powinieneś...

Nagle staruszek przestał go łajać. Spojrzał na David'a, mrużąc oczy, po czym rzucił okiem na gazetę, którą trzymał w dłoni. Lekko pobladł. Stał przez sekundę z otwartymi ustami, ukazując rząd krzywych, żółtych zębów. Potem obrócił się na pięcie i zaczął uciekać, gorączkowo ciągnąc za smycz, na której uwieszony był jamnik.

W tej samej chwili David usłyszał krzyk Monique:

- Wracaj tu!

Stała obok samochodu, trzymając w ręce pękatą torbę. Kiedy biegł w jej kierunku, wrzuciła torbę do auta, wsiadła za kierownicę i odpaliła silnik.

- Szybciej, szybciej, wsiadaj!

Gdy tylko David wśliznął się do środka, corvetta ruszyła. Monique gwałtownie nacisnęła pedał gazu i po kilku sekundach wyjechali ze stacji na podjazd do rogatek.

- Jezu Chryste! - wrzasnęła. - Po jaką cholere rozmawiałeś z tym dziadygą?

David dygotał. Staruszek go rozpoznał.

Prędkościomierz wskazywał sto czterdzieści kilometrów na godzinę. Monique docisnęła gaz do dechy i corvetta pomknęła autostradą.

- Lepiej, żeby niedługo był zjazd - powiedziała. - Musimy zjechać z drogi, zanim twój przyjaciel wezwie gliny.

Oczywiście wyobraźni David znów ujrzał staruszka. Zwinięta gazeta, pomyślał. To tak mnie rozpoznał.

Jak gdyby czytając w jego myślach, Monique sięgnęła do plastikowej torby leżącej między nimi, wyjęła „Pittsburgh Post-Gazette” i wręczyła Davidowi:

- Zobaczyłam to na stojaku z gazetami.

David zobaczył całą historię na samej górze pierwszej strony. Nagłówek brzmiał: SZEŚCIU AGENTÓW ZABITYCH W NARKOTYKOWEJ OBLAWIE W NOWYM JORKU, a pod spodem, mniejszym drukiem, dopisano: „Policja szuka profesora z Uniwersytetu Columbia”. Nad nagłówkiem widniało czarno-białe zdjęcie Davida - to samo, które zdobiło okładkę *Na ramionach gigantów*.

Simon wpatrywał się w spokojną rzekę Delaware z parkingu stanowego Washington Crossing w New Jersey. Stał na opustoszałym parkingu nad rzeką, opierając się o jaskrawożółte ferrari.

Zabrał auto - 575 Maranello coupe - z garażu przy warsztacie samochodowym Princeton Auto Shop. Keith, mechanik, którego znalazł w domu Monique, powiedział mu, gdzie znaleźć kluczyki. To był pomyślny rozwój wypadków, zważywszy na to, że Simon musiał porzucić mercedesa po niefortunnym spotkaniu z oficerem miejskiej komendy policji w Princeton. Byłoby jeszcze lepiej, gdyby Keith wyjawiał mu, gdzie udali się David Swift i Monique Reynolds, ale młody mechanik uparcie twierdził, że nic nie wie, nawet kiedy Simon odciął mu trzy palce i rozpruł brzuch.

Simon potrząsnął głową. Jako wskazówka została mu tylko notatka, którą Monique zostawiła na ladzie kuchennej. Wyjął z kieszeni złożoną kartkę i przyjrzał się jej uważnie, ale nie widział nic, co mogłoby mu pomóc.

Keith, strasznie Cię przepraszam, ale musieliśmy z Davidem natychmiast wyjechać. Doszedł do ważnych wniosków, które musimy zbadać.



PS W lodówce jest sok pomarańczowy, a w koszyku na chleb są precelki. Nie zapomnij zamknąć drzwi.

Ostatnie słowa były niewyraźne z powodu krwawego odcisku palca, który zrobił Simon, kiedy podnosił kartkę. Zanim wyszedł, zabrał dwa precelki. Keith już zjadł swój ostatni posiłek.

Simon włożył kartkę z powrotem do kieszeni i spojrzał na zegarek: była 9.25. Już prawie czas na codzienną pogawędkę z klientem. Co dzień dokładnie o 9.30 dzwonił do niego Henry Cobb z pytaniem o postępy w misji. „Henry Cobb” było z pewnością pseudonimem. Simon nigdy nie spotkał go osobiście - podyktowali mu kontrakt przez telefon, używając różnych szyfrów, które wymyślił Henry- ale sądząc po akcencie, mógł mieć na imię raczej Abdul albo Mohamed. Chociaż Simon jeszcze nie odgadnął jego narodowości, facet na pewno znajdował się gdzieś między Kairem a Karaczi. Zważywszy, że Simon spędził tyle lat, zabijając muzułmańskich powstańców w Czechenii, wydawało mu się dziwne, że islamska organizacja zwróciła się właśnie do niego. Ale być może nie doceniał dżihadu. Jeżeli byli oddani sprawie, obchodziłoby ich tylko to, by pozyskać najlepszego fachowca do tej roboty. A Simon miał znakomite osiągnięcia w swojej dziedzinie, co mogli potwierdzić Czeceńcy.

Niezależnie od charakteru i narodowości organizacji Henry'ego, jedno było jasne: mieli pokaźne zasoby. Żeby przygotować Simona do misji, Henry przysłał mu całe pudło książek na temat fizyki cząstek elementarnych i teorii względności oraz parę tuzinów numerów „Physical Review” i „Astrophysical Journal”. Co więcej, Henry przesłał również dwieście tysięcy dolarów na pokrycie wydatków Simona i obiecał zapłacić jeszcze milion, kiedy zadanie zostanie wykonane.

Cała ironia polegała na tym, że gdyby Simon od początku wiedział, o co chodzi, wykonałby tę robotę za darmo. Nie dostrzegął w pełni ambicji Henry'ego, dopóki tydzień temu nie odwiedził domu Jacques'a Boucheta w Prowansji. Simon zastał wielkiego fizyka w wannie i po krótkiej walce stary człowiek zaczął mówić. Niestety, znał tylko część *Einheitliche Feldtheorie*, ale wyjawiał Simonowi wiele możliwych konsekwencji złego wykorzystania tych równań. Bo-uchet najwyraźniej spodziewał się, że Simon będzie przerażony tymi informacjami, być może nawet ze strachu zaniecha misji. Ale Simon był uradowany. Tak się złożyło, że pragnienia klienta pięknie zbiegły się z jego własnymi. Pełen triumfu przesłuchiwał Boucheta, dopóki staruszek nie zaczął dygotać, siedząc w wannie. Potem przeciął mu nadgarstki i patrzył, jak krew buchająca z żył burzy się w wodzie.

O 9.29 Simon sięgnął po telefon i otworzył go w oczekiwaniu na połączenie od Henry'ego. Na ekranie pojawili się Siergiej i Larisa z pełnymi oczekiwania uśmiechami na buziach. Cierpliwości, szepnął Simon. Już niedługo.

Dokładnie o 9.30 rozległ się dzwonek. Simon przystawił telefon do ucha.

- Witam, tu George Osmond - powiedział. To był z kolei jego pseudonim.

- Witaj, George, dobrze cię znów słyszeć. - Głos z akcentem rodem ze Środkowego Wschodu mówił powoli i ostrożnie.

- Powiedz, jak poszła wczorajsza gra?

Z jakiegoś powodu Henry w swoich szyfrach stosował metafory zaczerpnięte z baseballu. Choć stopień zawoalowania ich rozmów czasem graniczył z absurdem, Simon musiał przyznać, że takie środki ostrożności miały sens. Od

jedenastego września żadna rozmowa telefoniczna nie była całkowicie bezpieczna. Należało założyć, że rząd wszystko podsłuchiwał.

- Jestem nieco rozczarowany - powiedział. - Niestety, bez punktów.

Długa cisza. Henry najwyraźniej nie był zadowolony.

- A co z rozgrywającym? - Tak określał Kleinmana.

- Nie miał szansy zagrać. Obawiam się, że w tym sezonie już nie zagra.

Jeszcze dłuższa cisza.

- Jak to się stało?

- Interwencja jankesów. Można o tym przeczytać w dzisiejszych gazetach. Oczywiście dziennikarze nie podali wszystkich szczegółów tak jak trzeba. Próbowali to obrócić w kolejną aferę narkotykową.

Tym razem cisza trwała prawie pół minuty. Simon wyobraził sobie klienta w białej diszdaszy, obracającego w dłoni różaniec.

- Nie podoba mi się to - powiedział w końcu. - Liczyłem na tego rozgrywającego. Jak mamy bez niego wygrać?

- Proszę się nie martwić, mam inne perspektywy. Młody człowiek, obiecujący gracz. Bliski współpracownik rozgrywającego, jak sądzę.

- Słyszałem o nim?

- Wspominają o nim w gazetach. Z drużyny uniwersyteckiej. Chyba ma to, czego potrzebujemy.

- Wiesz, gdzie jest?

- Jeszcze nie. Prawie udało mi się z nim skontaktować wczoraj w nocy, ale nagle opuścił miasto.

Henry chrząknął z niesmakiem. Jak widać, nie był cierpliwy. Ale ten typ tak ma.

- To nie do przyjęcia - powiedział. - Płacę ci dość dużo i oczekuję lepszych wyników.

Simon trochę się zirytował. Szczycił się swoim profesjonalizmem.

- Proszę się uspokoić. Dostanie pan to, za co pan płaci. Znam kogoś, kto będzie umiał mi pomóc odszukać tego gracza.

- Kto?

- Agent w organizacji jankesów.

Znów nastąpiła długa cisza, ale tym razem była inna - pełna zastanowienia i zaskoczenia.

- U jankesów? - wymamrotał klient. - Masz tam przyjaciela?

- To znajomość czysto służbowa. Widzi pan, jankesi prędzej czy później wytropią naszego gracza. Jak tylko będą wiedzieli, gdzie jest, mój agent przekaze mi tę informację.

- Rozumiem, że za opłatą?

- Oczywiście. Będę potrzebował zwiększenia środków w moim budżecie.

- Mówiłem już, pieniądze nie stanowią problemu. Jestem gotów ponieść wszelkie konieczne koszty. - Mówił teraz pojednawczym tonem, nieomal pełnym szacunku. - Ale jesteś pewien, że możesz ufać swojemu człowiekowi?

- Umówiłem się z nim na spotkanie, żeby ocenić jego intencje. Spodziewam się go za kilka minut.

- Dobrze, to na tym dzisiaj skończymy. Informuj mnie o postępach.

- Oczywiście.

Simon zmarszczył brwi, zamykając telefon, po czym schował go do kieszeni. Nie znosił rozmów z klientami. To była zdecydowanie najgorsza część tej roboty. Ale niedługo nie

będzie już musiał tego robić. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, ta misja będzie ostatnia.

Odwrócił się znów w kierunku rzeki Delaware, patrząc na rząd dębów na drugim brzegu. Według tablicy ustawionej nad wodą, to w tym miejscu generał Waszyngton przeprowił się razem ze swoim oddziałem na drugą stronę rzeki. 25 grudnia 1776 roku w nocy poprowadził dwa tysiące czterystu powstańców z Pensylwanii do New Jersey, żeby zaskoczyć armię brytyjską w barakach w Trenton. Rzeka była teraz spokojna, aż trudno uwierzyć, że ktoś w tym miejscu umarł. Ale Simon wiedział najlepiej. Śmierć była tuż pod falującą powierzchnią wody. We wszystkich rzekach, we wszystkich krajach. Cały wszechświat był nasycony śmiercią.

Jego rozmyślenia przerwał pisk opon dużego samochodu. Simon obejrzał się przez ramię i zobaczył, jak czarny chevrolet suburban wjeżdża na parking. Na szczęście nie było widać żadnych innych pojazdów. Gdyby FBI planowało zasadzkę, wysłaliby cały konwój.

Suburban zaparkował na drugim końcu parkingu i po kilku sekundach wysiadł z niego mężczyzna w szarym garniturze. Chociaż miał ciemne okulary i stał jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, Simon od razu wiedział, że to jego człowiek. Miał charakterystyczny ociężały chód - stał przygarbiony z rękami w kieszeniach. Wiatr zmierzwił mu włosy, gdy mężczyzna ruszył asfaltem w stronę Simona. W kaburze pod marynarką miał prawdopodobnie pistolet maszynowy, ale nic nie szkodzi - Simon też był uzbrojony. Gdyby przyszło do strzelaniny, chętnie spróbuje swoich sił w starciu z agentem.

Mężczyzna zatrzymał się parę metrów przed ferrari. Wskazał na samochód, szczerząc zęby w uśmiechu.

- Niezła bryka - powiedział. - Musiała kosztować fortunę. Simon wzruszył ramionami.
  - To nic takiego. Narzędzie do pracy.
  - Tylko narzędzie, he? - Agent obszedł ferrari, podziwiając jego opływową linię. - Nie miałbym nic przeciwko takiemu narzędziu pracy.
  - Nic trudnego. Moja oferta jest wciąż aktualna. Agent przesunął dłoń po spojlerze.
  - Sześćdziesiąt tysięcy, tak? Taka była umowa? Simon pokiwał głową.
  - Trzydzieści płatne teraz. Druga połowa, jeśli twoja informacja doprowadzi do pojmania podejrzanego.
  - To chyba mój szczęśliwy dzień. Właśnie dostałem wiadomość z kwatery głównej, kiedy do ciebie jechałem. - Skrzyżował ramiona na piersiach. - Masz przy sobie pieniądze?
- Nie spuszczając wzroku z agenta, Simon sięgnął jedną ręką do samochodu. Wyjął czarną walizkę, która leżała na siedzeniu pasażera.
- Pierwsza rata jest tutaj. W banknotach dwudziestodolarowych.
- Agent przestał przyglądać się ferrari. Całą uwagę skupił na walizce. Chciwość tego faceta przechodziła wszelkie pojęcie, dlatego właśnie Simon pielęgnował tę znajomość.
- Dostaliśmy raport, że jakiś obywatel widział Swifta go dzinę temu. Na postoju przed rogatkami Pensylwanii.
- Simon spojrział na drugą stronę rzeki, na Pensylwanię.
- Gdzie? Na którym parkingu?
  - Stacja Obsługi Pojazdów New Stanton. Około czterdziestu ośmiu kilometrów od Pittsburga. Policja stanowa ustawiła blokady, ale jeszcze go nie znaleźli. Pewnie zdążył już zjechać z autostrady.

Simon bez wahania podał walizkę agentowi. Chciał już ruszać w drogę.

- Skontaktuję się z tobą w sprawie drugiej raty. Spodziewaj się telefonu ode mnie w ciągu najbliższych dwunastu godzin.

Agent chwycił walizkę dwoma rękami. Wydawał się zaskoczony własnym szczęściem.

- Będę czekał. Miło się z tobą robi interesy.

Simon wsiadł do ferrari i odpalił silnik.

- Nie, cała przyjemność po mojej stronie, panie Brock.

Z oddalonego o dziewięćdziesiąt metrów punktu obserwacyjnego David patrzył na Newell-Simon Hall, próbując przypomnieć sobie dokładną lokalizację gabinetu Amila Gupty. On i Monique przycupnęli w pustej sali wykładowej w Centrum Sztuk Pięknych Purnell, budynku sąsiadującym z kampusem uniwersytetu Carnegie Mellon. W sali najwyraźniej odbywały się zajęcia z projektowania scenografii, bo między ławkami poniewierały się deski pomalowane tak, by imitować drzewa, domy, samochody i witryny sklepów. Obok okna, przez które wyglądali David i Monique, stała duża płyta przedstawiająca fasadę zakładu fryzjerskiego z napisem SWEENEY TODD. Wszystkie te dwuwymiarowe akcesoria sprawiały, że sala wyglądała jak wnętrze domku dla lalek. David pomyślał o swoim artykule na temat Krainy Płaszczaków, wszechświata pozbawionego głębi.

Dochodziło południe. Po wpadce na stacji New Stanton przez ponad godzinę jeździli bocznymi uliczkami przedmieść Pittsburgha, trzymając się z dala od głównych dróg, aby dotrzeć do Carnegie Mellon, nie natrafiając na wozy patrolowe. Kiedy dojechali, Monique ukryła corvette wśród setek sportowych

samochodów zaparkowanych na głównym parkingu uniwersytetu, po czym pieszo przemaszerowali przez kampus. Na punkt obserwacyjny wybrali Centrum Sztuk Purnell, bo mieściło się na wzniesieniu nad Newell-Simon Hall, dzięki czemu mieli doskonały widok na parking między dwoma budynkami.

David najpierw zauważył robota marki Highlander, zaprojektowanego na zamówienie Hummera, z wielką srebrną kulą na dachu. Czytał o tym samochodzie w „Scientific American”. Był to jeden z ulubionych projektów Gupty. Mógł przejechać setki kilometrów bez kierowcy. Testowało go kilku studentów z Instytutu Robotyki, patrząc, jak pojazd objeżdża parking. W kuli na dachu mieścił się laserowy skaner, który wykrywał przeszkody na drodze. Jeden ze studentów trzymał radio do sterowania, którym mógł natychmiast wyłączyć silnik, w razie gdyby coś nawaliło.

Drugą rzeczą, jaką David dostrzegł, były chowolety suburban. Dwa samochody stały zaparkowane niedaleko wejścia do Newell-Simon Hall, a kolejne dwa na tyłach parkingu. Wskazał je Monique:

- Widzisz te auta? Rządowe.
- Skąd wiesz?
- Widziałem takie same w garażu FBI w Nowym Jorku.

Potem wskazał na dwóch mężczyzn w podkoszulkach i szortach, którzy kopali piłkę w różne miejsca.

- Widziałaś tych facetów z piłką? Czemu grają na środku parkingu?

- Trochę za starzy na studentów - zauważyła Monique.
- Otóż to. A patrz na tego gościa, który leży tam na trawie z klątą na wierzchu. Błdy jak na kogoś, kto się opala, nie?
- Dwóch następnych siedzi w trawie po drugiej stronie budynku.



David potrząsnął głową.

- To moja wina. Pewnie wzmocnili nadzór, jak odkryli, że jesteśmy na rogatkach. Wiedzą, że próbujemy odnaleźć Gupta.

Odsunął się od okna i oparł o ścianę. To pułapka. Tajniacy czekali, aż się pokaże. To dziwne, ale David nie panikował. Strach ustąpił, przynajmniej na razie. Teraz czuł tylko wściekłość. Pomyślał o artykule na pierwszej stronie „Pittsburgh Post-Gazette” o zawiłej historii wymyślonej po to, by przedstawić go jako handlarza narkotyków i mordercę.

- Jezu Chryste! - wymamrotał. - Tym dupkom się wydaje, że wszystko im wolno.

Monique oparła się o ścianę obok niego.

- Następny krok jest chyba oczywisty. Ja wchodzę do środka, ty zostajesz.

- Co takiego?

- Mnie nie szukają. Ci agenci nie mają pojęcia, że jestem z tobą. Wiedzą tylko, że jakiś stary człowiek widział cię na postoju.

- A co, jeśli ten staruszek zapamiętał twoje numery rejestracyjne?

Popatrzyła na niego ponuro:

- Ten dziadyga? Miał pełne portki, jak cię zobaczył. Nic nie widział.

David zmarszczył brwi. Plan Monique wcale mu się nie podobał.

- To zbyt ryzykowne. Ci agenci przyglądają się każdemu, kto zbliża się do tego budynku. Z tego, co wiemy, mają zdjęcia wszystkich fizyków teoretycznych w kraju, a jak zorientują się, kim jesteś, na pewno nabiorą podejrzeń. Pamiętaj, byli już w twoim domu.

Westchnęła głęboko.

- Wiem, że to ryzykowne. Ale co innego proponujesz? Masz lepszy pomysł?

Niestety, nie miał. Odwrócił się od niej i rozejrzał po pokoju, szukając inspiracji.

- A może jakieś przebranie? - zasugerował. - W końcu to wydział teatralny, więc muszą mieć jakieś kostiumy. Mogłabyś założyć perukę albo coś w tym rodzaju.

- Błagam cię, David. Jeżeli włożę na siebie cokolwiek stąd, będę wyglądała kretyńsko. A to tylko zwróci ich uwagę.

- Niekoniecznie. A gdybyś tak...

Zanim dokończył, usłyszał łoskot na korytarzu. Monique krzyknęła:

- Cholera! - i sięgnęła po rewolwer zatknięty za paskiem od szortów, ale David chwycił ją za nadgarstek.

Wciągnął ją za płytę przedstawiającą zakład fryzjerski Sweeneya Todda. Po chwili łoskot ustał i usłyszeli pobrzękiwanie kluczy. David był pewien, że po drugiej stronie drzwi stoi grupa agentów FBI gotowa wtargnąć do sali. Ale kiedy drzwi się otworzyły, zobaczył tylko sprzątaczkę, młodą kobietę w jasnoniebieskim fartuchu, popychającą przed sobą duży płócienny kosz na śmieci.

Monique z ulgą ścisnęła ramię Davida, ale żadne z nich nie ruszyło się z kryjówki. Wyglądając zza scenografii do *Sweeneya Todda*, David patrzył, jak sprzątaczką przepycha przez salę pojemnik na śmieci. Kiedy dotarła na drugi koniec, podniosła śmietnik pełen resztek artykułów plastycznych - odpiłowane kawałki desek, spory zwitek szmat przesiąkniętych farbą - i wyrzuciła wszystko do pojemnika. Była szczupłą czarnoskórą kobietą. Pod fartuchem miała podkoszulek i dzinsy. Prawdopodobnie nie miała więcej

niż dwadzieścia trzy lata, ale jej twarz już wyglądała na zmęczoną i zatroskaną. Zmarszczyła brwi, wytrząsając zawartość śmietniczki, i w tym momencie David zauważył, że ona i Monique, mimo różnicy wieku, wyglądają bardzo podobnie. Miały takie same długie nogi i ten sam buntowniczy sposób przechylania głowy. David przyglądał się jej, gdy odłożyła śmietniczkę i wraz z pojemnikiem ruszyła do wyjścia. Kiedy dotarła do drzwi, wyszedł z ukrycia. Monique próbowała go powstrzymać, ale był szybszy.

- Przepraszam - zwrócił się David do stojącej tyłem do niego sprzątaczkii.

Odwróciła się gwałtownie:

- Jezu! Co do...

- Przepraszam, że panią przestraszyłem. Moja koleżanka i ja kończymy scenografię na dzisiejszy wieczór. - Skinął na Monique, by podeszła. Zaciskając usta, wyszła zza płyty. David położył jej rękę w okolicy krzyża i lekko popchnął do przodu.

- To profesor Gladwell - powiedział - a ja jestem profesor Hodges. Z wydziału dramatycznego.

Sprząteczka przycisnęła rękę do piersi, jeszcze nie do końca otrząsnąwszy się z szoku. Ze złością popatrzyła na Davida i Monique.

- Przestraszyliście mnie, do ciężkiej cholery! Myślałam, że do pierwszej nikogo tu nie ma.

David uśmiechnął się, chcąc ją uspokoić.

- Zwykle nie ma, ale zostało nam na ostatnią chwilę trochę roboty przed dzisiejszym spektaklem. Wie pani, to spore przedstawienie, wszyscy są bardzo podekscytowani.

Kobieta jednak nie wydawała się tym poruszona.

- No to czego chcecie? Macie coś do wyrzucenia?

- Właściwie to zastanawiałem się nad fartuchem, który ma pani na sobie. Czy moglibyśmy go od pani pożyczyć na kilka godzin?

Wydeła usta z niedowierzaniem. Spojrzała na swój fartuch, na którym nad jej lewą piersią widniała naszywka z napisem OBSŁUGA BUDYNKÓW CARNEGIE MELLON.

- Ten? A po co wam to?

- Jedna z postaci w naszej sztuce jest sprzątaczką, ale nie podoba mi się kostium, który w tej chwili mamy. Chciałbym coś takiego jak pani fartuch. Muszę go tylko pokazać projektantce kostiumów, żeby mogła uszyć podobny.

Kobieta zmrużyła oczy. Nie kupowała tego.

- Panie, ja to muszę nosić przez cały czas, kiedy pracuję - powiedziała. - Jak wam go pożyczę, będę musiała iść po następny do pomieszczenia gospodarczego, a to kawał drogi stąd.

- Zrekompensuję pani tę niedogodność. - David sięgnął do kieszeni i wyjął zwitek dwudziestodolarówek. Wyciągnął dziesięć z nich.

Sprzątaczką wpatrywała się w dwieście dolarów w jego dłoni. Jej podejrzenia wcale nie znikły, ale teraz miała przynajmniej powód, żeby je zignorować.

- Zapłaci mi pan dwie stówki za fartuch?

Kiwnął głową.

- Wydział dramatyczny ma budżet do wykorzystania w nagłych sytuacjach, takich jak ta.

- I odda go pan, jak skończycie?

- Oczywiście. Będzie go pani mogła odebrać dziś po południu.

Patrząc na niego z rezerwą, zaczęła zdejmować fartuch.

- Tylko proszę nie mówić o tym nikomu z obsługi, dobrze?

- Proszę się nie martwić, nie pisnę ani słówka. - Davidowi przysłała do głowy jeszcze jedna myśl. - Będziemy jeszcze potrzebować pojemnika na śmieci. Przyda nam się jako rekwizyt.

Wręczyła Davidowi fartuch.

- Możecie go sobie zabrać, w piwnicy jest drugi.

Zabrała dwieście dolarów i szybko wyszła z sali, jakby się bała, że David może zmienić zdanie.

David zaczekał kilka sekund, po czym zamknął drzwi do sali. Odwrócił się do Monique z fartuchem przewieszonym przez ramię.

- No, dobra, mamy dla ciebie kostium.

Spojrzała ponuro na fartuch.

- Sprzątaczką. Jakie to oryginalne - mruknęła z goryczą.

- Hej, przepraszam. Pomyślałem tylko...

- Tak, wiem, co pomyślałeś - potrząsnęła głową. - Czarne kobiety sprzątaję biura, tak? Jeśli agenci FBI zobaczą, jak wchodzę do budynku z pojemnikiem na śmieci, to nie zwrócą na mnie uwagi?

- Jeśli nie chcesz...

- Nie, nie, masz rację. To jest właśnie najsmutniejsze. Masz rację. - Wzięła od niego fartuch i strzepnęła, chcąc go rozprostować. Błękitny materiał świsnął w powietrzu. - Nieważne, ile tytułów naukowych zdobędę, ile artykułów opublikuję, ile dostanę nagród. W ich oczach na zawsze pozostanę tylko sprzątaczką.

Włożyła ramiona w rękawy i zaczęła zapinać fartuch. Przez chwilę wydawało się, że zacznie płakać, ale przygryzła wargę

i zwalczyła tę chęć. David poczuł wyrzuty sumienia. Niezależnie od tego, co miał na myśli, zranił jej uczucia.

- To moja wina. Nie...

- Oczywiście, że to twoja wina, do diabła! A teraz włącz tu.

Wskazała na pojemnik ze śmieciami.

David spojrział na nią z zakłopotaniem:

- Do środka?

- Właśnie tam. Możesz się położyć na dnie, a ja przysypię cię śmieciami. W ten sposób oboje możemy wejść do budynku i porozmawiać z Gupta.

Cholera jasna, pomyślał. I to on sam na to wpadł!

Lucille Parker siedziała na jednym z foteli w C-21, wojskowej wersji learjeta. Samolot mknął nad zachodnią Pensylwanią. Wyjrzała przez okno i zobaczyła roгатki, rozciągające się jak lina na tle zielonych pagórków i dolin. Gdzieś tam była stacja obsługi, na której zauważono Davida Swifta, ale Lucille nie mogła jej namierzyć. Prawdopodobnie i tak już ją minęli. Z przodu widziała Pittsburgh, szarą plamę rozciągającą się na obu brzegach rzeki Monongahela.

Dyrektor biura zadzwonił, kiedy właśnie podchodzili do lądowania. Lucille podniosła słuchawkę radia ARC-190, które umożliwiała bezpieczną komunikację z personelem naziemnym.

- Słucham, tu Czarny Jeden.

- Cześć, Lucy - powiedział dyrektor. - Co nowego?

- Jestem dziesięć minut od Pittsburgha. Na lotnisku czeka na mnie transport.

- A co z zasadzką?

- Na razie ani śladu podejrzanego, ale jest jeszcze wczesnie. Ustawiliśmy dziesięciu agentów dookoła budynku Gupty

i kolejnych dziesięciu w środku. W hallu i przy wejściach s. kamery, a w podłogach umieściliśmy pluskwy.

- Jesteś pewna, że tak to należy rozegrać? Może lepiej byłoby zgrać Gupte i sprawdzić, ile wie?

- Nie, jeśli teraz zatrzymamy Gupte, wiadomość o tym rozejdzie się błyskawicznie. Swift nie zbliży się do tego miejsca. Ale jeśli będziemy działać z ukrycia, możemy zwinąć obu naraz.

- W porządku, liczę na ciebie, Lucy. Im prędzej zamknijemy tę sprawę, tym lepiej. Męczą mnie już te telefony od sekretarza obrony. - Dyrektor westchnął ciężko. - Potrzebujesz czegoś jeszcze? Więcej agentów, jakiegoś innego wsparcia?

Lucille zawahała się. To będzie trudne.

- Muszę przejrzeć akta wszystkich agentów z rejonu Nowego Jorku.

- Po co?

- Im dłużej myślę nad tym, co się wydarzyło na Liberty Street, tym bardziej jestem przekonana, że musiał nastąpić przeciek. Napastnicy za dużo wiedzieli o naszych działaniach. Myślę, że pomógł im ktoś od nas.

Dyrektor znów westchnął.

- Jezu Chryste! Jeszcze tego brakowało.

W środku było ciemno, niewygodnie i śmierdziało gorzej, niż David się spodziewał. Większość śmieci, które go przykrywały, była całkiem nieszkodliwa - papiery, szmaty, kawałki materiału i tak dalej - ale ktoś wrzucił do kosza resztki burrito, przez co w pojemniku panował siarczany odór zgnitych jajek. Żeby jeszcze pogorszyć sprawę, wyszczerbiony brzeg deski za plecami Davida wbijał mu się w obojczyk za każdym razem, kiedy pojemnik przejeżdżał po wybojach. David krzywił

się z bólu, gdy Monique wypychała go w pojemniku przed Centrum Sztuk Purnell i podążała dróżką w kierunku Newell--Simon Hall.

Po minucie jego oczy przyzwyczyły się do ciemności i zauważył małą pionową dziurę w płóciennym pojemniku na śmieci. Przemieszczając się na łokciach i kolanach, posuwał się do przodu, aż dotarł do otworu i wyjrzał na zewnątrz. Byli teraz na parkingu, tuż przed nimi zwinnie poruszał się robot Highlander, zmierzając do wejścia dla obsługi do Newell--Simon. Monique szła za robotem i za dwoma studentami, którzy śledzili postęp maszyny. Na razie wyglądało na to, że plan działa. Za parę sekund będą w budynku. A potem David usłyszał krzyk:

- Głowa do góry! - i chwilę później rozległ się trzask gdzieś nad jego głową.

Jakiś tępy przedmiot uderzył go w tył głowy, przygniatając mu nos do dna pojemnika. Zabolało, ale nie wydał żadnego dźwięku. Po chwili usłyszał klaskanie trampek o asfalt. Przez dziurę w płótnie dostrzegł parę owłosionych nóg, a potem obok pojawiła się kolejna. O kurwa, pomyślał. To ci agenci, co grali w nogę. Piłka wpadła im prosto do pojemnika. Co gorsza, uderzenie rozrzuciło śmieci, odsłaniając jego ramiona i czubek głowy.

Agenci podeszli bliżej. Jeden z nich był już tylko półtora metra od nich. David leżał bez ruchu, czekając, aż mężczyźni zajrzą do pojemnika i zauważą go. A potem zobaczył, jak trzecia para nóg, szczupłych i brązowych, staje przed agentami.

- Szlag by to trafił! - wrzasnęła Monique. - Mało nie dostałam w głowę!

- Przepraszamy panią bardzo - odparł agent. - Nie chcieliśmy...



- To nie plac zabaw! Powinniście uważać!

Mężczyzna cofnął się. Monique udało się go onieśmielić kilkoma słowami i odpowiednim podejściem. David musiał przyznać, że strategia była świetna. Najlepszą obroną jest atak.

Palce Monique w sandałach obróciły się w stronę pojemnika. Zajrzała do środka. David poczuł na plecach jej dłonie, gdy podniosła piłkę i ułożyła resztę śmieci tak, by go przykryć. Potem zwróciła się do agentów:

- Macie swoją piłkę i idźcie grać gdzie indziej.

Blade nogi odeszły. Brązowe nogi jeszcze przez kilka sekund stały na straży, po czym zniknęły z widoku i pojemnik znów ruszył w drogę.

Po chwili przeszli wejściem dla obsługi - była to załadownia, ale spełniała również funkcję garażu dla Highlandera. Monique skierowała się do windy towarowej i nacisnęła przycisk. David wstrzymał oddech, aż drzwi się otworzyły i Monique wjechała pojemnikiem do środka. Gdy tylko drzwi się zamknęły, zakaszła szybko dwa razy. Założyli, że cały budynek jest na podsłuchu, więc ustalili system porozumiewania się - kiedy Monique kaszlnie dwa razy, to znaczy „Czy wszystko w porządku?” David w odpowiedzi kaszlnął raz. Wtedy winda zatrzymała się na czwartym piętrze.

Wyjechali na nieskazitelnie czysty korytarz i podeszli do recepcji przy biurze Amila Gupty, którą David pamiętał ze swojej ostatniej wizyty w Instytucie Robotyki. Na samym środku pomieszczenia stało smukłe czarne biurko pełne monitorów. Było dokładnie tak, jak David zapamiętał, ale w recepcji nie pracowała już wysoka okrągła blondynka, która robiła do niego piękne oczy, gdy czekał na rozmowę z Gupta. Teraz za biurkiem siedział jakiś chłopak, mógł mieć najwyżej osiemnaście lat. David

przechylił głowę na bok, żeby lepiej widzieć młodzieńca przez dziurę w płótnie. Chłopak wpatrywał się w monitor i gorączkowo szarpał joystick leżący koło klawiatury. Prawdopodobnie był studentem, maniakiem komputerowym, który skończył liceum kilka lat wcześniej i teraz próbował zaistnieć na uniwersytecie, pracując jako sekretarz w Instytucie Robotyki. Miał nieco pucolowatą twarz, oliwkową cerę i gęste czarne brwi.

Monique podeszła do biurka, zostawiając pojemnik za sobą.

- Przepraszam bardzo - powiedziała - przyszłam posprzątać gabinet doktora Gupty.

Chłopak nie podniósł wzroku. Nadal wpatrywał się w ekran, rzucając się w przód i w tył, by nadażyć na dynamiczną grę komputerową.

- Przepraszam - powtórzyła Monique, tym razem trochę głośniej. - Wejść do jego biura opróżnić kosze na śmieci, dobrze?

Nadal żadnej odpowiedzi. Chłopak miał otwarte usta, a czubek języka oparł o dolną wargę. Na jego twarzy nie malowały się żadne emocje - tylko niczym niezmacona, automatyczna koncentracja. Ogólny efekt był dość niepokojący. Być może to wcale nie student, pomyślał David. Przyszło mu do głowy, że z chłopcem może być coś nie tak.

W końcu Monique darowała sobie dalsze próby nawiązania z nim kontaktu i ruszyła do drzwi znajdujących się za biurkiem. Chwyciła klamkę, ale była nieruchoma. Marszcząc brwi, Monique zwróciła się znów do chłopaka:

- Drzwi są zamknięte - powiedziała. - Musisz je otworzyć, żebym mogła wejść i posprzątać.

Chłopak nie odpowiedział, ale David usłyszał gdzieś niedaleko głośne buczenie. To był odgłos silnika elektrycznego.

Wydawało się, że zbliża się do pojemnika ze śmieciami. Na twarzy Monique pojawił się wyraz bezgranicznego zdziwienia, gdy spojrzała na drugi koniec pomieszczenia. Wtedy David zobaczył, co tak przykuło jej uwagę: srebrna maszyna w kształcie pudełka rozmiarów walizki sunęła w jej kierunku na gąsienicach. Robot zatrzymał się u stóp Monique, wysunął ramię i wycelował w nią czujnik w kształcie żarówki.

Maszyna wyglądała trochę jak żółw z bardzo długą szyją. Monique i robot przyglądali się sobie uważnie przez parę sekund, po czym z głośników wydobył się elektronicznie generowany głos:

- Dzień dobry! Jestem AR-21, Automatyczny Recepcjonista stworzony przez studentów Instytutu Robotyki. W czym mogę pomóc?

Monique gapiła się na to coś. Rzuciła okiem na chłopaka siedzącego za biurkiem, zastanawiając się, czy sobie z niej żartuje, ale nastolatek był nadal pochłonięty grą.

Maszyna zmieniła ustawienie czujnika, namierzając jej twarz.

- Może mogę w czymś pomóc - zaintonował robot. - Proszę mi powiedzieć, czego pani chce, a spróbuję pomóc.

Z wyraźną niechęcią Monique odwróciła się do maszyny i spojrzała w okrągły czujnik.

- Jestem sprzątaczką. Otwórz drzwi.

- Przykro mi - odpowiedział AR-21 - Nie zrozumiałem. Mogłaby pani powtórzyć?

Zniechęcenie na twarzy Monique stało się jeszcze wyraźniejsze.

- Sprzątaczką - powiedziała głośno i wyraźnie. - Otwórz... drzwi.

- Czy powiedziała pani „program zajęć”? Proszę odpowiedzieć tak lub nie.

Zrobiła krok w kierunku robota i przez chwilę Davidowi wydawało się, że ma zamiar go kopnąć.

- Muszę... wejść... do... biura... doktora Gupty. Rozumiesz? Biuro... doktora Gupty.

- Czy powiedziała pani „Gupta”? Proszę odpowiedzieć tak lub nie.

- Tak! Tak! Doktor Gupta!

- Profesor Amil Gupta jest dyrektorem Instytutu Robotyki. Czy chciałaby się pani umówić z nim na konsultację?

- Tak! To znaczy, nie! Chcę tylko posprzątać jego biuro!

- Profesor Gupta ma dyżur w poniedziałki i w środy. Najbliższy wolny termin ma w przyszły poniedziałek o trzeciej. Czy ten termin pani pasuje? Proszę odpowiedzieć tak lub nie.

Monique straciła cierpliwość. Uniosła ramiona w geście poddania i pomaszrowała z powrotem do pojemnika na śmieci. David zadrżał, kiedy złapała za krawędź pojemnika i zaczęła go tyłem wypychać z recepcji. Szybko posuwali się korytarzem, a kółka pojemnika grzechotały na płytkach podłogi. Jednak zamiast wracać do windy, Monique otworzyła drzwi do magazynu i wjechała do środka.

Gdy tylko zamknęła za sobą drzwi, sięgnęła do pojemnika i odgarnęła zmięte papiery i brudne szmaty, przykrywające ramiona i głowę Davida.

Podniósł się na łokciach, spojrzął w górę i zobaczył zrozpaczoną twarz Monique pochyloną nad pojemnikiem. Przekaz był jasny: potrzebowała pomocy.

David ostrożnie uniosł głowę i rozejrzał się po pokoju. Wzdłuż ścian ciągnęły się metalowe półki, na których stały przedmioty niezbędne w pracy woźnego - butelki z płynem

do podłóg, paczki papieru toaletowego, pudła z kartridżami do drukarek. W rogu był duży zlew ze stali nierdzewnej. Ani śladu kamer. Oczywiście, FBI mogło tu jakąś ukryć, ale David wątpił, czy agenci federalni instalowaliby skomplikowany system monitoringu w tak małym i do tego rzadko uczęszczanym pomieszczeniu. Co innego podsłuch - pluskwy można było bez najmniejszego problemu założyć w każdym pokoju. Bez słowa wygramolił się z pojemnika, podszedł do zlewu i mocno odkręcił wodę. Widział ten trik na filmach, ale nie był pewien, czy naprawdę zapobiegnie podsłuchaniu ich rozmowy. Dla bezpieczeństwa przyciągnął Monique do siebie i wyszeptał jej do ucha:

- Musisz wrócić do recepcji.

Potrząsnęła głową:

- Nie ma mowy - szepnęła. - Ten zaszary robot jest do niczego. Ma beznadziejne oprogramowanie, w tym problem.

- W takim razie wróć tam i przykuj uwagę tego chłopaka. Klepnij go w ramię, jeśli będzie trzeba.

- To nic nie da. Wygląda, jakby był upośledzony, czy coś takiego. A agenci FBI prawdopodobnie słuchają wszystkiego, co mówię. Jeśli narobię za dużo zamieszania, zaczną coś podejrzywać.

- No to co zrobimy? Zaczekamy tutaj, aż Gupcie skończy się papier toaletowy?

- Czy jest jakieś inne wejście do jego gabinetu?

- Nie mam pojęcia! Nie byłem tu przez dobrych parę lat! Nie pamiętam...

Nagle coś uderzyło Davida w piętę. To było tylko lekkie klepięcie w tył buta, ale przestraszyło go nie na żarty. Spojrzał w dół i zobaczył niebieski dysk mniej więcej wielkości frisbee.

Dysk powoli posuwał się po podłodze, zostawiając za sobą mokry, zygzakowaty ślad na linoleum.

Sekundę później dostrzegła go również Monique i krzyknęła z lekkim przestraszeniem. David przyłożył dłoń do jej ust.

- Nie bój się - wyszeptał. - To tylko robot myjący podłogę. Kolejny z projektów Gupty. Najpierw rozprowadza płyn do czyszczenia według zaprogramowanego wzoru, a potem zasysa brudną wodę.

Spojrzała na niego ponuro:

- Ktoś powinien na niego nadepnąć, żeby zakończyć tę katorgę.

David pokiwał głową, patrząc, jak urządzenie się oddala. Wyglądało trochę jak olbrzymi owad z patykowatymi czarnymi czułkami wyrastającymi z krawędzi dysku. Gupta wyposażał wszystkie swoje roboty w transmitters radiowe, ponieważ miał obsesję na punkcie monitorowania ich działań. Kiedy David przeprowadzał wywiad z Gupta dziesięć lat temu, naukowiec z dumą pokazał mu monitor, na którym widać było położenie wszystkich autonomicznych maszyn krążących po korytarzach i laboratoriach Newell-Simon Hall. Wspomnienie tamtego ekranu z migającymi światełkami i trójwymiarowymi planami pięt poddało Davidowi pewną myśl.

- Jeżeli nie możemy się dostać do Gupty, sprowadzimy go do nas - powiedział, podchodząc do robota czyszczącego podłogę. Pochylił się, chwytając antenę. - To zwróci jego uwagę.

Gwałtownym ruchem wyrwał patykowatą czułkę.

Robot natychmiast wydał przeraźliwie wysoki, ogłuszający dźwięk. David odskoczył. Nie takiej reakcji się spodziewał. Liczył, że alarm pojawi się tylko na komputerze Gupty, a nie postawi na nogi cały instytut.

- Cholera! - krzyknęła Monique. - Coś ty narobił?
- Nie wiem!
- Wyłącz go! Wyłącz to coś!

David podniósł urządzenie i obracał je w dłoniach, gorączkowo szukając wyłącznika, ale na spodzie nie było nic, tylko dziurki i obrotowe szczotki. Alarm był tak silny, że robot wibrował w jego dłoniach. Zrezygnowany podszedł do zlewu i trzasnął robotem z całej siły w krawędź z nierdzewnej stali. Plastikowa obudowa pękła na dwoje, ze środka wylał się płyn do czyszczenia i rozsypały się popękane obwody scalone. Hałas nagle ustał.

David pochylił się nad zlewem, ciężko oddychając. Odwrócił się do Monique i dostrzegł jej niewyraźną minę. Nie powiedziała ani słowa, ale wiadomo było, co myśli. Agenci FBI na pewno usłyszeli alarm. Niedługo któryś wpadnie do magazynu, żeby zobaczyć, co się dzieje. Wydawało się, że sama ta myśl paraliżuje Monique. Przez kilka sekund stała na środku magazynu ze wzrokiem utkwionym w drzwiach. Patrząc na nią, David poczuł szarpnięcie w żołądku. Byli w pułapce. Bezradni. Ich plan zawalił się, zanim jeszcze zdążyli go dopracować. Nie dali rady uratować siebie, a co dopiero całego świata.

Wtem drzwi otworzyły się i stanął w nich Amil Gupta.

- Dobra, powiedz mi, jak wygląda sytuacja?

Lucille stała w tymczasowej kwaterze ustanowionej na kampusie Carnegie Mellon tego ranka. Z zewnątrz biuro wyglądało jak zwykła przyczepa, podłużne beżowe pudło z aluminiowym pokryciem - taka, jakie widuje się na budowach. W środku jednak było więcej elektroniki niż w atomowej łodzi podwodnej. Na jednej ścianie mieściły się monitory, na których wyświetlał się obraz obserwowanych biur, klatek scho-

dowych, wind i korytarzy w Newell-Simon Hall. Przed monitorami siedziało dwóch techników. Badali transmisje z kamer, a dodatkowo mieli na uszach słuchawki, żeby monitorować rozmowy wychwycone przez podsłuch. W drugim końcu przyczepy kolejnych dwóch techników badało ruch cyfrowy na łączach sieci Instytutu Robotyki i obserwowało poziom promieniowania w budynku - na to zwykle zwracano uwagę w działaniach antyterrorystycznych. W środku przyczepy Lucille maglowała agenta Crawforda, swojego obowiązkowego i ambitnego zastępcę.

- Gupta jest sam w gabinecie od dziesiątej rano - zgłosił Crawford - czytał notatki z BlackBerry trzymanego w dłoni. - O dziesiątej piętnaście poszedł do toalety, wrócił o dziesiątej dwadzieścia. O jedenastej pięć poszedł do pokoju socjalnego na kawę, wrócił o jedenastej dziewięć. Widać go teraz na monitorze numer jeden, o tutaj.

Ekran pokazywał Gupta przy biurku. Siedział oparty na krześle obrotowym i wpatrywał się w monitor swojego komputera. Naukowiec był starszym, lecz dziarskim mężczyzną. Miał jakieś metr siedemdziesiąt wzrostu, rzadkie siwe włosy i brązową lalkowatą twarz. Według tego, co Lucille przeczytała w jego aktach po drodze do Pittsburgha, drobna postura Gupty była efektem niedożywienia, którego doświadczył jako dziecko w latach trzydziestych w Bombaju. Teraz zdecydowanie nie głodował - dzięki sprzedaży firmy produkującej oprogramowanie, którą założył, i licznym inwestycjom, które poczynił w przemyśle robotyki, wyceniano go teraz na jakieś trzysta milionów dolarów. Choć był chudy jak oskubana kura, miał na sobie piękny oliwkowo-zielony włoski garnitur, na który nie byłoby stać żadnego pracownika rządowego.



- Co jest na jego monitorze? - spytała Lucille.
- Głównie kod oprogramowania - odparł Crawford. - Nasza wtyczka na jego kablu ISP pokazuje, że jak tylko wszedł do gabinetu, ściągnął olbrzymich rozmiarów program, więcej niż pięć milionów linii kodu. Najprawdopodobniej to jeden z programów sztucznej inteligencji. Wprowadzał do niego małe zmiany w ciągu ostatnich dwóch godzin.
- A e-mail i rozmowy telefoniczne?
- Dostał dwanaście e-maili, ale nic nadzwyczajnego. Wszystkie rozmowy przychodzące zostały przekierowane na pocztę głosową. Najwyraźniej nie chce, by mu przeszkadzano.
- Przychodził ktoś do jego gabinetu?
- Agent Crawford znów spojrzał na palmtop:
  - Jeden z jego studentów przyszedł do recepcji i umówił się na konsultację w przyszłym tygodniu; mężczyzna azjatyckiego pochodzenia, przedstawił się jako Jacob Sun. Żadnych innych wizyt nie było z wyjątkiem kuriera. I sprzątaczkę - wyszła z recepcji parę minut temu.
  - Sprawdziłeś te osoby w bazie danych biometrycznych?
  - Nie, nie widziałem takiej potrzeby. Żaden z odwiedzających nie pasuje do profilu.
- Lucille zmarszczyła brwi:
  - Co to znaczy, że „nie pasuje do profilu”?
- Crawford mrugnął szybko dwa razy, jego pewność siebie odrobinę zmalała.
  - Nie pasuje do profilu naszego celu, Davida Swifta i jego współkonspiratorów. Osoby, które obserwowaliśmy na pewno nie były...
  - Słuchaj, nie obchodzi mnie, czy to student, czy sprzątaczkę, czy dziewięćdziesięciodziewięcioletnia babuleńka na

wózku. Jeżeli ktokolwiek zbliży się do gabinetu Gupty, macie go sprawdzić. Zeskanuj ich podobizny z filmu i przepuść je przez system rozpoznawania twarzy, słyszysz? Energicznie pokiwał głową:

- Tak, proszę pani, od razu się do tego zabierzemy. Przepraszam, jeśli...

Zanim skończył, jeden z techników wrzasnął i ściągnął słuchawki z uszu. Crawford, któremu teraz zależało, aby jak najprędzej skończyć rozmowę z Lucille, podszedł do niego.

- Co jest? - zapytał. - Jakaś informacja zwrotna?

Technik pokręcił głową.

- Właśnie uruchomił się jakiś alarm. Chyba na czwartym piętrze.

Lucille poczuła, że włosy jej stają na głowie.

- To piętro Gupty, prawda?

W tym momencie spojrzała na monitor numer jeden i zobaczyła, jak malutki staruszek wstaje z krzesła i odchodzi od biurka.

- Patrzcie! Idzie gdzieś! Wychodzi z gabinetu!

Crawford pochylił się nad ramieniem technika i wskazał na rząd przycisków pod ekranem.

- Przełącz na kamerę w recepcji, zobaczmy, gdzie idzie.

Technik nacisnął guzik. Ekran numer jeden pokazywał teraz skromnego nastolatka siedzącego za biurkiem w recepcji i dziwne mechaniczne urządzenie, które wyglądało jak miniaturowy czołg. Nie było jednak widać Gupty.

- Dokąd poszedł? - zapytała Lucille. - Jest jakieś inne wyjście z jego gabinetu?

Crawford zaczął gorączkowo mrugać.

- Ech, sprawdzę plan piętra. Może...

- Cholera jasna! Nie mamy na to czasu! Wyślij tam jakichś agentów, ale już!

David chwycił profesora Gupta i zakrył mu usta, podczas gdy Monique zamknęła za nim drzwi. Staruszek był nieprawdopodobnie lekki, ważył może pięćdziesiąt kilogramów, więc łatwo go było przenieść w odległy róg magazynu. Tak delikatnie jak tylko umiał David oparł Gupta o ścianę i przycupnął obok niego. Profesor był prawie dwa razy starszy od Davida, ale jego filigranowa postura, małe dłonie i pozbawiona zmarszczek twarz sprawiały, że wyglądał niemal jak dziecko. Przez chwilę David wyobraził sobie, że trzyma w ramionach Jonaha, że obejmuje ramiona syna, chcąc go ogrzać, i lekko dotyka jego ust, by uspokoić jego płacz.

- Doktorze Gupta? - szepnął. - Pamięta mnie pan? Jestem David Swift. Byłem u pana, żeby przeprowadzić wywiad na temat pana współpracy z Einsteinem. Pamięta pan?

Oczy profesora, roztrzęsione białe kulki z ciemnobrązowymi tęczęwkami, przez sekundę niepewnie przyjrzały się Davidowi, po czym rozszerzyły się, gdy nagle go rozpoznał.

- Co pan...

- Błagam! - syknął David. - Proszę mówić tylko szeptem.

- Dla pana własnego bezpieczeństwa - dodała Monique, schylając się nad ramieniem Davida. - Pańskie gabinety są pod obserwacją. W tym pomieszczeniu może być podsłuch.

Oczy Gupty biegły od Davida do Monique. Był wyraźnie przestraszony, ale próbował zrozumieć, o co chodzi. Po kilku sekundach pokiwał głową, niechętnie się z nimi zgadzając. David zdjął dłoń z jego ust. Gupta nerwowo oblizał wargi.

- Podsłuch? - wyszeptał. - Kto podsłuchuje?

- Z całą pewnością FBI - odparł David. - I być może jeszcze ktoś. Szukają pana bardzo niebezpieczne osoby, profesorze. Musimy pana stąd zabrać.

Potrząsnął głową ze zdziwieniem. Jego niesforne siwe włosy opadły mu na czoło.

- Czy to jakiś żart? David, nie widziałem cię tyle lat, a teraz przychodzisz tu z... - urwał i spojrzał na Monique w fartuchu sprzątaczkim. - Kim pani jest? Pracuje pani w obsłudze budynków Carnegie Mellon?

- Nie, jestem Monique Reynolds - wyszeptała. - Z Instytutu Badań Zawansowanych.

Popatrzył na nią uważnie, próbując ją jakoś umiejscowić.

- Monique Reynolds? Teoria strun?

Kiwnęła głową.

- Tak. Przepraszam, jeżeli...

- Tak, tak, znam panią. - Uśmiechnął się lekko. - Moja fundacja sponsorowała niektóre badania z fizyki cząstek elementarnych w Fermilabie, więc pani praca jest mi znana. Ale dlaczego się pani tak ubrała?

David zaczynał się niecierpliwić. Było kwestią czasu, zanim do pomieszczenia wpadną agenci, żeby sprawdzić, co uruchomiło alarm.

- Musimy uciekać, profesorze. Pomogę panu wejść do pojemnika, a potem...

- Do pojemnika?

- Proszę z nami pójść. Nie ma czasu na wyjaśnienia.

David chwycił Guptę za łokieć i zaczął go podnosić. Ale starszy człowiek nie chciał się ruszyć. Z zadziwiającą siłą wyrwał ramię z uścisku Davida. - Obawiam się, że będziecie musieli poczekać. Nigdzie nie idę, dopóki mi nie wyjaśnicie, co jest grane.

- Proszę pana, agenci będą tu lada...
- W takim razie radzę, żebyście się pospieszyli z wyjściem.

Cholera jasna, pomyślał David. To był największy prohin z tymi geniuszami - byli zbyt racjonalni. Przez moment wpał trywał się w sufit, próbując uspokoić swoje obawy i rozjasnić umysł. Potem spojrzął na Guptę w oczy:

- *Einheitliche Feldtheorie*- wyszeptał. - Tego właśnie chcę.

Niemieckie słowa dotarły do Gupty z lekkim opóźnieniem. Na początku uniósł brwi w łagodnym zdumieniu i zakłopotaniu, ale po kilku sekundach jego twarz skamieniała. Oparł się o ścianę, niewidzącym wzrokiem przebiegając wzdłuż metalowych półek.

David pochylił się nad nim, żeby kontynuować wyjaśnienie.

- Ktoś próbuje złożyć kawałki teorii w jedną całość. Być może to terrorysta, a może szpieg. Nie wiem. Najpierw ścigali MacDonalda, potem Boucheta i Kleinmana. - Przerwał, martwiąc się, co teraz powiedzieć. Gupta pracował z tamtymi przez tyle lat. Szczególnie blisko był z Kleinmanem. - Przykro mi, profesorze. Wszyscy trzej nie żyją. Został tylko pan.

Gupta spojrzął na niego. Nerwowo tik szarpnął jego dolną powiekę.

- Kleinman? Nie żyje?

David pokiwał głową.

- Wczoraj w nocy widziałem się z nim w szpitalu. Skatowano go.

- Nie, nie, nie! - Gupta chwycił się za brzuch i jęknął. Zamknął oczy, otworzył usta, wyglądało na to, że zwymiotuje.

Monika klęknęła na ziemi i objęła go ramieniem.

- Ciiicho, ciiiicho, spokojnie - szeptała, poklepując go po plecach. - Już dobrze, już dobrze.

David odczekał kilka sekund, gdy Monique pocieszała starszka. Ale nie mógł dać im więcej czasu. Wyobraził sobie, że agenci w tej chwili biegną w górę po schodach wiodących do Newell-Simon Hall.

- Rząd domyślił się, o co chodzi - powiedział. - I teraz też chcą poznać teorię. Dlatego jest pan pod obserwacją FBI i dlatego ścigają mnie od szesnastu godzin.

Gupta otworzył oczy, krzywiąc się. Jego twarz lśniła od potu.

- Skąd pan to wie?

- Zanim Kleinman odszedł, dał mi kod, sekwencję cyfr. Okazało się, że to współrzędne geograficzne pana gabinetu. Wydaje mi się, że Kleinman chciał, bym jakoś strzegł teorii. Żebym uchronił ją zarówno przed rządem, jak i przed terrorystami.

Profesor wlepił wzrok w ziemię i powoli potrząsał głową.

- Najgorszy koszmar - wymamrotał. - To był najgorszy koszmar *Hen Doktora*.

David poczuł uderzenie adrenaliny. Krew pulsowała mu na szyi.

- Czego się bał? Czy to jakaś broń?

Gupta nadal potrząsał głową.

- Nigdy mi nie powiedział. Powiedział innym, ale nie mnie.

- Co takiego? Co to znaczy?

Gupta westchnął głęboko. Z widocznym wysiłkiem wyprostował się i wyjął z kieszeni chusteczkę.

- Einstein słuchał własnego sumienia, Davidzie. Bardzo ostrożnie dobrał ludzi, którzy mieliby nieść to brzemie.

- Uniósł chusteczkę i otarł pot z czoła. - W 1954 roku byłem

żonaty, a moja żona była w ciąży z naszym pierwszym dzieckiem. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnąłby *Herr Doktor*, było ni rażanie mnie na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Zamiast tego podzielił równania między pozostałych: Kleinmana, Boucheta i MacDonalda. Widzisz, żaden z nich nie był żonaty.

Monique, wciąż klęcząc przy Kleinmanie, rzuciła Davidowi przestraszone spojrzenie. Równie zaniepokojony David zbliżył się jeszcze bardziej do starego naukowca:

- Chwileczkę - szepnął. - Twierdzi pan, że nie zna zuni fikowanej teorii? Ani nawet żadnej jej części?

Znów potrząsała głową.

- Wiem, że Einsteinowi udało się sformułować teorię i postanowił trzymać ją w tajemnicy. Ale nie znam żadnych równań ani podstawowych zasad. Moi koledzy przysięgli *Herr Doktorowi*, że nikomu nie zdradzą tej tajemnicy. I pilnie przestrzegali złożonej obietnicy.

David był tak skonsternowany, że zakręciło mu się w głowie. Musiał się oprzeć o ścianę, żeby nie stracić równowagi.

- Chwila, chwila! - parsknął. - To nie ma sensu. Kod Kleinmana wskazywał na pana. Jeśli to prawda, że pan nie zna teorii, po co by mnie tu przysyłał?

- Być może źle zinterpretowałeś kod. - Gupta zdążył się już trochę uspokoić i teraz podchodził do Davida jak do studenta. - Mówiłeś, że to sekwencja liczb?

- Tak, tak, szesnaście cyfr. Pierwsze dwanaście to szerokość i długość geograficzna Newell-Simon Hall. Ostatnie cztery cyfry to pana numer wewnętrzny...

David przerwał w pół zdania. Usłyszał coś. Szybki metaliczny grzechot. Był cichy, ale nie dało się go pomylić z niczym innym. Dochodził od drzwi magazynu. Ktoś szarpał za klamkę.

Agent Crawford stał zdenerwowany nad pulpitem sterowniczym. Patrzył na ekran z odległości jakichś dziesięciu centymetrów. Przez słuchawki wydawał instrukcje dwuosobowemu zespołowi, który zmierzał w stronę gabinetu Gupty. Lucille stała za nim, nadzorując wszelkie poczynania ze stanowiska dowódcy. Zabezpieczyli otoczenie Newell-Simon Hall, więc nie było możliwości, by Gupta mógł wyjść z budynku. Jednak Lucille wiedziała, że się nie uspokoi, dopóki go nie namierzą.

Na monitorze dostrzegli agentów Walsh i Millera maszerujących do recepcji. Byli ubrani jak studenci, mieli na sobie szorty, podkoszulki i trampki. Każdy niósł duży niebieski plecak. Nie było to najsprytniejsze przebranie, ale musiało wystarczyć. Niepozorny chłopak nadal siedział za biurkiem, ale dziwaczny miniaturowy czołg zniknął. Jeden z agentów - Walsh, ten wyższy - podszedł do nastolatka:

- Proszę sprowadzić profesora Gupte! - krzyknął. - W laboratorium komputerowym jest pożar!

Chłopak nawet na niego nie spojrział. Cały czas wpatrywał się w duży płaski monitor, który zajmował większość biurka. Kamera w recepcji była umieszczona na ścianie za jego plecami, więc Lucille widziała, co ma na monitorze: animowany żołnierz w mundurze koloru khaki biegł obok domu z żółtej cegły. Jakaś cholerna gra komputerowa.

Agent Walsh oparł się o biurko i chwycił twarz chłopaka:

- Hej, ogłuchłeś? To nagła sytuacja! Gdzie jest profesor Gupta?

Nastolatek po prostu przechylił głowę i dalej grał. Tymczasem agent Miller podszedł do drzwi gabinetu Gupty.

- Zamknięte - stwierdził. - Sprawdź, czy na biurku jest przycisk, który otwiera te drzwi.



Walsh obszedł biurko i odepchnął na bok krzesło chłopca. Gdy się pochylał, chcąc sprawdzić biurko, jego dłoń uderzyła w klawiaturę i monitor zgasł. W tej samej chwili nastolatek zeskoczył z krzesła i zaczął krzyczeć. Wydał z siebie koszmarny, rozpaczliwy, szaleńczy wrzask, długi i niesłabnący. Machał przy tym rękami, zupełnie jakby płonęły.

- Jezu! - krzyknął agent Walsh, obracając się natychmiast w jego kierunku. - Zamknijże się do cholery!

Chłopak zeszywniał i zaczął się drzeć jeszcze głośniej.

O kurwa, pomyślała Lucille, patrząc w ekran. Widziała już podobne zachowania. Jedno z wnucząt jej siostry w Houston ma ten sam problem. Chłopiec jest autystyczny.

Podeszła do przodu i wyrwała krótkofalówkę agentowi Crawfordowi:

- Zostawcie chłopaka! - krzyknęła do mikrofonu. - Otwórzcie te drzwi!

Walsh i Miller posłusznie otworzyli plecaki i wyjęli sprzęt do włamań. Walsh umieścił rozdwojony koniec łomu między drzwiami a framugą, a Miller zamachnął się młotem, by wbić go głębiej. Po trzech uderzeniach udało im się wyważyć drzwi i wpadli do gabinetu Gupty. Lucille zobaczyła, jak obaj agenci pojawiają się na innym monitorze, przechodząc koło biurka Gupty i przeszukując pokój.

- Nie ma go tu - zgłosił Walsh przez krótkofalówkę. - Ale są drugie drzwi z tyłu pokoju, ukryte za regałem z książkami. Mamy tam wejść?

- Do diabła, jasne, że tak! - ryknęła Lucille.

Obok niej agent Crawford wertował mapy pięter Newell--Simon Hall.

- Tych drzwi nie ma na planie - powiedział. - Musieli je niedawno dodać.

Lucille spojrzała na niego z niesmakiem. Był bezużyteczny.

- Potrzebuję jeszcze sześciu agentów, żeby ruszyli tyłki na czwarte piętro, słyszysz? Mają przeszukać każdy pokój! Każdy!

Gdy Crawford próbował znaleźć swoją krótkofalówkę, jeden z techników podszedł do Lucille z wydrukiem w ręce.

- Eee, agentko Parker. Mogę na chwilę przeszkodzić?

- Chryste, co znowu?

- Mam, te, no, wyniki przeszukiwania bazy danych, o które pani prosiła. Przepuściliśmy zdjęcia zeskanowane z filmów przez system rozpoznawania twarzy.

- To dawaj! Masz coś?

- No, tak. Chyba znalazłem coś, co może się przydać.

- Hej, jest tam kto?

Cała trójka zamarła, słysząc tubalny głos z drugiej strony drzwi. David, Monique i profesor Gupta jednocześnie wstrzymali oddech. Słyszać było tylko odgłos wody leżącej z kranu nad zlewem.

Potem rozległo się niecierpliwe walenie w drzwi, tak gwałtowne, że zadrżały ściany.

- Kontrola przeciwpożarowa! Jeśli ktoś tam jest, proszę otworzyć!

Gupta chwycił Davida za ramię, jego chude palce wbiły się w mięśnie. David znów pomyślał o swoim synu, przypomniał sobie, jak Jonah się do niego przytulał, gdy się czegoś bał. Gupta wskazał na drzwi i pytająco spojrzał na Davida. David potrząsnął głową - to na pewno nie strażacy.

Teraz z korytarza dobiegł jakiś chrzęst. Coś ciężkiego zaskrobało we framugę. Sekundę później pomieszczeniem

wstrząsnęło ogłuszające uderzenie. W wąskiej szczelinie między drzwiami a framugą pojawiła się rozgałęziona końcówka metalowego łomu.

Monique wyjęła rewolwer zza paska od szortów. Tym razem David jej nie powstrzymał. Wiedział, że nie mają najmniejszych szans, że agenci podziurawią ich jak sito, jeśli zaczną strzelać, ale w tej chwili nie myślał racjonalnie. Właściwie czuł się, jakby był pijany - pijany strachem i wściekłością. To było głupie, samobójcze, ale był zbyt wkurzony, by się tym przejmować. Pieprzyć to, pomyślał. Nie poddam się bez walki.

Na szczęście profesor Gupta przejął dowodzenie. Puścił Davida i chwycił ramię Monique, zmuszając ją, by opuściła broń.

- Nie potrzebujemy tego - wyszeptał. - Mam lepszy pomysł.

Gupta sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął mały gadżet, który wyglądał trochę jak palmtop, ale najwyraźniej został skonstruowany na zamówienie. Zręcznymi palcami zaczął szybko naciskać klawiaturę urządzenia. Na miniaturowym wyświetlaczu pojawiła się trójwymiarowa kompozycja architektoniczna, mapa Newell-Simon Hall z migającymi punkcikami rozproszonymi pomiędzy piętrami. David widział już tę mapę podczas ostatniej wizyty u profesora. Naukowiec używał jej do śledzenia swoich robotów.

Kolejne uderzenie wstrząsnęło drzwiami. Hałas sprawił, że David podskoczył w miejscu, ale Gupta nadal pochylał się nad małym ekranikiem - jego kciuki wciąż nerwowo naciskały klawisze. Jezu, pomyślał David, co on u diabła robi? Potem rozległo się jeszcze jedno uderzenie, najgłośniejsze ze wszystkich - towarzyszył mu głęboki metaliczny dźwięk: stalowa

framuga ugięła się pod ciężarem łomu. Rozgałęziony pręt przedostał się już na kilka centymetrów do wewnątrz pokoju. Fluorescencyjne światło odbijało się od jego powierzchni, rzucając stalowoszary poblask. Jeszcze raz i drzwi się otworzą.

Wtedy David usłyszał znajome buczenie w korytarzu z drugiej strony drzwi. To był zbliżający się dźwięk silnika elektrycznego. A potem zabrzmiał elektronicznie generowany głos Automatycznego Recepcjonisty AR-21:

- UWAGA! UWAGA! Wykryto niebezpieczny poziom napromieniowania! Proszę natychmiast opuścić budynek... UWAGA! UWAGA! Wykryto niebezpieczny poziom napromieniowania. Proszę natychmiast opuścić budynek...

Jakby na potwierdzenie słów robota rozległ się alarm z megafonów, a stroboskopowe światła na suficie zaczęły migotać. Gupta najwyraźniej przeinstalował elektryczne systemy w budynku tak, by móc je kontrolować swoim małym urządzeniem. Przez buczenie alarmu David usłyszał krzyki na korytarzu - agenci FBI wykrzykiwali do siebie jakieś rozkazy. Potem porzucili sprzęt do włamań - David usłyszał brzęk upuszczanego łomu - i pobiegli do wyjścia. Po chwili odgłos kroków umilkł.

Monique z szerokim uśmiechem odłożyła broń i uściśnęła ramię profesora. Staruszek uśmiechnął się nieśmiało i wskazał na małe urządzenie sterujące.

- Ostrzeżenie było już w programie - wyjaśnił. - Tę klasę robotów stworzyliśmy początkowo dla Departamentu Obrony. Miały robić zwiad na polu bitwy. Wojskowa wersja tej maszyny nazywa się Biegnący Smok.

David pomógł Gupcie wstać.

- Teraz już lepiej chodźmy. Agenci wrócą za chwilę z licznikami Geigera.

Podprowadził profesora do pojemnika i chciał go podsadzić.

- To nie najwygodniejszy środek transportu, ale tym sposobem udało nam się dostać do budynku. Będzie pan musiał leżeć bez ruchu, dobrze?

- Jesteście pewni, że to dobry pomysł? - spytał Gupta.

- FBI mnie teraz szuka, budynek jest prawdopodobnie otoczony. Myślicie, że nie przeszukają pojemnika?

Monique zdążyła już otworzyć drzwi. Teraz się zatrzymała.

- Cholera, on ma rację. Tędy nie wyjdziemy.

David potrząsnął głową.

- Nie mamy wyboru. Wywieziemy pojemnik tak daleko, jak nam się uda, aż wyjedziemy poza zasięg kamer. Potem będziemy musieli spróbować...

- A te kamery monitorujące - wtrącił się Gupta - przekazują sygnał bezprzewodowo, tak?

- No chyba tak - odpowiedział David. - Operacja jest tajna, więc FBI nie chciałoby ciągnąć kabli przez cały teren.

Gupta znów się uśmiechnął.

- No to możemy coś z tym zrobić. Zabierzcie mnie do pokoju 407. Tam jest sprzęt do zakłócania sygnału. Potem nie będziemy już potrzebować pojemnika.

- Ale jak wyjdziemy z budynku? - zapytała Monique.

- Nawet jeżeli uda się zablokować sygnał z kamer, mają tylu agentów, żeby obstawić wszystkie wyjścia.

- Nie martwcie się, wiem, gdzie możemy pójść - odparł Gupta. - Moi studenci nam pomogą. Ale najpierw musimy zabrać Michaela.

- Michaela?

- Tak, siedzi za biurkiem w recepcji. Lubi tam grać na komputerze.

Upośledzony chłopak, pomyślał David. Ten, który wpatrywał się w monitor, zamiast porozmawiać z Monique.

- Przepraszam profesorze, ale dlaczego...
- Nie możemy go zostawić, Davidzie. To mój wnuk.

Lucille przyglądała się wydrukowi. Po lewej stronie widać było obraz z jednej z kamer, zdjęcie sprzątaczkii, która, popychając przed sobą pojemnik na śmieci, idzie do recepcji gabinetu Amila Gupty. Po prawej stronie była strona z akt Monique Reynolds, profesora fizyki w Institute for Advanced Study na Uniwersytecie Princeton. FBI zebrało całkiem sporo informacji na temat profesor Reynolds przed tajną operacją w jej domu przy Mercer Street 112. Agenci z New Jersey zgłosili, że profesor Reynolds nie była notowana, mimo że jej matka była wiele razy aresztowana za posiadanie narkotyków, a jej siostra była prostytutką w Waszyngtonie. A jeśli chodzi o tę sprawę, nie ma widocznych powiązań między profesor Reynolds a którymkolwiek asystentem Einsteina; instytut przyznał jej zaszczyt zamieszkania przy Mercer Street 112 dlatego, że była jednym z najbardziej poważanych fizyków. Agenci uznali, że Reynolds nie bierze udziału w żadnym spisku, i zasugerowali, żeby przeszukać jej dom, pozorując akt wandalizmu. Ale teraz wydawało się, że wnioski trochę mijały się z prawdą.

Ładna jest, pomyślała Lucille. Pełne usta, wyraźnie zaznaczone kości policzkowe, pięknie wymodelowane brwi. Była w wieku Davida Swifta. Oboje ukończyli studia na wydziale fizyki w końcu lat osiemdziesiątych. A Princeton, rzecz jasna, było jedną ze stacji pociągu, którym jechał wczoraj David Swift. Choć Lucille nie miała możliwości, by odgadnąć to wszystko zawczasu, poczuła się upokorzona, patrząc na Monique.

Ty chuda suko, pomyślała. Ty i Swift prawie mnie wyki waliście. Ale teraz cię mam.

Jej myśli przerwało zamieszanie na drugim końcu postę-runku. Agent Crawford stał przed monitorami i krzyczał do mikrofonu:

- Potwierdzam, wycofać się na parter i tam zająć pozycje! Powtarzam, zajmijcie pozycje na parterze. Musimy zostać w obrębie budynku.

Lucille odłożyła wydruk i spojrzała na Crawforda:

- Co jest grane?

- Mamy raport o promieniowaniu na czwartym piętrze. Wycofuję ludzi do czasu, aż będziemy mogli tam wysłać zespół w kombinezonach hazmat.

Lucille zeszytniała. Promieniowanie? Dlaczego wcześniej tego nie wykryto?

- Kto to zgłaszał? Jakie jest natężenie?

Niecierpliwie czekała, gdy Crawford wykrzykiwał pytania do mikrofonu. Po kilku sekundach, które wydawały się ciągnąć w nieskończoność, otrzymał odpowiedź:

- Włączył się alarm. Sygnał wyszedł z jednego z urządzeń monitorujących, Biegnącego Smoka.

- Co takiego? Nie ustawialiśmy tam żadnych urządzeń monitorujących!

- Ale agent Walsh powiedział, że to z pewnością był Biegnący Smok.

- Słuchaj, nie obchodzi mnie... - Lucille urwała. Przypomniała sobie coś, co widziała na jednym z ekranów kilka minut temu. Dziwną maszynę, wyglądającą jak malutki czołg, która sunęła po podłodze w recepcji. - Cholera, to jeden z robotów Gupty! To podstęp!

Crawford był zdezorientowany.

- Podstęp? Co pani...

Nie było czasu na wyjaśnienia. Lucille zdarła zdziwionemu Crawfordowi słuchawki z głowy i zaczęła mówić do mikrofonu:

- Wracać na miejsca! W budynku nie ma zagrożenia promieniowaniem! Powtarzam, nie ma zagrożenia...

- Agentko Parker! - krzyknął jeden z techników. - Proszę spojrzeć na ekran numer pięć!

Lucille spojrzała na monitor i zdążyła zobaczyć, jak Monique Reynolds idzie korytarzem, popychając pojemnik na śmieci. Musiał być ciężki, bo szła z trudem, trzymając krawędź obiema rękami, pochyliwszy się prawie poziomo. Obok niej biegł autystyczny nastolatek z recepcji profesora Gupty. Monique szybko minęła zasięg kamery, ale Lucille dostrzegła lokalizację urządzenia. Powiedziała:

- Wszystkie zespoły mają się udać na czwarte piętro do południowo-zachodniego rogu budynku. Cel zaobserwowano w tamtym obszarze. Powtarzam, czwarte piętro, południowo-zachodni róg.

Lucille odetchnęła z głośnym świstem, po czym oddała Crawfordowi słuchawki. Dobra, pomyślała, teraz to już tylko kwestia czasu. Spojrzała na monitory i zobaczyła, jak jej agenci biegną w górę po schodach Newel-Simon Hall. Za niecałą minutę dotrą do Monique Reynolds i wyciągną Gupta z pojemnika na śmieci. I może Davida Swifta, jeśli był na tyle głupi, żeby razem z nią wejść do budynku. A potem Lucille będzie mogła zapomnieć o całej tej pieprzonej sprawie i wrócić do swojego biura w kwaterze głównej, gdzie już nie będzie musiała się przejmować fizykami teoretycznymi, uciekającymi historykami ani szalonymi pomysłami sekretarza obrony, wziętymi żywcem z *Terminatora*.



Ale kiedy rozmyślała nad tą miłą perspektywą, nagle wszystkie ekrany zgasły.

Po czterech i pół godzinach szybkiej jazdy za kierownicą ferrari Simon dotarł do kampusu Carnegie Mellon i od razu skierował się do Instytutu Robotyki. Gdy tylko skręcił z Forbes Avenue, dotarło do niego, że może być za późno. Dwunastu krzepkich facetów w szortach i podkoszulkach strzegło wejścia do budynku. Połowa z nich przeszukiwała plecaki i torby studentów próbujących wyjść z hallu, a pozostali uważnie przyglądali się tłumowi, niestarannie ukrywając pistolety w kaburach przed wzrokiem ciekawskich.

Simon szybko zaparkował ferrari i obrał punkt obserwacyjny za sąsiednim budynkiem. Intuicja go nie zawiodła. David Swift i Monique Reynolds pojechali na zachód spotkać się z Amilem Gupta. Simon słyszał o Gupcie i jego współpracy z Einsteinem. Niejako automatycznie założył, że Gupta będzie jednym z jego celów razem z Bouchetem, MacDonalodem i Kleinmanem. Ale jego klient, Henry Cobb, powiedział mu na samym początku, że Gupty nie warto ścigać. Choć był jednym z asystentów Einsteina w latach pięćdziesiątych, nie wiedział nic na temat zunifikowanej teorii. Cobb nie wyjawiał, jak wszedł w posiadanie tej intrygującej wiadomości, ale był tego stuprocentowo pewien. Dlatego widok plutona agentów FBI otaczającego Instytut Robotyki, gotowego rzucić się na faceta, który nie może im nic powiedzieć, był nieodparcie śmieszny.

Problem polegał jednak na tym, że David również założył, iż Gupta zna teorię. Wyglądało na to, że FBI udało się schwytać w pułapkę jego i jego przyjaciółkę. Wydobycie ich spod kurateli FBI nie będzie łatwe. Biuro wzmocniło ochronę operacji - oprócz agentów przed Newell-Simon Hall dwuua

stu innych stało przy wejściu dla obsługi i prawdopodobnie kilku następnych w przyczepie, która służyła jako tymczasowy posterunek (od razu go rozpoznał po dużej ilości anten na dachu). Simon się jednak nie zrażał. Wiedział, że jeśli zaczeka na odpowiedni moment, będzie mógł przeprowadzić akcję dywersyjną. Dobrze, że wokół kręcili się studenci, gapiąc się na agentów. Być może przyda mu się żywa tarcza, kiedy przyjdzie do konfrontacji z FBI.

Simon wyjął lornetkę, żeby dokładniej obserwować operację. Przed wejściem dla obsługi wysoki agent z karabinem M-16 stał obok szeregu skutych w kajdanki kobiet w błękitnych fartuchach. Simon pokręcił lornetką, chcąc obejrzeć ich twarze w większym zbliżeniu: było ich pięć, wszystkie były czarne, ale nie było wśród nich Monique Reynolds. Kilka metrów dalej kolejnych dwóch agentów przekopywało pojemnik na śmieci, gorączkowo rozrzucając gazety, zmięte torebki i kawałki drewna. Dwadzieścia sekund później cały parking był zasypany śmieciami, a zawiedzeni agenci patrzyli na puste dno pojemnika. Potem podeszła do nich jakaś przysadzista kobieta w białej bluzce i czerwonej spódnicy i zaczęła krzyżeć. Simon przyjrzał się jej wykrzywionej ze złości twarzy ze zmarszczkami wokół oczu. Nagle ją rozpoznał - toż to babuszka! Baba z wielkim biustem, która wczoraj w nocy omal go nie zabiła! Tutaj również dowodziła operacją i z wyrazu jej twarzy Simon wywnioskował, że coś poszło nie tak. Co najmniej jeden podejrzany im się wymknął.

Wtedy Simon zobaczył jeszcze jeden rój agentów, otaczający jakiś dziwaczny samochód. Fotel pasażera wyrwano i zastąpiono masywną maszyną z wielką srebrną kulą na czubku. Simon w zdumieniu wpatrywał się w pojazd - widział jego zdjęcie już wcześniej w jakimś artykule o samochodach-

-robotach. Zapamiętał go, ponieważ zafascynowała go ta technologia. W kuli znajdował się laserowy skaner zaprojektowany tak, aby wykrywać przeszkody na drodze. Agenci uważnie przyglądali się pojazdowi, świecąc latarkami w każdy otwór. Jeden z nich przepytował parę studentów Instytutu Robotyki, którzy akurat testowali samochód, a inny na czworakach zaglądał pod podwozie, szukając pasażerów na gapę. W końcu agenci dali spokój studentom, pozwalając im kontynuować test. Młodzi ludzie pomaszerowali za pojazdem, który właśnie wyjeżdżał z parkingu.

Ale kiedy samochód wyjeżdżał na Forbes Avenue, powoli się oddalając, Simon zauważył coś dziwnego: srebrna kula nie obracała się, gdy pojazd skręcał. Laserowy skaner nie działał, a mimo to auto nie uderzyło w krawężnik ani nie przeszkodziło w ruchu ulicznym. Zrobiło bezbłędny skręt, cały czas pozostając na swoim pasie. Simon wiedział, że to może oznaczać jedno z dwojga: albo pojazd był wyposażony w jakiś inny system omijania przeszkód, albo w środku był ukryty kierowca.

Z szerokim uśmiechem Simon odłożył lornetkę i pospieszył z powrotem do ferrari.

## Rozdział siódmy

W ciemnym pomieszczeniu wewnątrz Highlandera Amil Gupta pochylał się nad panelem automatycznego sterowania. Na bardzo małej powierzchni tłoczyły się cztery osoby: David siedział wciśnięty między Gupta a Monique, a Michael przycupnął w drugim rogu pomieszczenia, grając na grę boyu trzymanym na kolanach. Gupta ostrzegł ich, że wnuk krzyczy, jeśli ktoś go dotknie, więc David i Monique splekli się w niewygodnym uścisku, żeby pozostać w odległości kilku centymetrów od chłopca. Pośladek Monique przyciskał udo Davida do podłogi, a jej łokcie wbijały mu się w zębra. W pewnym momencie uderzyła go potylicą w podbródek, przez co mocno przygryzł sobie język, ale nawet nie pisnął. Wiedział, że agenci FBI stoją tuż obok pojazdu. Widział ich na wyświetlaczu na środku panelu, na którym pokazywał się rzeczywisty obraz z jednej z kamer Highlandera.

Panel wyglądał trochę jak powierzchnia sterowa samolotu - po lewej i prawej stronie ekranu widniały czarne uchwyty. Gupta przekręcał prawy uchwyt, żeby przyspieszyć, i lewy, żeby zahamować. Serią skoków Highlander wyjechał z parkingu i oddalił się od agentów federalnych. Kiedy skręcili w Forbes Avenue, Gupta odetchnął z ulgą.

- Myślę, że jesteśmy bezpieczni - powiedział. - Żaden z agentów za nami nie jedzie.

Gupta w żółwym tempie jechał prawym pasem ruchliwej ulicy. Jechał powoli, żeby studenci nadążyli za nimi na piechotę. David zauważył, że kompas nad wyświetlaczem wskazuje WSCHÓD.

- Dokąd jedziemy? - zapytał.

- Nie mamy określonego kierunku - odparł Gupta. - Próbuje się tylko oddalić od panów z FBI.

- Proszę jechać na wschodni parking na kampusie - chrząknęła Monique - zaparkowałam tam samochód. Długo nie wytrzymam w tej pozycji.

Gupta kiwnął głową. - Zgodna, ale to nam zajmie kilka minut. Highlander może jechać szybciej, ale gdybym zostawił studentów, wyglądałoby to podejrzanie.

Wyglądało na to, że starszy ma doświadczenie w obsłudze panelu sterowania - z pewnością robił to już wcześniej.

- Nie rozumiem jednej rzeczy, profesorze - powiedział David. - Dlaczego umieścił pan system kontroli w pojeździe, który jest robotem?

- Highlander został wykonany na zlecenie armii - wyjaśnił Gupta. - A armia chciała automatycznego pojazdu, który w razie potrzeby mógłby być prowadzony przez żołnierzy. Widzisz, Pentagon nie do końca ufa technologii. Argumentowałem przeciwko takiemu pomysłowi, ale nalegali. Zaprojektowaliśmy system automatycznego sterowania i dwuosobowy kokpit. Umieściliśmy kokpit w samym środku pojazdu, żeby można go było pokryć maksymalną ilością warstw opancerzenia.

- Ale dlaczego agenci FBI nie zorientowali się, że w środku mogą być ludzie? Nie wiedzą o projektach wojskowych?

Profesor zachichotał.

- Od razu widać, że nigdy nie pracowałeś dla rządu. Wszystkie umowy dotyczące badań i rozwoju są ściśle tajne. Wojsko nie mówi marynarce o tym, co robią, a marynarka nie mówi piechocie morskiej. Cały ten układ jest absurdalny.

Prawa stopa Davida zdrętwiała, bo Monique siedziała mu na nodze. Próbował trochę przesunąć nogę, uważając, żeby nie trącić Michaela. Palce nastolatka tańczyły na klawiaturze gamę boya, ale reszta jego ciała była nieruchoma, przycupnięta w sztywnej pozycji płodowej. Na ekranie konsoli animowany żołnierz strzelał do niskiego żółtego budynku. David patrzył na ekran przez kilka chwil, po czym pochylił się do Gupty.

- Pana wnuk wydaje się teraz dużo spokojniejszy - wyszeptał. - Gry komputerowe silnie na niego działają.

- To jeden z symptomów autyzmu - powiedział Gupta. - Zaabsorbowanie jedną czynnością i niemożliwość zwrócenia uwagi na cokolwiek innego. To jego sposób na izolowanie się od świata.

Gupta mówił rzeczowym tonem, jak gdyby był lekarzem chłopca - bez śladu żalu czy rozpacz. Dla Davida był to niezwykle przykład kontroli nad emocjami. Nigdy nie umiałby się zdobyć na coś takiego, gdyby to Jonah urodził się autystyczny.

- A gdzie są jego rodzice?

Profesor potrzęsnał głową.

- Moja córka jest narkomanką, nigdy nie powiedziała, kto jest ojcem Michaela. Chłopak mieszka ze mną od pięciu lat.

Gupta nie odrywał wzroku od ekranu, ale zacisnął dłonie na uchwytych. I tyle z kontroli nad emocjami, pomyślał David. Nawet najbardziej racjonalni ludzie mają swoje słabości. Nie chcąc go dalej dręczyć, David wskazał na konsolę Michaela:

- Czy to ta sama gra, którą miał na komputerze w recepcji?

Profesor energicznie pokiwał głową, chcąc zmienić temat.

- Tak, to program zwany Wojownikiem. Wojsko używa go do treningów bojowych. Instytut Robotyki miał zlecenie na opracowanie nowego interfejsu do tego programu i pewnego dnia, kiedy pracowaliśmy nad tym, Michael wszedł do laboratorium. Rzucił okiem na monitor i od tamtego czasu uzależnił się od tej gry. Próbowałem zainteresować go innymi - Pierwsza Liga Koszykówki i temu podobne - ale chce grać tylko w Wojownika.

Teraz Monique zmieniła pozycję, przesuując pośladek z uda Davida na jego kolano. Jej pośladki były twarde i umięśnione. Mimo bólu w nodze David poczuł rosnące podniecenie. Od dawna nie był tak blisko kobiety. Chciał objąć ją w talii i napawać się jej czystym zapachem, ale to nie był najlepszy moment. Odwrócił się znów do Gupty:

- Wasz instytut wykonuje sporo roboty dla wojska, prawda? Biegnący Smok, Highlander, Wojownik.

Gupta wzruszył ramionami.

- Bo mają pieniądze. Moja fundacja ma spore środki, ale tylko Pentagon stać na to, by sponsorować długofalowe projekty. Ale chciałbym zaznaczyć, że nigdy nie pracowałem nad bronią. Zwiad - owszem, symulacje walk - owszem, ale nigdy broń.

- Jak pan myśli, dlaczego wojsko tak się zainteresowało zunifikowaną teorią? Jaką broń mogliby stworzyć w oparciu o nią?

- Mówiłem ci już, nie znam szczegółów *Einheitliche Feldtheorie*. Ale jakakolwiek by była, zunifikowana teoria powin-

na opisywać, co się dzieje z cząstkami i ich oddziaływaniami przy bardzo wysokich energiach. Energii porównywalnej z tą, jaką ma na przykład czarna dziura. I można sobie wyobrazić, że w takich warunkach mogłyby zajść nieprzewidziane zjawiska.

Monique znów przekreśliła się na kolanie Davida. Jej ciało było spięte.

- Ale jak można skonstruować broń w oparciu o te zjawiska? - spytała. - Przecież w praktyce nie da się wygenerować tak dużej energii. Potrzebny byłby akcelerator wielkości Drogi Mlecznej.

- Może tak, może nie - odparł Gupta. - Nie da się przewidzieć konsekwencji nowego odkrycia w fizyce. Spójrzcie na szczególną teorię względności *Herr Doktora*. Po tym, jak napisał artykuł w 1905 roku, potrzebował jeszcze dobrych kilku miesięcy, żeby zdać sobie sprawę, że jego równania prowadzą do wzoru  $E = mc^2$ . A czterdzieści lat upłynęło, zanim fizycy nauczyli się, jak wykorzystać ten wzór do zbudowania bomby atomowej.

David pokiwał głową.

- Na konferencji prasowej w latach trzydziestych ktoś zapytał Einsteina, czy da się uwolnić energię poprzez rozszczepienie atomu. Wtedy odrzucił ten pomysł. Powiedział: „To tak, jakby po ciemku strzelać do ptaków w kraju, w którym jest ich mało”.

- Otóż to. *Herr Doktor* nie mógł się bardziej pomylić. A na pewno nie chciał powtarzać takiego błędu. - Profesor potrząsnął głową. - Dzięki Bogu, nigdy nie musiałem dźwigać ciężaru zunifikowanej teorii, ale wiedziałem, o co toczy się gra. To nie problem fizyki, to raczej kwestia ludzkiego zachowania. Ludzie nie są na tyle inteligentni, by przestać się



nawzajem zabijać. Wykorzystają wszelkie możliwe narzędzia, by unicestwić wroga.

Zamilkł, gdy wyświetlacz na panelu sterowania pokazał wjazd na olbrzymi wschodni parking na kampusie, kilka razy większy niż ten, który opuścili pięć minut temu. Profesor poprowadził Highlandera przez wjazd i ścisnął lewy uchwyt, żeby zatrzymać pojazd. Potem nacisnął przycisk, by zmienić obraz na wyświetlaczu na panoramę całego parkingu.

- Chciałbym wam coś pokazać - powiedział. - Doktor Reynolds, czy mogłaby pani zlokalizować swój samochód na ekranie?

Monique wyciągnęła szyję, żeby lepiej widzieć. Po kilku sekundach pokazała czerwoną corvetę w tle, około stu metrów od nich.

- Tutaj. Pamiętam, że parkowałam obok tego autobusu w rogu.

Gupta dotknął ekranu we wskazanym przez nią punkcie i nad corvetą zaczął migotać biały krzyżyk. Potem nacisnął inny guzik i skrzyżował ramiona na piersiach.

- Teraz przełączyłem Highlandera na tryb autonomiczny. Patrzcie na ekran.

Gupta nie dotykał panelu, ale pojazd zaczął sam krążyć po parkingu. Obrął najkrótszą możliwą drogę do corvetty, poruszając się z prędkością około trzydziestu kilometrów na godzinę i zręcznie przemykając między zaparkowanymi samochodami. Mniej więcej w połowie drogi jakiś minivan nagle wycofał się z miejsca parkingowego, zaledwie trzydzieści metrów przed nimi. Ekran pokazywał, jak Highlander zmierza prosto w przesuwane drzwi samochodu. David odruchowo wyciągnął prawą stopę, po omacku szukając nieistniejącego hamulca, ale Gupta nadal siedział z założonymi rękoma. Inter-

wencja była niepotrzebna, bo Highlander już zwalniał. Pojazd sam z siebie miękko zahamował.

- Niesamowite, prawda? - powiedział Gupta, wskazując ekran. - Autonomiczna nawigacja to coś więcej niż prosty algorytm. Wymaga przeanalizowania krajobrazu i zidentyfikowania zagrożeń. To niezwykle skomplikowany proces decyzyjny, a podejmowanie decyzji jest kluczem do inteligencji i świadomości. - Odwrócił się do Davida i Monique. - Dlatego zmieniłem kierunek z fizyki na robotykę. Widziałem, że świat nie zbliża się ani o krok do marzeń *Herr Doktora*, do jego snu o wszechobecnym pokoju. I uznałem, że to marzenie nigdy się nie spełni, jeśli nie zajdzie fundamentalna zmiana w ludzkiej świadomości.

Kierowca minivana zmienił bieg i usunął się z drogi Highlandera. Po chwili pojazd znów ruszył w kierunku corvetty. Tymczasem Gupta oparł się o jedną ze ścian pomieszczenia:

- Myślałem, że sztuczna inteligencja posłuży jako pomost do nowej świadomości - powiedział. - Gdybyśmy mogli nauczyć maszyny myśleć, może dowiedzielibyśmy się czegoś o nas samych. Wiem, że to brzmi jak utopia, ale przez dwa dziesięcia lat żywiłem taką nadzieję. - Spuścił głowę i westchnął. W przyćmionym świetle ekranu wyglądał na zmęczonego. - Ale nasz czas się skończył. Nasze maszyny mają inteligencję, ale jest to inteligencja termita. Wystarczy, by poruszać się po parkingu.

Highlander w końcu dotarł do miejsca przeznaczenia. Ekran nawigacyjny pokazał tył samochodu Monique nieco ponad metr przed nimi. Litery na tablicy rejestracyjnej układały się w słowo STRUNY. David odwrócił się do Gupty, chcąc ustalić kolejne kroki, ale naukowiec wciąż wpatrywał się w podłogę.

- Biedny Alastair, postradał zmysły przez tę tajemnicę. Wrócił do Szkocji, by zapomnieć równania, które podał mu *Herr Doktor*, ale nie umiał ich wymazać z pamięci. Jacques i Hans byli silniejsi, ale ich też teoria dręczyła.

Monique obejrzała się przez ramię i spojrzała Davidowi w oczy. Nie było czasu na konferowanie. Agenci FBI byli niecałe dwa kilometry za nimi, a kiedy przeczesaą każdy centymetr Newell-Simon Hall, na pewno rozszerzą zakres poszukiwań. Mogą nawet chcieć się jeszcze raz przyjrzeć Highlanderowi. David znów się zaniepokoił. Pochylił się do profesora Gupty i dotknął jego ramienia:

- Profesorze, musimy już iść. Jak się otwiera kłapę?

Gupta spojrzał na niego, ale wzrok miał lekko zmałowany.

- Wiesz, co Hans mi powiedział, kiedy widziałem się z nim po raz ostatni? Powiedział, że byłoby lepiej dla wszystkich, gdyby on, Jacques i Alastair pozwolili teorii umrzeć wraz ze sobą. Byłem tym zaszokowany, ponieważ Hans kochał tę teorię bardziej niż którykolwiek z nas. Po każdym przełomowym odkryciu w fizyce, takim jak na przykład odkrycie kwarka gór nego czy naruszenie zasady zachowania parzystości, dzwonił do mnie i mówił: „Widzisz? *Herr Doktor* to przewidział!”

Mimo niepokoju David pozwolił sobie na chwilę refleksji nad swoim starym mentorem Hansem Kleinmanem. Biedny samotny człowiek powolnym krokiem przemierzał ulice zachodniego Harlemu, dźwigając w zmęczonej głowie sekrety wszechświata. Nic dziwnego, że nigdy się nie ożenił i nie założył rodziny. A jednak nie był całkiem sam. Pozostał w kontakcie z Amilem Gupta.

- Kiedy ostatni raz widział się pan z doktorem Kleinmanem? - zapytał.

Gupta zastanowił się przez chwilę.

- Myślę, że to było jakieś cztery lata temu. Tak, tak, cztery lata. Hans przeszedł wtedy na emeryturę na Uniwersytecie Columbia i wydawał się odrobinę przygnębiony, więc zaprosiłem go do Samotni Carnegie. Spędziliśmy tam dwa tygodnie.

- Samotnia Carnegie? Co to takiego?

- Nazwa jest trochę na wyrost, to po prostu stara chatka w Wirginii Zachodniej. Stanowi własność uniwersytetu Carnegie Mellon. Uczelnia udostępnia ją wykładowcom w lecie, ale rzadko kiedy ktoś jeździ tam na urlop. To za daleko.

Chatka w lesie. Kleinman i Gupta spędzili tam trochę czasu cztery lata temu, ale to było jedyne, co ich łączyło z tym miejscem. Ani FBI, ani terroryści nie będą o tym wiedzieć.

- Czy w tej chatce są jakieś komputery?

Gupta wydawał się zaskoczony takim pytaniem. Uniósł dłoń i postukał w usta palcem wskazującym.

- Tak, zainstalowaliśmy tam system komputerowy, żeby Michael mógł grać. Miał wtedy trzynaście lat. Tak,

Monique obróciła się i spojrzała Davidowi w oczy.

- Myślisz, że Kleinman ukrył tam równania?

Pokiwał głową:

- Jest taka możliwość. Kod Kleinmana sugerował, że profesor Gupta jest w posiadaniu teorii, prawda? Amil nie zna równań, ale może Kleinman w tajemnicy przed nim wprowadził je do któregoś z komputerów profesora? Kleinman wiedział, że nie może korzystać z komputerów w Instytucie Robotyki ani w domu Amila; gdyby rząd szukał teorii, sprawdziliby je w pierwszej kolejności. Chatka w Wirginii Zachodniej byłaby znacznie lepszą kryjówką. Nikt poza Amilem nie wie, że Kleinman tam kiedykolwiek był.

Gupta nadal bębnił palcem w usta. Nie był przekonany.

- Podczas pobytu w chatce nigdy nie widziałem, żeby Hans korzystał z komputera. A gdyby miał zamiar ukryć tam teorię, czemu mi nie powiedział?

- Może bał się, że ktoś będzie pana przesłuchiwał. Albo torturował.

Zanim Gupta zdążył odpowiedzieć, Monique wskazała na ekran nawigacyjny Highlandera. Dwóch studentów, którzy szli za pojazdem od Newell-Simon Hall aż tutaj, machało do kamery, chcąc zwrócić ich uwagę. Jeden był niski i gruby, a drugi wysoki i przyszczaty, ale mieli taki sam zmartwiony wyraz twarzy.

- Cholera! - krzyknęła Monique. - Coś się dzieje na ze wnątrz!

Gupta również spojrzał na ekran. Przycisnął kolejny guzik na panelu sterowania i ukryte okienko na czubku pojazdu otworzyło się z sykiem. Najpierw Monique i David wspięli się do wyjścia, a potem Gupta pomógł wnukowi wyjść z pojazdu. Gdy tylko trampki Davida dotknęły asfaltu, rozległo się wycie syren. Sześć czarno-białych wozów miejskiej komendy policji w Pittsburghu pędziło Forbes Avenue, zmierzając do Newell-Simon Hall. FBI wezwało posiłki.

Monique ruszyła w stronę corvetty i odblokowała drzwi.

- Szybko, wsiadać! Zanim zamkną ulicę!

David prowadził profesora Gupta i Michaela do drzwi od strony pasażera, ale nagle przystanął.

- Chwileczkę! Nie możemy wziąć tego samochodu! Odwrócił się do Monique, wskazując na jej tablicę rejestracyjną.

- FBI teraz prawdopodobnie przegląda filmy z kamer monitorujących obiekt. Kiedy dowiedzą się, kim jesteś, każdy gliniarz w Pensylwanii będzie szukał czerwonej corvetty z taką rejestracją!

- A co mamy robić? - krzyknęła Monique. - Nie możemy wziąć Highlandera, jego też będą szukać!

Wysoki przyszczaty student nieśmiało uniósł dłoń.

- Eee, profesorze Gupta? Możecie pożyczyć moje auto, jeśli chcecie. Stoi tam dalej.

Wskazał poobijanego szarego hyundaia accent ze sporym wgnieceniem w tylnym zderzaku.

Monique z otwartymi ustami patrzyła na samochód:

- Hyundai? Chcecie, żebym zostawiła moją corvetę i je chała hyundaiem?

Gupta podszedł do przyszczatego studenta, który zdążył już wyjąć z kieszeni kluczyki do auta, i poklepał młodego człowieka po plecach.

- To bardzo miło z twojej strony, Jeremy. Zwrócimy samochód, jak tylko to będzie możliwe. Myślę, że ty i Garry powinniście tymczasem na parę dni wyjechać z miasta. Jedźcie auto busem do Finger Lakes, pospacerujcie po wąwozach. Zgoda?

Studenci gwałtownie pokiwali głowami, najwyraźniej zachwyceni, że mogą oddać przysługę podziwianemu profesorowi. Jeremy dał kluczyki Gupcie, który wręczył je Davidowi. Ale Monique w dalszym ciągu stała przy otwartych drzwiach corvetty, z żalem patrząc na samochód, jakby miała go już nigdy nie zobaczyć.

Gdy David podszedł do niej, rzuciła mu pełne wyrzutu spojrzenie:

- Siedem lat zbierałam na ten samochód! Siedem lat!

Minął ją, aby zabrać ze środka torbę, walizkę z laptopem i reklamówkę z kanapkami, które Monique kupiła rano na stacji w New Stanton. Potem upuścił kluczyki do hyundaia na jej otwartą dłoń.

- No, chodź na przejażdżkę accentem - powiedział. - Podobno ma niezły silnik.

Przez lornetkę Simon zobaczył, jak z samochodu-roboty wysiadają cztery osoby. Od razu rozpoznał Davida Swifta, Monique Reynolds i Amila Gupta. Czwarta osoba była jakaś dziwna - chudy, niezgrabny nastolatek z czarnymi włosami i ciemną karnacją. Gupta czuwał nad chłopcem, starając się go wyprowadzić z pojazdu bez dotykania. Tak, to było zdecydowanie tajemnicze. Pierwszą myślą Simona było, by zaatakować ich z nienacka, ale parking nie był dobrym miejscem na takie operacje. Był całkiem otwarty - wszystko było widać na nim jak na dłoni. Co więcej, mała armia agentów FBI zbliżała się do parkingu, a eskadry wozów lokalnej komendy policji już zbierały się na kampusie. Lepiej poczekać na inną okazję.

Cztery postacie najpierw podeszły do corvetty Monique (Simon zdobył dokładny opis auta od Keitha, zlikwidowanego mechanika), a po krótkiej rozmowie z dwoma studentami z Instytutu Robotyki cała czwórka wcisnęła się do małego pobijanego szarego samochodu. Auto szybko wyjechało z parkingu i skręciło w prawo na Forbes Avenue. Simon pozwolił im ujechać sto metrów, zanim puścił się za nimi w pogoń ferrari. Zamierzał wstrzymać ogień do czasu, aż dotrą na autostradę, gdzieś, gdzie nie będą mieli towarzystwa. Przejechawszy kilometr, małe autko znów skręciło w prawo na Murray Avenue. Jechali na południe.

Karen założyła, że Jonah nadal śpi. Położyła go do łóżka, gdy tylko wrócili do domu z biura FBI dziś rano. Kiedy weszła do jego pokoju kilka godzin później, żeby rzucić na niego okiem, nadal leżał wyciągnięty pod kocem ze Spider-

manem, wcisnąwszy buzię w niebiesko-czerwoną poduszkę. Ale kiedy odwróciła się, żeby wyjść, przewrócił się i spojrzał na nią:

- Gdzie jest tata? - zapytał.

Usiadła na brzegu łóżka i odgarnęła mu z oczu grzywę jasnych włosów.

- Hej, słoneczko - mruknęła. - Lepiej się czujesz?

Jonah zmarszczył czoło i odepchnął jej dłoń.

- Dlaczego policja go szuka? Czy tata zrobił coś złego? W porządku, pomyślała Karen. Nie podawaj za dużo informacji. Najpierw dowiedz się, ile już wie.

- A co ci powiedzieli agenci wczoraj w nocy, po tym jak cię ode mnie zabrali?

- Powiedzieli, że tata ma kłopoty. Pytali, czy miał jakieś dziewczyny. - Usiadł na łóżku, skopując koc z nóg. - Czy są na niego źli? Bo ma teraz dziewczyny?

Karen potrząsnęła głową.

- Nie, kochanie, nikt się na niego nie gniewa. To, co się stało wczoraj, to pomyłka, wiesz? Agenci pomylili mieszkania.

- Mieli broń, widziałem. - Oczy Jonaha rozszerzyły się na to wspomnienie. Chwycił rękaw Karen i zaczął gnieść materiał w piąstce. - Jak znajdą tatę, to go zastrzelą?

Karen otoczyła go ramionami i mocno przytuliła, kładąc podbródek na jego lewym ramieniu. Wtedy zaczął płakać - jego drobna klatka piersiowa drżała przytulona do jej ciała. Po chwili Karen też się rozpląkała. Dzielili teraz ten sam strach. Uzbrojeni mężczyźni szukają Davida i prędzej czy później go znajdą. Jej łzy spływały po policzkach, spadając na plecy Jonaha. Widziała, jak tworzą mokre plamki na jego piżamie.

Kołysząc Jonaha w ramionach, spojrzała na obrazek, który wisiał na ścianie obok jego łóżka. Przedstawiał Układ Słonecz-



ny. David narysował go dla Jonaha dwa lata temu, zanim się wyprowadził. Na dużym żółtym arkuszu naszkicował Słońce i wszystkie planety, pas asteroidów i kilka wędrujących komet. Pracował nad tym dobre kilka godzin, starannie kreśląc pierścienie Saturna i Wielką Czerwoną Plamę na Jowiszu. Karen przypomniała sobie, że wtedy miała mu trochę za złe, że włożył w to tyle wysiłku - nie stanowiło dla niego problemu, żeby spędzić cały dzień, rysując prezent dla Jonaha, ale nie mógł poświęcić pięciu minut na rozmowę z żoną, nawet wiedząc, że ich małżeństwo się rozpada. Teraz jednak zrozumiała, że wcale nie był bez serca. Po prostu wycofał się z tego, co było nieuniknione. Zamiast angażować się w kolejną bezproduktywną kłótnię, pochylał się nad żółtym arkuszem papieru i robił coś, co kochał.

Mniej więcej po minucie Karen otarła łzy z twarzy. Dobra, pomyślała. Koniec płaczu. Czas coś zrobić.

Chwyciła Jonaha za barki, odsunęła go na odległość ramion i spojrzała mu w oczy.

- OK, posłuchaj mnie. Chciałabym, żebyś się jak najszybciej ubrał.

Spojrzał na nią lekko zdezorientowany. Jego policzki były opuchnięte i zarumienione.

- Dlaczego? Dokąd się wybieramy?

- Pojedziemy do mojej przyjaciółki. Pomoże nam wyjaśnić tę pomyłkę i kłopoty taty się skończą. Dobra?

- A jak to zrobi? Zna policję?

Karen położyła mu dłoń na plecach, lekko spychając go z łóżka.

- Ubieraj się. Pogadamy o tym po drodze.

Kiedy Jonah zdejmował piżamę, Karen poszła do siebie, by przebrać się w jeden ze swoich służbowych kostiumów.

Może ten szary od Donny Karan, który zwykle wkłada, kiedy ma negocjować jakąś umowę? Musi wyglądać przyzwoicie, jeśli jej plan ma się powieść.

Jednak zanim zdążyła się przebrać, usłyszała dzwonek do drzwi. Na chwilę zamarła, przypomniawszy sobie, jak ostatniej nocy do mieszkania wpadli agenci FBI. Ostrożnie podeszła do drzwi i mrużąc oczy, wyjrzała przez wizjer.

To był Amory. W szarym garniturze stał na wycieracze. Wyglądał na zdenerwowanego i zmęczonego. Przyklejony do czoła opatrunek z gazy zakrywał ranę, która powstała, kiedy agenci przewrócili go na ziemię. Przy uchu trzymał telefon komórkowy. Kilka razy kiwnął głową, najwyraźniej kończąc rozmowę.

Karen otworzyła drzwi. Amory szybko zamknął klapkę od telefonu, po czym wszedł do mieszkania.

- Karen, musisz pojechać ze mną do miasta, do biura Prokuratora Generalnego. Chce z tobą natychmiast porozmawiać.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie:

- Co takiego? Zwariowałeś? Nie wracam tam!

- To nie FBI, tylko Prokurator Generalny. Chciałby przeprosić za wczorajsze zachowanie agentów federalnych. - Wskazał opatrunek na czole: - Mnie już przeprosił za takie potraktowanie.

- Przeprosić? - oniemiała Karen potrząsnęła głową. - Jak chce przeprosić, to niech sam się tu pofatyguje! Powinien upaść na kolana i błagać mojego syna o wybaczenie, a potem pochylić się, żebym mogła kopnąć go w dupę!

Amory zaczekał, aż skończy.

- Ma również nowe informacje dotyczące sprawy twojego byłego męża. Zidentyfikowano jego współnika w narkotykowym biznesie. To Monique Reynolds, profesor Uniwersytetu Princeton.

- W życiu o niej nie słyszałam. Nie ma żadnego narkotykowego biznesu. Mówił ci, Amory, wymyślili tę historyjkę. To przykrywka.

- Obawiam się, że możesz się mylić. Ta Reynolds jest czarną kobietą z Waszyngtonu. Ma powiązania z handlem narkotykami - jej matka jest narkomanką, a jej siostra prostytutką.

Machnęła ręką:

- I co z tego? To niczego nie dowodzi. Znow zmyślają.

- Karen, widziano z nim tę kobietę. Jesteś pewna, że David nigdy o niej nie wspominał?

Amory patrzył jej głęboko w oczy. Po kilku sekundach nabrała podejrzeń. Wiedziała, dlaczego FBI puściło tę plotkę: nadal szli w zaparte z dziewczyną - chcieli wzbudzić jej zazdrość, żeby zdradziła coś na temat byłego męża. Ale dlaczego Amory tak się jej przyglądał?

- Co jest grane? - spytała. - To przesłuchanie?

Na tę wzmiankę zachichotał, ale śmiech był wymuszony.

- Nie, nie, po prostu próbuję ustalić jakieś fakty. Tym właśnie zajmują się prawnicy, czyli my...

- Jezu Chryste! Myślałam, że jesteś po mojej stronie!

Podszedł do niej i położył jej dłoń na ramieniu. Przechylił głowę i uśmiechnął się do niej po ojcowsku - tak, jak zwykle uśmiechał się do młodszych wspólników w swojej firmie.

- Proszę cię, uspokój się. Oczywiście, że jestem po twojej stronie. Chciałem ci trochę ułatwić sprawy. Mam znajomych, którzy mogą i chcą pomóc.

Pogłaskał ją po ramieniu, ale pieszczota przyprawiła ją o ciarki. Stary drań pracuje dla FBI. Jakimś cudem udało im się go pozyskać. Strząsnęła z ramienia jego dłoń.

- Nie potrzebuję twojej pomocy, rozumiesz? Potrafię o siebie zadbać.

Uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Karen, proszę, posłuchaj mnie. To bardzo poważna sprawa i są w nią zaangażowani ludzie z najwyższych szczebli władzy. Nie chciałabyś robić sobie z nich wrogów. Nie byłoby to dobre ani dla ciebie, ani dla twojego syna.

Obeszła go i znów otworzyła drzwi frontowe. Nie mogła uwierzyć, że sypiała z takim dupkiem.

- Wynoś się stąd, Amory. Możesz powiedzieć swoim znajomym, żeby się pocałowali w dupę.

Amory skrzywił się, ściągając arystokratyczne usta. Starając się zachować godność, wyszedł z mieszkania.

- Na twoim miejscu byłbym ostrożny - odezwał się chłodno. - Nie rób nic bez zastanowienia.

Karen zatrzasnęła drzwi. Zamierzała właśnie zrobić coś zupełnie bez zastanowienia.

Siedząc przy biurku w swoim biurze w zachodnim skrzydle, wiceprezydent żałośnie grzebał w talerzu, na którym leżał mały wysuszony kawałek piersi z kurczaka otoczony duszoną marchewką. Odkąd przeszedł czwarty zawał, kucharze w Białym Domu serwowali mu mdłe, niskokaloryczne posiłki, takie jak ten. Przez pierwszy rok ze spokojem przyjmował nową dietę; wspomnienie rozrywającego bólu klatki piersiowej było jeszcze na tyle wyraźne, że starał się zachować dyscyplinę. Ale w miarę upływu czasu jego niechęć rosła. Miał ochotę na krwisty stek lub olbrzymi ogon homara w maśle. Codzienna ścisła dieta wprawiała go w paskudny nastrój - warczał na swoich asystentów i na ochroniarzy z Secret Service. Ale mimo wszystko walczył dalej. Amerykanie na

niego liczą. Prezydent jest durniem - to bezmyślny figurant, którego jedynym talentem jest wygrywanie wyborów. Bez pomocy i porady wiceprezydenta całą administrację trafi szlag.

Gdy przeżuwał pozbawionego smaku kurczaka, usłyszał pukanie do drzwi. Z trudem przełknął kęs, po czym odpowiedział:

- Proszę.

Chwilę później do gabinetu wszedł szef kadr. Ale zanim miał szansę cokolwiek powiedzieć, wyminął go sekretarz obrony, wpadając do pokoju niczym szarżujący baran, z kwadratową głową lekko pochyloną do przodu.

- Musimy porozmawiać - oznajmił.

Wiceprezydent dał znać szefowi kadr, żeby wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Sekretarz przemaszerował obok tapicerowanych krzeseł ustawionych na środku pokoju, omal nie przewracając lampy od Tiffany'ego na stoliku nocnym. Był zuchwały, wybuchowy i zbyt pewny siebie, ale jednocześnie był jedną z niewielu osób, którym wiceprezydent mógł zaufać. Pracowali razem od czasów Nbcna.

- O co chodzi tym razem? - zapytał wiceprezydent. - Kolejny wybuch w Bagdadzie?

Sekretarz potrząsnął głową:

- Mamy problem z Operacją Skrót.

Wiceprezydent odsunął talerz na bok. Poczul ukłucie w klatce piersiowej.

- Przecież mówiłeś, że wszystko jest pod kontrolą.

- To wina cholernego FBI. Do tej pory spieprzyli sprawę już dwa razy. - Sekretarz zdjął okulary i machnął nimi w powietrze. - Najpierw zgubili zatrzymanego, bo zawieźli go do źle strzeżonej kwatery, a potem pozwolili się wymknąć kolej-

nemu celowi, bo sknócili coś w systemie monitoringu. A teraz obaj poszukiwani uciekli, a biuro nie wie gdzie są!

Ból w klatce nasilił się, tak jakby ktoś przycisnął mu kciuk pod mostkiem.

- Kim są poszukiwani?

- To profesorowie, prawdopodobnie zwariowani liberałowie. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że współpracują z al Kaidą. A może są opłacani przez Irańczyków. Tego oczywiście biuro też nie wie. Dyrektor wyznaczył jakąś kobietę do dowodzenia operacją, na tym częściowo polega problem.

- Jak się nazywa?

- Parker, Lucille Parker. Nie wiem o niej wiele, tyle tylko, że jest z Teksasu. Ale to wszystko wyjaśnia. Ma pewnie jakieś powiązania z Naczelnym Kowbojem\*.

Gwałtownym ruchem głowy wskazał na lewo, w kierunku Gabinetu Ovalnego.

Wiceprezydent napił się wody, mając nadzieję, że to złagodzi ból w piersi. Operacja Skrót rozpoczęła się dwa tygodnie temu, po tym jak Agencja Bezpieczeństwa Narodowego natknęła się na coś dziwnego podczas monitorowania internetu. Znaleźli e-mail, w którym pełno było równań i zaszyfrowanych zwrotów. Ustalono, że został wysłany z komputera w szpitalu dla umyślowo chorych w Glasgow. Z początku uznano e-mail za dzieło jakiegoś pomysłowego wariata, ale z czystej ciekawości analitycy agencji przyjrzeni się mu bliżej. Okazało się, że autorem wiadomości jest były fizyk, który kiedyś pracował z Albertem Einsteinem. Równania były tylko fragmentem większej teorii, ale tyle wystarczyło, by przekonać agencję do zorganizowania oddziału specjalnego, który miał za zadanie

\* Popularne przezwisko prezydenta George'a W. Busha.

znaleźć pozostałą część. Według opinii ekspertów teoria mogłaby zapewnić Stanom Zjednoczonym potężną nową broń przydatną w walce z terroryzmem.

Ale czterdzieści lat pracy w rządzie nauczyło wiceprezydenta jednej rzeczy: urzędnicy państwowi nie potrafią niczego zrobić szybko i sprawnie. Kiedy oddział specjalny Agencji Bezpieczeństwa Narodowego ruszył do akcji, trzy z czterech poszukiwanych osób już nie żyły. Jakiś obcy rząd lub organizacja terrorystyczna również chciała poznać teorię. Eksperci twierdzili teraz, że gdyby wpadła ona w niepowołane ręce, efekt mógłby być zgubny. Według notatki sporządzonej przez dyrektora Agencji, 11 Września wyglądałby przy tym jak niewielka potyczka.

- To jaki masz plan? - zapytał. - Zakładam, że przyszedłeś do mojego gabinetu nie bez powodu.

Sekretarz kiwnął głową.

- Potrzebuję zarządzenia wykonawczego. Chcę użyć Delta Force\* w kraju. Niech patrolują granice i ścigają zbiegów. Czas, żeby Pentagon przejął sprawę.

Wiceprezydent zastanowił się nad tym. Formalnie rzecz biorąc, na mocy Posse Comitatus Act, jednostki wojskowe nie mogły brać udziału w operacjach przywracania porządku publicznego na terenie Stanów Zjednoczonych. Ale możliwe były wyjątki w sytuacjach zagrożenia.

- Załatwione - powiedział. - Jak szybko możesz przetransportować oddziały do Stanów?

- Są teraz w zachodnim Iraku. Mogę je sprowadzić do kraju w ciągu dwunastu godzin.

\* Operacyjny Oddział Sił Specjalnych armii Stanów Zjednoczonych.

Dokładnie o szóstej po południu, gdy jechali drogą numer dziewiętnaście między pagórkami Wirginii Zachodniej, dźwięk wystrzałów dobiegający z konsoli Michaela nagle ucichł. Urządzenie wydało wysoki pisk, po czym elektronicznie generowany głos oznajmił: „Pora na obiad”. David spojrzął przez ramię na tylne siedzenie i zobaczył, jak Michael podnosi głowę i zwraca się do profesora Gupty, który drzemał, siedząc obok wnuka:

- Pora na obiad, dziadku.

To były pierwsze słowa, jakie David od niego usłyszał. Miał silny, pozbawiony emocji głos, zupełnie jak jego game boy. Chociaż David zauważał podobieństwo między Michaelem a jego dziadkiem - obaj mieli gęste brwi i rozczochrane włosy - stwierdził, że oczy nastolatka są szkliste, a jego twarz pozbawiona wyrazu.

- Pora na obiad, dziadku - powtórzył.

Gupta zamrugał i podrapał się w głowę. Pochylił się do przodu, patrząc najpierw na Monique, siedzącą za kierownicą hyundaia, a potem na Davida:

- Przepraszam - powiedział. - Nie macie może w samo chodzie czegoś do jedzenia?

David pokiwał głową:

- Kupiliśmy co nieco dzisiaj rano. - Podniósł plastikową torbę z zapasami, które Monique kupiła na postoju przy rogatkach Pensylwanii. - Zobaczą, co zostało.

Gdy szperał w reklamówce, Monique spojrzała w tylne lusterko. Przez ostatnie trzy godziny nerwowo wypatrywała patroli przy autostradzie, ale teraz skupiła wzrok na Gupcie i jego wnuku.

- Gra komputerowa mówi mu, kiedy ma jeść? - zapytała.

- Tak, tak - odparł Gupta. - Zaprogramowaliśmy Wojownika tak, by automatycznie się wyłączał na pół godziny w porze



posiłku. No i oczywiście wyłącza się na noc. Gdyby nie i". Michael grałby do upadłego.

David znalazł na dnie torby zapakowaną kanapkę z indykiem.

- Czy pana wnuk lubi indyka?

Gupta pokręcił głową:

- Obawiam się, że nie. Nie macie nic innego?

- Niewiele. Paczkę chipsów i kilka ciastek.

- O, bardzo lubi chipsy! Ale tylko z ketchupem. Nie zje chipsa, jeśli nie ma na nim dokładnie dwóch kropek ketchupu.

Pod kanapką z indykiem David znalazł dwie saszetki ketchupu, które Monique szczęśliwie wrzuciła do torby. Podał je profesorowi Gupcie razem z paczką chipsów.

- O, tak, doskonale! - ucieszył się profesor. - Widzicie, Michael jest bardzo drobiazgowy, jeśli chodzi o jedzenie. To kolejny z objawów autyzmu.

Gdy Gupta otwierał paczkę chipsów, Monique znów spojrzała w lusterko. Zaciśnęła usta z dezaprobatą. Chipsy z ketchupem to żaden obiad.

- Czy mieszka pan z Michaelem sam, profesorze? - za pytała.

Gupta wyjął jednego chipsa i wycisnął na niego odrobinę ketchupu.

- Tak, mieszkamy sami. Moja żona, niestety, zmarła dwadzieścia sześć lat temu.

- Nikt panu nie pomaga w opiece nad wnukiem? Jakaś opiekunka albo pielęgniarka?

- Nie, dajemy sobie radę we dwójkę. On nie sprawia kłopotów. Trzeba się tylko przyzwyczaić do jego rutynowych procedur. - Gupta wycisnął kolejną kroplę ketchupu na chipsa i podał go wnukowi. - Oczywiście, byłoby o wiele łatwiej,

gdyby żyła moja żona. Hannah miała wspaniałe podejście do dzieci. Pokochałaby Michaela całym sercem.

David poczuł, że ogarnia go współczucie dla starszego człowieka. Kiedy przeprowadzał z nim wywiad do książki, Gupta opowiedział mu o serii osobistych tragedii, które dotknęły go po zakończeniu pracy z Einsteinem. Jego pierworodny syn zmarł na białaczkę, kiedy miał dwanaście lat. Kilka lat później Hannah Gupta urodziła córkę, ale dziewczynka odniosła poważne obrażenia w wypadku samochodowym. A w 1982 roku, tuż po tym jak profesor przestał się zajmować fizyką i założył firmę produkującą oprogramowanie, które przyniosło mu później spore zyski, jego żona zmarła w wyniku udaru, mając czterdzieści dziewięć lat. W pewnym momencie Amil pokazał Davidowi jej zdjęcie. Zapamiętał je - szczupłą, poważną kobietą o ciemnych włosach.

Gupta mówił coś jeszcze o swojej żonie w trakcie tamtej rozmowy - to było coś odrobinę niepokojącego, ale David nie mógł sobie przypomnieć szczegółów. Odwrócił się do profesora, zmieniając pozycję na siedzeniu:

- Pana żona też studiowała na Uniwersytecie Princeton, prawda?

Staruszek podniósł głowę znad saszetki ketchupu, który wyciskał na kolejnego chipsa:

- Nie, niezupełnie. Chodziła na wybrane seminaria dyplomowe na wydziale fizyki, ale nigdy nie wpisała się na listę studentów. Choć miała wybitny naukowy umysł, wojna przerwała jej edukację, więc nie spełniała wymogów uczelni.

Teraz David przypomniał sobie, o co chodziło. Hannah Gupta przeżyła Holokaust. Była jednym z żydowskich uchodźców, którym Einstein pomógł przybyć do Princeton po drugiej wojnie światowej. Próbując uratować jak najwięcej Europej-

skich Żydów, opłacał ich imigrację do Stanów Zjednoczonych i znajdował im posady w laboratoriach uniwersyteckich. W ten sposób Amil i Hannah się poznali.

- Bardzo miłe wspominał te seminaria - ciągnął Gupta.

- Hannah siedziała z tyłu i każdy chłopak ukradkiem na nią popatrywał. Na wyścigi zabiegaliśmy o jej względy. Jacques i Hans też byli nią zainteresowani.

- Naprawdę? - zaciekał się David. Gupta nie wspominał wcześniej o romantycznej rywalizacji między asystentami Einsteina. - Jak zażarta była walka?

- O, nie, nic takiego. Zaręczyłem się z Hannah, zanim Jacques czy Hans zdobyli się na odwagę, by z nią porozmawiać.

- Profesor uśmiechnął się z tęsknotą. - Na szczęście pozostaliśmy przyjaciółmi. Hans był ojcem chrzestnym obojga moich dzieci. Po śmierci Hannah był bardzo dobry dla naszej córki.

Fascynujące, pomyślał David. Żałował, że wcześniej nie znał tej historii i nie umieścił jej w książce. Ledwo o tym pomyślał, poczuł, jakie to głupie z jego strony. Odkrycie zunifikowanej teorii pola było znacznie bardziej rażącym przeoczeniem w *Na ramionach gigantów*, podobnie jak we wszystkich innych biografiach Einsteina.

Przejechawszy jeszcze kilka kilometrów, skręcili na zachód przy szosie numer trzydzieści trzy, jednopasmowej drodze wijącej się wśród wzgórz. Choć została im jeszcze co najmniej godzina do zmierzchu, strome zalesione zbocza sprawiały, że droga pogrążyła się w cieniu. Raz na jakiś czas przejeżdżali obok starej przyczepy albo opuszczonego auta rdzewiejącego pod drzewami, ale to były jedyne oznaki cywilizacji. Droga była pusta, nie licząc hyundaia i żółtego sportowego auta, jadącego niecałe pół kilometra za nimi.

Monique znów spojrzała w tylne lusterko. Na tylnym siedzeniu profesor Gupta dawał Michaelowi kolejnego chipsa z ketchupem, wkładając go chłopakowi do ust, jak gdyby karmił pisklę. David pomyślał, że to dziwnie wzruszający widok, ale Monique tylko potrząsnęła głową, patrząc na nich.

- Gdzie teraz jest pańska córka, profesorze? - zapytała.

Skrzywił się:

- W Columbus, w Georgii. To dobre miasto dla narkomanów, bo niedaleko jest Fort Benning, a tam mają mnóstwo metamfetaminy dla żołnierzy.

- Próbował ją pan wysłać na leczenie?

- O, tak, próbowałem. Wiele razy. - Spuścił głowę, smutno patrząc na saszetkę ketchupu, którą trzymał w rękach, i marszcząc nos, jak gdyby poczuł coś zgniłego. - Elizabeth jest bardzo uparta. Była równie uzdolniona jak jej matka, ale nie skończyła nawet liceum. Uciekła z domu, kiedy miała piętnaście lat i od tamtego czasu żyje w nędzy. Nie powiem wam nawet, jak zarabia na życie, bo to zbyt odrażające. Ale nawet gdyby Michael nie był autystyczny, zabrałbym go do siebie.

Monique zmarszczyła brwi, aż pojawiła się między nimi pionowa zmarszczka. W ciągu ostatniej doby David nauczył się, co to oznacza. Jej gniew trochę go jednak zdziwił - matka Monique była narkomanką i spodziewałby się, że dzięki temu doświadczeniu będzie miała więcej współczucia dla profesora Gupty i jego problemów. Ale wcale tak nie było. Wyglądała, jakby miała ochotę odwrócić się i chwycić go za kołnierz.

- Pańska córka nie pójdzie na leczenie, jeśli to pan jej to zasugeruje - powiedziała. - Jest między wami zbyt dużo goryczy. Ktoś inny musiałby zainterweniować.

Gupta pochylił się, mrużąc oczy. Teraz on też był wściekły.

- Próbowałem. Prosiłem Hansa, żeby pojechał do Georgii i przemówił jej do rozumu. Pojechał do tej dziury, gdzie mieszka Elizabeth, wyrzucił wszystkie narkotyki i zapisał ją do centrum terapeutycznego. Znalazł jej nawet przyzwoitą pracę; miała być sekretarką jednego z generałów w Fort Benning.

- Wycelował palec w odbicie Monique w lusterku. - Wiesz, jak długo to trwało? Dwa i pół miesiąca. Znowu poszła w tango, straciła posadę i przestała chodzić na terapię. Wtedy Michael przyjechał, żeby ze mną zamieszkać.

Oddychając ciężko, profesor opadł na siedzenie. Siedzący obok niego Michael, nieświadomy niczego, czekał na kolejnego chipsa. Staruszek wyjął jednego z paczki, ale ręce mu drżały tak, że nie dał rady wycisnąć ketchupu z saszetki. David miał go spytać, czy nie potrzebuje pomocy, ale w tej samej chwili wyminięło ich żółte sportowe auto, które zauważył minutę temu. Jechało z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę krętą drogą, gwałtownie skręcając na drugi pas, mimo zakazu wyprzedzania.

- Jezu! - krzyknął z przerażeniem. - Co to u diabła było?

Monique pochyliła się do przodu, chcąc się lepiej przyjrzeć.

- To nie wóz patrolowy. Chyba że gliny w Wirginii Zachodniej jeżdżą teraz ferrari.

- To było ferrari?

Pokiwała głową.

- Tak, i to całkiem niezłe. 575 maranello coupe. W całym kraju jest może pięćdziesiąt takich. Kosztuje trzy razy tyle co moja corvetta.

- Skąd wiesz?

- Dziekan politechniki w Princeton ma takie. Widuję często w warsztacie Keitha. Niesamowite auto, ale często się psuje.

Ferrari przejechało podwójną żółtą linię, wracając na swój pas. Ale zamiast odjechać, samochód zwolnił. Prędkość spadła do stu dziesięciu, potem do stu, a potem do dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Po kilku sekundach auto wlokło się pięćdziesiąt kilometrów na godzinę dwanaście metrów przed nimi. Monique nie dała rady go wyprzedzić, bo droga była zbyt kręta.

- Co jest z tym gościem? - zdziwił się David. - Najpierw nas wyprzedza, a teraz urządza sobie wycieczkę krajoznawczą?

Monique nie odpowiedziała. Wyciągnęła szyję nad kierownicą i wyteżając wzrok, popatrzyła na ferrari pełznące w dół wzgórza. Po kilku sekundach nerwowy tik wstrząsnął jej policzkiem.

- Ma rejestrację z New Jersey - powiedziała głosem na granicy szeptu.

Zjechawszy na dół, ferrari wyskoczyło do przodu i pomknęło naprzód jakieś sto metrów. Potem kierowca nacisnął hamulec i auto zatrzymało się przed jednopasmowym mostkiem, tarasując im drogę.

To była trudna sytuacja. Simon musiał złapać cztery osoby jadące samochodem, nie wyrządzając im krzywdy i nie zwracając niepotrzebnej uwagi. Najpierw rozważał zepchnięcie małego samochodu z drogi, ale po obu stronach autostrady był gęsty las i wiedział, że auto złożyłoby się jak harmonijka, gdyby uderzyło w jakieś drzewo. Musiałby się nieźle namęczyć, żeby wyciągnąć poszukiwanych z wraku, a co dopiero przeprowadzić przesłuchanie. Nie, najpierw musieli zwolnić.

Okazja nadarzyła się, kiedy natrafił na wąski mostek nad płytkim strumykiem. Zręcznie zaparkował ferrari, podniósł uzi i wyskoczył z samochodu. Ułożył lufę na masce i wycelował w nadjeżdżające auto. Jak tylko zwolnią na tyle, że będą mogli zawrócić, przestrzeli im opony, a reszta to już pestka. Pojazd był już tak blisko, że rozpoznawał wszystkie cztery osoby w środku, w tym niezdarne nastolatka na tylnym siedzeniu. Co za szczęście, swoją drogą, pomyślał, że wzięli ze sobą tego chłopaka. Żeby zachęcić ich do współpracy, zamierzał zacząć właśnie od niego.

David zauważył, że za ferrari ktoś się rusza. Wielki, łysy facet w czarnym podkoszulku i bojówkach przykucnął za samochodem. Głowę przechylił na bok i jednym okiem patrzył przez celownik masywnego czarnego karabinu. David poczuł zimną falę przerażenia w okolicy klatki piersiowej. Już wyobrażał sobie, jak kula przesywa mu serce. Plecy mu zeszytniały, gdy oparł się na siedzeniu, a jego prawa dłoń zacisnęła się na podłokietniku. Wzrok miał cały czas utkwiony w mężczyźnie ukrytym za ferrari. W tej chwili dostrzegł, że lufa karabinu nie jest skierowana w nich, tylko odrobinę niżej - w opony hyundaia. Monique również go zobaczyła.

- Cholera! - krzyknęła. - Zawracam!

Zdjęła nogę z gazu, ale zanim zdążyła nacisnąć hamulec, David złapał ją za kolano.

- Nie zwalniam! Przestrzeli opony!

- Co ty robisz? Puszczaj!

- Jedź tam! - Wskazał przestrzeń między drzewami po lewej stronie drogi, na zarośniętą, kamienistą dróżkę prowadzącą do strumienia. - Dawaj po zaworach!

- Oszalałeś? Nie możemy...

Trzy głośne metaliczne dźwięki wstrząsnęły hyundaiem, gdy seria z karabinu maszynowego trafiła w przedni zderzak. Bez dalszego sprzeciwu Monique nadepnęła na pedał gazu i gwałtownie skręciła w bok.

Kolejna seria uderzyła w tył samochodu, gdy przejechali mały pagórek i popędzili wąską ścieżką. Monique ścisnęła kierownicę, krzyżąc:

- Jasna cholera! - a David, Amil i Michael podskakiwali na siedzeniach.

Auto grzechotało niczym walizka ze sztućcami. O wiele za szybko przejechali po kępkach chwastów i kamieni, a po chwili ślizgali się już po dnie płytkiego strumyka, którym niosła ich tylko siła pędu. Koła hyundaia wyrzuciły w powietrze fontanny wody, a zaraz potem znaleźli się na drugim brzegu. Wtedy Monique gwałtownie przyspieszyła. Silnik zaprotestował głośnym rykiem, ale samochód wspiał się na brzeg niczym koziołek, po czym wyjechał na ścieżkę prowadzącą z powrotem na autostradę. David popatrzył w boczne lusterko, gdy opony uderzyły o asfalt. Łysy facet stał na mostku, nadal przyciskając uzi do ramienia. Ale nie strzelał do nich. Popędził z powrotem do ferrari i wsiadł za kierownicę.

- Gaz do dechy! - krzyknął David. - Goni nas!

To była ścieżka dla kajakarzy - po to, żeby uprzywilejowani Amerykanie szukający przygody mogli podjechać dużymi samochodami na sam brzeg strumienia i spuścić kajaki na wodę. Simon przeklinał sam siebie za to, że nie zauważył tego wcześniej.

Gdy wrócił do ferrari i wrzucił pierwszy bieg, postanowił zmienić strategię. Koniec ze sprytnymi wybiegami, by pojmać



ich żywcem. Jeżeli chociaż jeden z nich przeżyje, zdobędzie to, czego potrzebuje.

Monique docisnęła gaz, ale teraz wspinali się na wysoki grzbiet i hyundai z trudem osiągał prędkość stu dziesięciu kilometrów na godzinę. Uderzyła pięścią w kierownicę, podczas gdy silnik cały czas wyl i stukotał.

- Mówiłam, że lepiej będzie wziąć corvette! - wrzasnęła, patrząc na prędkościomierz.

David odwrócił się i spojrzał w tylną szybę. Na razie nie było ani śladu ferrari na krętej drodze za nimi, ale wydawało mu się, że słyszy jego gardłowy pomruk gdzieś w oddali. Na tylnym siedzeniu Michael znów wpatrywał się w gamę boya, cichutko czekając, aż wyświetlacz znów się włączy. Wyglądał jakby nawet nie zauważył, że coś jest nie tak. Ale profesor Gupta był przerażony. Uniósł obie dłonie do klatki piersiowej, jak gdyby próbował uciszyć łomot serca. Jego oczy rozszerzyły się nienaturalnie.

- Co się dzieje? - wychrypiał.

- W porządku profesorze - skłamał David. - Będzie dobrze.

Profesor gorączkowo potrząsnął głową.

- Muszę wysiąść! Wypuście mnie z samochodu!

Atak paniki, pomyślał David. Wyciągnął ręce, dłońmi w dół, mając nadzieję, że ten gest trochę go uspokoi.

- Proszę głęboko oddychać, dobrze? Głęboko.

- Nie, muszę wysiąść!

Odpiął pas i sięgnął do klamki. Na szczęście drzwi były za blokowane i zanim Gupta zdążył je otworzyć, David przeszedł na tylne siedzenie i odciągnął go, siadając na nim i chwytając go za nadgarstki.

- Mówilem, wszystko będzie dobrze! - powtórzył.

Ale kiedy tylko wymówił te słowa, wyrzwał przez tylną szybę i zobaczył żółte ferrari pięćdziesiąt metrów za nimi.

David szybko pochylił się do przodu, by ostrzec Monique, ale ona już to zauważyła. W tylnym lusterku widać było jej zagniewane brązowe oczy.

- To samochód dziekana! - wysyczała. - Ten łysy skurwiel zabrał samochód dziekana!

- Przypiesza - powiedział David. - Możesz jechać jeszcze szybciej?

- Nie mogę! On jedzie ferrari, a ja zasranym hyundaiem! - potrząsnęła głową. - Musiał być u mnie w domu. Szukał nas! Ale zamiast nas znalazł Keitha. I tak zdobył auto.

Ferrari zbliżało się, gdy podjeżdżali do grzbietu góry. Kiedy było już siedem metrów za nimi, David spostrzegł, że łysy facet opuszcza szybę. Trzymając prawą dłoń na kierownicy, mężczyzna wychylił się przez okno i wycelował uzi w hyundaia. David natychmiast złapał Michaela i profesora Gupte, po czym zepchnął ich na ziemię pod siedzenia. Nastolatek wydał z siebie przeszywający wrzask, gdy David zakrył ich obu swoim ciałem.

- Na dół! - krzyknął do Monique. - Będzie strzelał!

Pierwszy strzał rozbił tylną szybę, rozpryskując kawałki szkła na ich plecach. Druga seria przeleciała tuż nad ich głowami - kule przemknęły przez środek samochodu, robiąc dziury w przedniej szybie. David był pewien, że postrzelono Monique. Przeszedł na przód auta, by przejąć kontrolę, ale zobaczył, że nadal trzyma kierownicę - najwyraźniej nic jej się nie stało. Nie krwawiła, ale jej policzki były mokre. Płakała.

- Keith nie żyje, prawda? - zaszlochała.

Oboje znali odpowiedź, więc nie było potrzeby nic mówić. David położył jej dłoń na ramieniu.

- Po prostu spadajmy stąd, dobra?

Hyundai wspiał się na grzbiet góry i zaczął przyspieszać, gdy jechali w dół. Łysy mężczyzna znów posłał im serię, ale tym razem pociski nie trafiły w samochód, bo droga gwałtownie skręciła w prawo. Opony hyundaia zapiszczały na zakręcie, a David musiał się chwycić deski rozdzielczej, żeby nie upaść na Monique.

- Chryste miłosierny! - krzyknął. - Uważaj, co robisz!

Wydawało się, że go nie słyszy. Patrzyła przed siebie, na drogę - nie odrywała oczu od podwójnej żółtej linii. Mięśnie na jej prawej łydce napięły się od ciągłego przyciskania pedału gazu. Zaciśnęła dłonie na kierownicy tak mocno, że między kostkami widać było żyły. Całe jej ciało stanowiło teraz kłębek nerwów i mięśni, a na twarzy widać było pełne wściekłości skupienie. Umysł, który zgłębił tajniki teorii strun, zespolone równania i membrany dodatkowych wymiarów, teraz obliczał siły odśrodkowe.

W połowie zbrocza droga wyprostowała się, zmieniając się w stromą rynnę przecinającą las. Hyundai jechał teraz ponad sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, ale ferrari dalej siedziało im na ogonie. Po obu stronach drogi drzewa sunęły obok nich jak jednolita ściana liści, pni i gałęzi. Wtedy David zauważył przerwę, jakieś sto metrów przed nimi. Wąski pasek asfaltu biegł od głównej drogi w lewo pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Spojrzał na Monique - ona też patrzyła w tym kierunku.

Odwracając się, David popatrzył na ferrari. Łysol znów wychylił się przez okno i mierzył do nich z karabinu, tym razem bardziej się przykładając. David zdążył się tylko szybko

pomodlić. Nie teraz, prosił. Poczekaj jeszcze sekundę, jeszcze jedną sekundę.

Nagle Monique skręciła w lewo. Siła odrzutu pchnęła Davida na drzwi. Samochód przechylił się na prawo, o mało się nie przewracając, ale po chwili lewe koła opadły z powrotem na ziemię, hyundai odzyskał równowagę i pomknął wąską drogą. Zaskoczony łysol podniósł głowę znad uzi i ponieważ się próbował za nimi podążyć, skręcając kierownicę jedną ręką. Przesadził. Tył ferrari wystrzelił do przodu, wprawiając samochód w ruch obrotowy w kierunku przeciwnym do wskazówek zegara. Pojazd przemknął drogą, niczym jaskrawożółty wiatrak, niemal piękny w swej szybkości, osobliwości i połyску. Po chwili ześliznął się z asfaltu i uderzył w drzewo z ogłuszającym łoskotem.

Monique zwolniła nieco, ale nadal jechała boczną dróżką. Patrząc przez roztrzaskaną tylną szybę, David zobaczył ferrari owinięte wokół sękatego dębowego pnia. Potem droga skręciła i wrak zniknął mu z oczu.

Karen i Jonah stali w hallu budynku „New York Timesa”. Za biurkiem ochrony siedział ponury mężczyzna z orlim nosem, ubrany w niebieski blezer i mierzył ich wzrokiem.

- Mogę w czymś pomóc? - spytał.

Karen posłała mu szeroki uśmiech.

- Tak, przyszedłam się zobaczyć z panią Glorią Mitchell. Jest reporterką „Timesa”.

- Była pani umówiona?

Potrząsnęła głową. Nie dzwoniła do Glorii, bo podejrzewała, że FBI założyło podsłuch w jej telefonie.

- Nie, jesteśmy starymi przyjaciółkami. Chciałam tylko wpaść do niej do biura i się przywitać.

Ochroniarz sięgnął po słuchawkę telefonu leżącego biurku.

- Jak się pani nazywa?

- Karen Atwood - podała swoje panieńskie nazwisko. - Chodziłyśmy razem do klasy w liceum Forest Hills. Nie wi-  
działyśmy się jakiś czas, ale na pewno mnie pamięta.

Strażnik powoli wykręcił numer. Karen niecierpliwie roz-  
glądała się po lobby, szukając agentów FBI, którzy mogli ją  
obserwować. Bała się, że ponownie ją zaaresztują, zanim zda-  
ży dostać się do redakcji. Żeby się uspokoić, ścisnęła Jonaha  
za rękę.

W końcu strażnikowi udało się połączyć z Glorią.

- Karen Atwood przyszła się z panią zobaczyć - powie-  
dział do słuchawki. Przez chwilę zapadła cisza. - Tak, Ka-  
ren Atwood. - Znów cisza. Potem zasłonił słuchawkę dłonią  
i zwrócił się do Karen: - Mówi, że nie zna nikogo o tym  
nazwisku.

Karen poczuła ucisk w klatce piersiowej. Jak Gloria mogła  
ją zapomnieć? Przez trzy lata chodziły razem na zajęcia z  
gimnastyki!

- Proszę powiedzieć, że to Karen Atwood z liceum Forest  
Hills, z lekcji gimnastyki u pana Sharkeya.

Ze zniecierpliwionym westchnieniem strażnik powtórzył  
informację do słuchawki. Znów nastąpiła cisza, tym razem  
dość długa, a potem ochroniarz powiedział:

- Dobrze, przyślę ją na górę.

Odłożył słuchawkę i zaczął wypisywać jej nazwisko na  
przepustce.

Odetchnęła z ulgą.

- Dziękuję.

Strażnik z ponurą miną wręczył Karen przepustkę:

- Pani Mitchell jest na szóstym piętrze. Proszę iść w lewo do windy.

Idąc w kierunku windy, Karen rozglądała się, czy gdzieś z boku nie wyskakują faceci w szarych garniturach. Ale udało się i wsiedli do windy bez problemu. Wydawało jej się dziwne, że FBI pozwoliło jej się skontaktować z gazetą. Może założyli, że żaden reporter nie uwierzy w jej historyjkę. Tak naprawdę nie miała wiele do opowiedzenia - chociaż wiedziała, że zarzuty przeciwko Davidowi są sfabrykowane, nie wiedziała, dlaczego rząd wymyśla takie kłamstwa. Co więcej, to było tylko jej słowo przeciw słowu Prokuratora Generalnego. W oczach całego świata była tylko żoną profesora handlującego narkotykami i żadna gazeta nie mogła potraktować poważnie jej oskarżeń.

Chyba że zdobędzie dowody. A Karen nie wybierała się do redakcji z pustymi rękami. Pamiętała nazwisko detektywa, który dzwonił do niej do mieszkania wczoraj w nocy. Ten człowiek mógł powiedzieć „New York Timesowi”, że Davida wezwano do Szpitala Świętego Łukasza. Nazywał się Hector Rodriguez.

Lucille siedziała za biurkiem w gabinecie Amila Gupty, rozmawiając przez telefon z dyrektorem biura, podczas gdy jeden z jej agentów rozpracowywał komputer profesora. Od zniknięcia Gupty, Swifta i Reynolds z Instytutu Robotyki minęły cztery godziny. W tym czasie zespół agentów przeszukał każdy kąt kampusu Carnegie Mellon, chcąc znaleźć jakiegokolwiek wskazówki, gdzie podejrzani mogli się udać. Agent Walsh przesłuchał sprzątaczkę z obsługi budynków Carnegie Mellon, która przyznała, że sprzedała Reynolds i Swiftowi swój fartuch. Agent Miller znalazł corvette Reynolds na jednym z parkingów

na kampusie. Chociaż FBI niewątpliwie potwornie zaważyło sprawę, Lucille była przekonana, że przy odrobinie wysiłku jej zespołowi uda się zlokalizować i pojmać zbiegów. Dlatego była tak wściekła, kiedy dyrektor powiadomił ją, że sprawę przejmuje Pentagon.

- Co oni sobie, do diabła, wyobrażają? - krzyczała do telefonu. - Wojsko nie może przywracać porządku publicznego! Ich udział w operacjach na terenie kraju jest nielegalny!

- Wiem, wiem - odparł dyrektor. - Ale twierdzą, że mają zarządzenie wykonawcze. A żołnierze z Delta Force mają doświadczenie w pościgach za uciekinierami. Przynajmniej w Iraku i Afganistanie im się to udawało.

- Ale dokąd się udadzą? Nie mamy jeszcze żadnych wskazówek co do tego, gdzie mogą się znajdować podejrzani. W tej chwili mogą być wszędzie - od Michigan do Wirginii.

- Zgodnie z planem rozstawienia wojska oddział ma polecieć do wojskowej bazy lotniczej Andrews i stamtąd rozejść się w teren. Mają helikoptery i wozy bojowe, więc mogą się szybko poruszać.

Lucille potrząsnęła głową. To czysta głupota. Rozstawienie brygady komandosów nie pomoże odnaleźć zbiegów. Najprawdopodobniej skończy się tym, że żołnierze zastrzelą jakiegoś pijanego Murzyna za przejazd przez punkt kontrolny bez zatrzymania.

- Proszę pana, proszę mi dać jeszcze trochę czasu - powiedziała. - Wiem, że uda mi się znaleźć tych gnojzków.

- Za późno, Lucy. Żołnierze już wsiadają do samolotów. Masz kontrolę nad operacją do północy, potem musimy ją przekazać Departamentowi Obrony. - Nie powiedziała ani słowa. Milczący protest. Dyrektor zaczął chwilę, po czym

powiedział: - Mam zaraz kolejne spotkanie. Zadzwoń za dwie godziny i podaj mi plany przekazania dowodzenia - po czym odłożył słuchawkę.

Przez kilka sekund Lucille patrzyła na spoczywający w jej dłoni telefon komórkowy. Na wyświetlaczu pojawił się napis: ROZMOWA ZAKOŃCZONA 19:29, a potem znajome godło FBI. Ale nie patrzyła teraz na telefon; patrzyła na koniec swojej kariery w biurze. Przez trzydzieści cztery lata pokonywała kolejne szczeble organizacji jako jedyna kobieta w armii potężnych mężczyzn. Udało jej się, bo była twardsza i bardziej inteligentna niż każdy z nich. Radziła sobie z napadami na banki, przenikała w szeregi gangów motocyklowych, udaremniała porwania i zakładała podsłuchy u mafiosów. Miesiąc temu dyrektor obiecał jej, że uczyni ją kierownikiem oddziału w Dallas - byłaby to bardzo dobra posada po kilkudziesięciu latach służby. Ale teraz wiedziała, że tak się nie stanie. Zamiast awansować zostanie wysłana na emeryturę.

Agent Crawford, jej zastępca, podszedł do niej ostrożnie, jak zbity pies zbliża się do pana.

- Eee, agentko Parker? Skończyliśmy analizę systemu komputerowego Gupty.

Włożyła telefon do kieszeni i odwróciła się do niego. Będzie dowodziła operacją jeszcze przez cztery godziny, więc równie dobrze może je w pełni wykorzystać.

- Znaleźliście jakieś dokumenty dotyczące fizyki?  
- Nie, sama robotyka. Duże pliki z kodami do oprogramowania i projektami sprzętu komputerowego. Znaleźliśmy też program, dzięki któremu porozumiewał się z robotami. W ten sposób sprawił, że Biegnący Smok uruchomił alarm radiacyjny.



Lucille skrzywiła się. Nie chciała, żeby jej przypomnieli o tej wpadce, ale, z drugiej strony, nie mogła jej całkowicie zignorować. Chciała zobaczyć źródło swojej klęski:

- Pokaż mi ten program.

Crawford pochylił się nad biurkiem i kliknął myszą w tę i tamną ikonkę na ekranie komputera. Pojawiło się okno ukazujące trójwymiarowy plan Newell-Simon Hall z dwunastoma migającymi żółtymi kropkami rozproszonymi po wszystkich piętrach.

- Ten ekran pokazuje lokalizację i status każdego robota - wyjaśnił Crawford. - Gupta przesyłał im sygnały za pomocą bezprzewodowego urządzenia.

- Bezprzewodowego? - Zobaczyła w ciemnościach błysk nadziei. Telefony komórkowe i inne bezprzewodowe urządzenia co jakiś czas wysyłają sygnał do sieci, dlatego biuro może w przybliżeniu ustalić ich lokalizację, jeśli są włączone.

- Możemy je namierzyć?

- Niestety nie. Urządzenie Gupty wykorzystuje tylko radio krótkiego zasięgu. Kontrolując roboty w innych miejscach, wysyłał komendy linią naziemną do najbliższego węzła transmisyjnego, który następnie przekazywał sygnał maszynom.

Cholera, pomyślała Lucille. Nie miała dzisiaj ani chwili wytchnienia.

Ale nagle przyszedł jej do głowy inny pomysł.

- O jakie inne miejsca chodzi? Gdzie jeszcze ma roboty? Crawford kliknął na kolejną ikonkę i teraz na ekranie widniała mapa kampusu Carnegie Mellon.

- Kilka jest na wydziale informatyki i kilka na wydziale technicznym. - Wskazał grupkę migających kropek na brzegu mapy. - No i kilka jest tutaj, u niego w domu.

- Są jakieś roboty poza Pittsburghiem?

Kolejne kliknięcie myszy rozwinęło na ekranie mapę Stanów Zjednoczonych. W Kalifornii były cztery światełka, w Tennessee jedno, jedno w Wirginii, dwa w Georgii i sześć w Waszyngtonie DC.

- Departament Obrony testuje monitorujące roboty Gupty w kilku miejscach - wyjaśnił Crawford. - A NASA przygotowuje jedną z jego maszyn do misji na Marsa.

- A tutaj? - Lucille pokazała migającą kropkę w Wirginii Zachodniej, najbliższej Pittsburgha.

Agent Crawford kliknął w kropkę i obok pojawił się podpis: „Samotnia Carnegie, Jolo, Wirginia Zachodnia”.

- To nie wygląda na bazę wojskową ani centrum NASA - zauważyła Lucille. Promyk nadziei stał się teraz mocnym światłem. Wiedziała, że to tylko przeczucie, ale po latach nauczyła się ufać własnym przeczuciom.

Mrużąc oczy, Crawford przyjrzał się napisowi na ekranie.

- Nie widziałem tej nazwy nigdzie w rejestrach Gupty. Podejrzewam, że to może być siedziba jakiegoś prywatnego zleceniodawcy. Być może to jedna z firm z sektora obrony, zajmująca się robotyką.

Lucille potrząsnęła głową. Kropka migiała na samym południu stanu, w samym sercu krainy Hatfield-and-McCoy. Nigdzie w pobliżu nie było żadnego takiego przedsiębiorstwa.

- Mamy jakichś agentów w tej części Wirginii Zachodniej?

Crawford wyjął z kieszeni palmtop, którego używał, chcąc namierzyć agentów wyznaczonych do operacji:

- Hm, zobaczymy. Agenci Brock i Santullo są na 1-77, gdzie pomagają policji stanowej przy blokadzie drogi. Jakies osiemdziesiąt kilometrów od Jolo.

- Powiedz Brockowi i Santullo, żeby jak najszybciej się tam udali. Będą potrzebować wsparcia, więc zbierz dwunastu ludzi i zorganizuj samolot.

Crawford uniósł brwi:

- Jest pani pewna? W chwili obecnej wiemy tylko...
- Rób, co mówię!

## Rozdział ósmy

Kiedy dotarli do Samotni było już całkiem ciemno, ale w świetle reflektorów hyundaia David widział, jak to miejsce wygląda. To, co zobaczył, wystarczyło, by uznał, że Andrew Carnegie nie spędziłby tu ani jednej nocy. Samotnia była ni mniej, ni więcej tylko szałasem, parterową chatynką zbudowaną z podkładów kolejowych na małej leśnej polance. Podwórko przed domem było zawałone gałęziami, a ganek pokrywała warstwa wilgotnych posklejanych liści. Uniwersytet Carnegie Mellon strasznie zapuścił swoją własność. Było oczywiste, że żaden z pracowników wydziału nie przyjechał tu co najmniej od ostatniego lata.

David otworzył drzwi od strony pasażera i pomógł wysiąść profesorowi Gupcie. Staruszek uspokoił się już po ataku paniki, ale nadal kolana mu się trzęsły. David musiał przytrzymać go za łokieć, kiedy stąpali po gałęziach. Monique i Michael też wysiedli, zostawiając włączone światła w samochodzie, by trochę oświetlić sobie drogę. Kiedy dotarli do drzwi frontowych, Gupta wskazał na brudną, pustą doniczkę.

- Klucz jest pod doniczką.

David pochylił się, chcąc wyjąć klucz, kiedy nagle usłyszał w oddali stłumiony wystrzał odbijający się echem po górach. Natychmiast się wyprostował, mięśnie mu stężały:

- Jezu Chryste! - syknął. - Co to było, do cholery?  
Gupta zachichotał i poklepał go po plecach.
- Nie martw się, to tylko miejscowi. Wieczorami lubią się włóczyć po lesie ze strzelbami, by upolować coś na kolację.  
David wziął kilka głębokich wdechów.
- Zaczynam się domyślać, dlaczego żaden z profesorów nie chce tu przyjeżdżać.
- Nie jest tak źle. Ludzie w tym regionie są bardzo ciekawi. Mają kościół, w którym w niedziele urządzają obrzędy poskramiania węży. Tańczą dookoła ambony, trzymając grzechotniki nad głowami. Co ciekawe, ukąszenia zdarzają się niezwykle rzadko.
- Dobra, wchodźmy do środka - ponagliła ich Monique. Z niepokojem spoglądała na ciemny baldachim liści rozsiewający się nad nimi.
- David znów się schylił, podniósł doniczkę i wyjął zardzewiałą klucz. Włożył go do zamka. Po kilku próbach udało mu się przekręcić klucz i otworzyć drzwi. Przesunął dłonią po ścianie, wreszcie włączył światło.
- W środku chatka wyglądała trochę bardziej przytulnie. Na przeciwległej ścianie był kamienny kominek, przed którym leżał kosmaty brązowy dywan. Po lewej stronie mieściła się mała kuchnia z bardzo starą lodówką, a po prawej dwie nieduże sypialnie. Na środku pokoju stał duży dębowy stół, na którym stał komputer, monitor i kilka dodatkowych urządzeń.
- Profesor Gupta wprowadził ich do środka.
- Wchodźcie, wchodźcie. Obawiam się, że nie znajdziemy nic do jedzenia, bo domek od dawna stoi pusty.
- Od razu podszedł do dębowego stołu, żeby włączyć komputer, ale kiedy szukał pod stołem listwy, natknął się na coś innego.

- Popatrz, Michael! Zapomniałem, że to tu zostawiliśmy!  
I baterie jeszcze działają!

Kłęcząc na ziemi, Gupta nacisnął kilka przełączników. David usłyszał buczenie silnika elektrycznego, a chwilę potem zobaczył, jak spod stołu wychodzi robot na czterech nóżkach. Miał jakieś siedemdziesiąt centymetrów wysokości i metr długości. Zaprojektowano go tak, by wyglądał jak miniaturo-  
wy brontozaur. Miał tułów z błyszczącego czarnego plastiku, a jego szyja i ogon były podzielone na segmenty, dzięki czemu mogły się poruszać w przerażająco realistyczny sposób, gdy robot ociężałe sunął po ziemi. Na głowie wielkości pięści miał dwie czerwone diody imitujące oczy, a z pleców wyrastała mu czarna patykowata antena. Mechaniczny stwór zatrzymał się przed nimi i obrócił głowę w jedną i w drugą stronę, jakby chciał się rozejrzeć po pokoju.

- Chciałbyś pograć w piłkę, Michael? - zapytał syntetycznym głosem. Plastikowa szczęka robota kłapała, gdy padały te słowa.

Nastolatek przestał grać na grę boyu. David po raz pierwszy zobaczył, jak się uśmiecha - w tej chwili przypominał mu Jonaha. Michael podbiegł do kosmatego dywanika, podniósł leżącą na nim jaskraworóżową piłkę i poturlał ją w kierunku robota. Maszyna odwróciła głowę, podążając czujnikami za piłką, a potem ruszyła ociężałym krokiem.

- Jest zaprogramowany, by podążać za wszystkim, co różowe - wyjaśnił Gupta. - Ma wbudowany czujnik wykonany z komplementarnego półprzewodnika tlenkowego, który reaguje na ten kolor.

Profesor z wyraźną radością patrzył na bawiącego się wnuka. Monique jednak zaczynała się niecierpliwić. Spojrzała na komputer stojący na dębowym stole, a potem na Davida.

Widział, co myśli: gdzieś na tym twardym dysku może znajdować się teoria ostateczna. Z niecierpliwością czekała, by ją w końcu ujrzeć.

- Hm, profesorze? - zaczął David. - Moglibyśmy teraz przejrzeć te pliki?

Staruszek ocknął się z zadumy.

- Tak, tak, oczywiście! Przepraszam, ale się zamyśliłem.

- Przysunął krzesło do stołu i włączył komputer. David i Monię stanęli za nim, zaglądając mu przez ramię.

Gupta najpierw otworzył folder z dokumentami. W oknie pojawił się spis wszystkich plików stworzonych przez różnych profesorów, którzy odwiedzili Samotnię od podłączenia komputera. Gupta zjechał myszą do folderu opisanego jako SKRZYNKA MICHAELA. Zawartość folderu była strzeżona hasłem, które Gupta natychmiast wpisał - CZERWONYPIRAT79 - otwierając go.

- To dokumenty, które stworzyliśmy, kiedy byliśmy tu cztery lata temu - powiedział, wskazując na siedem dokumentów w Wordzie. - Gdyby Hans ukrył teorię na komputerze, musiałaby być gdzieś w tym folderze, bo wszystkie inne pliki stworzono później.

Siedem dokumentów układało się w kolejności według daty ostatniej modyfikacji. Dаты rozpoczynały się od najwcześniejszej - 27 lipca 2004 na samej górze, do najpóźniejszej - 9 sierpnia 2004 na dole. Pierwszy plik był zatytułowany Visual. Nazwy kolejnych plików były trzycyfrowymi liczbami: 322, 512, 845, 641, 870 i 733.

Gupta otworzył plik Visual.

- Ten pamiętam - powiedział. - Pierwszego wieczoru wprowadziłem do komputera pracę badawczą, którą jeden z moich studentów napisał na temat programów do wizualne

go rozpoznawania. Ale go nie przeczytałem. Być może Hans otworzył plik i wpisał w nim jakieś równania.

Tytuł pracy brzmiał: *Probabilistyczne podprzestrzenie w reprezentacji wizualnej*. Były to typowe studenckie wycpociny - długie, ciężkie i nie do przejścia. Podczas gdy Gupta przewijał strony, David cały czas spodziewał się nagle ujrzeć przerwę w tekście, kawałek białej strony i ułożone w kolumnę równania, niemające nic wspólnego z rozpoznawaniem wizualnym. Ale praca ciągnęła się bez końca, przez całe dziewięć mozolnie napisanych rozdziałów, dwadzieścia trzy rysunki i siedemdziesiąt dwa przypisy.

- W porządku, w tym nic nie ma - oznajmił Gupta po dotarciu do końca. - Zostało jeszcze sześć.

Kliknął na plik zatytułowany 322. Dokument był bardzo duży i minęło trochę czasu, zanim się otworzył. Po pięciu czy sześciu sekundach na ekranie pojawiła się długa lista nazwisk, a przy każdym z nich numer telefonu. Pierwsze nazwisko brzmiało Paul Aalami, drugie Tanya Aalto, a potem ze trzydziestu Aaronów i drugie tyle Aaronsonów. Profesor Gupta przewijał dokument, a w oknie pojawiały się kolejno tłumy Abbottów, Abernathych, Ackermanów i Adamsów. Przewijał coraz szybciej i tysiące nazwisk ułożonych alfabetycznie zlały się w jedną cyfrową masę.

Zdezorientowana Monique potrząsnęła głową.

- Po co pan wprowadził do komputera książkę telefoniczną?

- To Michael. - Gupta wskazał ruchem głowy wnuka, który nadal bawił się w berka z robotem. - Autystyczne dzieci miewają dziwne obsesje. Czasami uczą się na pamięć rozkładów jazdy autobusów lub pociągów. Kilka lat temu Michael przechodził taki etap, kiedy miał obsesję na punkcie numerów



telefonów. Czytał książki telefoniczne, uczył się ich na pamięć, przepisywał. Każdy z tych plików to książka telefoniczna dla innego numeru kierunkowego.

David patrzył na poruszającą się zamazaną kolumnę na ekranie.

- Nie da się jakoś sprawdzić, czy doktor Kleinman modyfikował te pliki?

- Niestety, funkcja śledzenia zmian jest wyłączona w tym oprogramowaniu, więc nie da się ich automatycznie zlokalizować. Będę się musiał dokładnie przyjrzeć każdej stronie, żeby sprawdzić, czy Hans cokolwiek dodawał.

Monique gwizdnęła:

- Cholera! Jeśli pozostałe pliki są tak duże jak ten, to będzie się pan godzinami wpatrywał w ekran.

Nagle profesor Gupta przestał przewijać strony. Zaczął się intensywnie wpatrywać w monitor - przez chwilę Davidowi wydawało się, że trafił na równania *Herr Doktora*, lśniące niczym igły w ogromnym stogu danych. Ale na ekranie widać było tylko długą kolumnę nazwisk Cabot.

- Mam pomysł - powiedział profesor, przesuwając kursor na samą górę ekranu. - Każde równanie musi zawierać znak równości, prawda? Spróbuję szukać w każdym pliku takich znaków. - Kliknął w Menu opcję Edytuj i otworzył okno wyszukiwania. - Szukanie może jednak potrwać kilka minut. Pliki są spore.

David kiwnął głową. Gra była tego warta.

Wąwóz Arguński jest jednym z tych miejsc w Czeczenii, gdzie rozegrało się wiele bitew, ale we wspomnieniach Simona kanion był zawsze nieskazitelny. Szybował jak jastrząb nad wąską rzeką Argun, na której brzegach piętrzyły

się granitowe zbocza Kaukazu. Wzdłuż wschodniego brzegu rzeki biegła szosa wybudowana, aby transportować rosyjskie czołgi i pojazdy przewożące uzbrojone wojsko, ale teraz drogą jechał tylko jeden samochód, wcale nienależący do armii. Simon skierował się w dół, w głąb wąwozu, by przyjrzeć mu się z bliska. Po kilku sekundach rozpoznał pojazd: to był jego własny samochód, stara, szara łada. Za kierownicą siedziała jego żona, Oleńka Iwanowna. Długie jasne włosy falowały jej na plecach, a za nią, na tylnym siedzeniu siedziały jego dzieci: Siergiej i Larisa. Jechali odwiedzić Simona, który stacjonował w Borzoi, dwadzieścia kilometrów na południe stąd. Szosa była bezpieczna - wszyscy rebelianci czeczeńscy w tym rejonie zostali albo zabici, albo zapędzeni daleko w góry - ale w swoim śnie Simon nadal unosił się nad autem, opiekuńczo podążając za nim krętą drogą. Wtedy łada skręciła i Simon zobaczył helikopter załadowany pociskami Hellfire.

W rzeczywistości Simon nie widział tego ataku. Usłyszał o nim dopiero po godzinie, kiedy dowódca poinformował go, że amerykańskie oddziały sił specjalnych znów wkroczyły do Czeczenii. Po jedenastym września Delta Force rozpoczęło działania na południe od granicy, ścigając bojowników al-Kaidy, którzy razem z Czeczenami wycofywali się do Republiki Gruzji. Na początku wojsko rosyjskie tolerowało obecność Amerykanów, ale ten sojusz był coraz bardziej niepewny. Helikoptery Delta Force niby to przypadkiem błędziły po terytorium Rosji. Miały niedobry zwyczaj spuszczenia pocisków na cywili. Gdy Simon jechał swoim wozem pancernym na miejsce ataku, spodziewał się ujrzeć kolejną masakrę wieśniaków, kolejny spalony wóz, a dookoła martwe babuszki. Zamiast tego zobaczył szerniały wrak łady, a za kierownicą zwęglony

szkielet żony. Eksplozja wyrzuciła Siergieja i Larisę z tylnego siedzenia aż do błotnistej rowu między drogą a rzeką.

Simon nigdy się nie dowiedział, co było przyczyną takiej pomyłki. Nigdy nie zrozumiał, jak zespół przeszkolonych komandosów mógł uznać jego rodzinę za bandę terrorystów. Jako że operacja Delta Force była tajna, amerykańscy i rosyjscy generałowie zatuszowali wypadek. Kiedy Simon złożył protest, jego dowódca dał mu płócienny worek pełen studolarowych banknotów. Oplata kondolencyjna, tak to nazwali. Simon rzucił workiem w dowódcę i odszedł ze specnazu. Przyjechał do Ameryki, mając nadzieję, że uda mu się namierzyć pilota i strzelca z tamtego apache'a, ale zadanie okazało się niemożliwe. Nie znał ich nazwisk ani kodu identyfikacyjnego helikoptera. Musiałby zabić każdego żołnierza sił specjalnych, by mieć pewność, że dopadł tych, co trzeba.

W swoich snach jednak Simon widział ich twarze. Widział, jak pilot ustawia urządzenia sterownicze, a strzelec wypuszcza hellfire'a. Widział, jak płomień buchają z tyłu rakiety, gdy pocisk mknie w kierunku szarej łady. Nagle Simon znalazł się w środku, na tylnym siedzeniu, razem z dziećmi, patrzył przez przednią szybę na zbliżającą się raketę. Poczul szarpnięcie za kołnierz - mała rączka kurczowo się go uczepiła.

Simon otworzył oczy. Było ciemno. Tkwił między fotelem ferrari a poduszką powietrzną, która wystrzeliła z kierownicy. Samochód uderzył w drzewo od strony pasażera - prawa strona była zmiażdżona, ale lewa pozostała nietknięta. Ktoś naprawdę szarpał go za kołnierz, ale to nie był Siergiej ani Larisa. To był stary pomarszczony leśny dziadek, bezzębny mieszkaniec Appalachów, o zapadniętych policzkach, w wystrzępionej flanelowej koszuli, z podejrzliwym wyrazem twarzy. Sięgnął do środka ferrari i położył Simonowi dłoń na szyi,

by sprawdzić mu puls. Jego półciężarówka stała przy drodze ze światłami skierowanymi w las.

Wykręcając lewą rękę, by uwolnić się z poduszki powietrznej, Simon chwycił dziadka za nadgarstek. Człowiek odskoczył.

- Jezusie nazareński! - wrzasnął. - Żyjesz! Simon ścisnął żylaste przedramię mężczyzny.

- Pomóż mi stąd wyjść - zażądał.

Drzwi ferrari nie chciały się otworzyć, więc dziadek wyciągnął go przez okno. Simon skrzywił się, gdy jego prawa stopa dotknęła podłoża - kostka była skręcona. Mężczyzna podprowadził go do swojej półciężarówki.

- Byłem pewien, że jesteś martwy - dziwił się. - Chodź, zawieziemy cię do szpitala.

Staruszek śmierdział potem, tytoniem i spalonym drewnem. Pełen obrzydzenia Simon chwycił go za ramiona i pchnął na drzwi samochodu. Przeniósł ciężar ciała na lewą nogę i zacisnął dłonie na jego szyi.

- Widziałeś szarego hyundaia? - spytał. - Z dużym wgnieceniem w tylnym zderzaku?

Zaskoczony mężczyzna otworzył usta. Podniósł ręce do gardła i próbował rozluźnić uścisk Simona, ale jego chude drżące palce nie dały rady.

- ODPOWIADAJ! - Simon krzyknął mu prosto w twarz. - WIDZIAŁEŚ TO AUTO?

Staruszek nie mógł odpowiedzieć, bo Simon miażdżył mu tchawicę, ale potrząsnął głową szybkim, konwulsyjnym ruchem.

- W takim razie jesteś bezużyteczny.

Simon ścisnął go mocniej i poczuł, jak krtań mężczyzny pęka pod jego dłonią. Dziadek wiał się i kopał w bok swojej

półciężarówki, ale Simon nie czuł żadnych wyrzutów sumienia. To tylko kupa brudu. Dlaczego miałby żyć i oddychać, skoro Siergiej i Larisa gniją w grobie? To nie do zniesienia. Nie do wybaczenia.

Gdy mężczyzna już nie żył, Simon pozwolił mu opaść na zakurzony asfalt. Potem pokuśtykał z powrotem do ferrari, skąd wyjął uzi i pozostałą broń, która na szczęście była nie-  
tknięta.

Przeniósł wszystko do półciężarówki, a potem wyjął telefon i z pamięci wykręcił numer. Nie był pewien, czy złapie zasięg, bo był na odludziu, ale po kilku sekundach usłyszał sygnał, a następnie głos:

- Brock przy telefonie.

Gdy profesor Gupta przeszukiwał pokaźne pliki na komputerze, David podszedł do okna z tyłu chatki. Był zbyt zdenerwowany, by patrzeć na ekran i czekać, aż Gupta przeczesze gigabajty danych. Potrzebował chwili, by złapać oddech.

Na początku nic nie widział za oknem, było za ciemno. Ale gdy przycisnął czoło do szyby i przysłonił oczy rękoma, zobaczył kontury drzew dookoła domku, a nad nimi cudowny pas nocnego nieba. Jak wszyscy nowojorczy, David był nieodmiennie zaskoczony ilością gwiazd, jakie widział poza miastem. Najpierw dostrzegł Wielki Wóz, wiszący pionowo niczym znak zapytania. Zobaczył trójkąt letni - Deneb, Altair i Wege - i zygzak Kasjopei. Potem spojrzął prosto nad siebie i przyjrzał się Mlecznej Drodze, niewyobrażalnie wielkiej galaktyce spiralnej.

To właśnie obserwowanie nieba czternaście lat temu było początkiem jego zainteresowania nauką. Mieszkając w Bellows Falls w stanie Yermont, nauczył się rozpoznawać planety

i najjaśniejsze gwiazdy. Gdy jego mama zmywała naczynia po kolacji, a ojciec jechał do miasta, żeby się upić, David siadywał w ogródku i palcem podążał za konstelacjami. Zagłębiając się w prawa fizyki - teorie Keplera, Newtona, Faradaya i Maxwella - odkrył, że dają mu one dystans do napadów wściekłości pijanego ojca i milczącej rozpaczki matki. Spędził całą młodość, przygotowując się do pracy naukowej, w liceum zawzięcie studiował geometrię i analizę matematyczną, a w college'u uczył się termodynamiki i teorii względności. Gdy demony w końcu go dopadły w wieku dwudziestu trzech lat, wyrzucając ze świata fizyki do ponurej sali tawerny West End, było to dla niego o wiele więcej niż tylko niepowodzenie zawodowe. Utracił olbrzymie źródło radości w życiu. I choć później udało mu się wydostać z otchłani i zrobić karierę w dziedzinie spokrewnionej z nauką, pisząc książki o Newtonie, Maxwellu i Einsteinie, wciąż czuł się przegrany. Wiedział, że nie będzie mu dane stanąć na ramionach tych gigantów.

Ale spoglądając w niebo nad Samotnią Carnegie, poczuł, że trochę z tej utraconej radości powraca do jego serca. Patrzył na szereg planet i gwiazd jak na małą kropelkę w oceanie kosmosu. Prawie czternaście miliardów lat temu kocioł kwantowy eksplodował do rozmiarów wszechświata, zostawiając po sobie olbrzymie ślady materii i zaczątki energii. Żaden uczonec na świecie nie wie, dlaczego doszło do Wielkiego Wybuchu, ani co go poprzedziło, ani jak to wszystko się skończy. Ale odpowiedzi na te pytania mogą być w zasięgu ręki, ukryte gdzieś w obwodach drukowanych komputera profesora Gupty. I David będzie jednym z pierwszych, którzy je zobaczą.

Był tak pochłonięty tymi rozważaniami, że kiedy poczuł klepięcie w ramię, o mało nie upadł. Odwrócił się, spodziewając się ujrzeć Guptę, ale profesor nadal siedział zgarbiony

przy dębowym stole, wpatrując się w ekran komputera. To była Monique. Wyglądała na tak samo poruszoną jak on.

- Chciałam ci zadać jeszcze jedno pytanie a propos twojego artykułu o Krainie Płaszczaków - powiedziała. - Chodzi o twój model dwuwymiarowej czarnej dziury.

Wydawało się, że jej pytanie jest jak z księżycą, ale po chwili David zrozumiał, o co jej chodzi. Monique chciała jeszcze raz spróbować odgadnąć na czym polega teoria ostateczna, zanim profesor Gupta odkryje równania.

- A co chcesz wiedzieć?

- Czy twoja czarna dziura zawiera zamknięte krzywe czasowe?

David nie słyszał tego określenia od prawie dwudziestu lat, ale pamiętał je. Zamknięta krzywa czasowa to linia, po której cząstka może podróżować w czasie, docierając dokładnie do tego samego punktu, z którego rozpoczęła podróż.

- Tak, znaleźliśmy zamknięte krzywe czasowe, ale w dwuwymiarowej czasoprzestrzeni to wcale nie taka niespodzianka. Kraina Płaszczaków posiada pełno dziwacznych, bezsensownych elementów, które nie zawsze występują w trójwymiarowym wszechświecie.

- A czy ta teoria dopuszczała tunele czasoprzestrzenne?

David kiwnął głową. Tunel czasoprzestrzenny to kanał biegnący przez wzgórza i doliny czasoprzestrzeni, kosmiczny skrót, dzięki któremu obiekty mogą momentalnie znaleźć się w innym punkcie wszechświata. On i Kleinman twierdzili, że w dwuwymiarowym wszechświecie cząstki wpadające do czarnej dziury pojawiają się w innym wszechświecie po drugiej stronie.

- Tak, to prawda. Jestem zaskoczony, że o tym wiesz. Mówiłaś, że nie przypominasz sobie treści tego artykułu.

- Bo tak jest. Ale jak jechaliśmy tutaj, zaczęłam się zasta nawiać, dlaczego Kleinman powiedział, że artykuł był bliski prawdy. I teraz tak sobie myślę, czy nie ma jakiegoś powiązania z geonami.

Tego określenia David zupełnie nie kojarzył. Albo nigdy się go nie nauczył, albo całkowicie zapomniał.

- Z geonami?

- Tak, geon, czyli grawitacyjno-elektromagnetyczny byt. To stara koncepcja, pochodzi z lat pięćdziesiątych. U jej podstaw leży założenie, że cząstki nie są obiektami znajdującymi się w czasoprzestrzeni, lecz raczej węzłami jej samej. Jak małe tunele czasoprzestrzenne.

David przypomniał sobie coś niecoś. Już kiedyś słyszał o tej idei, pewnie dwadzieścia lat temu na studiach.

- Tak, zdaje mi się, że Kleinman mógł raz wspomnieć o tym na wykładzie. Ale odniosłem wrażenie, że fizycy zarzucili tę hipotezę.

- Bo nikt nie umiał sformułować teorii stabilnego geonu. Zgodnie z równaniami energia mogłaby albo implodować, albo wyciec. Ale kilka lat temu niektórzy uczeni wrócili do tej koncepcji jako możliwej teorii unifikacji. Ich praca jest na razie niekompletna, ale do tej pory udało im się wykryć cząstkę, która wygląda jak mikroskopijny tunel z zamkniętymi krzywymi czasowymi.

David potrząsnął głową.

- I ludzie podchodzą do tego poważnie?

- Przyznaję, to dziwaczny pomysł. Pracuje nad nim tylko kilku naukowców. Ale to klasyczna teoria pola, coś, co mógł odkryć Einstein. I to może wyjaśnić nieoznaczoności mechaniki kwantowej.

- Jak?



- Kluczem są zamknięte krzywe czasowe. W najmniejszej skali przyczynowość czasoprzestrzeni jest wypaczona. Częstka znajduje się pod wpływem wydarzeń z przyszłości, jak również z przeszłości. Ale zewnętrzny obserwator nie może zmierzyć wydarzeń, które jeszcze nie miały miejsca, więc nigdy w pełni nie pozna stanu cząstki. Może *co* najwyżej obliczyćprawdo podobieństwo.

David próbował to sobie uzmysłowić - cząstka, która jakimś sposobem zna swoją przyszłość. Brzmiało absurdalnie, ale dostrzegał zalety takiego pomysłu.

- Wydarzenia w przyszłości to ukryte zmienne Einsteina, tak? Istnieje dokładny opis wszechświata, ale nie jest dostępny w żadnej konkretnej chwili?

Kiwnęła głową.

- Bóg jednak nie gra w kości ze wszechświatem. Ale ludzie muszą, bo nie możemy zobaczyć przyszłości.

Najbardziej uderzyło go to, że Monique była tym tak podniecona. Przeszępowwała z nogi na nogę, mówiąc o teorii. Drżała z emocji. Fizycy teoretycy są dość konserwatywni. Chociaż ich zadaniem jest tworzenie nowych modeli rzeczywistości przy użyciu tajemniczych równań i chwilami wymyślnych geometrii, to jednak za każdym razem ostrożnie badają wszystkie modele. David podejrzewał, że Monique już przeanalizowała możliwe obiekcje co do teorii geonów i nie znalazła w niej poważnych uchybień.

- A co z oddziaływaniem między cząstkami? - zapytał. - Jak wyglądałyby w tym modelu?

- Wszelkie oddziaływanie musiałyby oznaczać zmianę topologii czasoprzestrzeni. Wyobraź sobie, że dwie pętle zbliżają się do siebie, tworząc...

Przerwał jej odgłos uderzenia w stół. Gupta krzyknął:

- A niech to! - i utkwiał wzrok w ekranie.

Monique podbiegła do niego.

- Co się dzieje? Co pan znalazł?

Sfrustrowany Gupta zacisnął pięści:

- Najpierw przeszukałem pliki pod kątem znaku równości.

I nic. Potem szukałem znaku całkowania. I znów nic. Potem przyszło mi do głowy, że Hans mógł wprowadzić informacje w system operacyjny, a nie w folder z dokumentami. Ale właśnie przeprowadziłem dokładne porównanie i nie znalazłem żadnych modyfikacji oprogramowania. - Odwrócił się do Davida, marszcząc brwi. - Przejechaliśmy taki kawał drogi na darmo.

Był wręcz chory z rozczarowania. Stało się jasne, że starszek też pragnie choćby rzucić okiem na zunifikowaną teorię, być może nawet bardziej niż David czy Monique. Ale zbyt łatwo się poddaje, pomyślał David. Odpowiedź jest blisko. Był tego pewien.

- Może ukrył to w jakimś innym miejscu w chatce? - zasugerował. - Może doktor Kleinman przeniósł teorię na papier i ukrył ją w jakiejś szufladzie lub w kredensie. Powinniśmy poszukać.

Monique natychmiast zaczęła rozglądać się po pokoju, jej oczy znajdowały potencjalne kryjówki. Ale Gupta nie ruszał się z miejsca i kręcił głową.

- Hans by tak nie zrobił. Wiedział, że przyjeżdżają tu inni profesorowie z Carnegie Mellon. Nie chciałby, żeby któryś z nich natknął się na teorię, szukając cukru w kredensie.

- Może bardzo dobrze ukrył ten dokument - odparł David.

- Może w jakiejś szczelinie w ścianie albo pod podłogą.

Profesor nadal kręcił głową.

- W takim wypadku teoria przepadła. W chatce jest pełno myszy. Zdażyłyby już zjeść całą *Einheitliche Feldtheorie*. Równania *Herr Doktora* poniewierałyby się w ich odchodach.

- A może Kleinman włożył kartki do jakiejś skrzynki, za nim je ukrył? Do pudełka po ciastkach albo do plastikowego pojemnika. Chodzi mi o to, że nie zawadzi poszukać.

Gupta odrzucił głowę w tył i westchnął. Jego oczy zrobiły się szkliste ze zmęczenia.

- Byłoby rozsądnie przemyśleć nasze założenia. Dlaczego jesteś przekonany, że Hans ukrył teorię właśnie tutaj?

- Już to analizowaliśmy. Nie ukryłby nic w pańskim gabinecie ani w domu, bo te miejsca są zbyt oczywiste. Teoria wpadłaby prosto w ręce rządu, gdyby przyszli...

- Wolniej, proszę. Musimy rozważyć każdy element twojego argumentu - obrócił krzesło, zwracając się do Davida.

- Zacznijmy od kodu, który dał ci Kleinman. Dwanaście cyfr to współrzędne geograficzne Instytutu Robotyki, mam rację?

- Tak, szerokość i długość. - David na chwilę zamknął oczy i znów zobaczył liczby, unoszące się tuż pod jego powiekami. Sekwencja była już prawdopodobnie zapisana w jego korze mózgowej. Będzie ją pewnie pamiętał do końca życia.

- A ostatnie cztery były pańskim numerem wewnętrznym.

- W takim razie wiemy, że Hans chciał, byś się ze mną skontaktował. Ale to nie musi oznaczać, że ukrył teorię na jednym z moich komputerów albo pod podłogą w jakiejś chatce, w której spędził wakacje cztery lata temu.

Gupta oparł się na krześle, drapiąc się w podbródek. Znów przyjął rolę profesora, maglując Davida, jakby byli na jego seminarium z logiki Boole'a. Monique słuchała uważnie, wlepiając wzrok w starego fizyka, ale David nadal myślał o szesnastu liczbach, które Kleinman wyszeptał mu do ucha. Cyfry wciąż falowały mu przed oczami, na tle brązowej twarzy Gupty i stojącego za nim monitora. Na ekranie David przypadkiem zauważył kolejną sekwencję liczb w równym rzędku po lewej

stronie folderu z dokumentami. To były nazwy książek telefonicznych, które Gupta wprowadził dla swojego wnuka: 322, 512, 845, 641, 870 i 733.

David zrobił krok do przodu i wskazał na liczby:

- Czy to są numery kierunkowe poszczególnych rejonów?

Jeden numer na każdą książkę telefoniczną?

Profesor wyglądał na zniecierpliwionego. David przerwał tok jego myśli.

- Tak, tak. Ale już ci mówiłem, w tych plikach nie ma żadnych równań.

David zbliżył się do ekranu i postukał palcem w nazwę pliku na samej górze kolumny, numer 322.

- To nie może być numer kierunkowy - powiedział. Potem postukał w 733. - To też nie.

Gupta obrócił się na krześle.

- O czym ty mówisz?

- Któregoś dnia mój syn zapytał, ile jest numerów kierunkowych. Poszperałem w temacie i okazało się, że nie może ich być więcej niż 720. Numer kierunkowy nie może się zaczynać od zera ani od jedynki i ostatnie dwie cyfry nie mogą być takie same. Operatorzy rezerwują takie numery do specjalnych celów. Takie jak 911, 411 i tym podobne.

Gupta przyjrzał się numerom na monitorze. Nie wydawał się poruszony.

- Pewnie źle je przepisałem.

- Ale doktor Kleinman mógł również zmienić nazwy plików. To tłumaczyłoby, dlaczego są bez sensu. W ciągu kilku sekund mógł zmienić wszystkie sześć nazw.

- Ale po co miałby to robić? Myślisz, że Hans sprowadziłby zunifikowaną teorię pola do sześciu liczb trzycyfrowych?

- Nie, to kolejny klucz. Jak ten, który dał mi w szpitalu.

Teraz także Monique podeszła do stołu. Pochyliła się nad Gupta i spojrzała na ekran.

- Ale tutaj jest osiemnaście cyfr, a nie szesnaście.

- Skupmy się na pierwszych dwunastu - odparł David. - Możesz wejść na stronę, która lokalizuje współrzędne?

Monique obeszła krzesło Gupty, złapała mysz i kliknęła w ikonę Internet Explorera. Znalazła żadaną stronę i schyliła się nad klawiaturą.

- Dobra, przeczytaj mi te liczby.

David nie musiał nawet patrzeć na ekran. Zdażył już zapamiętać sekwencję.

- Trzy, dwa, dwa, pięć, jeden, dwa, osiem, cztery, pięć, sześć, cztery, jeden.

Minęło kilka sekund, zanim serwer znalazł informację w bazie danych. Potem na monitorze pojawiła się mapa zachodniej Georgii z rzeką Chattahoochee po lewej stronie.

- Najbliżej tej lokalizacji znajduje się adres 3617 Victory Drive - oznajmiła Monique. - W Columbus, w Georgii.

Profesor Gupta skoczył na równe nogi, jak gdyby komputer właśnie go obraził.

- To adres Elizabeth!

David nie od razu skojarzył imię.

- Elizabeth?

- Adres mojej córki! - krzyknął profesor. - Tej małej...

Ale zanim dokończył zdanie, drzwi chatki gwałtownie się otworzyły.

Lucille siedziała na fotelu pasażera w jednym z chevroletów będących własnością biura. Samochód jechał drogą numer pięćdziesiąt dwa, oświetlając drogę niebieskimi reflektorami. Podczas gdy agent Crawford wymijał wolniej jadące pojazdy,

Lucille rozmawiała przez telefon satelitarny z agentami Brockiem i Santullo, którzy czaili się w lesie przy chatce w Jolo. Połączenie było słabe, pewnie z powodu terenu, na którym znaleźli się agenci. Poważny głos Brocka był raz mocniejszy, raz słabszy, a częste zakłócenia nieraz zupełnie go tłumili.

- Brock, tu Parker ~ krzyczała Lucille do telefonu. - Nie odebrałam ostatniej transmisji. Powtórz. Odbiór.

- Przyjąłem. Namierzaliśmy czwórkę podejrzanych w chatce. Gupta, Swift, Reynolds i nastolatek, którego nazwiska nie znamy. Zmieniliśmy pozycję, żeby lepiej widzieć, co się dzieje w środku. Okno znajduje się po drugiej...

Jego ostatnie słowa stłumiły zakłócenia.

- Przyjąłem. Większość zrozumiałam. Upewnij się, że nikt was nie widzi, dopóki nie dotrze wsparcie. Żadnej konfrontacji z podejrzаныmi, chyba że będą próbowali opuścić dom. Słyszysz mnie, Brock?

- Potwierdzam. Nie ruszamy się z miejsca. Bez odbioru.

Lucille poczuła cień obawy. Niedobrze się złożyło, że pierwszymi agentami na miejscu byli Brock i Santullo. Ze wszystkich agentów najmniej lubiła Brocka - był w gorącej wodzie kąpany i arogancki; jego arogancja chwilami graniczyła z niesubordynacją. Sprokowanie strzelaniny i zabicie jednego z podejrzanych byłoby jak najbardziej w jego stylu. Albo, co gorsza, sam zginąłby w akcji. Dlatego rozkazała mu siedzieć na miejscu. Nie miała zamiaru tracić kolejnych agentów.

Przed nimi na drodze pojawił się drogowskaz: WELCH, 8 KM. Jeszcze niecałe pół godziny do Jolo. Trzy wozy patrolowe policji stanowej Wirginii Zachodniej były jeszcze bliżej celu. Jeśli wszystko potoczy się zgodnie z planem, o północy wszyscy będą już po służbie.

Nagle w telefonie zabrzmiał głos Brocka:

- Mayday, Mayday! Proszę o pozwolenie na natychmiastowe wejście do środka! Powtarzam, proszę o pozwolenie na wejście do środka!

Lucille przycisnęła telefon do ucha.

- Co jest? Chcą opuścić dom?

- Widzimy ich, zebrali się dookoła komputera! Proszę o pozwolenie na wejście, zanim skasują informacje, których szukamy!

Gwałtownie nabrała powietrza. Musiała polegać na własnym osądzie. Jej nadrzędnym zadaniem było zabezpieczenie informacji kluczowych dla narodowego bezpieczeństwa. Być może Brock miał rację: podejrzani mogli próbować wykasować dane. Ale Lucille ufała specjalistom od komputerów FBI. Widziała, jak odzyskują dane z setek twardej dysków.

- Odmawiam pozwolenia. Wsparcie będzie tam za niecałe dwadzieścia minut. Zostańcie na miejscach dopóki nie dotrze reszta.

- Przyjąłem, wchodzimy!

Lucille wydawało się, że przez szum zakłóceń źle ją usłyszał.

- Nie, powiedziałam, żebyście zostali na miejscach! Nie wchodzić! Powtarzam, NIE WCHODZIĆ!

- Przyjąłem. Wyłączamy się, dopóki nie schwytemy podejrzanych. Bez odbioru.

Przeszył ją niepokój.

- DO CHOLERY, BROCK, POWIEDZIAŁAM: NIE RUSZAĆ SIĘ Z MIEJSCA! NIE...

Wtedy telefon się rozłączył.

Było ich dwóch. Dwóch umięśnionych dupków w ciemnoniebieskich kombinezonach spadochroniarzy, na których wid-

niały złote litery FBI. Jeden z nich był wysokim jasnowłosym pakerem, a drugi śniadym śródziemnomorskim typem z sumiastym wąsem. Obaj mieli w rękach dziewięciomilimetrowe glocki, które wymierzili w Amila, Davida i Monique.

Profesor Gupta instynktownie osłonił wnuka. Stał przed Michaeliem, który klęczał na podłodze obok brontozaura, nieświadomy niczego poza swoim robotem. W odpowiedzi na ruch profesora jasnowłosy agent wycelował broń w jego czoło.

- RUSZ SIĘ JESZCZE RAZ, A ROZWAŁĘ CI ŁEB! - ryknął.  
- RĘCE DO GÓRY, ŚMIECIU!

Starszy człowiek spojrzał na muszkę pistoletu. Jego lewym policzkiem szarpnął nerwowy tik. Profesor wydał cichy jęk. Powoli podniósł ręce do góry. Potem odwrócił się i spojrzał w dół na wnuka.

- Proszę... Michael, wstań, proszę... - mówił cicho drżącym głosem. - I podnieś ręce, o, tak.

Jasnowłosy agent obrócił się, mierząc teraz w Davida. Nos agenta był skrzywiony - pewnie go parę razy złamał. Jego policzki były pokryte siecią cieniutkich czerwonych linii. Wydawał się zbytnim hulaką jak na człowieka FBI; wyglądał raczej jak barowy piniacz.

- Ty też, zasańcu - odezwał się. - Ręce do góry.

David uniósł ręce, patrząc na Monique, która stała z drugiej strony Gupty i Michaela. Wiedział, że za paskiem od szortów ma zatknięty rewolwer. Wiedział również, że jeśli po niego sięgnie, wszyscy będą martwi. Leciutko potrząsnął głową: „Nie rób tego, nie rób tego”. Po sekundzie koszarnej niepewności Monique również podniosła ręce.

Blondyn odwrócił się do swojego partnera.

- Pilnuj ich, Santullo. Ja poszukam broni.



Najpierw podszedł do Davida i zaczął go mocno poklepywać dłońmi z góry na dół. Kiedy skończył, wbił mu łufę między żebra:

- Jesteś skończonym idiotą - powiedział.

David stał bez ruchu. Nie, pomyślał, ten drań mnie nie zastrzeli. Rząd chce mnie mieć żywego.

Ale nie mógł być tego pewien. Wyobraził sobie kulę w magazynku i gotowy do uderzenia kurek.

Agent nie pociągnął jednak za spust. Zamiast tego pochylił się, aż jego usta dotknęły ucha Davida:

- Powinieneś być się trzymać pierwszej żony - wyszeptał.

- Jest o wiele lepsza niż ta czarnucha.

Potem podszedł do profesora Gupty. Skołowany ze złości David opuścił ramiona, ale agent o nazwisku Santullo natychmiast wycelował w niego broń:

- ŁAPY DO GÓRY! - krzyknął. - Ostrzegam ostatni raz!

David posłuchał. W tym czasie jasnowłosy agent obszukiwał profesora Guptę. Staruszek zmusił się do uśmiechu i spojrzał na wnuka.

- Michael, ten pan za chwilę cię dotknie. Ale nie bój się, nie będzie bolało. Popatrz, teraz dotyka mnie i wcale nie boli.

Agent przyjrzał się mu uważnie:

- Co jest nie tak z chłopakiem? Opóźniony?

Gupta nadal patrzył na Michaela.

- Nie trzeba krzyczeć, dobrze? Przez parę sekund musi cię dotknąć, a potem będzie po wszystkim.

Wydawało się, że zapewnienia profesora odniosły skutek: kiedy agent przeszukiwał Michaela, nastolatek przez chwilę zajęczał, ale nic ponadto. Potem mężczyzna podszedł do Monique i od razu odkrył, że ma rewolwer. Wyszarpnął go zza paska i podniósł wysoko, żeby wszyscy widzieli.

- Patrzcie państwo - oznajmił triumfalnie. - Dziewczyna ma w spodniach czarną siłę.

Monique patrzyła na niego, najwyraźniej żałując, że jednak nie strzeliła. Agent włożył swój pistolet do kabury i otworzył bębenek rewolweru Monique, żeby sprawdzić, czy jest nabity.

- Ależ mam szczęście - powiedział. - Ale pani, niestety, nie, pani Reynolds. Właśnie znalazłem narzędzie zbrodni.

Potrząsnęła głową.

- Nikogo nie zabiłam! O czym pan u diabła mówi?

Zatrzasnął magazynek i wrócił na miejsce obok partnera.

- O tym - wycelował w głowę Santulla i strzelił.

To stało się tak szybko, że oczy Santulla były nadal utkwione w Amilu, Davidzie i Monique, kiedy kula przeszła jego czaszkę. Z rany bryznęła krew zmieszana z mózgiem. Mężczyzna upadł bokiem na ziemię, a glock wypadł mu z ręki. Jasnowłosy agent podniósł broń - teraz w jednej ręce trzymał pistolet Santulla, a w drugiej ten należący do Monique.

Michael zaczął krzyczeć, gdy tylko usłyszał wystrzał. Upadł na dywanik i zatkał dłońmi uszy. Profesor Gupta pochylił się nad nim, odwracając się od zmarłego. Ale David był zbyt oszołomiony, by patrzeć gdzie indziej. Krew tryskała z rany tuż nad skronią mężczyzny.

Nie patrząc na ciało, blondyn obszedł je dookoła.

- Dobra, koniec zabawy - powiedział. Zabezpieczył glocka i zatkał go za pasek, ale nadal mierzył w swoich więźniów z rewolweru. - Musimy się stąd wydostać, zanim pojawią się posiłki. Przejdziemy się kawałek po lesie i spotkamy się z moim przyjacielem po drugiej stronie wzgórza.

David wpatrywał się w pokiereszowaną twarz agenta. Z przerażeniem zrozumiał, że jego początkowe podejrzenia

były słuszne: facet tak naprawdę nie był z FBI. Pracował dla terrorystów.

Blondyn zrobił trzy kroki, podchodząc do Gupty i jego krzyżącego wnuka. Najpierw odepchnął profesora, przewracając go na ziemię, a potem chwycił Michaela za kołnierz koszulki i przyłożył mu lufę do głowy.

- Pójdziecie za mną wszyscy równym rzędem. Jeżeli ktokolwiek będzie próbował uciec, chłopak nie żyje. Zrozumiano?

Monique stała z lewej strony agenta, a David z prawej. Spojrzała na niego ponaglająco. Zrozumiał: facet jest teraz odsłonięty. Nie może patrzeć na nich oboje naraz. Jeśli mają zamiar coś zrobić, to teraz.

Gupta pomału stanął na nogi. Kiedy znów spojrzał na agenta, jego twarz wykrzywił grymas wściekłości.

- W tej chwili przestań, imbecylny! - krzyknął. - Zabieraj łapy od mojego wnuka!

David ocenił dystans, jaki dzielił go od agenta. Mógłby skoczyć na niego i chwycić za dłoń, w której trzymał broń, ale to nie powstrzyma wystrzału. Muszą sprawić, żeby wycelował rewolwer w coś obok Michaela.

Rozbawiony agent wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Jak mnie nazwałś? Imbecylem?

Monique rzuciła Davidowi kolejne spojrzenie: Na co czekasz? Wtedy zobaczył, jak metr od niej robot-brontozaur wymachuje ogonem. Utkwił wzrok w antenie maszyny.

- Tak, jesteś imbecylem! - krzyknął Gupta. - Nie widzisz, co robisz?

David bezgłośnie wyszeptał słowo „antena” i wskazał na robota. Z początku Monique nie wiedziała, o co chodzi. Wtedy David zacisnął prawą pięść i przekręcił. Podziałało. Monique schyliła się do maszyny i wyrwała antenę.

Dźwięk alarmu był jeszcze głośniejszy, niż David to zapamiętał. Agent odruchowo puścił Michaela i wycelował rewolwer w kierunku, z którego dochodził hałas. Wtedy David skoczył na niego od tyłu.

Simon zaparkował półciężarówkę w miejscu zaplanowanego spotkania, na ostrym zakręcie piaszczystej drogi, kilometr na południe od chatki w górach. Wybrał miejsce z pomocą mapy, którą znalazł w schowku. Spotkanie w Samotni byłoby nierozsądne, bo chatka stała w miejscu, z którego ciężko się wydostać, a co najmniej dwanaście wozów policyjnych zbliżało się tam od północy. Ale piaszczysta droga biegła na południe przez gęsty las, stwarzając wspaniałe warunki ucieczki do sąsiedniej Wirginii.

Zgasił światła, po czym spojrzął na świecące wskazówki zegarka: 9.21. Brock przybędzie za dziewięć minut. Simon obiecał mu pokaźną nagrodę - dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów, jeśli dostarczy wszystkich czterech uciekinierów żywych. Agent planował zorganizować to tak, by wyglądało, że to oni zastrzelili jego partnera, a potem uciekli do lasu. Simon podejrzewał, że FBI nie uwierzy w tę historyjkę, ale to już było zmartwienie Bracka.

Opuścił szybę i wychylił głowę na zewnątrz, nasłuchując kroków pięciu osób brnących przez listowie. Ale słyszał tylko zwyczajne odgłosy nocnego lasu: dźwięk cykad, skrzek żaby ryczącej i szelest wiatru w koronach drzew. Po kilku sekundach usłyszał stłumiony huk gdzieś na zachód od miejsca, w którym się znajdował. Pewnie wystrzał z dubeltówki. A potem dziwny, wysoki pisk i cztery kolejne strzały następujące jeden po drugim. Strzały słychać było z północy i wcale nie pochodziły one z dubeltówki. Simon potrafił rozróżniać dźwięki

wydawane przez różne rodzaje broni. To prawdopodobnie był rewolwer.

Nie ma się czym przejmować, powiedział sobie. To agent Brock pozbył się partnera. Ale skąd cztery strzały? Zwykle wystarczała jedna kula w łeb. Nie, nie, nie wyciągać daleko idących wniosków - może Brock był kiepskim strzelcem, może strzelił jeszcze trzy razy, by mieć pewność, że człowiek nie żyje. Ale to wytłumaczenie nie uspokoiło Simona. Przeczucie podpowiadało mu, że coś poszło nie tak.

Chwycił uzi, otworzył drzwi samochodu i ostrożnie wysiadł. Jego prawa kostka była paskudnie spuchnięta, ale nie miał wyboru.

David ruszył naprzód i walnął agenta w plecy prawym barkiem. Przyłożył mu z całej siły, więc mężczyzna upadł przed siebie - nogi odmówiły mu posłuszeństwa i uderzył klatką piersiową o podłogę. Nadal jednak trzymał rewolwer, który wypalił prosto w robota-dinozaura, uciszając alarm. David skoczył na agenta i przygwoździł do ziemi ramię trzymające broń. Mężczyzna oddał kolejny strzał na oślep, więc David huknął go w głowę, uderzając kostkami pięści w kościsty wyrostek u podstawy czaszki. Przypomniawszy sobie trudną naukę, którą otrzymał od własnego ojca: nie ma czegoś takiego jak uczciwa walka. Jest tylko zwycięstwo lub porażka, a jeśli chcesz wygrać, musisz tłuc drania, aż przestanie się ruszać. Nos agenta po raz kolejny się złamał, gdy David przygniótł go do ziemi. Mimo to mężczyzna nadal oddawał strzały z rewolweru. Rozległy się jeszcze dwa, po czym David usłyszał krzyk Monique. Rozwścieczony David przycisnął ramię agenta kolanem, aż w końcu broń wypadła mu z ręki. Ale David ani na chwilę nie przestał - cały czas słyszał przepity głos ojca:

Na miłość boską, nie pozwól mu wstać. Lej go, tłucz go, przypieprz mu!

David wypełniał instrukcje ojca co do słowa, aż w końcu twarz agenta była już tylko pokiereszowaną masą, z otwartymi ustami i opuchniętymi, zamkniętymi oczami. David wrzasnął:

- TY ZASRAŃCU! - prosto do jego ucha, ale już o nim nie myślał.

Okladając pięściami fioletową twarz mężczyzny, krzyczał na swojego ojca, na tego pijanego agresywnego skurczybyka.

Zatłukłby go na śmierć, ale poczuł, że ktoś go odciąga.

- Wystarczy, już wystarczy! Jest nieprzytomny!

Odwrócił się i zobaczył Monique. Ze zdziwieniem stwierdził, że nic jej nie jest. Spojrzała na niego z troską, po czym sięgnęła do kabury agenta i wyjęła jego broń.

- Przewróć go, to wyjmę ten drugi - rozkazała.

David podniósł bezwładne ciało, a Monique znalazła pistolet Santulla za paskiem spodni agenta.

- Masz, weź to - powiedziała, wręczając mu glocka. - Przykryj go, w razie jakby się ocknął. Ja się zajmę Amilem.

- Amilem? Co się stało?

Obejrzał się przez ramię i ujrzał Michaela, który nadal klęczał na dywaniku, zatykając rękoma uszy. Na podłodze obok niego leżał Gupta w powiększającej się kałuży krwi. Krew tryskała z szerokiej na ponad dwa centymetry dziury w lewym udzie. Profesor uniósł się na łokciu i z przerażeniem patrzył na ranę.

- Leje się! - krzyczał. - Leje się! Leje się! Leje się!

Monique wskazała na podkoszulek Davida.

- Szybko, ściągaj to - powiedziała.

Podeszła do Gupty i rozerwała jego lewą nogawkę, która zdążyła już nasiąknąć krwią.

- Proszę się uspokoić, profesorze - powiedziała. - Proszę głęboko oddychać, trzeba spowolnić bicie serca.

Wzięła podkoszulek Davida - jego podkoszulek z nazwą drużyny softballowej, z napisem HICJARSCY HISTORICY - i zwinęła go w opatrunek, który przyłożyła do rany Gupty. Owinęła rękawy podkoszulka dookoła uda, zawiązała je i przycisnęła dłoń, by zatamować krwawienie. Drugą ręką sięgnęła w okolice pachwiny i zaczęła badać miejsce po lewej stronie rozporoka.

- Przepraszam bardzo - mruknęła - ale próbuję znaleźć tętnicę udową.

Gupta skupił się na oddychaniu i pewnie nawet jej nie usłyszał. David z zaskoczeniem obserwował, jak jej palce zagłębiają się w krocze starego człowieka. Po kilku sekundach znalazła punkt uciskowy i przytrzymała go nadgarstkiem, dociskając arterię do kości miednicy. Profesor zaskowyczał z bólu.

Monique posłała mu szeroki uśmiech.

- O, teraz znacznie lepiej - powiedziała. - Teraz krwawie nie ustanie. - Ale kiedy odwróciła się do Davida, jej twarz była poważna. - Musimy go zawieźć do szpitala.

Tym razem Gupta ją usłyszał.

- Nie! - krzyknął. - Musicie uciekać! Musicie jechać do Georgii!

- Profesorze, proszę leżeć - przypomniała Monique.

- Nie, posłuchajcie mnie! Ten człowiek powiedział, że nadchodzą posiłki! Jeśli was pochwyca, to koniec *Einheitliche Feldtheorie!*

Monique starała się utrzymać dłonie na tętnicy udowej Gupty i na własnoręcznie wykonanym opatrunku.

- Nie możemy pana tak zostawić! - krzyknęła. - Wykrwawi się pan na śmierć!

- Jak tylko władze tu dotrą, od razu odwiożą mnie do szpitala. Wierzcie mi, nie pozwolą mi umrzeć. Jestem dla nich zbyt cenny.

Potrząsnęła głową. Nie chciała go opuszczać. David był pod wrażeniem jej lojalności. Do tej pory wydawało mu się, że Monique niezbyt lubi profesora Gupte, a jednak teraz gotowa była poświęcić dla niego wszystko.

Gupta wyciągnął do niej rękę i dotknął jej policzka. Potem wskazał wnuka, który kotłował się w przód i w tył na piętach.

- Zabierzcie ze sobą Michaela - powiedział. - Jeśli policja go znajdzie, umieścą go w zakładzie. Nie dopuść do tego, Monique. Błagam cię.

Wciąż trzymała dłoń na opatrunku, ale kiwnęła głową. Potem Gupta zwrócił się do Davida, wskazując na komputer:

- Zanim odejdziecie, zniszczcie twardego dyska, żeby FBI nie znalazło kodu.

David bez słowa uniósł komputer nad głowę i rzucił nim o ziemię. Plastikowa obudowa pękła, po czym David wyrwał twardego dyska, który wyglądał jak miniaturowy talerz obrotowy ze stosem srebrnych płyt. Chwył Glocka za lufę i zaczął uderzać w szklane dyski ręką pistoletu. Skończył, kiedy po płytach zostały tylko małe drzazgi.

Kiedy było już po wszystkim, usłyszał ryk syreny. To odgłos policyjnego wozu jadącego zwirową drogą - był może pół kilometra stąd. Po chwili usłyszał jeszcze dwie syreny - były trochę dalej od nich. A potem dobiegł jeszcze bardziej niepożądany odgłos, nagły wystrzał karabinu maszynowego.

Skoczył na równe nogi. Monique nadal pochylała się nad profesorem Gupta, przyciskając bandaż, ale staruszek teraz szeptał coś do ucha Michaelowi.

- Zbieramy się! - krzyknął David. - Musimy uciekać!



- Idźcie - powiedział Gupta, odpychając Michaela i Monique. Wyglądało na to, że słabnie. - I nie zapomnijcie... konsoli Michaela.

Monique wstała z płaczem i ruszyła do drzwi. David znalazł gamę boya i wepchnął go nastolatkowi w dłoń. Michael nacisnął guzik i wyświetlacz znów się rozjaśnił. Chłopak wznowił grę w momencie, w którym ją zakończył, jak gdyby po drodze nic ważnego się nie zdarzyło. Był tak pochłonięty grą, że pozwolił Davidowi chwycić się za łokieć i wyprowadzić z domku.

Simon najpierw rozprawił się z policjantami. Oparłszy się o jedno z przydrożnych drzew, strzelił w przednią szybę pierwszego wozu, zabijając obu oficerów, siedzących w środku. Auto ześliznęło się po żwirze i uderzyło przodem w głąz porośnięty kudzu. Kierowca drugiego wozu zauważył wrak dopiero, gdy skręcał, ale wtedy było już za późno. Zatrzymał się na środku drogi, ale Simon zastrzelił go, zanim zdążył wrzucić wsteczny bieg. Kolejny kierowca rozsądnie trzymał się poza zasięgiem. W oddali Simon słyszał, jak policjanci szukają kryjówek i krzyczą do krótkofalówek. Zadanie wykonane: policja na najbliższe pół godziny pochowała się na poboczu, za skałami i pniami drzew, pozwalając Simonowi skoncentrować się na czym innym.

Pokuśtykał drogą w kierunku chatki. Najpierw zaniepokoiły go otwarte drzwi. Później widok trzech ciał leżących na podłodze w domku. Tylko jedna osoba nie żyła - agent FBI z dziwnym wąsem, najwyraźniej partner Brocka. Jego rozbryzgany mózg widniał na ścianie obok. Chudy, niski Hindus, szanowany profesor Gupta, leżał nieprzytomny w kałuży krwi. Ktoś założył mu naprędce opatrunek na nogę, ale materiał

już przesiąknął krwią. I wreszcie agent Brock, który leżąc na brzuchu, jęczał z bólu i wypluwał kawałki zębów.

Simon przez chwilę stał, zastanawiając się, co robić. Swift i Reynolds, najważniejsi poszukiwani, nie zdążyli daleko uciec, pewnie biegli na oślep przez las ze swoim nastoletnim towarzyszem. W zwykłych okolicznościach Simon ścigałby ich, ale kostka coraz bardziej go bolała i wiedział, że długo nie wytrzyma. Na razie będzie musiał się zadowolić przesłuchaniem doktora Gupty. Zakładając, że nie zmarł od szoku, była szansa, że powie, dokąd zmierzają Swift i Reynolds.

Brock z trudem wstał na nogi. Jego twarz zamieniła się w krwawą masę, ale cała reszta ciała była w porządku. Razem mogliby przenieść Gupta przez las do półciężarówki. Simon chwycił agenta za kark i pchnął go w kierunku profesora.

- Mam dla ciebie nowe zadanie, panie Brock - powiedział.  
- I jeśli ci życie miłe, radzę, byś się go podjął.

## Rozdział dziewiąty

Lucille klęczała przy ciele Tony'ego Santulla, dwudziestoczteroletniego agenta, który ukończył akademię zaledwie sześć miesięcy temu, i zmusiła się, by spojrzeć na dziurę w jego skroni. Westchnęła głęboko, odrzuciła wszelkie myśli, rozpraszające jej uwagę - całe poczucie winy, wściekłość i frustrację - i skupiła się na próbie odtworzenia wydarzeń, które miały miejsce w chatce. Przeanalizowała położenie ciała Santulla i plamy rozbryzanej krwi. Zauważyła obecność kolejnych dwóch kałuży krwi w drugim końcu pokoju, wskazujących na inne ofiary. Przyjrzała się szczątkom sprzętu na podłodze - popękanej obudowie komputera, roztrzaskanemu twardemu dyskowi i plastikowym resztkom jakiegoś robota.

Agent Crawford stał za nią, trzymając przy uchu krótkofalówkę.

- Brock, zgłoś się! - krzyczał. - Zgłoś się! Zgłoś się! Natychmiast odpowiedz! Odbiór.

Lucille potrząsnęła głową. Szczerze mówiąc, było możliwe, że Brock puścił się przez las w pościg za podejrzanymi i im<sup>y</sup> odpowiadał, bo leżał ranny albo martwy gdzieś na leśnej ściółce. Ale bardzo w to wątpiła. W ciągu ostatniej doby nabrała podejrzeń, że w ich szeregach jest zdrajca, ale teraz/ |ul wiedziała, kto nim jest.

- Zgłoś się, Brock - powtarzał Crawford. - Zgłoś się, zgłoś...

Nagle opuścił krótkofalówkę i przechylił głowę, nasłuchując odgłosu dobiegającego z zewnątrz. Po kilku sekundach Lucille również go usłyszała: wirnik helikoptera. Wstała i podążając za Crawfordem, wyszła z domku. Spojrzeli na północny wschód i zobaczyli trzy blackhawki lecące nad wzgórzami. Ich reflektory oświetlały znajdujące się pod nimi korony drzew. To była straż przednia Delta Force, przybywająca przed czasem.

Rozebrany do pasa David biegł przed siebie w ciemnościach. Nic nie widział, ale mknął naprzód, próbując podążać za odgłosem kroków Monique, biegnącej po leśnym poszyciu. Lewą ręką sprawdzał, czy na drodze nie ma gałęzi i pni drzew, prawą zaś trzymał łokieć Michaela, ciągnąc go za sobą. Chłopiec na początku krzyczał, ale po kilometryrzasapał się tak, że już nie dał rady protestować. Przedzierali się przez czarny las, jak gdyby lecieli w powietrzu, pchani czystym strachem.

Dotarli do polanki i Monique nagle się zatrzymała. David prawie się z nią zderzył.

- Co ty robisz? - syknął. - Lecimy, lecimy!

- A dokąd? Skąd wiesz, czy nie gonimy w kółko?

Podniósł głowę i spojrzał na gwiazdy. Mały Wóz był po prawej stronie, a to oznaczało, że kierują się na zachód. Chwycił rękę Monique i pociągnął w lewo.

- Powinniśmy iść tędy, zacząć zmierzać na południe. A potem...

- O Boże, co to takiego?

Nad ich głowami, ponad czubkami drzew, pojawiły się trzy światła. Zawisły na niebie niczym nowe gwiazdy. Patrząc w ich stronę, David usłyszał w oddali ryk wirników helikopterów.

Chwycił Michaela za łokieć i pchnął Monique do przodu.

- Szybko! Pod drzewa!

Znów zanurkowali w las i zaczęli wspinać się po skalistym zboczu. Droga po nierównym terenie była trudna. Monique potknęła się o coś i upadła z krzykiem. David pospieszył jej na pomoc, ale kiedy pochylił się, żeby zapytać, czy wszystko w porządku, usłyszał niski głos, powoli mówiący:

- Nie ruszać się.

Potem rozległ się odgłos strzelb szykowanych do wystrzału.

David zamarł. Przez chwilę rozważał dalszą ucieczkę, ale kiedy się odwrócił, zauważył, że gamę boy Michaela jest cały czas włączony. Światelko ekranu było słabe, ale wystarczyło, by w razie czego służyć za cel.

Ktoś włączył latarkę i skierował na nich słup światła. David próbował przez odbłask dojrzeć człowieka, który trzyma latarkę, ale widział tylko masywny cień. To pewnie nie FBI, pomyślał. Prawdopodobnie lokalny szeryf albo policjant. Ale w tej sytuacji to raczej żadna różnica.

- Co tu robicie? - zapytał wielkolud głosem pełnym autentycznego zdumienia. - To nie miejsce na piknik.

David zmrużył oczy, patrząc pod światło i z ulgą stwierdził, że facet nie nosi munduru. Miał na sobie ogrodniczkę i olbrzymią flanelową koszulę, a broń, z której do nich mierzył, to nie był karabin, lecz zwykła dubeltówka. Po jego lewej stronie stał drugi mężczyzna, również uzbrojony w fuzję - stary bezzębny gość w czapce z daszkiem, a po prawej niski pulchny chłopczyk - mógł mieć osiem albo dziewięć lat. Chłopiec trzymał domowej roboty procę i miał dziwnie płaską twarz.

- Słyszeliście? - powiedział grubas. Miał gęstą brązową brodę, a na lewym oku brudną przepaskę. - Pytałem o coś.

David pokiwał głową. To myśliwi z pogranicza, o których wspominał Gupta, niewątpliwie dziadek, ojciec i syn. Ludzie z gór Wirginii Zachodniej, nieufni w stosunku do obcych. Pewnie niezbyt przychylnie nastawieni do czarnej kobiety naukowca i profesora historii z nagą klatką piersiową. Ale prawdopodobnie z rządem też nie sympatyzują. David zastanawiał się, czy nie wykorzystać tego faktu, by przeciągnąć ich na swoją stronę.

- Mamy kłopoty - przyznał. - Chcą nas aresztować.

Wielkolud utkwiał w nim swoje sprawne oko.

- Kto?

- FBI. I policja stanowa. Pracują razem.

Mężczyzna parsknął:

- A cożście zrobili, obrabowaliście bank?

David zdał sobie sprawę, że nie może powiedzieć im prawdy. Musiał wymyślić historyjkę, w którą uwierzyliby.

- Nic nie zrobiliśmy. To nielegalna operacja rządowa.

- Co to do diabła znaczy...

Przerwał mu jego syn, wydając wysoki skrzek niczym jakiś egzotyczny ptak. Twarz chłopca rozjaśniła się w koślawym uśmiechu, kiedy zakołysał się na boki, jak gdyby porwany wiatrem. David nagle zrozumiał, co jest z dzieckiem nie tak - chłopiec miał zespół Downa.

Olbrzym nie zwracał uwagi na syna. Nadal trzymał strzelbę wycelowaną w Davida.

- Dobra, powiecie mi, co jest grane?

W porządku, pomyślał David. Mają coś wspólnego. Przy najmniej na początek. Wskazał Michaela, który przykucnął na ziemi i bujał się w przód i w tył.

- Ściągają naszego syna! - krzyknął. - Chcą go nam odebrać!

Monique spojrzała na niego oszołomiona. Ale kłamstwo, choć trochę naciągane, nie było tak całkiem bez sensu. W ciemnościach można było uznać, że chłopak o ciemnej karnacji jest ich dzieckiem. Wyglądało na to, że myśliwi również dopuszczają taką możliwość. Grubas odrobinę opuścił broń, mierząc teraz w ich stopy.

- A chłopak jest chory?

- Lekarze chcą go umieścić w szpitalu dla umysłowo chorych! - wyjaśnił David z oburzeniem. - Wyjechaliśmy z Pittsburga, żeby uciec draniom, ale ścigają nas nawet tutaj.

- Chwilę temu słyszeliśmy strzały. To do was strzelali?

David znów kiwnął głową.

- A teraz wezwali posiłki. Słyszeliście helikoptery?

Warkot śmigieł był coraz głośniejszy. Starszy mężczyzna w czapce z daszkiem i olbrzym spojrzeli po sobie. Potem obaj opuścili strzelby. Grubas wyłączył latarkę.

- Chodźcie za mną - rozkazał. - Droga prowadzi tędy.

Simon rozpoznał helikoptery po ich kształcie. Blackhawki leciały nisko, zaledwie kilka metrów nad czubkami drzew. Znana taktyka Delta Force - przyziemny lot, poniżej zasięgu radarów. Puls mu przyspieszył - wróg był blisko. Żołnierze, którzy wtargnęli na terytorium Czeczenii, ci sami, którzy zabili jego rodzinę, mogą nawet być wśród nich. Przez chwilę rozważał, czy nie strzelać - przy odrobinie szczęścia mógłby zabić któregoś z pilotów. Ale wtedy dwa pozostałe blackhawki otoczyłyby go i gra byłaby skończona. Nie, powiedział sobie Simon, lepiej trzymać się początkowego planu. W ten sposób zabije ich o wiele więcej.

Razem z Brockiem wkrótce dotarli do półciężarówki i umieścili Gupta na ławce z tyłu kabiny. Następnie Brock

opadł na fotel pasażera, a Simon usiadł za kierownicą. Wiedział, że nie może włączyć świateł - piloci helikopterów od razu by ich namierzyli - więc założył okulary na podczerwień. Na wyświetlaczu piaszczysta droga była zimna i czarna, ale pnie drzew i gałęzie na poboczu jaśniały ciepłym światłem, oddając ciepło zatrzymane w ciągu dnia. Kontrast był na tyle mocny, że dało się jechać dość szybko. Całe szczęście, bo nie mieli zbyt dużo czasu. Kiedy Simon wyciągnął rękę, stwierdził, że twarz Gupty jest o wiele chłodniejsza od twarzy Brocka. Profesor był w szoku.

Oddalili się jakieś dwadzieścia kilometrów na południe od chatki. Byli blisko granicy stanu, kiedy Simon zauważył dom na zakręcie. Był to zwykły dwupiętrowy dom z gankiem i garażem. Uwagę Simona zwróciło nazwisko na skrzynce pocztowej, wypisane plastikowymi literami, wyróżniającymi się na zimnym metalu: DR MILO JENKINS.

Simon zahamował z piskiem opon i skreślił na podjazd doktora.

Myśliwi poruszali się po lesie jak duchy. Maszerowali pod baldachimem liści krętą trasą biegnącą w górę zbocza wąskiej doliny. Choć szli tak szybko, że David, Monique i Michael ledwo za nimi nadążali, mężczyźni nie wydawali żadnego odgłosu. David dał radę utrzymać się za nimi tylko dzięki księżycowi, którego światło odbijało się od luf ich strzelb.

Przez pół godziny wspinali się zboczem, pokonując stromy grzbiet porośnięty sosnami. Michael zaczął dyszeć, ale szedł dalej ze wzrokiem wlepionym w gamę boya. Pozwolił Davidowi prowadzić się za łokieć. Kiedy dotarli na samą górę, David odwrócił się i spojrzał między drzewa, na wschód. Widział światła trzech helikopterów, przeczesujące wzgórze i doliny,



ale oddalili się na tyle, że ryk śmigieł był już tylko stłumionym dudnieniem.

Myśliwi szli dalej grzbietem jeszcze jakieś dwa kilometry, po czym zaczęli schodzić do pobliskiej doliny. Po kilku minutach David dostrzegł światło na zboczu. Myśliwi ruszyli w tym kierunku, przyspieszając kroku i po chwili dotarli do szałasu z niepomalowanej sklejki, spoczywającej na ceglanych fundamentach. Szałas był długi, wąski i opierał się o drzewo, jak wrak samolotu porzucony w lesie. Dookoła krążyła para wyliniałych psów, ujadając i wyjąc, ale uciszyły się, kiedy mężczyźni podeszli. Jeden z psów podbiegł do chłopca z zespołem Downa i zatańczył wokół jego nóg. Ojciec chłopca, gruby mężczyzna w ogrodniczkach, zwrócił się do Davida:

- Tu jest nasz dom - powiedział, podając mu dłoń. - Nazywam się Caleb. To mój tata, a to mój synek Joshua.

David uściśnął mu dłoń. Zauważył, że Caleb nie ma palca serdecznego.

- Jestem David. A to moja żona, Monique. - Kłamstwo przyszło mu łatwo. Bez trudu stworzył nową rodzinę. - A to mój syn Michael.

Caleb kiwnął głową.

- Powiem wam, że my tu nie mamy żadnych uprzedzeń. Czarni czy biali, nam w górach to nie robi różnicy. W oczach Boga wszyscy jesteście braćmi i siostrami.

Monique zmusiła się do uśmiechu.

- To bardzo miło z waszej strony.

Caleb podszedł do chaty od przodu i otworzył drzwi, a właściwie grubo ociosaną deskę, krzywo wiszącą we framudze.

- Wchodźcie i siadajcie. Przyda wam się pewnie mały odpoczynek.

Wszyscy gęsiego weszli do szałas, który składał się z jednego długiego pomieszczenia. Nie było okien, jedyne światło pochodziło z żarówki zawieszanej na suficie. Na stole w przedniej części pokoju leżały plastikowe miski i płyta do podgrzewania jedzenia. Za stołem widać było kilka kuchennych krzeseł z podartą tapicerką. Na podłodze za krzesłami leżał szary pled - najwyraźniej miejsce do spania. A w ciemności, z tyłu pomieszczenia, widać było stos kartonowych pudeł i porzucane ubrania.

Ojciec Caleba bez słowa zdjął czapkę z daszkiem i skierował się do stołu. Włączył płytę i otworzył puszkę gulaszu. W tym czasie chłopiec popędził na koniec pokoju i zaczął się bawić, szarpiąc się z psem. Caleb rozczochrał czarną czuprynę chłopca, która wyglądała, jakby jej od dawna nie myto.

- Joshua to mój szczególny podarunek od Boga - powie dział. - Opieka społeczna z Mingo County chce mi go odebrać, odkąd zmarła jego mama. Dlatego zbudowałem tę chatę tutaj, w dolince. Jesteśmy dobre trzy kilometry od najbliższej drogi. Na tyle daleko, że ludzie szeryfa zwykle dają nam spokój.

David rzucił okiem na Monique. Prawdopodobnie myślała w tej chwili to samo, co on: to cholernie szczęśliwy zbieg okoliczności, że natknęli się na tego faceta. Być może w tej części Wirginii Zachodniej grupy uciekinierów często na siebie wpadały. Każdy, kto mieszka na tym odludziu na pewno przed czymś ucieka.

Caleb podszedł do Michaela i próbował zwrócić jego uwagę.

- Ty też jesteś darem od Boga - powiedział. - Tak jak stoi w Biblii, Ewangelia Świętego Marka, rozdział dziesiąty: „Pozwólcie dzieciom przychodzić do mnie, nie przeszkadzajcie im: do takich bowiem należy królestwo Boże”.

Michael zignorował go, cały czas uderzając kciukami w konsolę. Po chwili Caleb odwrócił się w stronę sterty starych ubrań, rozwieszonych jakby mimochodem na kartonowych pudłach. Wyjął podkoszulek i dał Davidowi:

- Masz, włóż to - powiedział. - Zapraszamy was na noc w nasze skromne progi.

David spojrzął na szary pled rozpostarty na ziemi. Był tak zmęczony, że z miłą chęcią zdrzemnąłby się na tym czymś, nie zważając na niewygodę, ale wciąż martwił się helikopterami, które widział po drugiej stronie górskiego grzbietu.

- Dzięki za zaproszenie, Caleb, ale chyba powinniśmy ruszać dalej.

- Dokąd zmierzacie? Jeśli oczywiście mogę spytać.

- Do Columbus, w Georgii - David wskazał na Monique. - Żona ma tam rodzinę. Mogą nam pomóc.

- Jak się tam chcecie dostać?

- Zostawiliśmy auto przy drodze, kiedy gliny zaczęły nas ścigać. Ale jakoś dotrzemy do Columbus, jeśli trzeba, nawet piechotą.

Caleb potrząsnął głową.

- Nie musicie. Chyba mogę wam pomóc. W naszym kościele jest jeden facet, nazywa się Graddick. Jutro ma jechać na Florydę. Może wzięłby was i wysadził po drodze?

- Mieszka gdzieś w pobliżu?

- Nie, ale przyjdzie koło północy po węże. Na pewno was zabierze.

- Węże? - David miał wrażenie, że się przesłyszał.

- Złapałem parę grzechotników w zeszłym tygodniu na górze. Graddick weźmie je do kościoła w Tallahassee. Poskramiają tam węże, tak jak u nas w Rockridge. - Caleb otworzył jedno z pudeł i wyjął skrzynkę z drzewa cedrowego wielko-

ści szuflady. Skrzynka miała wieko z pleksiglasu z małymi okrągłymi otworkami. - Widzisz, chcemy pomóc braciom na Florydzie, ale to nie do końca legalne. Dlatego przewozimy węże nocą.

David zajrzał do skrzynki przez wieko. W środku leżał zwinięty wąż koloru rdzy. Był grubości przedramienia. Potrząsnął grzechotką na czubku ogona, wydając ostry, pełen złości dźwięk:

- Sssssssssssss!

Caleb postawił skrzynkę na podłodze i wyjął kolejną z pudła.

- Biblia nam to nakazuje. Ewangelia Świętego Marka, rozdział szesnasty: „Tym zaś, którzy uwierzą, te znaki towarzyszyć będą: złe duchy będą wyrzucać, nowymi językami mówić będą i węże brać będą do rąk”. Wyjął trzecią skrzynkę i położył ją na pozostałych dwóch. Potem podniósł cały stos skrzynek, przyciskając je do szerokiej klatki piersiowej. - Wyniosę je na zewnątrz i wyczyszczę, zanim przyjdzie Graddick. A wy trochę odsapnijcie. W szafce jest trochę kawałków wołowiny, jeśli jesteście głodni.

Joshua i jego pies wyszli za Calebem z chaty. Ojciec Caleba nadal siedział przy stole, jedząc gulasz prosto z puszki, a Michael przycupnął na pledzie. Monique usiadła na podłodze obok niego, opierając się o ścianę ze sklejk. Na jej zatroskanej twarzy malowało się zmęczenie.

David usiadł obok niej.

- Hej, wszystko w porządku? - zapytał cicho, żeby staruszek nie usłyszał.

Spojrzała na Michaela i potrząsnęła głową.

- Popatrz na niego - wyszeptwała. - Teraz nie ma już nikogo. Nawet dziadka.

- Nie martw się o Amila, słyszysz? Nic mu nie będzie. FBI zawiezie go do szpitala.

- To moja wina. Zależało mi tylko na teorii. Nic Innego mnie nie obchodziło. - Oparła łokcie na kolanach i ścisnęła głowę rękoma. - Mama miała rację. Jestem zimną suką.

- Słuchaj, to nie twoja wina. To...

- A ty wcale nie jesteś lepszy! - Podniosła głowę i rzuciła mu wyzywające spojrzenie. - Co zrobisz, jak już znajdziesz zunifikowaną teorię? Myślałeś o tym?

David musiał przyznać, że nie. Trzymał się tylko niejasnych instrukcji Kleinmana: Strzec teorii. Nie pozwolić, by ją zdobyli.

- Chyba musimy powierzyć teorię komuś neutralnemu. Może jakiejś międzynarodowej organizacji.

Monique skrzywiła się.

- Co? Przekażesz pieczę nad teorią Organizacji Narodów Zjednoczonych?

- Może to nie taki głupi pomysł. Einstein gorąco popierał ONZ.

- Och, pieprzyć Einsteina!

Powiedziała to na tyle głośno, że zwróciła uwagę ojca Caleba. Przestał jeść i obejrzał się przez ramię. David uśmiechnął się do niego, jakby chciał go uspokoić, po czym zwrócił się znów do Monique:

- Uspokój się - szepnął. - Staruszek cię słyszy.

Monique pochyliła się nad jego uchem:

- Einstein powinien był zniszczyć teorię, gdy tylko zorientował się, że jest niebezpieczna. Ale cholerne równania były dla niego ważniejsze. On też był zimnym draniem.

Wpatrywała się w niego, szukając zwady. Ale David nie odpowiedział. Po chwili straciła zainteresowanie tematem.

Ziewając, odsunęła się od niego i położyła na szarym pledzie.

- A, pieprzyć to - powiedziała. - Obudź mnie, jak przyjdzie gość po węże.

Nie minęło pół minuty, a już chrapała. Zwinęła się na boku, przyciągając kolana do piersi. Złożyła ręce pod brodą, jakby się modliła. David chwycił róg pledu i przykrył ją. Potem usiadł obok Michaela, drugiego członka swojej nowej rodziny.

Chłopak był nadal pochłonięty grą, więc David zadowolili się obserwowaniem akcji na ekranie grą boya. Animowany żołnierz w mundurze koloru khaki biegł ciemnym korytarzem. Przy końcu korytarza pojawił się kolejny żołnierz, ale Michael natychmiast go zastrzelił. Jego żołnierz przeskoczył nad leżącym twarzą w dół ciałem i popędził do małego pomieszczenia, gdzie tłoczyło się sześć postaci. Michael uderzył w przycisk i żołnierz zaczął się czołgać, mierząc do wroga z karabinu M-16. Po chwili wszystkich sześciu żołnierzy leżało na ziemi, a z ich ran sączyła się animowana krew. Wtedy żołnierz Michaela otworzył drzwi na drugim końcu pomieszczenia. Ekran zgasł, po czym pojawił się migający napis: GRATULACJE! DOTARŁŚ DO POZIOMU SVIA/4!

David domyślił się, że musi to być jeden z bardziej skomplikowanych etapów Wojownika, ale Michael nie wykazywał śladu radości. Jego twarz była nadal jak z kamienia.

Nagle David zapragnął nawiązać z chłopcem jakiś kontakt. Pochylił się w jego stronę i wskazał na ekran:

- I co teraz?

- Z powrotem na poziom A1.

Głos Michaela był jednostajny, a on nadal wpatrywał się w konsolę, ale odpowiedź była jak najbardziej zrozumiała. David uśmiechnął się:

- Czyli wygrałeś, tak? To znakomicie.
- Nie wygrałem. Wracam na poziom A1.

David kiwnął głową. No dobra, jak wolisz. Znow wskazał na ekran, na którym animowany żołnierz stał w szczerym polu.

- Ale fajna gra, nie?

Tym razem Michael nie odpowiedział. Całą uwagę skupił na Wojowniku. David wyczuł, że mały promyk nadziei na kontakt znikł, więc nie mówił już więcej, tylko siedział obok chłopca i patrzył jak gra. Wiedział z własnego ojcowskiego doświadczenia, że do komunikacji nie potrzeba słów. Kiedy spędzał popołudnia z Jonahem, zawsze siedział obok niego, gdy chłopiec odrabiał zadanie. Sama bliskość dawała poczucie radości.

Po dziesięciu minutach Michael przeszedł na poziom B3. Ojciec Caleba skończył kolację i zasnął na krześle. Wtedy David usłyszał na zewnątrz podniesione głosy. Wystraszony podbiegł do drzwi chaty i uchylił je na dwa centymetry. Przez szparę widział, jak Caleb rozmawia z drugim grubym mężczyzną, który miał na sobie obszerne dżinsy i paskudny szary podkoszulek. Tak jak Caleb, miał gęstą brązową brodę i trzymał dubeltówkę. To pewnie Graddick, pomyślał David z ulgą. Otworzył drzwi na oścież i wyszedł przed szafas.

Caleb odwrócił się na pięcie:

- Idź po żonę i syna! Zaraz wyjeżdżacie!
- Co jest? Coś nie tak?

Graddick zrobił krok do przodu. Jego oczy, osadzone głęboko w oczodołach, miały niespotykany odcień błękitu.

- Armia Szatana wyruszyła. Drogą numer osiemdziesiąt trzy jedzie konwój samochodów terenowych. A na grzbiecie góry lądują czarne helikoptery.

- Nadchodzi Armagedon, bracie! - krzyknął Caleb. - Lepiej się zbierajcie, zanim zablokują drogi!

Profesor Gupta leżał na mahoniowym stole w jadalni doktora Milo Jenkinsa. Jego nogi uniesiono, podkładając kilka poduszek z kanapy w salonie, a doktor Jenkins założył mu zacisk na udo, aby powstrzymać krwawienie. Simon miał dużo szczęścia, że znalazł Jenkinsa - był to wiejski lekarz starej daty, który miał gabinet we własnym domu oraz doświadczenie w leczeniu ran postrzałowych swoich sąsiadów z gór. Za pomocą narzędzi z gabinetu sprawnie wkuł kroplówkę, montując ją na żyrandolu. Ale pochylając się nad zakrwawionym stołem, pokręcił głową, przyciskając palce do szyi Gupty. Simon mierzący do doktora z uzi wyczuł, że coś jest nie tak.

Jenkins odwrócił się do niego. Miał na sobie pizamę w szkocką kratę, teraz pokrytą ciemnoczerwonymi plamami.

- Tak jak mówiłem - wycedził. - Jeśli chcecie go uratować, musicie jechać do szpitala. Tutaj nie mogę nic więcej dla niego zrobić.

Simon zmarszczył brwi.

- A ja, tak jak powiedziałem, mam gdzieś ratowanie jego życia. Potrzebuję tylko, żeby na kilka minut odzyskał przytomność. Chciałem uciąć sobie z nim krótką pogawędkę.

- No cóż, na to raczej nie ma szans. Jest w ostatnim stadium wstrząsu krwotocznego. Jeśli nie znajdzie się zaraz w szpitalu, jedyną osobą, która będzie mogła z nim pogadać, będzie Stwórca.

- A w czym problem? Zatomowałeś krwawienie i dostarczyłeś mu płynów. Powinien już wracać do siebie.

- Stracił zbyt dużo krwi. Nie ma wystarczająco dużo czerwonych krwinek, żeby dotlenić organy wewnętrzne.



- Przeprowadź transfuzję.
- Wydaje ci się, że trzymam krew w lodówce? Potrzebowałby co najmniej półtora litra!

Nie spuszczał Jenkinsa z muszki, Simon podwinął rękaw.

- Mam grupę 0 Rh-. Dawca uniwersalny.
- Oszalałeś? Jak zabiorę ci tyle krwi, to ty będziesz w szoku!
- Nie wydaje mi się. Miałem już robione transfuzje. Idź po drugi zestaw do wklucia.

Ale Jenkins się nie ruszył. Skrzyżował ramiona na piersiach. Przygryzł wargę, patrząc na Simona z uporem charakterystycznym dla ludzi z gór.

- Nie. Ja już skończyłem. Więcej wam nie pomogę. Możesz mnie nawet zastrzelić, jeśli masz ochotę.

Simon westchnął z rozdrażnieniem. Przypomniała mu się służba w specnazie i kłopoty, jakie miał z butnymi żołnierzami, którymi dowodził. Groźba śmierci najwyraźniej nie wystarczyła, by zmusić doktora do współpracy. Potrzeba było silniejszej motywacji.

- Brock! - zawołał. - Proszę przyprowadzić panią Jenkins.

O piątej nad ranem, kiedy słońce wschodziło nad Waszyngtonem, wiceprezydent wysiadł z limuzyny i skierował się do bocznego wejścia w Zachodnim Skrzydle. Zwykle nie wstawał tak wcześniej; gdyby miał wybór, wolałby pospać do siódmej i jechać do biura na ósmą. Ale prezydent upierał się, żeby zaczynać pracę o świcie, więc wiceprezydent musiał się dostosować. Musiał być stale pod ręką, żeby głowa państwa nie narobiła głupot.

Gdy tylko wszedł do budynku, zobaczył sekretarza obrony siedzącego na jednym ze skórzanych foteli w hallu. Miał w rękę długopis, a na kolanach trzymał rozłożony egzemplarz

„New York Timesa”. Robił jakieś notatki na marginesie gazety. Ten facet nigdy nie śpi, pomyślał wiceprezydent. Przez całą noc snuje się po korytarzach Białego Domu.

Sekretarz obrony skoczył na równe nogi, gdy tylko zobaczył wiceprezydenta. Podniósł do góry „Timesa”, otwartego na pierwszej stronie, i gniewnie potrząsnął gazetą.

- Widziałeś to? - warknął. - Mamy problem. Jeden z nowojorskich gliniarzy się wygadał.

- O co...

- Masz, sam przeczytaj. - Wcisnął gazetę w dłoń wiceprezydenta.

Artykuł zamieszczono w lewym górnym rogu na pierwszej stronie.

#### OSKARŻENIA FBI ZAKWESTIONOWANE *Gloria Mitchell*

Policyjny detektyw z Nowego Jorku podważył twierdzenie Federalnego Biura Śledczego, jakoby profesor Uniwersytetu Columbia był zamieszany w brutalne zabójstwo sześciu agentów FBI w czwartek wieczorem.

FBI rozpoczęło ogólnokrajowe poszukiwania Davida Swifta w następstwie morderstw, które podobno popełniono podczas tajnej operacji narkotykowej w zachodnim Harlemie. Biuro podaje, że Swift, profesor historii, znany dzięki biografiami Izaaka Newtona i Alberta Einsteina, jest przywódcą grupy handlującej kokainą oraz że zlecił zabójstwo tajnych agentów, gdy tylko odkryto ich tożsamość. Jednakże wczoraj detektyw z wydziału zabójstw komendy policji na Północnym Manhattanie stwierdził, że agenci FBI

aresztowali Swifta w czwartek o ósmej wieczorem, trzy godziny przed domniemanymi morderstwami. Pragnący zachować anonimowość detektyw powiedział, że agenci aresztowali Swifta przed Szpitalem Świętego Łukasza w Morningside Heights. David przyszedł tam, by odwiedzić doktora Hansa Kleinmana, laureata Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki, który leżał na oddziale z obrażeniami odniesionymi podczas napadu rabunkowego. Napad miał miejsce wcześniej tego samego wieczoru. Kleinman zmarł wskutek odniesionych obrażeń krótko po przybyciu Swifta.

Wiceprezydent był zbyt wstrząśnięty, by czytać dalej. To była wpadka największego kalibru.

- Jak to się do cholery stało?

Sekretarz obrony odwrócił głowę:

- Typowa głupota glin. Detektyw wkurzył się na federalnych, bo odebrali mu sprawę Kleinmana. Postanowił się zemścić, skarżąc się prasie.

- Można go jakoś uciszyć?

- Tak, już się tym zajęliśmy. Dowiedzieliśmy się, kto to taki - jakiś Hiszpan o nazwisku Rodriguez - i zabraliśmy go na przesłuchanie. Ale największy problem mamy z byłą żoną Swifta. To ona nakłoniła „Timesa” do napisania artykułu.

- A jej też nie możemy uciszyć?

- Próbujemy. Właśnie rozmawiałem przez telefon z jej przyjacielem, Amorym Van Cleve, prawnikiem, który zebrał dwadzieścia milionów dolarów na waszą ostatnią kampanię. Wygląda na to, że ich romans zakończył się w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Van Cleve mówi, że teraz nie sprzeciwi się, jeśli będziemy chcieli ją przesłuchać.

- To dlaczego tego nie zrobicie?
  - Agenci, którzy ją śledzą, mówią, że ona i jej syn spędzili noc u reporterki, która napisała ten artykuł. Była żona Swifta *to* chytra sztuka. Wie, że nie można jej zatrzymać, dopóki jest z dziennikarką. I tak mamy już dość kłopotu z „Timesem”.
  - Ukrywa ją jedna z ich reporterek? I oni twierdzą, że są bezstronni?
  - Wiem, wiem. Ale niedługo ją dopadniemy. Sześciu agentów pilnuje mieszkania. Wchodzimy, jak tylko dziennikarka wyjdzie do pracy.
- Wiceprezydent kiwnął głową.
- A co z Wirginią Zachodnią? Jak się sprawy mają?
  - Bez obaw. Na miejscu jest już jedna eskadra Delta Force, a dwie kolejne w drodze. - Sekretarz zaczął zmierzać w stronę pokoju sytuacyjnego. - Sprawdzę, co w dowództwie. Być może już pojмали zbiegów.
- Wiceprezydent rzucił mu surowe spojrzenie. Sekretarz obrony miał zwyczaj przedwcześnie ogłaszać swoje zwycięstwo.
- Informuj mnie na bieżąco.
  - Tak, tak, oczywiście. Zadzwońię do ciebie później z Georgii. Dziś rano jadę do Fort Benning, żeby wygłosić przemówienie do piechoty.

David obudził się z tyłu samochodu Graddicka i zauważył, że Monique śpi w jego ramionach. Był odrobinę wystraszony: kiedy usnęli kilka godzin temu, ostrożnie ułożyli się po przeciwnych stronach bagażnika. Na szczęście jechali dużym fordem country squire, który przetrwał już dwadzieścia zim w Wirginii Zachodniej. Monique musiała się jednak we śnie

przysunąć do Davida i teraz leżała, opierając się plecami o jego klatkę piersiową, a jej głowa spoczywała pod jego brodą. Może przytuliła się, bo było jej zimno. A może odruchowo odsunęła się od skrzynek z węzami, które były ukryte pod plandeką obok tylnej szyby. Wszystko jedno jak to się stało, ale teraz leżała w jego ramionach, jej żebra delikatnie unosiły się w rytm oddechu. David poczuł, że ogarnia go niemal bolesna czułość dla niej. Przypomniawszy sobie, kiedy ostatni raz byli tak blisko, na kanapie w jej malutkim mieszkaniu studenckim prawie dwadzieścia lat temu.

Starając się jej nie obudzić, David podniósł głowę i wyjrzał przez okno. Było wczesnie rano, jechali drogą po obu stronach porośniętą sosnami. Graddick siedział za kierownicą, gwizdząc piosenkę gospel, która akurat leciała w radiu. Michael leżał wyciągnięty na tylnym siedzeniu - spał, ale nadal trzymał w rękach wyłączony game boy. Po chwili David zobaczył drogowską: 1-185 NA POŁUDNIE, COLUMBUS. Byli już w Georgii, prawdopodobnie niedaleko celu.

Monique poruszyła się. Obróciła się i otworzyła oczy. Co ciekawe, nie wysunęła się z objęć Davida. Zamiast tego ziewnęła i przeciągnęła się:

- Która godzina?

David spojrzął na zegarek.

- Dochodzi siódma.

Ze zdziwieniem stwierdził, że leży obok niego nonszalancko, jak gdyby naprawdę byli małżeństwem.

- Dobrze się spało? - zapytał cicho, choć nie sądził, żeby Graddick coś usłyszał poprzez dźwięki radia.

- Tak, już mi lepiej - przewróciła się na plecy i splótła dłonie pod głowę. - Przepraszam za wczoraj. Chyba mnie trochę poniosło.

- Nie ma o czym mówić. Uciekanie przed amerykańskim wojskiem każdego wyprowadziłoby z równowagi.

Uśmiechnęła się.

- To nie przejąłeś się tymi głupotami, których nagadałam o Einsteinie?

Potrząsnął głową, posyłając jej uśmiech. To miłe, pomyślał. Od dawna nie rozmawiał w ten sposób z kobietą.

- Nie, skądże. Właściwie to miałeś rację w kilku kwestiach.

- Znaczy, że Einstein naprawdę był zimnym draniem?

- No, nie zapędzałbym się aż tak daleko. Ale czasami potrafił być nieczuły.

- Doprawdy? A co takiego zrobił?

- Na przykład opuścił swoje dzieci po tym, jak jego pierwsze małżeństwo się rozpadło. Zostawił Milewę z dwoma synami w Szwajcarii, a sam udał się do Berlina, by kontynuować pracę nad teorią względności. I nigdy nie uznał córki, którą Mileva urodziła mu jeszcze przed ślubem.

- Hola, stop! Einstein miał nieślubną córkę?

- Tak, miała na imię Lieserl. Urodziła się w 1902 roku, kiedy Einstein był jeszcze ubogim asystentem w Bernie. Jako że uważano to za skandal, obie rodziny zatuszowały sprawę. Mileva wróciła do Serbii, do domu, żeby urodzić dziecko. Potem Lieserl zmarła albo została oddana do adopcji. Tego nikt nie wie.

- Jak to: nikt nie wie?

- Einstein przestał wspominać o niej w listach. Potem Mileva wróciła do Szwajcarii i się pobrali. I żadne z nich już potem nie wspominało o Lieserl.

W tej chwili Monique odwróciła się od niego. Marszcząc brwi, patrzyła na wytarty szary materiał, który wyścielał pod-

łogę bagażnika. David był zaskoczony nagłą zmianą w jej nastroju.

- Co jest?

Potrząsnęła głową.

- Nic. Wszystko w porządku.

Ośmielony bliskością, ujął jej podbródek i odwrócił twarz do siebie.

- No, powiedz. Wspólnicy nie mają przed sobą tajemnic.

Zawahała się. Przez chwilę David myślał, że się rozgniewa, ale znów się odwróciła i wyrzała przez okno.

- Kiedy miałam siedem lat, moja matka zaszła w ciążę. Ojcem był prawdopodobnie jeden z handlarzy heroiną. Dzień po urodzeniu dziecka oddała je. Nigdy mi nic o nim nie powiedziała, poza tym, że to była dziewczynka.

David wsunął dłoń pod policzek Monique, aż jego palce dotknęły jej ucha.

- Dowiedziałaś się później, co się z nią stało?

Kiwnęła głową, nie patrząc na niego.

- Tak. Sprzedaje się za crack.

W kąciку jej oka zakręciła się łza, która natychmiast potoczyła się w dół po policzku. David nie mógł się powstrzymać - pochylił się do przodu i pocałował ją. Poczul na ustach wilgoć i słony smak łzy. Potem Monique zamknęła oczy i pocałował ją w usta.

Przez minutę całowali się w ciszy na podłodze bagażnika, jak para nastolatków, którzy kryją się przed siedzącymi z przodu dorosłymi. Monique oplótła go ramionami w pasie i przyciągnęła do siebie. Samochód zaczął zwalniać, najwyraźniej zbliżając się do wyjazdu z autostrady, który prowadził do Columbus. David jednak nie podniósł głowy, nie wyrzał przez okno. Całował Monique, gdy auto przejeżdżało przez rogatki,

jadąc następnie w dół wzdłuż zakrętu, który przypominał mu lot mew nad oceanem. To wrażenie połączyło się w jego umyśle ze śliskością ust Monique. W końcu oderwał się i spojrział na nią. Przez kilka sekund patrzyli na siebie bez słowa. Wtedy samochód gwałtownie skręcił w prawo i się zatrzymał.

Natychmiast wyplątali się z uścisku i wyrzeli na zewnątrz. Auto zaparkowało przed chylącą się ku upadkowi galerią handlową naprzeciwko alei, na której już o tej porze ruch się zageścił. David widział, że są niedaleko wjazdu do Fort Benning, ponieważ wszystkie sklepy miały jakiś akcent militarny. Największym z nich był Ranger Rags, sklep z ubraniami z demobilu - na wystawie widać było manekiny w strojach bojowych. Obok znajdowała się knajpka z jedzeniem na wynos - Combat Zone Chicken - oraz salon tatuażu, Ike's Inks. Kilka metrów dalej widać było budynek z cegły, bez okien, ale za to z wielkim neonem na dachu. Pomarańczowa świecąca rurka wyginała się w kształt seksownej kobiety, leżącej na napisie: SALON NOCNYCH HARCÓW. Jednak mimo nazwy wyglądało na to, że miejsce funkcjonuje przez całą dobę. Przed barem stało co najmniej dwadzieścia samochodów, a wejścia do środka pilnował bramkarz sprawiający wrażenie chorego.

Graddick ciężko podniósł się zza kierownicy i podszedł do tyłu, by otworzyć drzwi. David nie spieszył się do wyjścia. Klęknął przy skrzynkach z wężami, rozglądając się po ulicy za mundurowymi. W tych okolicznościach to miejsce było dla nich szczególnie ryzykowne.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał.

Graddick spojrział na nich szalonymi, niesamowicie błękitnymi oczyma i wskazał na Salon Nocnych Harców.

- Widzicie numer nad drzwiami? To adres, który mi po daliście, 3617 Victory Drive.



- Nie, to nie może być to. - David był zaskoczony. Przecież to miał być adres Elizabeth Gupty.

- Znam to miejsce - wycedził Graddick. - Zanim zostałem zbawiony, służyłem jako żołnierz w Armii Szatana. Stacjonowałem tutaj, w Benning, i za każdym razem, kiedy mieliśmy przepustkę na weekend, chodziliśmy na Victory Drive. - Z wściekłością w oczach splunął na ziemię. - Nazywaliśmy to miejsce VD Drive\*. To istne gniazdo nierządu.

David pokiwał głową. Zaczynał rozumieć. Przypomniał sobie, co profesor Gupta powiedział o swojej uzależnionej od narkotyków córce. Skontaktowanie się z nią może być o wiele trudniejsze, niż się spodziewali.

- Kobieta, z którą musimy porozmawiać, chyba pracuje w tym lokalu.

Graddick zmrużył oczy.

- Powiedziałeś, że to krewna twojej żony, prawda?

Kiwając znów głową, David wskazał na Monique.

- Tak, to jej kuzynka.

- Nierząd i cudzołóstwo - mruknął Graddick, ze złością patrząc na budynek z cegły. - Zbaczęciłaś ziemię swym nierządem. - Znów splunął, jakby chciał gołymi rękami zniszczyć budynek.

David pomyślał sobie nagle, że ten zwalisty mieszkaniec gór Wirginii Zachodniej może im się przydać. A przynajmniej przydałby im się jego wóz.

- Tak, oboje jesteście załamani tym, co się stało z Elizabeth - wyznał. - Musimy spróbować jej jakoś pomóc.

Tak jak przypuszczał, trafił na podatny grunt.

Graddick przechylił głowę:

Gra słów: skrót VD oznacza choroby weneryczne (*Veneral Diseases*).

- Znaczy, chcecie ją zbawić?  
- Ma się rozumieć. Musimy ją przekonać, by uznała Jezusa Chrystusa za swego zbawiciela. Inaczej skończy w piekle.

Graddick rozważał to, drapiąc się po brodzie i spoglądając na przykryte plandeką skrzynki z węzami.

- Hm, muszę być w Tallahassee dopiero o piątej. Mam trochę wolnego czasu. - Po kilku sekundach uśmiechnął się i objął Davida ramieniem. - W porządku, bracie, spełnijmy wolę Pana! Wejdziemy do tego przybytku nieprawości, wyśpiewując Jego chwałę! Alleluja!

- Nie, nie, do baru wejdę sam, dobra? Ty objeżdż budynek i czekaj na nas przy tylnym wyjściu. Jeśli będą z nią jakieś problemy, pomożesz mi ją przenieść do samochodu.

- Dobry pomysł, bracie! - Graddick radośnie klepnął go między łopatki.

Zanim David wysliznął się z auta, ścisnął Monique za ramię:

- Pilnuj Michaela, dobra? - po czym ruszył do Salonu Nocnych Harców.

Zanim jeszcze dotarł do drzwi, poczuł woń rozlanego piwa. Stare uczucie obrzydzenia chwyciło go za gardło zupełnie tak, jak wtedy, gdy wszedł do baru na Penn Station dwie noce temu. Ale wziął głęboki oddech i zmusił się do uśmiechu, wręczając barmanowi dziesięć dolarów za wstęp.

Wewnątrz było aż niebiesko od dymu papierosowego. Z głośników rozlegała się stara piosenka ZZ Top *She's Got Legs*. Na półokrągłej scenie dwie tancerki w strojach topless stały przed salą pełną pijanych w sztok żołnierzy. Jedna z kobiet powoli okręciła się wokół srebrnej rury. Druga odwróciła się tyłem do widowni i schyliła się, aż jej głowa znalazła się między kolanami. Jakiś żołnierz podszedł do niej chwiejnym

krokiem i zamachał przed jej ustami banknotem pięciodolarowym. Oblizwała się, po czym chwyciła banknot zębami.

Z początku David zaniepokoił się taką ilością mundurowych, ale szybko zorientował się, że akurat ci żołnierze nie stanowią niebezpieczeństwa. Większość z nich prawdopodobnie piła już od dwunastu godzin, rozkoszując się każdą minutą czterdziestoosmiodzinnej przepustki weekendowej. Podszedł trochę bliżej sceny i przyjrzał się tancerkom. Niestety, żadna nie wyglądała na spokrewnioną z Gupta. Kobieta tańcząca przy rurze była ruda i piegowata, a ta z głową między kolanami miała porcelanową cerę i jasne włosy.

David zbliżył się do baru i zamówił budweisera. Odsunął butelkę na odległość ramienia i przyglądał się dziewczynom, tańczącym przed żołnierzami siedzącymi na barowych stołkach. Dwie blondynki i jeszcze jedna ruda. Wszystkie dość atrakcyjne, z jędrnymi, okrągłymi piersiami i napiętymi pośladkami, którymi powoli kręciły ku ucieście żołnierzy. Ale David szukał kogoś innego. Zaczął się martwić, że Elizabeth mogła już pójść do domu; w końcu była siódma rano, a striptizerki najprawdopodobniej pracują na zmiany. A może przeniosła się do innego klubu? Albo w ogóle wyprowadziła się z Columbus?

Gdy już prawie stracił nadzieję, zauważył jakąś postać w oliwkowozielonej kurtce wojskowej, pochyloną nad stołem w przeciwnym rogu pomieszczenia. Z początku David myślał, że to kolejny nieprzytomny z przepicia żołnierz siedzący na krześle, ale kiedy podszedł, ujrzał burzę błyszczących czarnych włosów. To była kobieta. Spała z twarzą na stole, rozstawiwszy pod blatem długie szczupłe nogi. Pod kurtką nie miała koszuli ani spodni, tylko jaskrawoczerwony dół od bikini i parę białych kozaków.

David podszedł do stolika, próbując się lepiej przyjrzeć, ale światło w tym kącie sali było przyćmione, a twarz kobiety skrywała zasłona włosów. Nie było innego wyjścia - musiał ją obudzić. Usiadł na krześle naprzeciwko niej i delikatnie postukał zwiniętymi palcami w stół.

- Ech, przepraszam?

Żadnej odpowiedzi. David postukał odrobinę mocniej.

- Przepraszam bardzo? Możemy chwilę porozmawiać?

Kobieta powoli uniosła głowę, odgarniając włosy z twarzy. Odsunęła kilka kosmyków przy ustach, po czym, mrużąc oczy, spojrzała na Davida.

- Czego chcesz, do cholery? - zaskrzeczała.

Jej twarz wyglądała strasznie. Smuga czerwonej szminki biegła od kącika ust aż na środek lewego policzka. Pod oczami miała napuchnięte, szare worki, a jedna ze sztucznych rzęs częściowo się odkleiła i z każdym mrugnięciem trzepotała jak skrzydło nietoperza. Ale jej skóra miała ten sam karmelowy odcień, co Michaela, a jej nosek, mały jak u lalki, wyglądał dokładnie jak profesora Gupty. Wyglądała również na swój wiek: miała grubo po trzydziestce, była wyraźnie starsza od innych tancerek w klubie. Oddychając szybko, David pochylił się nad stołem:

- Elizabeth?

Skrzywiła się:

- Kto ci podał to imię?

- To długa...

- Nigdy więcej tak na mnie nie mów! Nazywam się Beth, słyszysz? Po prostu Beth.

Przygryzła górną wargę - David przyjrzał się jej zębom. Wszystkie miały brązowe plamy przy dziąsłach. Usta narkomana, jak mawiali uzależnieni. Szkliwo niszczyło się od palenia

pewnych substancji. David był już pewien, że to Elizabeth Gupta.

- Dobra, Beth, zastanawiam się...

- O co chodzi? Chcesz się pieprzyć czy zrobić ci loda? - Nerwowo tik szarpnął jej lewym policzkiem.

- Myślałem, że chwilę pogadamy.

- Nie mam czasu na pierdoły! - Nagle wstała. Poły kurtki rozchyliły się i David dostrzegł złoty wisiorek na łańcuszku, kołyszący się między jej piersiami. - Dwadzieścia za loda na parking, pięćdziesiąt za numer w motelu.

Przez jej twarz przebiegł kolejny tik i zaczęła się drapać w podbródek czerwonymi paznokciami. Pewnie jest na głodzie, pomyślał David. Całe jej ciało domaga się kolejnego strzału metamfetaminy. Wstał.

- Dobra, chodźmy na parking.

Próbował ją wyprowadzić w kierunku tylnego wyjścia, ale odtrąciła jego dłoń:

- Najpierw zapłać, dupku!

David wyjął z portfela banknot dwudziestodolarowy i wręczył jej. Wsunęła pieniądze do wewnętrznej kieszonki kurtki i udała się w stronę wyjścia ewakuacyjnego. Idąc za nią, David zauważył, że kuleje. To tylko potwierdziło, że dobrze trafił. Elizabeth Gupta jako dziecko została potrącona przez samochód i miała nogę złamaną w trzech miejscach.

Kiedy byli już na zewnątrz, podeszła do brudnej niszy między ceglana ścianą klubu a dwoma koszami na śmieci.

- Dobra, ściągaj spodnie - rozkazała. - Zrobimy to szybko.

Obejrzał się przez ramię i dostrzegł samochód Graddicka. Kierowca zdążył już wysiąść. Teraz David miał już jakieś wsparcie, na wypadek gdyby zrobiło się nieprzyjemnie.

- Właściwie wcale nie chcę, żebyś mi robiła loda. Jestem przyjacielem twojego ojca, Beth. Chciałem ci pomóc.

Otworzyła usta i przez chwilę tępo się w niego wpatrywała. Potem zacisnęła zepsute zęby. - Mojego ojca? O czym ty do cholery mówisz?

- Nazywam się David Swift. Profesor Gupta powiedział, gdzie mogę cię znaleźć. Próbujemy...

- Ten gnój! - wykrzyczała te słowa na cały parking. - Gdzie on jest?

David złożył dłonie, jak policjant kierujący ruchem.

- Hej, uspokój się! Twojego ojca tu nie ma. Tylko ja i...

- TY GNOJU! - ruszyła na niego, próbując dosięgnąć jego oczu paznokciami. - TY ZASRANY GNOJU!

Ustawił się, próbując chwycić ją za nadgarstki, ale zanim się zbliżyła, Graddick zaszedł ją od tyłu. Poruszał się znacznie szybciej, niż David się po nim spodziewał. Unieruchomił Elizabeth, wykręcając jej ramiona do tyłu.

- Matko wszelkiego szkaradzieństwa! - krzyknął. - Wznies oczy do twojego Pana, Jezusa Chrystusa! Okaż skruchę, nim nadejdzie sądny dzień!

Po chwili zaskoczenia Elizabeth uniosła prawe kolano i uderzyła obcasem w stopę Graddicka. Puścił ją, skowycząc z bólu, a wtedy kobieta rzuciła się na Davida.

Udało mu się odepchnąć jej prawą rękę, ale paznokcie lewej podrapały go po szyi. Jezu, pomyślał, szybka jest! Odepchnął ją, ale znów na niego skoczyła; tym razem kopniak tylko o kawałek minął jego krocze. To było jak walka z dzikim zwierzęciem, walka na śmierć i życie - David zaczął się zastanawiać, czy nie będzie musiał jej ogłuszyć, żeby zanieść ją do auta. Ale wtedy, zanim znów go zaatakowała, zobaczyła coś kątem oka. Zatrzymała się nagle i odwróciła

się w prawo, starając się utrzymać równowagę na swych zabójczych obcasach. Potem puściła się pędem przez parking w kierunku Monique i Michaela, stojących przed samochodem Graddicka.

- Michaeli - krzyknęła, obejmując syna ramionami.

Delta Force założyła tymczasową kwaterę główną w kościele zielonoświątkowców w Jolo. Lucille popatrzyła na prostą drewnianą budowlę - kościół Jezusa Żywego Pana - i potrząsnęła głową. Cóż za przykład wojskowej głupoty. Jeśli chce się współpracować z miejscowymi, nie zajmuje się ich miejsc modlitwy. Ale siły specjalne przybyły prosto z Iraku, gdzie dowódcy najwyraźniej stracili zrozumienie dla lokalnych zwyczajów.

Lucille i agent Crawford weszli do kościoła i zaczęli się rozglądać za pułkownikiem Tarkingtonem, dowódcą eskadry. Jego ludzie wyznaczyli stanowisko dowodzenia obok ambony. Dwóch żołnierzy obsługiwało radio, kolejnych dwóch pochylało się nad mapą Wirginii Zachodniej, a jeszcze jedna para mierzyła z karabinów M-16 w siedzącą w ławkach grupkę zatrzymanych ludzi z zawiązanymi oczami. Lucille znów potrząsnęła głową. Więźniowie byli ponurymi, upartymi góralami, którzy boją się tylko Boga. Nawet jeśli wiedzą, gdzie są uciekinierzy, nie powiedzą komandosom ani słowa.

W końcu dostrzegła pułkownika Tarkingtona z tyłu kościoła. Żuł kikut cygara i wykrzykiwał rozkazy do radia. Lucille zaczeła, aż skończy nadawać, po czym podeszła do niego.

- Pułkowniku, tu agent specjalny Lucille Parker, pański łącznik z FBI. Chciałam porozmawiać o materiale dowodowym, jaki pana ludzie znaleźli wczoraj w nocy w Samotni Carnegie.

Pułkownik przez kilka sekund mierzył wzrokiem ją i Crawforda, przesuwając cygaro do kącika ust.

- I co w związku z tym?

- Musi pan przesłać zniszczony komputer do laboratorium FBI w Quantico. Być może uda nam się odzyskać część danych z roztrzaskanego dysku.

Tarkington wyszczerzył się mimo cygara.

- O to się nie martw, słonko. Przekazaliśmy go już Agencji Wywiadu Obronnego.

Lucille zjeżyła się, słysząc „słonko”, ale nadal mówiła spokojnym głosem.

- Z całym szacunkiem, proszę pana, ale nasz sprzęt w Quantico jest o wiele lepszy niż cokolwiek w Agencji Wywiadu Obronnego.

- Jestem pewien, że nasi chłopcy dadzą sobie radę. A poza tym te informacje i tak nam się nie przydadzą. Zablokowaliśmy cały ruch drogowy w tej części stanu. Przed lunchem znajdziemy tych zbiegów.

Wątpiła w to. W ciągu ostatnich trzydziestu sześciu godzin nauczyła się, że nie należy lekceważyć talentu Davida Swifta do unikania pułapek.

- Tak czy tak, proszę pana, biuro chciałoby dostać twardego dysk.

Uśmiech znikł z twarzy pułkownika.

- Powiedziałem, że ma go Agencja Wywiadu Obronnego. Proszę z nimi rozmawiać. Ja muszę się zająć operacją. - Po czym odmaszerował w stronę ambony, by naradzić się ze swoimi ludźmi.

Przez chwilę Lucille stała, piniąc się ze złości. Do diabła z nim, pomyślała. Jeśli nie chce mojej pomocy, to po co mu się narzucać? Zresztą była za stara na takie numery. Powinna



jechać do swojego biura w Waszyngtonie i siedzieć n; i lylKu jak cała reszta cholernych biurokratów.

Wybiegła z kościoła i wróciła do samochodu. Agent Crtwford przyspieszył, by dotrzymać jej kroku.

- Gdzie teraz jedziemy? - zapytał.

Już miała powiedzieć „Do Waszyngtonu”, kiedy przys/.rdl jej do głowy pewien pomysł. Taka prosta, oczywista rzecz - aż się dziwiła, że nie wpadła na to wcześniej.

- Komputer w Samotni był podłączony do internetu, prawda?

Crawford kiwnął głową.

- Tak, wydaje mi się, że był tam kabel.

- Zadzwoń do ich operatora internetowego. Dowiedz się, czy wczoraj w nocy łączyli się z siecią.

Elizabeth Gupta leżała na łóżku w pokoju dwieście jeden w motelu Army Mule, naprzeciwko Salonu Nocnych Harców. W tym pokoju zwykle obsługiwała klientów, których złapała w klubie. Ale tym razem leżała sama pod kołdrą w olbrzymim łóżku. Miała na sobie frotowy szlafrok. Mo-nique siedziała na brzegu łóżka, gładząc ją po włosach i mrucząc ciepło, jak gdyby opiekowała się pięcioletnią dziewczynką chorą na gripę. Michael siedział na krześle, znów grając na grze boju, a David wyglądał przez okno zza zasłony, sprawdzając, czy na Victoria Drive nie dzieje się nic podejrzanego. Graddicka wysłali po kawę - jego wywody o zbawieniu i boskim miłosierdziu odnosiły skutek odwrotny do zamierzonego.

Monique odpakowała batonik z musli, który kupiła w automacie w motelu, i podała go Elizabeth.

- Masz, zjedz coś.

- Nie, nie jestem głodna - wychrypiała dziewczyna. Od ataku na parking powiedziała może kilka słów.

Monique trzymała batonik tuż pod jej nosem.

- No ugryź chociaż. Musisz coś zjeść.

Mówiła delikatnym, lecz stanowczym głosem. Poddając się, Elizabeth ugryzła rożek batonika. David był pod wrażeniem tego, jak zręcznie Monique radzi sobie w tej sytuacji. Było jasne, że ma doświadczenie w radzeniu sobie z narkomanami.

Elizabeth ugryzła kolejny kęs, po czym usiadła na łóżku, żeby napić się wody ze styropianowego kubeczka, który Monique przycisnęła jej do ust. Po kilku sekundach rzuciła się na batonik, wpychając go sobie do ust i zbierając okruszki z pościeli. Przez cały czas patrzyła na Michaela, wlepiając w niego wzrok, podczas gdy jej szczęki miarowo się poruszały. Gdy skończyła jeść, wytarła usta wierzchem dłoni i wskazała na syna:

- Nie mogę uwierzyć. Tak wyrósł!

Monique pokiwała głową.

- Tak, to już przystojny młody mężczyzna.

- Kiedy go widziałam po raz ostatni, miał trzynaście lat. Ledwie dorastał mi do ramienia.

- Twój ojciec nie przyjeżdżał z nim w odwiedzinach?

Na twarzy Elizabeth znów pojawiła się złość.

- Ten popapraniec nawet nie przysyłał mi zdjęć. Raz w roku dzwoniłam do nich na jego koszt, żeby złożyć Michaelowi życzenia urodzinowe, ale ten dupiek nie przyjmował moich telefonów.

- Tak mi przykro - Monique przygryzła wargę. Wydawała się autentycznie zmartwiona. - Nie...

- Więc ten gnój umarł? Powiedział mi, że dopóki żyje, nie zobaczę Michaela.

Monique spojrzała na Davida, nie wiedząc, co odpowie dzieć. Odszedł od okna i zbliżył się do łóżka.

- Twój ojciec nie umarł. Jest w szpitalu. Prosił nas, żebyśmy przywieźli tu Michaela, bo nie chciał, żeby zamknięto go w jakiejś instytucji.

Elizabeth spojrzała na niego podejrzliwie.

- To do niego niepodobne. A dlaczego jest w szpitalu?

- Zacznijmy od początku, zgoda? Byłem studentem przyjaciela twojego ojca, Hansa Kleinmana. Pamiętasz go, prawda?

Podziałało. Jej twarz odrobinę się rozjaśniła.

- Jasne, znam Hansa. To mój ojciec chrzestny. Jedyna osoba na świecie, której ojciec nienawidzi bardziej niż mnie.

- Co takiego? - zapytał roztrzęsiony David. - Twój ojciec wcale nie czuje nienawiści do doktora Kleinmana! Przez wiele lat bardzo blisko współpracowali!

Elizabeth potrząsnęła głową.

- Mój ojciec go nienawidzi, bo Hans jest od niego mądrzejszy. A poza tym Hans kochał się w mojej matce.

David obserwował jej twarz, próbując odgadnąć, czy go nie nabiera.

- Bardzo dobrze znałem doktora Kleinmana i ciężko mi uwierzyć...

- Gównu mnie obchodzi, czy mi wierzysz, czy nie. Wiem tylko, że widziałam Hansa na pogrzebie mojej matki. Płakał jak dziecko. Na koszuli miał małe mokre plamy od łez.

David próbował sobie wyobrazić swojego starego wykhidowcę płaczącego na pogrzebie Hannah Gupty. Wydawało się to nieprawdopodobne. Natychmiast wyrzucił ten ob. i/ z wyobraźni. Teraz nie ma na to czasu, trzeba przejść od razu do rzeczy.

- Twój ojciec powiedział nam, że Hans przyjechał do Columbus kilka lat temu. Próbował ci pomóc wyjść na prostą, prawda?

Spojrzała w dół na prześcieradło z lekkim onieśmieleniem.

- Tak, załatwił mi pracę w Benning, miałam odbierać telefony u jakiegoś generała. Znalazł mi też mieszkanie. Nawet odzyskałam Michaela na kilka miesięcy. Ale spieprzyłam to.

- I dlatego właśnie tu jesteśmy, Beth. Widzisz, Kleinman zmarł parę dni temu, ale zostawił...

- Hans nie żyje? - Wyprostowała się na łóżku, szeroko otwierając usta. - Co się stało?

- Nie mogę się teraz wdawać w szczegóły, ale zostawił wiadomość, która...

- Jezu Chryste! - wymamrotała, unosząc dłoń do czoła. - Jasny gwint!

Chwyciła garść włosów i zaczęła je szarpać. Monique przysunęła się do niej i poklepała ją po plecach. David był nieco zaskoczony reakcją Elizabeth; zakładał, że uzależniona od amfetaminy prostytutka nie będzie odczuwać żalu. Ale widocznie doktor Kleinman był jedyną osobą, która kiedykolwiek próbowała jej pomóc. Istniała silna więź między starym fizykiem a jego chrześniaczką. Być może dlatego zdecydował się ukryć teorię ostateczną w Columbus.

David usiadł na łóżku przy Elizabeth i Monique. Cała trójka zastęła w uścisku, ich głowy prawie się stykały.

- Słuchaj, Beth, będę z tobą szczerzy. Mamy poważne kłopoty. Doktor Kleinman był w posiadaniu tajemnicy, na ukowego sekretu, który mnóstwo ludzi chciałoby poznać. Czy Hans zostawił ci jakiegokolwiek papiery, kiedy tu przyjechał?

Elizabeth spojrzała na niego, nie rozumiejąc, o czym mówi:  
- Nie, nic u mnie nie zostawił. Tylko trochę pieniędzy Tyle, żeby pokryć kilkumiesięczny czynsz za mieszkanie.  
- A na komputerze? Kupił ci jakiś?  
- Nie, kupił mi tylko telewizor. I fajne radio. - Uśmiechnęła się na to wspomnienie, ale chwilę później znów spoważniała. - Musiałam wszystko zastawić, kiedy straciłam pracę. Teraz mam tylko pudło ubrań.

Wskazała na kartonowe pudło przy oknie, z którego wystawały majtki, staniki i nylonowe rajstopy. David wątpił, czy da się tam znaleźć zunifikowaną teorię pola.

- I tu teraz mieszkasz? W tym pokoju?  
- Czasami w tym, czasami obok. Harlan zajmuje się wszystkimi rachunkami.

- Harlan?

- Tak, to menedżer Nocnych Harców.

Czyli jej alfons, pomyślał David.

- Wiadomość od doktora Kleinmana podawała adres twojego klubu. Musiał wiedzieć, co się z tobą dzieje.

David wyobraził sobie doktora Kleinmana w Salonie Nocnych Harców, kolejny nieprawdopodobny widok. Zaczął się zastanawiać, czy w biurze klubu był jakiś komputer.

- Czy Hans widział cię w barze? I czy wchodził do waszego biura?

Zamknęła oczy i potrząsnęła głową.

- Nie, Hans nigdy tam nie był. Kiedy dzwonił, byłam na haju, więc powiedziałam mu, żeby się odpieprzył. Wtedy rozmawiałam z nim po raz ostatni.

Pochyliła głowę kilka centymetrów nad pościelą. Nie wydała żadnego odgłosu, ale jej ciałem wstrząsnął szloch tak silny, że cały materac się poruszył.

Monique znów poklepała ją po plecach, ale tym razem nie odniosło to żadnego skutku. Podeszła więc do Michaela i delikatnie chwyciła go za łokieć, prowadząc chłopca w stronę łóżka. Elizabeth od razu go przytuliła. Michael zacząłby krzyczeć, gdyby zrobił to ktokolwiek inny, ale wydawało się, że toleruje dotyk matki. Nie odpowiedział jednak na ten wybuch uczuć, nawet na nią nie spojrzął. Gdy objęła go w pasie, odwrócił się, by móc dalej grać na grę boyu.

Po chwili Elizabeth odchyliła się i odsunęła syna na odległość ramienia. Otarła łzy z oczu, patrząc na niego:

- Dalej gra w tą cholerną strzelankę - westchnęła, rzucając okiem na ekran konsoli. - Zdawałoby się, że do tej pory już ci się znudzi.

Michael, rzecz jasna, nie odpowiedział, więc Elizabeth zwróciła się do Davida i Monique:

- Michael zaczął w to grać, kiedy pracowałam w Benning. Hans ustawił jeden komputer w moim biurze, by Michael mógł tam siedzieć.

Przesunęła dłoń po włosach chłopca, robiąc mu przedziałek po lewej stronie.

- W te dni, kiedy szkoła dla dzieci autystycznych była zamknięta, zabierałam go ze sobą do pracy i całymi godzinami przesiadywał przed komputerem.

Elizabeth położyła dłoń trochę niżej i pogłaskała Michaela po policzku. Był to wzruszający widok i w normalnych okolicznościach David nie przeszkadzałby im, ale w tej chwili jego umysł pędził niczym błyskawica.

- Chwileczkę, doktor Kleinman był w twoim biurze w Benning?

Kiwnęła głową.

- Tak, pierwszego dnia. Chciał mnie przedstawić generałowi Garnerowi, mojemu nowemu szefowi. Hans znalazł go sprzed lat. Pracowali razem nad jakimś wojskowym projektem sto lat temu.

- I kiedy był w twoim biurze, instalował coś na jednym z komputerów?

- Tak, było ich tam pełno. Nazywali to biurem WSW - Wirtualnej Symulacji Walk. Było tam pełno zwiariowanego sprzętu - stacjonarna bieżnia, okulary, plastikowe strzelby. Wojsko nie korzystało z większości tych pierdoł, więc pozwalali Michaelowi się nimi bawić.

- Jak długo Hans pracował na tym komputerze?

- Do diabła, nie mam pojęcia. Co najmniej kilka godzin. On i generał byli starymi przyjaciółmi, więc Hans miał wolną rękę; mógł tam robić, co chciał.

Serce Davida waliło teraz jak oszalałe. Wymienił spojrzenia z Monique, a potem wlepił wzrok w konsolę Michaela. Dziwnym zbiegiem okoliczności na ekranie było widać ten sam ciemny korytarz, który zobaczył David, kiedy przyglądał się grze poprzedniego wieczoru. Po raz kolejny animowany żołnierz w mundurze koloru khaki wpadł do małego pomieszczenia i z karabinu M-16 zastrzelił sześciu przeciwników. Wrogowie znów upadli na ziemię, brocząc animowaną krwią. I po raz kolejny na ekranie zamigotał napis: GRATULACJE! DOTARŁEŚ DO POZIOMU SVIA/4!

- Co to do cholery jest? - spytała Monique, wskazując na ekran. - SVIA/4?

David nie miał pojęcia, ale wiedział, kogo zapytać. Pochylił się, spoglądając Michaelowi w twarz. Zeszłej nocy chłopak rozmawiał z nim. Być może teraz też się uda.

- Posłuchaj, Michael. Co jest na poziomie SYIA/4?

Chłopak przyciągnął brodę do klatki piersiowej, unikając wzroku Davida.

- Nie mogę przejść na ten poziom - powiedział jednostajnym głosem. - Wraca do poziomu A1.

- Wiem, mówiłeś mi. - David przechylił głowę, patrząc chłopcu w twarz. - Ale dlaczego nie możesz się dostać na poziom SVIA/4?

- Gamed boy nie ma tego poziomu. Jest tylko w programie na serwerze. Hans tak to ustawił.

- A dlaczego tak to ustawił?

Michael otworzył usta, jakby chciał krzyknąć. Ale zamiast tego po raz pierwszy spojrzął Davidowi w oczy:

- Powiedział, że tam będzie bezpiecznie! Że to bezpieczne miejsce!

David kiwnął głową. Doktor Kleinman najwyraźniej zmodyfikował ustawienia oprogramowania Wojownika. Konsola mogła wpaść w niepowołane ręce, więc zawierała tylko skróconą wersję programu. Pełna wersja, ze wszystkimi informacjami dodanymi przez Kleinmana, znajdowała się w najbezpieczniejszym miejscu.

- A gdzie jest serwer?

Ale zanim Michael zdążył odpowiedzieć, gamed boy wydał pisk, informujący, że wraca do poziomu A1. Chłopiec szybko odwrócił się od Davida i odszedł od łóżka matki. Wycofał się na drugi koniec pokoju, siadł twarzą do ściany i powrócił do gry.

Elizabeth spojrzała na Davida, wytrzeszczając oczy:

- Hej, nie zadawaj mu pytań! To go denerwuje!

- Dobra, dobra. - Odsunął się od łóżka.

Nie musiał zadawać Michaelowi więcej pytań. Wiedział, gdzie jest serwer. Doktor Kleinman bardzo zuchwale wybrał



kryjówkę. Ukrył zunifikowaną teorię pola Einsteina na komputerze w Fort Benning.

Doktor Milo Jenkins i jego żona leżeli twarzami w dół na dywanie w salonie. Gdyby nie dziury od kul w głowach, Simon pomyślałby, że ucieli sobie drzemkę. Zastrzelił ich o dziewiątej rano, tuż po tym, jak wiejski lekarz oznajmił, że życiu Gupty już nic nie zagraża i profesor śpi spokojnie na stole w jadalni. Strzały obudziły agenta Brocka, który ułożył się na kanapie w salonie, ale po kilku sekundach przewrócił się na drugi bok i znów zasnął.

Simon też miał ochotę się zdrzemnąć. Prawie w ogóle nie spał od trzydziestu sześciu godzin, a transfuzja osłabiła go bardziej, niż się spodziewał. Ale jego klient, tajemniczy Henry Cobb, miał zadzwonić o wpół do dziesiątej, żeby sprawdzić postępy w misji, i Simon czuł się w obowiązku przekazać mu pomysły nowiny. Wzdychając ze znużenia, wszedł do jadalni i podeszedł do zakrwawionego stołu, gdzie leżał profesor Gupta.

Zwisająca z żyrandola kroplówka była nadal wkluta w ramię Gupty, ale worek z płynem był już pusty. Filigranowy naukowiec pogrążył się w niespokojnym śnie, leżąc na wznak z nogą opartą na poduszce z kanapy. Niezależnie od tego, jakich środków przeciwbólowych użył doktor Jenkins, ich działanie już z pewnością ustało, więc gdy tylko Gupta się przebudzi, odczuje potworny ból. A o to właśnie Simonowi chodziło.

Zaczął od uderzenia pięścią w szew na nodze Gupty. Ciałem profesora wstrząsnęły konwulsje: uderzył potylicą w mahoniowy blat, a zdrową nogą kopnął poduszkę, strącając ją na ziemię. Wydał przeciągły, urywany jęk, a jego powieki zdrząły.

Simon pochylił się nad stołem.

- Zbudź się, profesorze. Czas na lekcję. - Znów uderzył ranę Gupty na tyle mocno, by nadwyrężyć szwy pieczołowicie założone przez doktora Jenkinsa.

Tym razem Gupta otworzył oczy i wydał wysoki pisk. Próbował usiąść, ale Simon przytrzymał go za ramiona.

- Masz dużo szczęścia, wiesz? Mało brakowało, a byś nie przeżył.

Gupta spojrział na niego, gwałtownie mrugając. Staruszek był najwyraźniej nieco skołowany. Simon ścisnął go za ramiona.

- Już dobrze, profesorze. Nic panu nie będzie. Musi pan tylko odpowiedzieć mi na jedno pytanie. Jedno małe pytanie i po wszystkim.

Profesor otworzył usta, a następnie je zamknął, nie powiedziawszy ani słowa. Dopiero po kilku sekundach odzyskał głos.

- Co takiego? Kim jesteś?

- To w tej chwili nieistotne. Ważne jest, by znaleźć pana przyjaciół. Davida Swifta i Monique Reynolds, pamięta ich pan? Był pan z nimi w chacie w górach wczorajszej nocy. A potem odeszli, zostawiając pana krwawiącego na podłodze. To nie było miłe z ich strony, prawda?

Gupta zmarszczył brwi. Pamięć mu wracała - to dobry znak. Simon ścisnął go mocniej.

- Tak, pamięta pan. Myślę, że pamięta pan też, dokąd zmierzali. Pojechaliby pan z nimi, gdyby pana nie postrzelono, prawda?

Po kilku sekundach staruszek zmrużył oczy i spojrział na niego ze złością. To już nie był dobry znak. Teraz, kiedy odzyskał pamięć, zaczynał się buntować.

- Kim jesteś? - powtórzył.

- Mówiłem już, to nieważne. Muszę wiedzieć, gdzie pojechali Swift i Reynolds. Proszę mi powiedzieć, bo inaczej /robi się bardzo nieprzyjemnie.

Gupta spojrział w lewo i dopiero teraz zobaczył, gdzie jest: mahoniowy stół, żyrandol, czerwono-żółta tapeta w jadalni Jenkinsa. Z trudem zaczerpnął powietrza:

- Nie jesteś z FBI - wyszeptał.

Simon trzymał jedną rękę na ramieniu Gupty, a drugą przesunął w stronę zranionego uda.

- Nie, na szczęście mam większą swobodę działania. Amerykanie mają oczywiście swoje sztuczki - przytapienie\*, ograniczenie snu, owczarki niemieckie. Ale ja nie tracę czasu na półśrodki.

Kiedy jego dłoń dotarła do rany, chwycił opatrunek i zdarł go.

Kręgosłup Gupty wygiął się w pałąk, a profesor wydał kolejny krzyk. Ale kiedy Simon przyjrzał się jego twarzy, nie zobaczył na niej zastygłego przerażenia, które zwykle towarzyszyło takim reakcjom. Zamiast tego naukowiec odsłonił zęby, sycząc:

- Imbecyl! Jesteś tak samo głupi jak tamten agent!

Zirytowany Simon włożył dwa palce w ranę, wiercąc paznokciami między szwami. Krew znów trysnęła spomiędzy luźnych płatów skóry.

- Dość tego! Gdzie są Swift i Reynolds!

- Imbecyl! Idiota! - wrzasnął Gupta, tłukąc pięścią w stół.

Tortura, jedna z zakazanych metod przesłuchań, stosowana przez CIA - polega na tym, że skrupowanego więźnia strażnicy przywiązują do ławki. Głowę więźnia umieszcza się poniżej poziomu stóp, twarz przykrywa celofanem, a następnie polewa wodą. Więzień odnosi wrażenie, że tonie.

Simon wepchnął palce jeszcze głębiej. Krew wezbrała i spłynęła po udzie Gupty.

- Jeśli mi nie powiesz, gdzie są, wyrwę ci szwy. Potem pasami zedrę ci skórę z nogi.

Profesor rzucił się do przodu i spojrział na niego szalonym wzrokiem:

- Ty bezmózga ruska świnio! To ja jestem Henry Cobb!

## Rozdział dziesiąty

Monique spojrzała na niego z niechęcią:

- To szalone. Tracimy tylko czas.

Znów siedzieli w samochodzie Graddicka, ale teraz, zamiast się całować, kłócili się. Auto stało na stacji benzynowej na Victory Drive, niecałe pół kilometra na południe od Salonu Nocnych Harców, podczas gdy Elizabeth Gupta dzwoniła z automatu na stacji. Graddick stał na straży, trzymając w ręce kubek kawy z Dunkin Donuts, a David, Monique i Michael czekali w samochodzie.

- To wcale nie jest szalone - upierał się David. - Wszystko doskonale pasuje.

Monique potrząsnęła głową.

- Jeżeli Kleinman chciał ukryć teorię przed rządem, dlaczego miałby ją zapisać na komputerze należącym do armii amerykańskiej?

- Komputery wojskowe to najbezpieczniejszy system na świecie. Poza tym profesor ukrył równania w oprogramowaniu gry wojennej, z której nikt już nie korzysta.

- Ale wojsko nadal ma do niej dostęp! A co jeśli jakiś kapitan albo pułkownik w biurze Wirtualnej Symulacji Walk będzie się pewnego dnia nudził i postanowi pograć w Wojownika?

- Po pierwsze, nie odkryje teorii, dopóki nie dotrze do najwyższego etapu gry, co prawdopodobnie nie jest łatwe, chyba że ktoś gra cały czas, tak jak Michael. - David wskazał na chłopca, który siedział skulony nad grą boyem na tym samym siedzeniu. - A po drugie, nawet jeśli ktoś opanuje grę do perfekcji i znajdzie równania, nie będzie wiedział, co znaczą, chyba że będzie fizykiem. Zwykły gracz uznałby je za bezsens i zignorowałby.

Nie wyglądała na przekonaną.

- Nie wiem, David... Sam przyznasz, że to strzał w ciemno. Jesteś pewien, że...

Zanim skończyła, Elizabeth oddaliła się od telefonu i wróciła do samochodu. Miała na sobie getry z lycry i podkoszulek, ale dalej, niestety, wyglądała na dziwkę.

- Nie odpowiada - zwróciła się do Davida przez szybę. - Sheila pewnie wyjechała na weekend.

David zmarszczył brwi. Sheila - przyjaciółka Elizabeth, nadal pracowała jako sekretarka w biurze Wirtualnej Symulacji Walk - mogłaby im pomóc dostać się do Fort Benning.

- Znasz jeszcze kogoś, kto tam pracuje?

- Nie, nikogo - odparła Elizabeth. - Większość facetów w tym biurze to maniacy komputerowi. Przez cały czas, kiedy tam pracowałam, ani razu nie powiedzieli „cześć”.

Cholera, pomyślał David. Nie ma sposobu, żeby przejść przez bramkę detekcyjną Fortu Benning, a co dopiero dostać się do biura WSW, chyba że ktoś z bazy podałyby pomocną dłoń.

- Zabawne - ciągnęła Elizabeth. - Nigdy nie widziałam tych świrów u nas w klubie. Muszą się trzepać przy pornosach z internetu.

Davidowi przyszedł do głowy pewien pomysł.

- Beth, czy wśród twoich stałych klientów są jacyś pracownicy bazy? Chodzi mi o tych facetów, z którymi spotykasz się regularnie.

- Kurwa, no jasne. - Przybrała teraz postawę obronną, jak gdyby rzucił jej wyzwanie. - Niektórzy przychodzą do mnie raz w tygodniu. Jest ich całkiem sporo.

- Czy są wśród nich jacyś przedstawiciele żandarmerii wojskowej?

Zastanowiła się przez chwilę.

- Tak, znam sierżanta żandarmerii, nazywa się Mannheim. Znam go od lat, odkąd zaczęłam pracować w klubie.

- Masz jego numer telefonu?

Nie odpowiedziała. Pstryknęła palcami przed nosem Michaela. Chłopiec natychmiast podniósł głowę znad konsoli. Elizabeth spojrzała na niego surowo:

- Książka telefoniczna Columbus - powiedziała. - Mannheim, Richard.

- 706-555-1329 - wyrecytował Michael, po czym spuścił głowę i wrócił do gry.

Elizabeth uśmiechnęła się:

- To jest coś, nie? Nauczył się na pamięć książki telefonicznej Columbus, kiedy mieszkał ze mną. Tą z Macon też wkuł.

David zapisał numer na skrawku papieru. Wyczyn Michaela nie zaskoczył go; wiedział, że wiele autystycznych dzieci ma niesamowitą pamięć, a poza tym przypominał sobie książki telefoniczne zapisane na komputerze w Samotni Carnegii, Zaniepokoiło go to, jak Elizabeth wykorzystuje zdolność syna. Najwyraźniej już wcześniej próbowała tego numeru z pstrykaniem palcami. Musiała to uznać za wygodny sposób namierzania swoich klientów.

Wręczył jej świstek papieru:

- Zadzwoń do sierżanta i poproś go o przysługę. Powiedz, że przyjechali twoi przyjaciele, którzy potrzebują przepustek do bazy. Powiedz, że chcemy wejść do baraków, żeby odwieźć młodszego brata, ale zostawiliśmy dokumenty w domu.

Mrużąc oczy, popatrzyła na numer telefonu, po czym potrząsnęła głową:

- Wiesz, Mannheimer nie zrobi tego za friko. Będzie chciał darmowy numerek. Albo dwa.

David spodziewał się tego. Wyjął z kieszeni portfel i wyjął z pliku banknotów pięć dwudziestodolarówek.

- Nie przejmuj się, ja ci to zwrócę. Stówa teraz, stówa po wszystkim. Umowa stoi?

Elizabeth wlepiła wzrok w banknoty. Otworzyła usta i oblizowała się, jakby już czuła smak kryształków metamfetaminy. Potem wyrwała Davidowi pieniądze i popędziła z powrotem do telefonu.

David spojrział na Monique, ale ona odwróciła się od niego. Była bez wątpienia wkurzona, ale nie powiedziała ani słowa, a to było jeszcze gorsze niż jakiegokolwiek krzyki. W milczeniu patrzyli, jak Elizabeth wybiera numer i zaczyna rozmowę. W końcu David wyciągnął rękę i dotknął ramienia Monique.

- Hej, co jest?

Strząsnęła jego dłoń.

- Dobrze wiesz co. Zachowałeś się jak alfons.

- Nieprawda! Tylko...

- Jak myślisz, co zrobi z pieniędzmi? Wyda wszystko na narkotyki i chłanie. A potem wróci do klubu i do pokoju w motelu.

- Słuchaj, potrzebujemy jej pomocy, żeby znaleźć teorię. Jeśli masz lepszy pomysł, dlaczego nie...



Monique nagle chwyciła go za ramię.

- Coś jest nie tak - powiedziała, wskazując automat telefoniczny.

Graddick stał obok Elizabeth i krzyczał na nią. Nie zwracała na niego uwagi i dalej mówiła do słuchawki. Chwilę później chwycił ją w pasie i zaczął ciągnąć do samochodu. David nie wiedział, o co chodzi, aż w końcu spojrzął na Victory Drive i zobaczył sześć chwoletów suburban zaparkowanych przed Salonem Nocnych Harców. Faceci w szarych garniturach wyskakiwali z pojazdów i otaczali klub.

Graddick otworzył tylne drzwi auta i wepchnął Elizabeth do środka.

- Zapalaj silnik, bracie! Armia Szatana depcze nam po piętach!

Karen stała w salonie w apartamencie Glorii Mitchell, spoglądając przez żaluzje na samochody jadące Dwudziestą Pierwszą ulicą. Dwóch dobrze zbudowanych mężczyzn krążyło po chodniku obok samochodu dostawczego, który od dwunastu godzin stał w jednym miejscu. Co parę minut jeden z nich zasłaniał usta dłonią, udając, że kaszle. Mówił do ukrytego w rękawie mikrofonu.

Jonah siedział na kanapie, przeglądając podręcznik do astronomii, który znalazł się na półce. Gloria stała w drugim końcu pokoju, rozmawiając przez komórkę z redaktorem „New York Timesa”. Drobną, czarnowłosa choleryczką z chudymi nogami, ostrym podbródkiem i ciemnymi oczami, które przez cały czas były w ruchu. Kiedy skończyła rozmawiać, zatrzasnęła klapkę od telefonu i szybkim krokiem podeszła do Karen.

- Muszę lecieć - oznajmiła. - Podwójne zabójstwo na Brooklynie. Nie ruszaj się stąd, dopóki nie wrócę.

Karen poczuła ścisk w żołądku. Wskazała na okno:

- Ci agenci nadal tam stoją - mówiła cicho, żeby Jonah nie usłyszał. - Jak tylko zobaczą, że wychodzisz, wejdą tu i zabiorą nas.

Gloria potrząsnęła głową.

- Nielegalne wtargnięcie do mieszkania dziennikarki? Nie odważyliby się.

- Wyważą drzwi i zamontują je z powrotem, zanim wrócisz. Będzie wyglądało tak, jakbyśmy postanowili gdzieś pójść. To właśnie usłyszysz od FBI, kiedy zapytasz, co się z nami stało.

- Naprawdę sądzisz...

- Nie możesz poprosić redaktora, żeby wysłał kogoś innego?

- Zapomnij. To kawał drania - prychnęła.

Karen rzuciła okiem na syna, który ślęczał nad obrazkiem przedstawiającym pas asteroidów. Za cholerę nie pozwoli, żeby te bydlaki go tknęły.

- W takim razie jedziemy z tobą. Nie zaaresztują nas, jak zobaczą, że jesteś obok.

Gloria wzruszyła ramionami.

- Dobra, jak chcesz.

Gdyby to była zwykła robota, Simon pewnie już zastrzeliłby klienta. Profesor Amil Gupta, alias Henry Cobb, był najbardziej aroganckim i denerwującym człowiekiem, z jakim kiedykolwiek zdarzyło mu się pracować. Gdy tylko profesor ujawnił swoją tożsamość, zaczął wyzywać Simona od najgorszych. Choć miał uzasadnione powody do niezadowolenia, tak naprawdę sam był sobie winny: nie doszłoby to takiej pomyłki, gdyby nie upierał się przy tym głupim pseu-

donimie. Simon próbował mu to wytłumaczyć, na nowo bandażując jego ranę na nodze, ale Gupta bez przerwy mu uwłaczał. Kiedy uczoney stanął w końcu na własnych nogach, zaczął wykrzykiwać rozkazy. Nakreślił nowy plan: on i Simon wezmą półciężarówkę i pojedą do Georgii za poszukiwanymi, a agent Brock weźmie samochód doktora Jenkinsa i uda się do Nowego Jorku. Kiedy Simon zapytał, dlaczego Brock ma wracać do Nowego Jorku, Gupta w krótkich słowach kazał mu się zamknąć i znaleźć klucz do vana. Simon odruchowo sięgnął po uzi, ale powstrzymał się przed rozwaleniem Gupcie głowy. Cierpliwości, napomniął się. Skup się na celu.

Jako że dom Jenkinsa znajdował się kilka kilometrów za kordonem amerykańskich sił specjalnych, Simon nie natrafił na żadne przeszkody na bocznych drogach południowo-zachodniej Wirginii. O jedenastej rano dotarli do Meadowview, gdzie Brock odłączył się od nich, jadąc na północ drogą 1-81, a Simon i Gupta skierowali się na południe. Profesor ułożył się na tylnym siedzeniu, kładąc zranioną nogę na desce rozdzielczej, ale, niestety, nie zasnął. Co pięć minut patrzył na zegarek i rozwodził się nad rozmiarami ludzkiej głupoty. Kiedy przekroczyli granicę z Tennessee, nagle pochylił się w kierunku Simona i wycelował palcem w drogowskaz: WYJAZD NR 69, BLOUNTVILLE.

- Zjeżdżaj z autostrady - rozkazał.

- Po co? Droga jest czysta, nie ma wojska ani policji.

Gupta spojrzał na niego wilkiem.

- Nie mamy wystarczająco dużo czasu, żeby dotrzeć do Georgii. Przez twoją niekompetencję Swift i Reynolds mają;) nad nami dziesięć godzin przewagi. Pewnie zdążyli sir |ui skontaktować z moją córką.

- Tym bardziej powinniśmy jechać autostradą. Bocznymi drogami będzie wolniej.

- Jest jeszcze jedna możliwość. Pracowałem kiedyś w Blountville dla jednej firmy z sektora obrony. Nazywała się Mid-South Robotics. Skonstruowałem dla nich kilka prototypów maszyn, więc są podłączeni do mojej sieci monitorującej.

- Sieć monitorująca?

- Tak, jeśli szlusznie podejrzewam, gdzie jadą Swift i Reynolds, być może uda nam się ich obserwować.

Simon zjechał z autostrady i przejechał dwa kilometry drogą. Mid-South Robotics mieściło się w długim parterowym budynku, który zajmował spory fragment powierzchni stanu Tennessee. Jako że była sobota rano, na parkingu stał tylko jeden samochód. Simon zatrzymał się obok niego, po czym on i profesor Gupta skierowali się do budki strażnika. W środku siedział mizerny, siwy mężczyzna w niebieskim mundurze i czytał lokalną gazetę. Gupta zapukał w okno budki, by zwrócić jego uwagę:

- Witam! - zawołał. - Jestem doktor Amil Gupta z Instytutu Robotyki. Pamięta mnie pan? Byłem tu z wizytą w kwietniu.

Strażnik odłożył gazetę i przez chwilę się mu przyglądał, po czym wyszczerzył zęby w uśmiechu:

- No jasne, doktor Gupta! Z Pittsburgha! Byłem tu, kiedy przyjechał pan rozejrzeć się po zakładzie! - Wstał i otworzył drzwi budki, żeby uściśnąć dłoń profesora. - Jak miło pana znów widzieć!

Gupta zmusił się do uśmiechu.

- Tak, tak, nawzajem. Proszę mi powiedzieć, czy pan Compton jest już w biurze? Prosił mnie, żebym przyjechał i rzucił okiem na jeden z prototypów maszyn.

- Ach, strasznie mi przykro, ale nie ma pana Comptona. Nic nie mówił, że pan ma dzisiaj przyjechać.

- Pewnie przyjedzie później. A tymczasem mógłby pan wpuścić mnie i mojego asystenta do laboratorium. Mam tylko kilka godzin, więc od razu zabrałibyśmy się do roboty.

Strażnik spojrzął na Simona, a potem znów odwrócił się do Gupty. Zaczynał mieć wątpliwości.

- Chyba powinienem najpierw zadzwonić do pana Comptona. Dam mu tylko znać, że pan już przyjechał.

- Ależ nie ma potrzeby. Nie chciałbym mu zakłócać weekendu.

- Mimo wszystko, chyba jednak zadzwonię.

Wycofywał się z powrotem do budki, kiedy profesor kiwnął głową. Simon podszedł, wyciągnął uzi i strzelił strażnikowi między oczy. Mężczyzna upadł martwy na podłogę. Simon pochylił się nad nim i przeszukał kieszenie. Gupta spojrzął na ciało.

- To fascynujące. Przeżyłem siedemdziesiąt sześć lat, nie widząc na oczy morderstwa, a w ciągu ostatnich dwóch godzin ujrzałem już dwa.

- Przyzwyczaj się pan. - Wyjąwszy klucze z kieszeni strażnika, Simon zaczął rozłączać system alarmowy budynku.

Profesor potrząsnął głową.

- To jakby zawalił się jakiś mały wszechświat. Nieskończony zbiór prawdopodobieństw zredukowany do jednej śmiertelnej pewności.

- Jeśli to taka tragedia, to czemu kazał mi pan go zabić?

- Nie powiedziałem, że to tragedia. Niektóre wszechświaty muszą umrzeć, by inne mogły się narodzić. Gupta podniósł wzrok na niebo, osłaniając dłonią oczy przed słońcem. - Ludzkość wykona wielki skok do przodu, kiedy zaprezentujemy

światu *Einheitliche Feldtheorie*. Będziemy asystować przy narodzinach nowej ery, złotego wieku oświecenia.

Simon zmarszczył brwi. Był żołnierzem, a nie położną. Jego misją była śmierć, nie życie.

Można było łatwo odgadnąć, dlaczego sierżant Mannheimer był jednym ze stałych klientów Elizabeth. Ten niezdarny, łysiejący gaduła z nosem jak ptasi dziób nie miał zapewne szans umówić się z nikim innym niż dziwka. Siedział na tylnym siedzeniu samochodu, obejmując Elizabeth. Ścisnął ją w talii i zerkał jej w dekolt, ale rzucał również lubieżne spojrzenia Monique, która siedziała w części bagażowej razem z Michaelem. Graddick zrzędził, prowadząc samochód w kierunku wjazdu do Fort Benning. Sierżant najwyraźniej mu się nie podobał, tak samo jak pomysł wizyty w bazie. Ale David uparł się, że to konieczne do zbawienia Elizabeth, i to wystarczyło, żeby go uciszyć. Przynajmniej na razie.

Kiedy podjechali do bramki detekcyjnej, David zauważył długą kolejkę samochodów przed nimi. Spory ruch jak na sobotni poranek. Odwrócił się do Mannheimera, wskazując bramkę:

- Co się dzieje?

Sierżant bawił się złotym łańcuszkiem na szyi Elizabeth, próbując wyciągnąć wisiołek spomiędzy jej piersi.

- Wszyscy jadą się zobaczyć z Darthem Vaderem. Ma dzisiaj wygłosić przemówienie w bazie.

- Z Darthem Vaderem?

- Tak, z sekretarzem obrony. To facet, który dowodzi ekspresem z Benning do Bagdadu.

David znów spojrzął w kierunku bramki i ujrzał sześciu żandarmów sprawdzających samochody z przodu kolejki.

Żołnierze otwierali bagażniki i klękali przy zderzakach, by się upewnić, że pod podwoziem nie ma ładunków wybuchowych.

- Cholera, wzmocnili ochronę.

- Wyluzuj, kolego. - Mannheimerowi udało się wreszcie wyłowić wisiołek Elizabeth i teraz machał nim przed jej oczami. - To moi chłopcy. Nie będą nam robić problemów.

Elizabeth zachichotała, gdy sierżant udawał, że ją hipnotyzuje. Mając sto dolarów w kieszeni, była w wyraźnie dobrym nastroju. Tymczasem David coraz bardziej się denerwował, gdy samochód przesuwał się w kolejce. Po pięciu minutach dotarli do bramki i podszedł do nich postawny młody kapral z pistoletem M-9 w kaburze. Schylił się i zbliżył twarz do okna po stronie kierowcy:

- Prawo jazdy i dowód rejestracyjny - zażądał. - Proszę również o dokumenty wszystkich pasażerów.

Zanim Graddick zdążył cokolwiek odpowiedzieć, Mannheimer wychylił się, zwracając uwagę kaprala.

- Hej, Murph - zakrzyknął wesoło. - Jedziemy tylko do PX na małe zakupy.

Murph niedbale zasalutował. Z wyrazu jego twarzy David wynioskował, że nie ma szczególnego szacunku do sierżanta.

- Mamy nowe rozkazy od dowództwa. Wszyscy odwiedzający muszą okazać dowód tożsamości.

- Nie wysilaj się, chłopie. Oni są ze mną.

- Żadnych wyjątków, proszę pana. Tak powiedział dowódca.

Drugi żandarm podszedł do nich od strony pasażera. Miał na głowie hełm, a w rękę trzymał M-16. David sięgnął do klamki, ale wiedział, że już po wszystkim. Za trzy minuty wszyscy będą w kajdankach.

Sierżant Mannheimer ześliznął się na brzeg siedzenia, zbliżając się do podejrzliwego kaprała.

- Dobra, Murph, umówmy się. Widzisz tę tutaj? To Beth - wskazał kciukiem Elizabeth. - Ona i czarnulka mają nam dzisiaj zrobić mały pokaz. Prywatny pokaz dla sekretarza obrony, jak skończy przemawiać.

Kaprał spojrział na Elizabeth, która zwilżyła wargi i wypięła piersi.

Otworzył usta. - Przywiózł pan striptizerki dla sekretarza obrony?

Mannheimer kiwnął głową.

- Facet ciężko pracuje. Od czasu do czasu należy mu się rozrywka.

- Jasna cholera! - Murph spojrział na położonego z nowo odkrytym szacunkiem. - Dowództwo o tym wie?

- Nie, rozkaz przyszedł prosto z Pentagonu.

Kaprał wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- No nie, tego już za wiele. Sekretarz szaleje. - Po czym odsunął się od samochodu i przepuścił ich przez bramkę.

Gdy tylko Lucille zobaczyła wykaz stron, jakie przeglądał Gupta - a w szczególności stronę, która pokazywała adres 3617 Victory Drive - wydała nowe rozkazy dla learjeta FBI. Dwie godziny później razem z Crawfordem wkroczyli do Salonu Nocnych Harców, który był już obstawiony przez agentów z Atlanty. Trzydziestu klientów - w większości pijanych żołnierzy na przepustkach weekendowych - tłoczyło się przy stolikach, podczas gdy pracownicy - pięć tancerek, barman i ochroniarz - siedzieli przy barze. Ochroniarz i barman rozpoznali Davida Swifta, kiedy agenci pokazali im jego zdjęcie, a barman powiedział, że widział, jak podejrzany opuszcza klub



z tancerką, która właśnie skończyła zmianę. Jak się okazało, tancerką była Beth Gupta, córka profesora. Niestety, agentom z Atlanty nie udało się jej znaleźć pod jej tymczasowym adresem w motelu po drugiej stronie ulicy. Barman, obleśny typ imieniem Harlan Woods, który był jednocześnie menedżerem klubu, twierdził, że nie ma pojęcia, gdzie może być Beth, ale Lucille podejrzewała, że nie mówi prawdy.

Od razu zauważyła Harlana, niskiego grubego faceta w podkoszulku z napisem SIADŹ MI NA TWARZY. Lucille podeszła do baru i skrzyżowała ręce na piersiach.

- To pan zarządza tym uroczym miejscem?

Energicznie kiwnął głową. Siedział na stołku barowym i wyglądał jak rozwiązły gnom na muchomorze.

- Chciałbym pomóc, ale jak już mówiłem, nie wiem, gdzie jest Beth. Ona tu tylko pracuje i tyle. A gdzie chodzi w wolnym czasie, to już nie mój zasrany interes.

Harlan najwyraźniej był na haju. Mówił niesamowicie szybko i śmierział jak szatnia drużyny futbolowej. Lucille zmarszczyła brwi. Nie znosiła narkomanów.

- Pomaleńku, kmiotku. Czy Beth ma w mieście jakichś przyjaciół?

Wskazał na tancerki, które stały w szeregu przy barze, trzęsąc się z zimna w stringach.

- Jasne, wszystkie dziewczyny się przyjaźnią. Pogadajcie z Amber albo Britney. Może będą wiedziały, gdzie jest Beth.

- A jakichś innych przyjaciół? Poza dziewczętami z twojej stajni, oczywiście.

- Cholera, nie jestem alfonsiem! Ja tylko...

- Nie pieprz, Harlan. Lepiej rusz głową, i to szybko, bo...

- Dobra, dobra! - Znowu się spocił. Jak wszyscy narkomani, szybko wymiękał. - Jest taka jedna, nazywa się Sheila,

nadęta z niej suka. Raz tu przyszła i zrobiła mi straszną aferę. Ona i Beth pracowały razem w bazie.

To była nowość dla Lucille. Agenci z Atlanty podali tylko informację o kartotece karnej Elizabeth Gupty.

- Beth miała posadę w Fort Benning?

- Tak, zanim tu przyszła. Pracowała na komputerze, tak mówiła. Jakiś krewny załatwił jej tę pracę, ale nie wypaliło.

Lucille przypomniała sobie zniszczony komputer w chatce w Wirginii Zachodniej. Podejrzani podążali cyfrowym szlakiem - łatwo mogła zgadnąć następny punkt w ich podróży.

Odwróciła się do agenta Crawforda, który jak zwykle stał tuż za nią.

- Skontaktuj się z dowódcą Fort Benning - rozkazała. -I z tym bucem, pułkownikiem Tarkingtonem.

David najpierw zauważył wieże do skoków, trzy wysokie iglice wznoszące się nad barakami i budynkami administracji w Fort Benning. Wyglądały jak sławna skocznia na Coney Island, atrakcja w parku rozrywki, który już dawno zamknięto. Te wieże natomiast nadal były w użyciu. Spadochroniarze skakali z odgałęzień wież i opadali na ziemię, jak płatki wielkiego stalowego kwiatu.

Sierżant Mannheimer poinstruował Graddicka, by zaparkował za długim żółtym budynkiem zwanym Aulą Piechoty. Biuro Wirtualnej Symulacji Walk znajdowało się w zachodnim skrzydle. David wymyślił historyjkę, w której wyjaśnił, dlaczego muszą się tam dostać - Monique ma młodszego brata na szkoleniu zasadniczym; brat od czasu do czasu cierpi na lęki i musi z kimś pogadać w cztery oczy i tak dalej, i tak dalej. Było jasne, że Mannheimer nie wierzy w ani jedno słowo, ale na szczęście nie bardzo go to obchodziło. Miał na względzie

tylko obiecany darmowy numerek i zależało mu tylko na tym, żeby znaleźć jakiś pusty pokój, gdzie mógłby się zabawić z Elizabeth. Wyciągnął ją z samochodu i poprowadził w kierunku tylnego wejścia do budynku.

Monique, David i Michael również wysiedli. Graddick został na siedzeniu kierowcy z zatroskanym wyrazem twarzy.

- Co się dzieje, bracie?

David ścisnął go za ramię, chcąc go uspokoić.

- Zostań tu, dopóki nie wrócimy. Idziemy tylko na kilka minut. Potem zajmujemy się zbawianiem duszy Elizabeth, dobra?

Graddick kiwnął głową. Monique i David wzięli Michaela między siebie, każde za łokieć, po czym pospieszyli za Elizabeth i Mannheimerem. David żałował, że nie mogą zostawić chłopca w samochodzie. Świadomość, że jego matka uprawia swoje rzemiosło tuż pod jego nosem, była przerażająca. Ale tylko Michael potrafił grać w Wojownika.

Weszli do środka i wspięli się po schodach na trzecie piętro. Elizabeth i sierżant przystanęli przy nieoznaczonych drzwiach na końcu opustoszałego korytarza. Mannheimer zaczął szperać po kieszeniach munduru.

- Jesteś pewna, że tu jest kanapa? - zapytał.

- Tak, jest jedna w biurze dyrektora - odparła Elizabeth. - Pamiętam ją nawet, taka duża, brązowa kanapa.

- Ale to było cztery lata temu. Mogli ją gdzieś przesunąć.

- Jezu, otwieraj wreszcie te drzwi!

Sierżant w końcu znalazł klucz, ale zanim zdążył wsunąć go w zamek, David usłyszał jakiś odgłos dobiegający z drugiego końca korytarza. To był mechaniczny, dziwnie znajomy dźwięk. Obrócił się i zobaczył Biegnącego Smoka, małego srebrnego robota, wyglądającego jak pudełko, którego Gupta

zaprojektował dla armii. Jechał na gąsienicach jak maleńki czołg i wymierzył w nich swój żarówkowaty czujnik. David zamarł:

- Cholera! Znaleźli nas!

Mannheimer zachichotał.

- Spokojnie, żołnierzu. Te maluchy jeszcze nie działają.

- Co takiego? - Serce Davida waliło jak oszalałe, gdy robot przejechał obok nich.

- Nadal szukają błędów. Tak właśnie robi wojsko. Testują system przez dziesięć lat, a potem uznają, że za dużo kosztuje.

Nadal chichocząc, Mannheimer otworzył drzwi i delikatnie pchnął Elizabeth do środka.

- Dobra, złotko, gdzie jest biuro dyrektora?

David wszedł za nimi do pokoju. Pomieszczenie było duże, miało prawie czternaście metrów długości. W jednym kącie stało kilka szaf na komputery, które brzęczały i migotały na stalowych półkach. Naprzeciwko nich na biurku stał komputer z wielkim płaskim monitorem, a na samym środku pokoju znajdowały się dwie olbrzymie przezroczyste puste kule, każda o średnicy co najmniej trzech metrów, spoczywające na platformie z metalowymi wałami.

Monique stanęła w drzwiach i spojrzała na kule, tak samo zaskoczona jak David. Ale Michael wpadł do pokoju, od razu kierując się w stronę szafki na drugim końcu pomieszczenia. Podczas gdy jego matka razem z sierżantem zniknęła w sąsiednim biurze, chłopak otworzył szafkę i wyjął spore czarne urządzenie, wyglądające jak okulary stereoskopowe. David od razu je rozpoznał - to okulary używane w wirtualnej rzeczywistości. Gdy się je założyło, pokazywały symulowany krajobraz; obracając głowę w prawo i w lewo, widziało się różne części wirtualnego świata. Michael promieniał z radości,

ustawiając okulary, po czym popędził do komputera i zaczął stuknąć w klawiaturę.

David i Monique podeszli do stanowiska i spojrzeli Michaelowi przez ramię. Po kilku sekundach na ekranie ukazał się żołnierz stojący na środku zielonego pola. Miał na sobie mundur w kolorze khaki i hełm z wielkim czerwonym numerem jeden.

- To Wojownik - szepnął David. - Program się ładuje.

Po chwili na ekranie pojawił się napis: GOTOWY?

Michael wrócił do szafki i wyjął plastikową strzelbę, imitację M-16. Potem podszedł do jednej z gigantycznych kul, otworzył właz i wśliznął się do przezroczystej piłki.

- Cholera! - krzyknęła Monique - Co on tam robi?

Michael zamknął właz od środka i nasunął okulary na oczy. Trzymał w ręku strzelbę jak prawdziwy żołnierz piechoty. Zaczął maszerować. Oczywiście nie ruszył się z miejsca - kula kręciła się wokół niego niczym olbrzymi trackball. Michael przyspieszył kroku i kula zaczęła się obracać szybciej. Po chwili chłopak galopował już jak chomik w kółeczku do ćwiczeń. Kiedy David spojrzął na ekran komputera, zobaczył, jak umundurowany żołnierz biegnie przez pole.

- Cholera, to niesamowite. - Położył dłoń na plecach Monique i wskazał na platformę pod kulą. - Widzisz te wałki pod piłką? Mierzą, jak prędko się obraca, i badają kierunek rotacji. Potem przesyłają dane do komputera i dzięki temu żołnierz porusza się tak szybko, jak Michael. A Michael widzi całą symulację na wyświetlaczu okularów. Biega w wirtualnym świecie.

- To wspaniale, ale dokąd tak pędzi?

Manipulator kulkowy, touchpad (typ urządzenia wprowadzającego polecenia do komputera; „odwrócona” mysz).

- Wygląda na to, że dobrze się bawi. Pewnie znów przejdzie wszystkie stopnie zaawansowania, jak zwykle.
- A co się stanie, jak dotrze do poziomu SVIA/4?
- Nie wiem. Być może da się załadować teorię z serwera.

Ale założę się, że trzeba do tego użyć interfejsu wirtualnej rzeczywistości.

David przyglądał się ikonom na dole ekranu. W końcu znalazł tę, której szukał: OPCJA DLA DWÓCH GRACZY. Kliknął w nią, po czym znów pojawił się napis: GOTOWY?

Monique wlepiła w niego wzrok, gdy skierował się do szafki i wyjął kolejną parę okularów i plastikową strzelbę.

- Zaczynamy - powiedział. Po czym podszedł do drugiej kuli i otworzył włącz.

Simon stał na straży laboratorium Mid-South Robotics, podczas gdy profesor Gupta przeglądał na komputerze filmy z kamer monitorujących. Ekran był podzielony na dwanaście kwadratów, a w każdym z nich widać było, co w tej chwili obserwuje każdy Biegący Smok w Forcie Benning. Kilka minut przed południem komputer wydał dźwięk „ping” - program rozpoznający twarze zidentyfikował kogoś na jednym z filmów. Gupta zlokalizował robota i powiększył okno tak, że wypełniło cały ekran. Simon przybliżył się do stanowiska i ujrzał wysokiego, brzydkiego żołnierza obejmującego w tali jakąś dziwkę z dużym biustem.

Potem zobaczył poszukiwanych: Swifta, Reynolds i wnuka Gupty.

- Ciekawe - mruknął profesor. - Są w biurze WSW.
- WSW?
- Wirtualnej Symulacji Walk. Kiedyś dla nich pracowałem, zaprojektowałem interfejs wirtualnej rzeczywistości dla

Wojownika - przerwał, zamyślając się. - Tam również pracowała Elizabeth. Hans znalazł jej tę posesję.

Na ekranie widać było, jak poszukiwani wchodzą do pokoju i zamykają za sobą drzwi, odcinając się od monitorującego ich robota. Gupta prędko wyszedł z programu, tłukąc w klawiaturę.

- Kleinman! - krzyknął. - Ty stary głupcze!

- Co jest?

Profesor potrząsnął głową.

- Wydawało mu się, że jest taki sprytny! Ukrył to tuż pod moim nosem!

- Znaczy, *Einheitliche Feldtheorie*\*

Na ekranie pojawiło się nowe okno, Gupta wpisał w nim nazwę użytkownika i hasło. Próbował się zalogować do jakiejś sieci.

- Na szczęście jeszcze nie jest za późno. Wszystkie programy WSW mogą być sterowane zdalnie. Wojsko chciało, żeby żołnierze z różnych baz mogli ze sobą współzawodniczyć w wirtualnych bitwach.

Przez kilka sekund nic się nie działo, po czym na ekranie ukazała się długa lista serwerów wojskowych i raporty z ich działalności.

- Tak jak myślałem - powiedział Gupta. - U uruchomili Wojownika.

Simon spojrział przez ramię profesora z lekkim niepokojem:

- Mogą załadować teorię? Albo ją skasować?

Gupta kliknął na jeden z serwerów. Gdy sieć nawiązywała połączenie, spojrział na Simona.

- Idź do magazynu! Nie mają tu sprzętu do wirtualnej rzeczywistości, ale może chociaż jest joystick.

David stał na środku wielkiego pola otoczonego sosnami. Obracając się w prawo, widział porośnięte lasem wzgórza ciągnące się aż po horyzont. Kiedy spojrział w lewo, wyświetlacz okularów pokazywał przerwę między drzewami, a w niej grupkę niskich budynków. Grafika była niesamowicie realistyczna. Słyszał nawet ćwierkanie ptaków w słuchawkach, do których dołączone były małe głośniki i mikrofon do porozumiewania się z innymi graczami. W symulowanym krajobrazie było coś dziwnie znajomego. Po kilku sekundach David zorientował się, że wirtualny świat został zaprojektowany tak, by przypominać leśny teren w Fort Benning, na którym odbywały się ćwiczenia. Nad koronami drzew wyrastały wieże do skoków - teraz wydawało się, że są kilka kilometrów dalej.

- Na co czekasz?

David uniósł strzelbę, gdy usłyszał głos w słuchawkach. Na wyświetlaczu widział lufę swojego M-16, ale nigdzie w polu widzenia nie było nikogo innego.

- Hej! - krzyknął. - Kto tam?

- To ja, głuptasie - rozległ się głos Monique. - Jestem przy komputerze, widzę cię na ekranie. Wyglądasz dokładnie tak samo jak żołnierz Michaela, ale na hełmie masz wielką czerwoną dwójkę.

- Jak ci się...

- Wydawałeś się nieco zagubiony, więc znalazłam mikrofon przy komputerze, żeby ci powiedzieć, którądy masz iść. Michael jest w wiosce.

- W wiosce? - wymierzył w grupę budynków. - Znaczą, tam?

- Tak, dotarł już do poziomu B2, więc lepiej rusz tyłek. Z tego, co widzę, musisz się zbliżyć do Michaela zanim



osiągnięciu poziom SVIA/4. Inaczej nie uda ci się wejść na ostatni etap i załadować teorii.

David ostrożnie zrobił krok do przodu. Kula lekko obróciła się pod jego stopami. Zrobił krok w lewo, a kula zaczęła się kołysać na boki. Ruszył w kierunku przerwy między drzewami, najpierw powoli, a potem już pewniej.

- Nie jest tak źle. Po jakimś czasie już prawie normalnie.
- Spróbuj biegiem. Masz przed sobą kawał drogi.

Ruszył truchtem. Wyświetlacz okularów pokazywał zmieniający się krajobraz: David pędził przez pole, budynki w odległości stawały się coraz większe i po chwili zauważył ciemne postacie leżące na trawie twarzami w dół. To komputerowo wygenerowani wrogowie - ubrani jak terroryści, w czarnych kurtkach i bandanach. David widział ich już na konsoli.

- Wygląda na to, że Michael już się nimi zajął.
- Miej oczy otwarte - ostrzegła Monique. - Nie zastrzelił wszystkich.
- A co, jeśli mnie zastrzelą? Ile żyć mam w tej grze?
- Czekaj, sprawdzę w pliku z instrukcją. - Zapadła cisza. - Dobra, jeśli postrzelą cię w tułów albo kończyny, nie dasz rady się ruszać, ale jeszcze możesz strzelać. Jak cię postrzelą w głowę, automatycznie wracasz na start.
- I to pewnie niedobrze?
- Nie, jeśli chcesz dogonić Michaela. Właśnie dotarł do etapu B3.

David przyspieszył kroku, wymijając zabitych żołnierzy. Po kilku sekundach dotarł do wioski, która wyglądała na szarą i opuszczoną. Po jednej stronie głównej ulicy stał szereg dwupiętrowych budynków z pochyłymi dachami, a po drugiej skromny biały kościół z dzwonnica. Ulica była pusta, nie licząc ciała żołnierzy, którymi Michael najwyraźniej znaczył swoją

drogę. David pobiegł środkiem ulicy, zbliżając się do żółtego magazynu. Przed wejściem leżało sześć animowanych trupów. Starając się utrzymać równowagę wewnątrz kuli, David zwolnił i zajrzał do środka przez drzwi. Było ciemno, ale dostrzegł jakieś kształty na ziemi - kolejne ciała.

Już miał zrobić kolejny krok, wchodząc do budynku, kiedy usłyszał strzały. Zdawało się, że dochodzą z tyłu, więc odwrócił się. Przeciwnik biegł ulicą, strzelając z karabinu AK-47. Przez chwilę David zapomniał, że to tylko symulacja; spanikowany padł na ziemię i pociągnął za spust plastikowej strzelby, celując w postać w czarnej kurtce. Strzały zahuczały w słuchawkach i David upadł do tyłu. Wylądował na pośladkach, kołysząc się w tył i w przód. Wyświetlacz pokazał teraz tylko błękitne niebo i żółtą ścianę magazynu. Ale kiedy stanął na nogi, zobaczył przeciwnika na czworakach, krzywiącego się z bólu, ale wciąż z bronią w ręku.

- Strzelaj mu w głowę! - w słuchawkach rozległ się krzyk Monique. - Szybko, w głowę!

David wypalił w czaszkę żołnierza, po czym postać osunęła się na ziemię.

- Jezu! - zawołał, obracając się z karabinem, by sprawdzić, czy na ulicy nie ma innych wrogów. Oddychał szybko. Słyszał kolejne strzały, ale nie wiedział skąd.

- Maż do budynku! Michael jest na drugim piętrze!

Odwrócił się znów do wejścia i przekroczył leżące w środku ciała. Wyświetlacz ściemniał, gdy David szedł długim, wąskim korytarzem. Nogi miał jak z waty i zaczynało go mdlić. Pot spływał mu z czoła i zbierał się na krawędzi okularów.

- Cholera, nic nie widzę!

- Idź w lewo! W LEWO! Tam są schody!

Skręcił w lewo, zataczając się niczym pijany. Strzały odbijały się echem po korytarzu, ale widać było tylko białe błyski. Symulacja przejmowała kontrolę nad jego umysłem. Zaczynało mu się zbierać na wymioty. Nagle zapragnął ściągnąć okulary.

- Czekaj, muszę przerwać! Coś za mną...!

- Nie, idź dalej! Michael jest na poziomie C3. Już prawie kończy!

David wreszcie znalazł schody. Wyświetlacz rozjaśnił się, gdy on wspinał się do góry, po czym jego oczom ukazał się kolejny korytarz. Ruszył nim, mijając kilka pustych pomieszczeń, w których leżały zakrwawione ciała.

- Jak dotrzesz do końca korytarza, skręć w prawo - powiedziała Monique. - A potem...

Z jednego z pokoi, metr przed nim, wyskoczył żołnierz. David tak się przestraszył, że upuścił M-16. Cofnął się, odruchowo podnosząc dłonie do góry szykując się na wirtualną śmierć. Ale żołnierz tylko się obrócił i poszedł korytarzem w drugą stronę. David zbyt późno zauważył, że postać nie miała na sobie czarnej kurtki, tylko mundur w kolorze khaki, a na hełmie czerwoną jedynekę. To był Michael.

Podeksytowany David podniósł broń i ruszył za nim. Przy końcu korytarza żołnierz Michaela nagle skręcił w prawo i David usłyszał serię strzałów. Kiedy dogonił chłopca, cała szóstka pozostałych komputerowo wygenerowanych wrogów leżała twarzami w dół na ziemi.

- Udało się! - krzyknęła Monique! - Jesteś na ostatnim etapie!

Żołnierz Michaela podszedł do drzwi na drugim końcu pokoju. David wstrzymał oddech, mając nadzieję w końcu ujrzeć równania *Herr Doktora*. Ale zamiast tego weszli do czegoś, co

wyglądało jak szatnia. Wzdłuż wszystkich ścian ciągnęły się rzędy szafek na ubrania. Całe tuziny szafek. Żołnierz Michaela zbliżył się do jednej z nich i dotknął jej swoim M-16. W jego dłoniach pojawiła się nowa broń - strzelba z masywnym cylindrem pod lufą. Granatnik.

Serce Davida zamarło. To wcale nie był ostatni etap. To jakiś pośredni poziom, miejsce, gdzie wymienia się broń przed kolejną rundą bitwy.

- Cholera! Jak długo jeszcze to się ciągnie?

- Zaczekaj - odparła Monique. - Spójrz na litery na szafkach.

Na każdej szafce wypisano równymi literami jakieś inicjały, które najwyraźniej oznaczały stopnie wojskowe: na pierwszej szafce widniało SZER, czyli szeregowy, na drugiej - KPR jak kapral. Na trzeciej było napisane POR, czyli porucznik, i tak dalej. David rozpoznał pierwsze dwanaście stopni, ale potem skróty stały się niejasne: WO/I, CWO/5, CMSAF, MGYSGT.

- Sprawdź rząd na przeciwległej ścianie - powiedziała Monique. - Od drugiej do ostatniej szafki.

David dostrzegł litery SVIA/4.

- A niech to! Litery z konsoli!

Podbiegł do szafki i dotknął jej karabinem. Na wyświetlaczu zobaczył, jak w jego rękach pojawia się granatnik. Jednocześnie litery na szafce nagle zaczęły się obracać. S przesunęło się w lewo, A/4 w prawo, a VI obróciło się o dziewięćdziesiąt stopni zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Wynikiem był wzór:

$S < A/4$

David nie wiedział, co to oznacza. Ale nie był fizykiem.

- Monique, widzisz to? - zawołał do mikrofonu. - Czy...
- UWAŻAJ!

Znów usłyszał strzał. Obrócił się w sam czas, by ujrzeć, jak żołnierz Michaela upada na ziemię. Potem wyświetlacz zrobił się czerwony, jak gdyby zalała go krew.

Nędzna namiastka wojny, pomyślał Simon, spoglądając przez ramię Gupty na ekran komputera. Program był absurdalnie nierealistyczny, nawet jak na ćwiczenia. Postrzelony żołnierz nie wije się na ziemi ani nie wzywa swojej matki. Po prostu upada. To gra dla dzieci, zwykła zabawka. Gupta nie potrzebował pomocy Simona, musiał tylko zastrzelić kilku animowanych żołnierzy w tle.

Gdy profesor rozprawił się z przeciwnikami, podszedł do szafki z dziwnymi symbolami. Przesunął joystick, dotykając karabinem szafki. Najpierw na lufie pojawił się granatnik, a po kilku sekundach na ekranie pojawił się napis: GOTOWY NA ZAŁADOWANIE? TAK CZY NIE?

Gupta kliknął na TAK. Na ekranie zamigotała teraz wiadomość DO KOŃCA PROCESU POZOSTAŁO 0.46 SEKUND. Profesor wpatrywał się w ekran, gdy komputer odliczał czas do zakończenia. Wyglądał jak w transie, jak gdyby przyglądał się czemuś ukrytemu głęboko w komputerze.

- Przepraszam, *Herr Doktor* - szepnął - ale niepotrzebnie kazał mi pan czekać.

- David? Gdzie jesteś? Monitor zaczyna śnieżyć!

Słyszał głos Monique, ale nic nie widział. Wyświetlacz okularów pokazywał tylko gęstą czerwoną mgłą pokrywającą wszystko dookoła. Ostatnią rzeczą, jaką David zapamiętał, był widok upadającego żołnierza Michaela. Kiedy przypomniał

sobie ten widok, uprzytomnił sobie, że zauważył coś jeszcze w tle. Za Michaelem stał jeszcze jeden żołnierz. Nie komputerowo wygenerowana postać w czarnej kurtce, ale żołnierz w mundurze koloru khaki, z cyfrą 3 na hełmie.

David zdał z twarzy bezużyteczne okulary. Obok przezroczystej kuli Monique pochylała się nad stanowiskiem komputerowym, gorączkowo stukając w klawiaturę.

- Cholera! - wrzasnęła. - Ktoś inny wszedł na serwer! Proces ładowania się rozpoczął!

Po lewej stronie, w drugiej kuli, Michael poprawiał okulary. Nie wydawał się zaskoczony ani rozczerowany porażką. Po kilku sekundach podniósł broń i zaczął znów biec wewnątrz kuli. Zaczynał kolejną grę.

- Musimy wrócić na start - powiedział David. - Po prostu...

- Nie ma czasu! - Monique szarpała się za włosy. - Zostało tylko dwadzieścia sekund!

David nie umiał wymyślić innego wyjścia - znów założył okulary. Czerwona mgła już opadała; spodziewał się, że znów stanie na środku pola za wioską. Ale kiedy ostatnie krwawe smugi zniknęły, zobaczył rząd szafek z inicjałami na drzwiczkach. Teraz klęczał. Nadal był w szatni. Postrzelono go, ale nie w głowę.

Nie dał rady się ruszyć, ale mógł wycelować karabin. Żołnierz z trójką na hełmie stał przed szafką, na której zamiast równania widniał licznik czasu. Kiedy pokazał 0.09, David pociągnął za spust.

Simon dostrzegł jakiś ruch na ekranie komputera. Coś małego i okrągłego odbiło się od rzędu szafek i zniknęło z pola widzenia.

- Co to było? - zapytał, wskazując na komputer.  
Gupta nie odpowiedział. Nadal był zahipnotyzowany od liczeniem czasu.

- Coś się ruszyło na ekranie! Potem zniknęło po lewej stronie!

Marszcząc brwi, profesor przesunął joystick w lewo, pokazując obraz całej szatni. Na ziemi leżał zielony jajowaty przedmiot. Simon rozpoznał go od razu. To M406, granat używany przez wojsko amerykańskie.

David omal się nie przewrócił, wychodząc ze środka kuli. Spędził w wirtualnym świecie niecałe piętnaście minut, ale czuł się, jakby właśnie zdobył Iwo Jimę\*. Rzucił na bok okulary do wirtualnej rzeczywistości i plastikową strzelbę, po czym pokuśtykał w stronę Monique.

- Co się stało? - zapytał. - Zatrzymaliśmy to?

Nie podniosła głowy. Nadal pochylała się nad komputerem. Wzrok wlepiła w ekran monitora.

- Dlaczego użyłeś granatu? Miałeś tylko zastrzelić gnoja, żeby przerwać połączenie.

- Ale udało się zatrzymać proces ładowania, tak? Nie dostał teorii?

- O, tak, zatrzymałeś proces. Rozwaliłeś również Wojownika i skasowałeś pliki programowe.

David chwycił się krawędzi biurka.

- A co z plikiem, w którym była teoria?

- Nie ma go. Wszystko wyczyszczone. Plik był częścią oprogramowania gry, więc zniszczenie programu trwale go

Bitwa o Iwo Jimę miała miejsce od 19 lutego do 26 marca 1945 w czasie drugiej wojny światowej pomiędzy siłami Stanów Zjednoczonych i Japonii.

uszkodziło. Nawet gdyby ktoś chciał odzyskać dane z serwera, dostałby tylko stek bzdur.

Davidowi zrobiło się niedobrze, tak jakby znów wchodził do kuli. Ale tym razem cały wszechświat zawirował dookoła niego. Modele kosmosu, ukryty schemat rzeczywistości - wszystko zniknęło w jednej chwili przez jego błąd.

Monique w końcu podniosła wzrok znad komputera. Ku zaskoczeniu Davida uśmiechała się.

- Na szczęście doktor Kleinman powziął pewne środki ostrożności. Skonstruował tylną furtkę dla tego pliku. Zanim program uległ zniszczeniu, zapisał dane na pendrive'a.

- Co takiego?

Monique trzymała w dłoni mały srebrny walec, długi na siedem centymetrów i szeroki na trzy.

- Teoria jest tutaj. W każdym razie taką mam nadzieję. Lepiej wezmę laptop, żeby to sprawdzić.

David nie mógł się ruszyć. Wziął kilka głębokich oddechów, patrząc na pendrive'a. Do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, jak wiele teoria dla niego znaczyła.

Gdy Monique przeczesywała biuro w poszukiwaniu laptopa, Michael wyszedł z kuli. Odłożył do szafki okulary i strzelbę, po czym wziął do ręki gamę boya. Powrót z wirtualnego pola bitwy do urządzenia z małymi klawiszami i siedmiocentymetrowym ekranem musiał być jak upadek z wysoka. Ale twarz Michaela jak zwykle nie wyrażała żadnych emocji.

Chwilę później jego matka wyszła z sąsiedniego biura. Z pełnym obrzydzenia westchnieniem Elizabeth wygładziła rajstopy i poprawiła pasek przy bucie. Potem podeszła prosto do Davida.

- Dobra, gdzie reszta forsy?



- Gdzie Mannheim?  
- Śpi na kanapie. Szybko poszło. Ale i tak wisisz mi dwie stówy.

- Dobra, dobra. - David wyjął portfel i wygrzebał pieniądze. - Słuchaj, musimy opuścić bazę, zanim ktoś nabierze podejrzeń. Lepiej chodź z nami.

Chwyliła plik dwudziestodolarówek i włożyła za gumkę od rajstop.

- Może być. Wysadźcie mnie koło motelu.

Monique zdążyła znaleźć laptop; był to elegancki srebrny macbook. Jednak zanim go włączyła, David podszedł do okna i dostrzegł dwie niepokojące zmiany. Po pierwsze, samochód Graddicka nie stał już przy tylnym wejściu do Auli Piechoty. A po drugie, grupa żandarmów biegła w stronę budynku. Z daleka wyglądali jak wirtualni żołnierze z Wojownika, ale ich M-16 na pewno nie były plastikowe.

Lucille stała na placu apelowym w Fort Benning. Klóciła się z jednym z ludzi sekretarza obrony. Sekretarz przemawiał z podium znajdującym się przed Aulą Piechoty. Plac apelowy wypełniał trzytysięczny tłum żołnierzy i cywilów, a za podium wałęsało się jeszcze kilkaset osób, blokując dostęp do głównego wejścia do budynku. To istny koszmar dla ochrony - w takim tłumie nie da się prowadzić solidnych poszukiwań. Podejrzani najwyraźniej podstępem dostali się do bazy jakąś godzinę temu. Lucille chciała, żeby sekretarz obrony skrócił przemówienie, ale doradca Pentagonu odrzucił ten pomysł. Był głupim jak but dwudziestoparoletnim dzieciakiem przy kości.

- Planowaliśmy to wydarzenie od miesiący - powiedział.  
- Żołnierze się na to szykowali.

- Słuchaj pan, to sprawa bezpieczeństwa narodowego. Sły-  
szałeś o czymś takim jak bezpieczeństwo narodowe, prawda?  
To raczej ważniejsze od twojego zasranego wydarzenia!

Doradca wyglądał na zdezorientowanego:

- Bezpieczeństwo? Zdawało mi się, że żandarmeria miała  
się tym zająć.

- Chryste miłosierny! - rozdrażniona Lucille sięgnęła pod  
marynarkę i wyjęła glocka z kabury: - Mam cię postrzelić,  
żebyś zaczął słuchać, co mówię?

Ale nawet widok broni nie przemówił do zakutej pały.

- Proszę pani, proszę się uspokoić. Sekretarz już kończy.  
Zaraz opowie swój dowcip o kurczaku z trzema nogami.

Żandarmi wbiegli tylnym wejściem do Auli Piechoty i popeę-  
dzili po schodach na górę. David odsunął się od okna.

- Idziemy! - krzyknął na resztę towarzystwa - Tędy!

Ciągnął Michaela korytarzem, a Monique i Elizabeth biegly  
za nimi. David odruchowo skierował się na przód budynku,  
uciekając przed żandarmerią, chociaż wiedział, że najprawdo-  
podobniej czeka tam kolejny oddział. Kiedy dotarł do schodów  
nad głównym wejściem, usłyszał głosy dobiegające z parteru.  
Na początku wziął je za pokrzykiwanie nieustraszonych  
żołnierzy biegnących po schodach, ale po chwili rozległ się  
śmiech i oklaski. Brzmiało raczej jak impreza, a nie pościg.

Zbiegli w dół i wyszli do hallu, w którym tłoczyli się żołnie-  
rze i ich rodziny. Ubrani po cywilnemu mężczyźni i kobiety  
stali dookoła długiego stołu, na którym widać było miseczki z  
chipsami i sześciopaki coca-coli. Trwało jakieś przyjęcie.  
Ludzie wymieniali uściski dłoni, opowiadali kawały i opychali  
się jedzeniem. David torował sobie drogę wśród tłumu, oba-  
wiając się, że ktoś może wszcząć alarm, ale nikt nie zwracał

uwagi na niego ani na Michaela. Kilku żołnierzy obejrzało się za Elizabeth i Monique, ale nic więcej. Po niecałej minucie byli już na zewnątrz i dołączyli do ludzi zmierzających na parking. Gdy oddalali się od budynku, David ujrzał starszego mężczyznę, witającego się z kilkoma generałami. Jego twarz wyglądała znajomo. Jezu, pomyślał, to sekretarz obrony. Ścisnął mocniej ramię Michaela i przyspieszył kroku.

Szli tak w tłumie przez kilometr, kierując się na zachód, mijając kilka parkingów, gdzie odwiedzający błakali się, szukając swoich samochodów. Po dziesięciu minutach tłum się przerzedził, ale cała czwórka nadal szła w tym samym kierunku, podążając za drogowskazami, na których widniał napis: BRAMA ZACHODNIA, EDDY BRIDGE. Przeszli przez kort tenisowy, gdzie dwunastu żołnierzy grało w piłkę nożną. David nie widział ani jednego żandarma. Ani śladu pościgu.

Po kolejnych dziesięciu minutach ujrzeni przed sobą rzekę, kręty strumyk błotnistej wody z drewnianym nabrzeżem. To była rzeka Chattahoochie, zachodnia granica Fort Benning. Dwupasmowy mostek łączył oba brzegi - od strony bazy widać było bramkę detekcyjną. Szlaban był opuszczony, a przed nim stało kilka aut, czekając na wyjazd z bazy. Kierowcy tłukli w klaksony, ale dwóch żołnierzy pilnujących bramki stało nieruchomo jak posągi. Cholera, pomyślał David. Zamknęli bramy. Chciał się obrócić na pięcie, ale żandarmi i tak już pewnie ich zauważyli. Jedyna nadzieja w tym, że uda im się zagadać strażników tak, że ich przepuszczą.

Podeszli do bramki, starając się robić wrażenie ekscentrycznej rodziny na spacerze. David pomachał ręką do strażników:

- Hej, panowie! - krzyknął. - Dostaniemy się tędy na kemping?

- Chodzi panu o drogę na kemping Uchee Creek? - odparł jeden z nich.

- Tak, tak, właśnie ten.

- Przez mostek i trzy kilometry na południe. Ale teraz nie przejdziecie.

- Dlaczego?

- Alarm bezpieczeństwa. Czekamy na dalsze rozkazy.

- Ten alarm to pewnie tylko dla samochodów. Pieszko możemy chyba przejść?

Strażnik zastanowił się chwilę, po czym potrząsnął głową.

- Proszę chwilkę poczekać. Mam nadzieję, że to nie potrwa długo.

David i Monique spojrzeli po sobie niespokojnie, gdy duży samochód terenowy podjechał do bramki. Kierowca wyskoczył ze środka i podbiegł do żołnierzy. W ręce miał kilka ulotek; David nie widział, co jest na nich wydrukowane, ale gotów był się założyć, że jest tam również jego zdjęcie. Strażnik odwrócił się do nich tyłem, więc David po cichu przeprowadził Michaela, Monique i Elizabeth dookoła barierki. Skierowali się na oddalony o jakieś trzysta metrów mostek.

- Stać! - jeden z żołnierzy się odwrócił. - Gdzie się do diabła wybieracie?

David obejrzał się przez ramię, ale się nie zatrzymał.

- Przepraszam, ale bardzo nam się spieszy!

Drugi ze strażników, który już zdążył przejrzeć ulotki, wycelował w niego z pistoletu:

- NIE RUSZAJ SIĘ, DUPKU!

Po chwili wszyscy trzej żołnierze wyciągnęli rewolwery M-9. Kierowcy samochodów ustawionych w kolejce przed szlabanem przestali uderzać w klaksony; wszyscy zajęli się obserwowaniem sytuacji. Jako że wszystkie oczy spoczywały

teraz na strażnikach i na uciekinierach, nikt nie zauważył grzechotnika, dopóki nie upadł u stóp strażników. Gruby wąż koloru rdzy odbił się od asfaltu, wijąc się z bólu, po czym zatopił kły w najbliższej poruszającej się rzeczy. Tak się złożyło, że była to łydka jednego z żołnierzy. Strażnik krzyknął, po czym w powietrzu pojawił się kolejny lejący wąż. David spojrzał przed siebie i ujrzał Graddicka, przycupniętego za swoim samochodem, zaparkowanym na brzegu rzeki niedaleko mostka. Zamachnąwszy się, rzucił trzeciego grzechotnika w kierunku żandarmów, którzy teraz biegli do lasu. Potem machnął na Davida:

- Chodźcie, grzesznicy! - zawołał. - Wsiadajcie do auta!

Karen i Jonah znajdowali się w Brownsville, jednej z najuboższych dzielnic Brooklynu. Podążali za Glorią Mitchell, która maszerowała ścieżką komunalnego osiedla, pokrytą potłuczonym szkłem. Gloria była niestrudzonym reporterem - spędziła cały dzień, dowiadując się szczegółów podwójnego morderstwa. Najpierw rozmawiała z policją na miejscowym posterunku, potem przeprowadziła wywiad z przyjaciółmi i krewnymi ofiar. O dziewiątej wieczorem ciągle jeszcze pracowała, próbując znaleźć świadka strzelaniny. W zwykłych okolicznościach Karen nigdy nie odważyłaby się zawędrować nocą do Brownsville, ale tym razem akurat zupełnie nie czuła strachu. Stojące na rogach ulic gangi nastolatków ani trochę jej nie przerażały. Bała się tylko powoli sunącego chevroleta suburana, który wydawał się wszędzie za nimi podążać.

Gdy szybkim krokiem przechodzili przez opuszczony plac zabaw, z ciemności wyszedł wysoki mężczyzna o byczym karku. Światło było przyćmione, więc Karen zobaczyła tylko kontur postaci. Nie widziała jego twarzy; wiedziała

tylko, że ma na sobie garnitur, a za jego uchem wije się skręcony kabel.

Zatrzymała się i ścisnęła Jonaha za rękę. Ale Gloria, nie bojąc się niczego, podeszła prosto do agenta.

- Hej, kolego, zgubiłeś się? - zapytała.

- Nie - odpowiedział.

- Kwatera FBI znajduje się na Federal Plaza, w razie gdybyś nie wiedział. - Wskazała na zachód, w kierunku Manhattanu.

- Dlaczego sądzisz, że jestem z FBI?

- Po pierwsze, wskazuje na to twój tandetny garnitur. I to, że twoi kumple cały dzień za mną łążą.

- Nie chodzi o ciebie, tylko o twoją przyjaciółkę.

- W takim razie zapomnij o tym. Jeśli ją zaaresztujesz, artykuł na ten temat pojawi się na pierwszej stronie „New York Timesa” jutro z samego rana.

Agent sięgnął pod marynarkę i wyjął pistolet.

- Pieprzę „Timesa”. Czytam „Posta”.

Po czym wycelował w głowę Glorii i strzelił.

Karen chwyciła Jonaha i przytuliła go do siebie, żeby nie widział. Nogi jej zadrżały, gdy agent zrobił krok do przodu i światło latarni padło na jego twarz. Miał spuchnięty nos i posiniaczone czoło, ale rozpoznała go. To był agent Brock.

## Rozdział jedenasty

Simon opróżnił kolejną szklanę stolicznej. Siedział w salonie skromnego domku w Knoxville, należącego do Richarda Chana i Scotta Krinskiego, byłych studentów profesora. Gupta rozmawiał przez telefon w kuchni, podczas gdy Richard z uwagą napełniał szklanę Simona, a Scott częstował go obrzydliwą kanapką z tuńczykiem. Na początku Simon myślał, że mężczyźni są kochankami, ale po drugim drinku zorientował się, że dzieje się tu coś niezwykłego. Richard i Scott pracowali w Krajowym Laboratorium w Oak Ridge, gdzie konstruowali sprzęt do generowania wiązek protonowych o dużym natężeniu. Obaj byli bladymi niezgrabnymi chłopcami w okularach. Profesora traktowali z szacunkiem graniczącym z fanatycznym uwielbieniem. Co więcej, nie byli zaskoczeni widokiem Gupty i Simona w drzwiach swego domu. Dwaj młodzi naukowcy byli najwyraźniej od dawna zaangażowani w spisek. Choć nie wzbudzali strachu, Simon uznał, że mają jedną niezbędną cechę dobrego żołnierza: zrobią wszystko, co rozkaże dowódca. Byli oddani sprawie tak samo jak bojownicy dżihadu.

Gdy tylko Simon odstawił pustą szklanę na stolik, Richard zerwał się z kanapy i znów ją napełnił. Nieźle, pomyślał Simon, opierając się na krześle. Mógłby się do tego przyzwyczać.

- Czyli panowie pracują przy wiązkach cząstek, prawda? Obserwujecie protony, które krążą wewnątrz akceleratora?

Pokiwali głowami, ale żaden nie powiedział ani słowa. Najwyraźniej nie czuli się swobodnie, rozmawiając z rosyjskim najemnikiem.

- To musi być trudna robota - ciągnął Simon. - Trzeba się upewnić, że cząstki są odpowiednio skierowane, określić optymalne warunki uderzenia. Gdy protony się zderzają, dzieją się dziwne rzeczy, he?

Richard i Scott przestali kiwać głowami i spojrzeli po sobie. Na ich twarzach malowało się zaskoczenie i odrobina zmieszania. Pewnie zastanawiali się, jakim cudem płatny morderca dowiedział się tyle na temat fizyki cząstek elementarnych.

- Tak, bardzo dziwne - kontynuował Simon. - Ale może również pożyteczne. Gdybyście dotarli do zunifikowanej teorii, która określałaby dokładnie, jak ustawić kolizję cząstek, moglibyście osiągnąć ciekawe efekty, nie?

Teraz w ich oczach pojawiło się przerażenie. Richard omal nie upuścił butelki stolicznej.

- Ja... przepraszam - wyjąkał - ale nie wiem, o czym pan mówi...

- Nie przejmuj się - zachichotał Simon. - Wasz profesor wyjawiał mi tajemnicę. Na samym początku misji powiedział mi wszystko o możliwych zastosowaniach *Einheitliche Feldtheorie*. W przeciwnym wypadku nie wiedziałbym, jakie informacje mam wydobyć od współpracowników *Herr Doktora*.

To zapewnienie wcale nie uspokoiło obu fizyków. Richard zacisnął dłoń na butelce, a Scott zatarł ręce. Być może nie chcieli wiedzieć zbyt wiele o metodach stosowanych przez ich szacownego przywódcę.



W tej chwili Gupta zakończył rozmowę telefoniczną i wszedł do salonu. Richard i Scott równocześnie odwrócili głowy, niczym para lojalnych seterów irlandzkich wpatrzonych w pana. Profesor nagroził ich łaskawym uśmiechem, po czym wskazał na Simona.

- Chodź ze mną. Musimy coś omówić.

Simon odczekał chwilę, by nie wyglądało na to, że jest na czyjeś zawołanie. Potem wstał i podążył za Gupta do kuchni. Wszedł do obskurnego, ciasnego pomieszczenia z wiszącymi na ścianach szafkami.

- Rozmawiał pan z Brockiem? - spytał.

Profesor kiwnął głową.

- Ma żonę i syna Swifta. Teraz zmierza na południe tak szybko, jak się da. Może się okazać, że ma w ręku pożyteczną kartę przetargową.

- Zakładając, że Swift ma zunifikowaną teorię. Tego nie możemy być pewni.

- Oczywiście, że ma teorię. Nie bądź głupi.

Po raz kolejny Simon poczuł chęć, by urwać głowę starszkowi.

- Swift nie tylko zatrzymał proces ładowania danych. Skasował wszystko z serwera. Być może od początku miał zamiar zniszczyć teorię. Może Kleinman kazał mu to zrobić.

Gupta potrząsnął głową.

- Nie, to niemożliwe. To ostatnia rzecz, o jaką Kleinman by go prosił. Jestem pewien, że kazał mu zachować teorię.

- Być może Swift przemyśli ten rozkaz, kiedy zobaczy równania.

Profesor nadal potrząsał głową. Wydawał się całkowicie niewzruszony.

- Zaufaj mi, on ma teorię. I nie mógłby jej skasować, nawet gdyby chciał. Kolejny krok w rozwoju ludzkości jest nieunikniony. Nic nie może powstrzymać naszego pokazu.

Simon parsknął. Zaczynały go męczyć mesjaniczne przepowiednie Gupty.

- Dobra, założmy, że Swift faktycznie ma tę teorię. To nie zmienia faktu, że musimy go znaleźć, zanim zrobią to amerykańscy żołnierze.

Gupta niedbale machnął ręką, lekceważąc wszelkie trudności.

- To także jest nieuniknione. Za kilka godzin będziemy wiedzieli, gdzie jest Swift i jego towarzysze.

- A jakim cudem?

Staruszek wyszczerzył zęby w uśmiechu:

- Jest z nimi moja córka. Uzależniona od metamfetaminy. Jestem pewien, że robi się coraz bardziej zdesperowana.

Na oddalonej polance w Parku Narodowym Cherokee Graddick zbierał zeschnięte liście i gałęzie na ognisko. Jak się okazało, ten człowiek gór był doskonałym przewodnikiem dla uciekinierów; długie lata przemycania węży przez Appalachee pozwoliły mu do perfekcji opanować omijanie prawa. Po ucieczce z Fort Benning David chciał jechać do Meksyku albo do Kanady, ale Graddick przekonywał, że między nimi a granicą stoi zbyt wielu popleczników Szatana. Zawiózł ich do północnej Alabamy, jadąc krętymi drogami w górę zbocza Sand Mountain. Pod wieczór przekroczyli granicę Tennessee i dotarli do Great Smokies.

Wydawało się, że Graddick zna każde wzgórze i dolinę w okolicy. Na skrzyżowaniu zwanym Coker Creek skierował się zwirową dróżką w dół i zaparkował za krzakami kudzu. Potem

zaczął szykować ognisko, pogwizdując *Amazing Grace*, podczas zbierania gałęzi na podpałkę. David był zdumiony jego wielkodusznością. Poznali się przecież dopiero zeszłej nocy, a teraz ryzykował dla nich życie. Chociaż David nie pisał mu nawet słówka o Einsteinie ani o zunifikowanej teorii pola, Graddick najwyraźniej przeczuwał, że chodzi o coś niezwykle ważnego. Rozpatrywał ich sytuację w kontekście religijnym: brali udział w bitwie, w apokaliptycznej walce z zastępami demonów, które próbowały opanować Królestwo Boże. Co wcale nie było dalekie od prawdy, pomyślał David.

Księżyc w nowiu był odrobinę grubszy niż wczorajszej nocy; rzucał blade światło na pofałdowane wzgórza dookoła. David usiadł na polance z Michaelem, który oparł konsolę o pień drzewa. Jego matka spała w samochodzie; podczas długiej podróży stała się niesamowicie nerwowa - przeklinała i trzęsła się, żądając, by ją wypuścić. W końcu jednak uspokoiła się i usnęła. Monique spędziła połowę drogi, uciszając Elizabeth, a potem pracowała na laptopie, który ukradła z laboratorium WSW.

Dobra wiadomość była taka, że pendrive faktycznie zawierał pracę naukową napisaną przez Einsteina ponad pięćdziesiąt lat temu. Zła wiadomość była taka, że pracę napisano w języku niemieckim. Tytuł brzmiał: *Neue Untersuchung iiber die Einheitliche Feldtheorie*. David wiedział mniej więcej, jak to przetłumaczyć - byłoby to prawdopodobnie: nowe ujęcie zunifikowanej teorii pola. Ale tylko tyle udało mu się zrozumieć. Praca składała się z kilkudziesięciu stron zapisanych równaniami, ale symbole, liczby i indeksy były dla Davida równie niezrozumiałe co otaczające je niemieckie słowa. Równania w niczym nie przypominały tych, które widział w innych pracach Einsteina. *Herr Doktor* najwyraźniej poszedł w zupełnie

niezbadanym kierunku, stosując całkowicie odmienną matematykę. Było to niezmiernie frustrujące: trzymali w rękach odpowiedź, ale nie potrafili jej zinterpretować.

Monique siedziała samotnie na splechietku trawy, wciąż wpatrując się w ekran laptopa. David zajął jej przez ramię, ale skarżyła się, że przeszkadza jej się skupić, więc wycofał się na drugi koniec polanki. Cholera, pomyślał. Gdyby tylko znał niemiecki! Ale nawet gdyby był rodowitym Niemcem, nadal miałby kłopot z matematyką. Nie, Monique zdecydowanie lepiej się do tego nadawała. Znała się na wielu gałęziach matematyki; już nawet powiedziała Davidowi, że niektóre z równań wyglądają znajomo.

Wetknąwszy kilka skrawków gazety w stos drewna, Graddick podpalił je zapałką. Poszedł do samochodu i wrócił, niosąc pięć puszek gulaszu wołowego, które otworzył i postawił przy ogniu. Potem usiadł na trawie koło Davida i Michaela.

- Mamy szczęście - stwierdził, wskazując na gwiazdzone niebo. - Nie będzie dziś padać.

David kiwnął głową. Michael nadal grał w Wojownika. Graddick wskazał na księżyc na wschodzie tuż nad horyzontem.

- Jutro pojedziemy w tym samym kierunku - powiedział. - Do Haw Knob. Pojedziemy Smithfield Road do samego końca, a potem pójdziemy w góry.

- Dlaczego właśnie tam? - spytał David.

- To dobra kryjówka. Są tani wapienne pieczary i niedaleko górskie źródło. No i jest dobry widok, więc jeśli ktoś was będzie ścigał, zobaczycie go z awansu.

- Ale co będziemy jedli? Znaczący, jak już nam się skończy gulasz?

- Nie martw się, będę wam dostarczał zapasy. Ludzie Szatana nie mnie szukają, więc mogę swobodnie chodzić w tę

i z powrotem. Możecie siedzieć na górze w Haw Knob aż do lata. Do tego czasu poganie zrezygnują już z pościgu i łatwiej wam będzie przedostać się do Kanady, Meksyku czy gdzie tam chcecie jechać.

David próbował sobie wyobrazić lato spędzone w wapiennej pieczarze z Monique, Michaeliem i Elizabeth. Plan był gorzej niż zły - był beznadziejny. Nieważne, jak długo chowałiby się w górach, FBI nie przestanie ich szukać. Nawet gdyby jakimś cudem udało im się uniknąć pościgu i przedostać się przez granicę, nadal nie byłiby bezpieczni. Prędzej czy później Pentagon ich wytropi - w Kanadzie, w Meksyku czy na Antarktydzie.

Po kilku minutach Graddick wstał i podszedł do ogniska, które zdążyło się już porządnie rozpalić. Owinął dłoń szarą rękawicą i wyjął podgrzane puszki gulaszu, po czym rozdał je Davidowi, Michaelowi i Monique. Dał im również plastikowe łyżeczki, które znalazł w schowku w samochodzie. Gulasz był ledwo ciepły, ale David i tak zabrał się do jedzenia w nadziei, że na chwilę uda mu się zapomnieć o problemach, gdy zajmie się wygrzebywaniem kleistej wołowiny z puszek. Jednak zanim przełknął kęs, podniósł głowę i ujrzał stojącą nad nim Monique. Stała jakiś metr od niego z laptopem w rękach i lartarką pod pachą. Mimo panującej ciemności widział, że jest podekscytowana. Otworzyła usta, oddychając szybko.

- Mam coś - powiedziała. - Ale to ci się nie spodoba.

David odłożył puszkę i wstał. Podprowadził Monique do uschniętej sosny na skraju polanki, około siedmiu metrów od Michaela i Graddicka. Spodziewał się, że w takiej chwili będzie czuł radosny triumf, ale teraz miał złe przeczucia. Migoczące płomienie rzucały światło na lewy policzek Monique, ale reszta twarzy nadal kryła się w ciemności.

- Jest? - zapytał. - Zunifikowana teoria?
- Na początku nie byłam przekonana. Prawdę mówiąc, równania wyglądały jak bełkot. Ale potem przypomniałam sobie, o czym rozmawialiśmy wczoraj w nocy. Teoria geonów.
- Chcesz powiedzieć, że ma z tym coś wspólnego?
- Zajął mi chwilę, zanim zobaczyłam związek. Ale im dłużej się przyglądałam równaniom, tym bardziej przypominały wzory z topologii. Wiesz, matematyka powierzchni, kształtów, węzłów. I wtedy przypomniałam sobie o geonach, węzłach czasoprzestrzeni. Popatrz, pokażę ci.

Monique otworzyła laptop i stanęła obok Davida, żeby mógł zobaczyć ekran. Mrużąc oczy, ujrzał stronę z dwunastoma równaniami; każde z nich było szeregiem greckich liter i dziwnych symboli - widełek, znaków funta, kółek z krzyżykami w środku. Tak, to zdecydowanie wyglądało jak bełkot.

- Co to u diabła jest?

Wskazała na samą górę strony.

- To zunifikowane równanie pola, zapisane w języku topologii różniczkowej. Jest podobne do klasycznych równań teorii względności, ale obejmuje również fizykę cząstek elementarnych. Einstein odkrył, że wszystkie cząstki są geonami. Każda cząstka jest innym rodzajem skręcenia czasoprzestrzeni, a te właśnie siły tworzą zmarszczki w jej strukturze!

Mówiła coraz głośniejszym głosem, chwyciwszy Davida za rękaw. Przyciągnęła go do siebie, żeby mógł się przyjrzeć równaniom, ale nadal nic z nich nie rozumiał.

- Czekaj, czekaj. Jesteś pewna, że to prawda?
- Patrz, patrz tutaj! - Przesunęła palec na sam dół strony. - To jedno z rozwiązań równania pola, opisujące cząstkę elementarną o ładunku ujemnym. To geon, maleńki tunel

z zamkniętymi krzywymi czasowymi. Rozwiązanie przewiduje nawet masę cząstki. Poznajesz tę liczbę? Tuż pod paznokciem Monique widniało:

$$M= 0,511 \text{ MeV}/c^2$$

- Jezu Chryste! - wyszeptał David. - Masa elektronu.

Mimo że matematyka nie była jego dziedziną, wiedział, że jedną z cech teorii ostatecznej miało być to, że przewidywałyby masy wszystkich cząstek elementarnych.

- A to tylko początek. Jest tu co najmniej dwadzieścia innych rozwiązań dla cząstek z innymi ładunkami i spinami". Większość z tych cząstek odkryto już po śmierci Einsteina. Przewidział nawet istnienie kwarków i taonów. I znalazł rozwiązania dla cząstek, których jeszcze nie odkryto. Ale dam głowę, że istnieją.

Monique przewinęła plik, pokazując kolejne strony równań topologicznych. Patrząc na ekran, David poczuł radość rosnącą w sercu, a po chwili w całym ciele. Mógł to porównać tylko z zachwytem, jaki czuł, kiedy urodził się Jo-nah. To ostateczny triumf fizyki, klasyczna teoria połączona z mechaniką kwantową, jeden zestaw równań, opisujących wszystko, począwszy od wewnętrznego działania protonu, a skończywszy na strukturze galaktyki. Odwrócił się i uśmiechnął do Monique:

- Wiesz co? To się tak bardzo nie różni od tego, co próbują zrobić specjaliści od teorii strun. Tyle tylko, że cząstki elementarne są pętlami czasoprzestrzeni, a nie strunami energii.

Wewnętrzny moment pędu danej cząstki w układzie, w którym spoczywa.

- To jest kolejne podobieństwo. Popatrz. - Przewinęła jeszcze kilka stron i postukała palcem we wzór, który wyróżniał się na tle innych:

$$S < A/4$$

- Widziałem to w Wojowniku!

Monique kiwnęła głową.

- To się nazywa zasada holograficzna.  $S$  oznacza maksymalną ilość informacji, jaką można upchnąć w jakimś fragmencie przestrzeni, a  $A$  to pole powierzchni ograniczającej ten fragment. Zasadniczo wynika z tego, że wszelkie informacje w każdej przestrzeni trójwymiarowej - pozycja każdej cząstki elementarnej, natężenie każdej siły - da się zawrzeć na dwuwymiarowej powierzchni otaczającej tę przestrzeń. Można więc spojrzeć na wszechświat jak na hologram, taki jakiego widzisz na swoich kartach kredytowych.

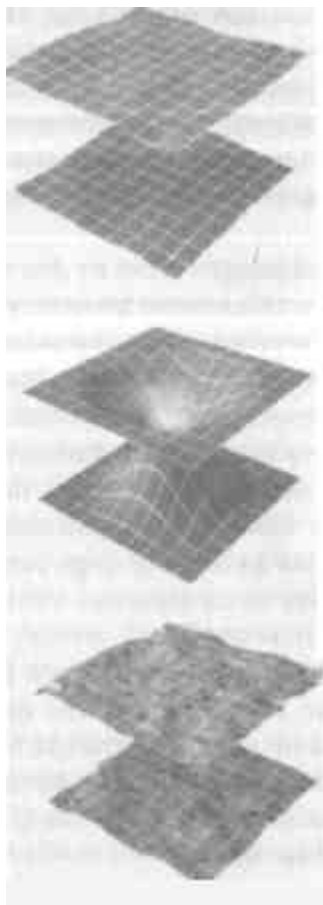
- Czekaj, chyba już o tym słyszałem.

- Naukowcy od teorii strun od lat dyskutowali na temat zasady holograficznej, bo daje nam ona możliwość uproszczenia fizyki. Ale okazuje się, że Einstein wpadł na ten pomysł już pół wieku temu. Na tym właśnie zbudował swoją zuniifikowaną teorię. Użył zasady holograficznej, by przełożyć całą cholerną historię wszechświata. Masz to w drugiej części pracy, o, tutaj.

Wskazała na kolejne dziwaczne równanie. Obok niego znajdowała się seria rysunków wykonanych na komputerze. Doktor Kleinman najwyraźniej skopiował trzy szkice, które Einstein narysował odręcznie wiele lat temu. Na pierwszym obrazie widniały dwa płaskie arkusze zbliżające się do siebie. Na drugim rysunku arkusze wyginały się i falowały, zderzając



się, a na trzecim oddalały się od siebie, upstrzone nowo powstałymi galaktykami:



- Co to takiego? - zapytał David. - Wyglądają jak folia aluminiowa.

- W teorii strun nazywamy je branami. Na rysunkach wyglądają na dwuwymiarowe, ale w rzeczywistości każda z nich przedstawia trójwymiarowy wszechświat. Wszystkie galaktyki, gwiazdy i planety w naszym wszechświecie znajdują się w jednej z takich bran. To raczej lep na muchy, a nie folia, ponieważ prawie wszystkie cząstki subatomowe przyklejają się do niej. A druga brana to inny, odrębny wszechświat. Obie poruszają się w większej przestrzeni zwanej bulk, która ma dziesięć wymiarów.

- Dlaczego się zderzają?

- Jednym z kilku elementów, które mogą opuścić brane i przemieszczać się w przestrzeni, jest grawitacja. Jedna brana może siłą grawitacji przyciągać inną, a podczas zderzenia wykrzywają się, generując olbrzymie ilości energii. Sama pracowałam nad tym zjawiskiem i dlatego natychmiast rozpoznałam rysunki, ale moja praca nawet nie umywa się do tego, co tu mamy. Einstein opracował dokładne równania dla naszej brany i dla jej ewolucji. Jego zunifikowana teoria wyjaśnia, jak to wszystko się zaczęło.

- Chodzi ci o Wielki Wybuch?

- To właśnie pokazują te rysunki. Dwie puste brany zderzają się, a energia zderzenia wypełnia nasz wszechświat, zmieniając się w atomy, gwiazdy i galaktyki, a wszystkie razem gigantyczną falą uderzają na zewnątrz. - Znowu chwyciła go za rękaw i spojrzała mu w oczy. - To jest to, David. Odpowiedź na zagadkę stworzenia świata.

Ze zdumieniem przyglądał się rysunkom.

- Ale gdzie jest dowód? Oczywiście, to ciekawy pomysł, ale...

- Dowód masz tutaj! - Monique uderzyła palcem we wzory pod rysunkami. - Einstein przewidział wszystko to, co astronomowie zaobserwowali w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat. Tempo rozprzestrzeniania się wszechświata, rozbitcie materii i energii; wszystko jest tu uwzględnione!

Oszołomiony David wpatrywał się w równania topologiczne. Żałował, że nie może ich odczytać tak łatwo jak Monique.

- To w czym problem? - zapytał. - Dlaczego powiedziałaś, że mi się to nie spodoba?

Westchnęła głęboko i przewinęła kolejną stronę ezoterycznych symboli.

- Jest jeszcze coś, co może wymknąć się z brany i przejść w dodatkowe wymiary przestrzeni. Pamiętasz co to jest neutrino, tak?

- Jasne. To coś jak młodszy brat elektronu. Cząstka bez ładunku i z bardzo małą masą.

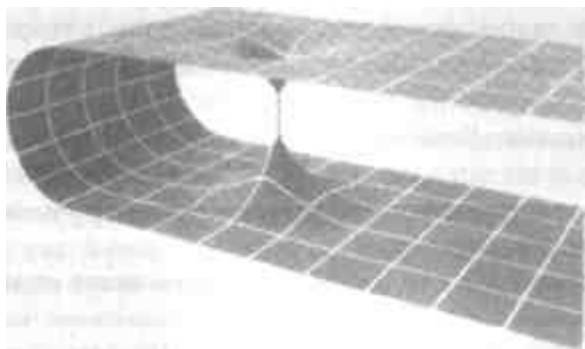
- Widzisz, niektórzy fizycy spekulowali, jakoby istniała cząstka zwana sterylnym neutrino. Nazwali je sterylnym, bo zwykle nie oddziałuje z innymi cząstkami w naszym wszechświecie. Sterylne neutrino przelatują przez dodatkowe wymiary i przenikają przez naszą branę jak woda przez sito.

- Pozwól, że zgadnę. Zunifikowana teoria zawiera równanie także dla tej cząstki?

Kiwnęła głową.

- Tak, to też jest w tej pracy. I to równanie przewiduje, że wyginając czasoprzestrzeń naszej brany, można spowodować wybuch takich cząstek. Jeżeli brana wygina się w wystarczającym stopniu, sterylne neutrino mogą wystrzelić z jednej części naszego wszechświata i dotrzeć do innej, podróżując przez branę na skróty. Popatrz na to.

Pokazała reprodukcję kolejnego rysunku Einsteina.



David rozpoznał obrazek.

- To tunel czasoprzestrzenny, prawda? Most łączący odległe miejsca czasoprzestrzeni?

- Tak, ale tylko sterylne neutrina mogą przemieszczać się na skróty. I według zunifikowanej teorii, mogą zyskać energię, przenikając przez dodatkowe wymiary. Mogą w ten sposób zdobyć niesamowitą ilość energii, jeśli wiązka neutrin jest odpowiednio skierowana.

David potrząsnął głową. Sprawy zaczynały go niepokoić.

- A co się dzieje, jeśli te cząstki o dużej energii powrócą do naszego wszechświata? Czy teoria mówi coś na ten temat?

Monique zamknęła laptop i wyłączyła zasilanie. Nie chciała, żeby David zobaczył ostatnie równania teorii.

- Powracające cząstki mogą spowodować gwałtowne wypaczenie czasoprzestrzeni. Ilość uwolnionej energii zależy od tego, jak ustawi się doświadczenie. W odpowiednich warunkach można wykorzystać ten proces do generowania ciepła

lub elektryczności. Ale można go również zastosować jako broń.

Igiełki pobliskiej sosny zaszeleściły na lekkim wietrze. Choć powietrze było jeszcze ciepłe, David nagle poczuł, że robi mu się zimno.

- Czyli można wybrać punkt, w którym cząstki mają po wrócić do naszego wszechświata? Wystrzelić wiązkę neutrin z Waszyngtonu i odbić ją rykoszetem od dodatkowych wymiarów tak, aby uderzyła w bunkier w Teheranie?

Znów kiwnęła głową.

- Miałyby się wtedy dokładną kontrolę nad współrzędnymi celu i nad rozmiarem wybuchu. Jeden wybuch sterylnych cząstek mógłby zniszczyć laboratorium nuklearne w Iranie albo w Korei Północnej, nawet gdyby było ukryte kilometr pod ziemią.

Teraz David już wiedział, dlaczego FBI ścigało ich przez cały kraj. Taka broń byłaby nieoceniona w walce z terroryzmem. Pentagon mógłby wyeliminować wrogów bez konieczności wysyłania komandosów czy pocisków samosterujących. Wiązka cząstek podróżowałaby przez dodatkowe wymiary, więc umknęłaby radarom, działom przeciwlotniczym i wszelkim innym urządzeniom obronnym.

- Jaką ilość energii może wygenerować taka wiązka? Jest jakaś górna granica?

- I to właśnie jest problem. Nie ma. Przy użyciu tej technologii można by wysadzić cały kontynent.

Trzymała laptop na odległość ramienia, jakby mógł w każdej chwili eksplodować.

- Ale nie powiedziałam ci jeszcze najgorszego: taką broń byłoby znacznie łatwiej skonstruować niż na przykład bombę atomową. Nie trzeba wzbogacać uranu do głowic ani wypusz-

czać pocisków raketowych, żeby dostarczyć je na miejsce. Potrzebne są tylko równania i zespół inżynierów. W Iranie i Korei Północnej poradziłoby sobie z tym bez problemów. Nie wspominając już o al Kaidzie.

David odwrócił się od niej i spojrział na ognisko.

- Cholera - mruknął. - Nic dziwnego, że Einstein nie chciał tego opublikować.

- Tak. To oczywiste, że zrozumiał te implikacje. W ostatniej części swojej pracy zawarł wzory opisujące generację wiązek biegnących przez dodatkowe wymiary. Należałoby wygiąć maleńki kawałek czasoprzestrzeni w idealnie kulisty kształt. Prawdopodobnie dałoby się to zrobić, zderzając protony w akceleratorze.

Serce Davida zaczęło mocno walić.

- To znaczy, że ktoś mógłby zbudować tę broń przy użyciu akceleratora cząstek?

Płomień ogniska zmienił nieco kierunek, podmuchiwany wiatrem i przez sekundę wydawało się, że twarz Monique zniknęła.

- Akceleratory w narodowym laboratorium już teraz są zaprojektowane tak, by zmaksymalizować liczbę zderzeń między cząstkami. Kojarzysz Tevatron, akcelerator w Fermilabie? Tamtejsi fizycy są w stanie upchnąć miliardy protonów w obszar mniejszy niż jądro uranu. Oczywiście, należałoby odpowiednio dostroić akcelerator, by wyginał czasoprzestrzeń i generował sterylne neutrino. Ale równania Einsteina pozwoliłyby obliczyć konieczne zmiany.

Jej ostatnie słowa odbiły się echem na ciemnej polance. David nerwowo obejrzał się przez ramię i zobaczył, jak Graddick wrzuca do ogniska pustą puszkę po gulaszu. Potem wziął kolejną puszkę, jeszcze pełną, i skierował się w zarośla,

tam, gdzie zaparkował samochód. Chciał obudzić Elizabeth i spytać, czy ma ochotę na kolację.

David znów odwrócił się do Monique.

- Dobra, mamy teraz dwie możliwości. Możemy przemycić pendrive przez granicę i skontaktować się z ONZ albo z Trybunałem Sprawiedliwości. W każdym razie z jakąś organizacją, której można by zaufać, że będzie strzegła teorii. Albo możemy sami ją ukryć. Być może znajdziemy lepsze miejsce niż...

- Nie, nie możemy jej ukryć. - Monique wyciągnęła pendrive z portu USB w laptopie. Mały srebrny walec zaśnił w jej dłoni. - Musimy ją zniszczyć.

Mięśnie Davida stężyły. Poczuł nagłą chęć, by wyrwać jej pendrive z ręki.

- Zwariowałaś?! To teoria ostateczna!

Zmarszczyła brwi.

- Wiem, co to jest. Przez ostatnie dwadzieścia lat nad tym pracowałam.

- W takim razie powinnaś wiedzieć, że nie możemy tego tak po prostu wyrzucić! Musimy to zachować, a nie niszczyć!

Monique zacisnęła palce na nośniku.

- To zbyt ryzykowne, David. Jeżeli Einsteinowi nie udało się utrzymać teorii w ukryciu, dlaczego myślisz, że tobie się to powiedzie?

Potrząsnął głową, gotując się w środku z frustracji.

- Doktor Kleinman kazał mi strzec teorii! To były jego ostatnie słowa: pilnuj tego!

- Wierz mi, nie chcę tego robić. Ale musimy mieć na uwadze bezpieczeństwo ludzkości. Terrorysty pragną tej teorii tak samo jak rząd. Są już bardzo blisko celu. Pamiętasz żołnierza w Wojowniku? Tego z trójką na hełmie?

Ścisnęła pendrive jeszcze mocniej. Patrząc na nią, David przypomniawsobie równania Einsteina. Przelatywały mu przed oczami. Nadal wyglądały jak bełkot, ale udało mu się zapamiętać kilka wzorów.

- Za późno - powiedział. - Widzieliśmy teorię. Jest już w naszych głowach.

- Nie pokazałam ci wszystkich równań. A moja pamięć nie jest tak dobra jak twoja. Kiedy już zniszczymy pendrive, oddamy się w ręce FBI. Przesłuchają nas, ale nie mogą nas zmusić do powiedzenia czegokolwiek. Wolałabym mieć do czynienia z nimi niż z terrorystami.

David skrzywił się na wspomnienie swojego przesłuchania w kwaterze FBI na Liberty Street.

- To nie będzie takie proste. Słuchaj, a dlaczego nie...

Przerwał mu krzyk dochodzący z oddali. To był głos Graddicka. Przybiegł teraz na polankę, cały spocony, z rozbieganymi oczami.

- Nie ma jej w samochodzie! - wrzasnął. - Elizabeth zniknęła!

Do ciężkiej cholery, myślała Beth, tu nie ma nic oprócz drzew! Potykała się, idąc boso w dół żwirową drogą. Próbowwała wrócić na autostradę. Las był tak gęsty, że ni cholery nie było widać. Co chwila uderzała palcami w korzenie i skały. Zostawiła czółenka w samochodzie tego grubego wariata, więc teraz jej stopy były poranione do krwi, ale nie zwracała na to uwagi. Potrzebowała tylko porządnego strzału. Ale mimo że miała trzysta dolarów ukryte za paskiem spodni, wiedziała, że raczej nie natrafi w tym zakichanym lesie na żadnego dilerka.

W końcu zobaczyła migoczące przez liście światło w oddali. Pobiegnęła w tym kierunku i dotarła do jednopasmowej drogi nu-



mer sześćdziesiąt osiem, blado połyskującej w świetle księżyca. Prędzej czy później zatrzyma się jakiś napalony frajer. Otrząsnęła stopy ze zwiru, odgarnęła włosy z oczu i wsunęła podkoszulek w spodnie, by wyeksponować piersi. Ale droga była pusta. Ani jednego pieprzonego auta. Po dziesięciu minutach ruszyła przed siebie, mając nadzieję, że trafi na jakąś stację benzynową. Nie było zimno, ale zaczęła szczekać zębami.

- Kurwa! - krzyknęła w kierunku drzew. - Potrzebuję pieprzonego strzału!

Ale w odpowiedzi usłyszała tylko dźwięk cykad.

Beth była już bliska upadku, gdy nagle za zakrętem ujrzała długi niski budynek. Był to niewielki ciąg sklepów - stoisko z upominkami, poczta, stacja paliw.

Alleluja, pomyślała. Nareszcie cywilizacja! Teraz przydałby się jeszcze kierowca ciężarówki, który podwiózłby ją do najbliższego miasta. Ale kiedy podbiegła bliżej, zauważyła, że wszystkie sklepy są zamknięte, a na parkingu nie ma ani jednego samochodu. Nagle zrobiło jej się niedobrze, chwyciła się za żołądek. I wtedy zobaczyła przed pocztą automat telefoniczny.

Na początku stała jak sparaliżowana. Znała numer, pod jaki mogła zadzwonić, ale nie wykonała żadnego ruchu. Ze wszystkich ludzi na świecie ten drań był ostatnim, z jakim chciałaby rozmawiać. Ale dawno temu powiedział jej, że w sytuacji awaryjnej zawsze może do niego zadzwonić. Na wszelki wypadek zapamiętała numer jego komórki.

Beth podeszła do telefonu. Drżącymi palcami wykręciła numer operatora i zamówiła rozmowę na koszt odbierającego. Po krótkiej chwili usłyszała głos tego sukinsyna.

- Witaj, Elizabeth, kochanie. Co za miła niespodzianka.

Dzięki Bogu, Jonah zasnął. Przez ostatnie trzy godziny Karen obserwowwała, jak próbuje uwolnić się z więzów krępujących jego kostki i nadgarstki. Ten potwór Brock próbował zakneblować chłopca, żeby stłumić jego krzyki, ale to oczywiście jeszcze bardziej go wystraszyło. Karen również była związana i zakneblowana, ale czuła, jak jej syn drży, leżąc obok niej na podłodze samochodu Brocka. Najbardziej bolało ją to, że nie może pocieszyć Jonaha - nie może go objąć ani szepnąć mu do ucha: „Wszystko będzie dobrze, zobaczysz”.

Mogła tylko przysunąć czoło do jego głowy i spróbować wydobyć z siebie uspokajające mruczenie przez wilgotny materiał, który zatykał jej usta.

Koło północy, kiedy przejechali już co najmniej trzysta kilometrów, Jonah w końcu przestał krzyczeć. Zmęczenie wzięło górę nad strachem i usnął, wtulając mokrą od łez buzię w szyję matki. Kiedy zasnął, Karen przewróciła się na bok, by wyjrzeć przez okno samochodu. Zauważyła drogowskaz: WYJAZD 315, WINCHESTER. Byli już w Wirginii, zmierzali na południe drogą 1-81. Nie miała pojęcia, dokąd jadą, ale gotowa była się założyć, że na pewno nie do kwatery FBI.

Brock siedział za kierownicą, jedząc chipsy z wielkiej paki i słuchając retransmisji *Rush Limbaugh Show*\*. Nawet z tyłu wyglądał brzydko - pod linią włosów i za uszami miał różowe plamy. Karen na chwilę zamknęła oczy, przypominając sobie zimny uśmiech na twarzy agenta, gdy po zastrzeleniu Glorii wymierzył pistolet w nią i Jonaha. Potem otworzyła oczy, a następnie je zmrużyła, koncentrując całą swoją cichą furię na tym paskudnym skurwielu.

Audycja radiowa nadawana w Stanach Zjednoczonych od 1988 roku. Od samego początku była jednym z najpopularniejszych programów.

- Już nie żyjesz - wyszeptwała przez knebel. - Zabiję cię, zanim ten koszmar się skończy.

Zdegustowana Lucille uderzyła pięścią w jedną z przezroczy-  
stych kul w laboratorium Wirtualnej Symulacji Walk. Poświę-  
ciwszy szesnaście godzin na rozkładanie serwerów i terminali  
w laboratorium, zespół ekspertów komputerowych Departam-  
entu Obrony doszedł do wniosku, że dane zapisane w opro-  
gramowaniu gry zostały bezpowrotnie utracone. Teraz była  
ósmo rano, a Lucille była wściekła jak osa. Wojsko na całej linii  
zawaliło poszukiwania zbiegów; pozwoliwszy im uciec z bazy,  
dowódca zwlekał dwie godziny, zanim zawiadomił policję w  
Georgii i Alabamie. Delta Force ustawiło punkty kontrolne na  
głównych autostradach z Columbus, ale co najmniej połowa  
dróg na tym obszarze była wciąż pozbawiona nadzoru. Prawda  
była taka, że nie mieli ludzi. Armia wysłała tylu żołnierzy do  
Iraku, że nie dali rady obronić własnego podwórka.

Lucille odwróciła się od kul i opadła na krzesło. Kompu-  
terowi maniacy z Pentagonu już pakowali manatki. Sięgnęła  
do kieszeni spodni i znalazła paczkę marlboro. Całe szczęście  
zostały jeszcze dwa papierosy. Wyjęła jednego i zaczęła szukać  
zapalniczki, ale nie było jej w żadnej z kieszeni. Jezu, pomy-  
ślała, gdzie ona się do cholery podziała? To była jej ulubiona  
zapalniczka, ta z Samotną Gwiazdą Teksasu.

- Niech to diabli! - krzyknęła, stawiając informatyków na  
równe nogi.

Już miała ich przeprosić, gdy do laboratorium wszedł agent  
Crawford. Był zarozumiały, jak zwykle zresztą. Podeszedł do jej  
krzesła i pochylił się, by coś jej szepnąć na ucho.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale coś przyszło z Wa-  
szyngtonu.

Lucille zmarszczyła brwi.

- Co? Sekretarz obrony chce tym razem przydzielić sprawę piechocie morskiej?

Crawford podniósł cyfrowy odtwarzacz wielkości dłoni:

- Ktoś zostawił pani wiadomość na poczcie głosowej w kwaterze głównej. Jeden z asystentów administracji przysłał mi ją.

Wyprostowała się na krześle.

- Znów ich ktoś zauważył? Rozpoznali jednego z podejrzanych?

- Nie, jeszcze lepiej. - Szczercząc zęby w uśmiechu, wskazał prywatny gabinet sąsiadujący z laboratorium. - Chodźmy tam, żebyśmy mógł to pani puścić.

Lucille zerwała się z krzesła i podążyła za Crawfordem do gabinetu. Nagły przyływ siły ożywił jej strudzone ciało. Zawsze się tak działo, gdy następował pomyślny zwrot akcji. Crawford zamknął drzwi.

- Myślę, że rozpozna pani ten głos - powiedział. Wcisnął START i po kilku sekundach usłyszeli wiadomość:

- Witaj, Lucy. Tu David Swift. Czytałem w gazetach, że podobno mnie szukasz. Pewnie chcesz kontynuować rozmowę, którą zaczęliśmy w Nowym Jorku. Przez ostatnie kilka dni byłem trochę zajęty, ale chyba znajdę dla ciebie chwilę dzisiaj rano. Włączyłem komórkę, więc łatwo mnie znajdziesz. Mam tylko jedną prośbę: nie przywoź ze sobą żołnierzy. Jeżeli zobaczę chociaż jeden helikopter albo samochód wojskowy, rozwalę przesyłkę, którą odebrałem w Fort Benning. Jestem chętny do współpracy, ale nie chciałbym, żeby jacyś nadgorliwi komandosi celowali we mnie z karabinów. Rozumiemy się?

Ten łańcuch górski nazywano Great Smokies z powodu pary wodnej, unoszącej się nad zalesionymi zboczami. Para wodna w połączeniu z węglowodorami wydzielanymi przez sosny tworzy szaroniebieską mgłę, która otula poszarpany krajobraz. Ale tego ranka wiatr rozwiął opary, więc David dokładnie widział rozciągające się aż po horyzont, oświetlone słońcem wzgórza i doliny, niczym wielki, zmięty koc.

Stał na szczycie Haw Knob, spoglądając w dół na jednopasmową drogę, wijącą się wzdłuż stromego wschodniego zbocza, jakieś dwieście metrów poniżej. Na drodze nie widać było czarnych chevroletów, ale było jeszcze wcześnie. FBI potrzebowało trochę czasu, żeby namierzyć współrzędne GPS jego telefonu, które zostały przekazane do najbliższej wieży, gdy tylko go włączył. Potem oczywiście agenci musieli opracować plan ataku i zebrać zespół uderzeniowy. Z wierzchołka góry David miał doskonały widok na trasę, którą najprawdopodobniej pojedą agenci - zaczynała się przy drodze około kilometra na południe. Zobaczycy ich na długo przed tym, zanim dotrą.

Graddick zostawił samochód na żwirowej drodze kilka kilometrów na zachód. Przyprowadził ich na Haw Knob i zamierzał wrócić do auta, zanim agenci uderzą, ale w miarę jak zbliżała się chwila rozstania, coraz mniej mu się spieszyło. Stał przed Michaeliem, ułożywszy masywne dłonie nad głową chłopca, i mamrotał coś pod nosem - pewnie jakieś błogosławieństwo. Baterie w gamę boyu w końcu się wyczerpały kilka godzin wcześniej, ale nastolatek przyjął tę sytuację ze spokojem i teraz wydawało się, że wyszło mu to nawet na dobre: był bardziej czujny niż zwykle, rozglądał się na wszystkie strony. Wyglądało na to, że nieobecność matki ani trochę go nie zaniepokoiła. W tym czasie Monique patrzyła na Davida ze zniecierpliwieniem, czekając na sygnał. Choć pozbyli się

już laptopa, wyrzucając roztrzaskane szczątki do rzeki Tellico, pendrive nadal spoczywał w jej dłoni.

David spędził większą część nocy, trapiąc się decyzją, którą podjęli. *Einheitliche Feldtheorie* była jednym z największych osiągnięć nauki i skasowanie jej równań wydawało się szalonym czynem, zbrodnią przeciw ludzkości. Ale zniknięcie Elizabeth uświadomiło im, że nie mogą się ukrywać w nieskończoność. Prędzej czy później coś pójdzie nie tak i żołnierze wreszcie ich znajdą. Wtedy Pentagon zdobędzie zunifikowaną teorię i nic nie powstrzyma ich przed jej wykorzystaniem. W ciągu kilku lat wojsko skonstruuje urządzenia, które będą mogły wystrzelić sterylne cząstki w dodatkowe wymiary i tym samym zniszczyć każdą kryjówkę terrorystów na Środkowym Wschodzie. Generałowie przez jakiś czas zdolają zatrzymać teorię dla siebie - będzie to ich nowa tajna broń w walce z terroryzmem. Ale żadna broń nie pozostaje tajna - w końcu wiadomości o niej dotrą do Pekinu, Moskwy i Islamabadu. W ten sposób zostanie zasiane ziarno zniszczenia świata. Nie, nie można do tego dopuścić. David musi złamać słowo dane doktorowi Kleinmanowi i usunąć wszelki ślad teorii. Do tej pory wzbraniał się przed tym ostatecznym krokiem, ale nie mógł go już dłużej odwlekać.

Podszedł do wystrzępionego, szarego, półokrągłego występu skalnego, który wylaniał się z wierzchołka góry niczym olbrzymi diadem. Sięgnął na półkę skalną i podniósł kawałek kwarcytu, który zwęzał się z jednej strony tak, że mieścił się w dłoni. Kamienne narzędzie, pomyślał, takie, jakich mogli używać jaskiniowcy. Odwrócił się do Monique:

- Dobra, jestem gotowy.

Stała obok niego i bez słowa położyła pendrive'a na skale, która była prawie całkowicie płaska. Twarz kobiety była

napięta, a nawet zeszywniała. Zaciśnęła usta tak mocno, jakby ze wszystkich sił starała się nie krzyknąć. To musi być straszne - poświęcić to, czego szukało się przez całe życie. A jednak taka była jej decyzja. Gdyby Einstein mógł spojrzeć w przyszłość i zobaczyć koszmarny początek dwudziestego pierwszego wieku, zrobiłby dokładnie to samo.

David podniósł ciężki kamień. Gdy uniósł go nad pendrive'em, jeszcze raz spojrzął na oszalamiająco piękne zielone szczyty górskie dookoła nich - wykrzywione i pofałdowane w niezliczone kształty niczym zagięcia czasoprzestrzeni. Potem zamachnął się i uderzył w srebrny walec tak mocno, jak umiał.

Plastikowa obudowa pękła, a obwody scalone wewnątrz urządzenia rozprysły się na drobne kawałki. David wycelował drugi cios dokładnie w układ pamięci - silikon rozprysnął się na setki czarnych odłamków, maleńkich jak czubek ołówka. Uderzał, aż skomplikowany układ stał się tylko garstką kurzu, a złącza, obwody i przyciski zamieniły się w kupę metalowych drobinek. Potem zgarnął śmieci na dłoń i wyrzucił je na zachodnie zbocze Haw Knob. Wiatr porwał kurz i metalowe okruchy, rozdmuchując je po sosnowym lesie.

Monique zmusiła się do uśmiechu:

- I to by było na tyle. Wracamy do tablicy.

David rzucił kamień w dół zbocza, po czym chwycił Monique za rękę. Nagle ogarnęła go dziwna mieszanka emocji, smutku, współczucia, wdzięczności i ulgi. Chciał podziękować Monique za wszystko, co zrobiła. Za to, że przejechała z nim prawie trzy tysiące kilometrów, że setki razy uratowała mu życie. Ale zamiast powiedzieć to głośno, kierowany nagłym impulsem uniósł jej dłoń do ust i pocałował brązową skórę między kostkami. Spojrzała na niego z zaciekawieniem - była

zaskoczona, ale nie urażona. Potem zauważyła coś nad ramieniem Davida i rysy jej twarzy znów stężały. Odwrócił się i ujrzał konwój czarnych chevroletów sunących drogą z południowego wschodu.

Cofnął się z krawędzi klifu i pociągnął Monique za występ skalny.

- Chodź tu! - krzyknął na Graddicka, który natychmiast zaciągnął Michaela w cień skały.

Kłękając w kurzu, Graddick wyrzwał za skałę i jęknął:

- Szkarłatna bestia! Pełna szkaradzieństw!

Samochody zwolniły, podjeżdżając do początku szlaku.

Agenci najwyraźniej zdążyli przestudiować mapy topograficzne i znaleźli najszybszą drogę na szczyt góry. David zamierzał pozostać w ukryciu, gdy zespół uderzeniowy będzie wchodził na górę, aby ludzie FBI nie oddawali pochopnie strzałów w ich kierunku. Kiedy podejda wystarczająco blisko, krzyknie, by pokazać, gdzie się schowali. Potem prawdopodobnie dowódca zespołu każe im powoli wyjść z rękami w górze. Wydawało się, że to najbezpieczniejszy sposób poddania. Agenci oczywiście nie będą zachwyceni, kiedy odkryją, jaki los spotkał zunifikowaną teorię. Ale nie dało się na to już nic poradzić.

Kiedy chevrolety zaparkowały na poboczu, David odwrócił się do Graddicka. Dopiero teraz zorientował się, że nie wie, jak jego towarzysz ma na imię.

- Ej, bracie, czas na ciebie.

Graddick z zaciśniętymi pięściami przyglądał się chevroletom. Drzwi samochodów otwierały się jedno po drugim i ze środka wyskakiwali ludzie w szarych garniturach.

- Tak, niezliczone są ich zastępy, niezmierny piasek morski - wyrecytował. - Ale ogień zstąpi z niebios i ich pochłonie.



David zaczynał się martwić. Nie było powodu, by Graddick miał tu dłużej zostać. FBI nie znało jego nazwiska. Gdyby odszedł teraz, wyszedłby z tego bez szwanku.

- Posłuchaj, bracie. Musimy oddać cesarzowi, co cesarskie. Ale twoje miejsce jest na odludziu, w dziczy, rozumiesz? Musisz już iść.

Graddick skrzywił się. Pewnie żałował, że nie ma jeszcze kilku grzechotników, by rzucić nimi w agentów. Ale po chwili położył rękę na ramieniu Davida.

- Dobrze, pójdę, ale będę niedaleko. Wrócę, jeżeli będą jakieś kłopoty.

Zanim ich opuścił, podniósł dłoń do czoła Davida i wymamrotał kolejne niezrozumiałe błogosławieństwo. Potem odwrócił się na pięcie i skierował w dół zachodniego zbocza Haw Knob, znikając w gęstym cieniu pod gałęziami sosen.

Agenci federalni maszerowali teraz jeden za drugim w górę ścieżki. Szlak był stromy i kamienisty, więc niektórzy musieli iść na czworakach. David obliczył, że są mniej więcej dziesięć minut drogi od nich. Kucnął za występem skalnym i spojrzał na Michaela, który spokojnie przyglądał się równoległym szczelinom w kamieniu, nieświadomy zbliżającego się niebezpieczeństwa. Szczerze mówiąc, David bardziej martwił się o Monique. Była specjalistką od fizyki teoretycznej, więc czekało ją najcięższe przesłuchanie. Ujął jej dłoń i mocno ścisnął:

- Rozdzielą nas na czas przesłuchania. Być może nie będziemy się widzieć przez jakiś czas.

Uśmiechnęła się, rzucając mu przebiegłe spojrzenie.

- Nie byłabym tego taka pewna. Może spotkamy się w Guantanamo. Słyszałam, że są tam fajne plaże.

- Nie obawiaj się ich, Monique. Wypełniają tylko rozkazy. Nie będą...

Pochyliła się w jego stronę i położyła mu palec na ustach.

- Ciiii, przestań się martwić, dobra? Nic mi nie zrobią, bo nie mam im nic do powiedzenia. Już zapomniałam te równania.

Nie uwierzył jej.

- Daj spokój.

- Naprawdę. Zapominanie zawsze najlepiej mi wychodziło. - Monique spoważniała. - Dorastałam w jednym z najbardziej gównianych miejsc w Ameryce, które zostawia blizny na całe życie. Ale zapomniałam o wszystkim i teraz jestem profesorem na Uniwersytecie Princeton. Zapominanie to bardzo pożyteczna umiejętność.

- Ale wczoraj w nocy...

- Nie pamiętam nawet tytułu tej pracy. Unterzuszek-coś-tam? Pamiętam tylko, że był po niemiecku. Nic więcej.

Michael oderwał wzrok od półki skalnej i zwrócił się do Monique.

- *Neue Untersuchung iiber die Einheitliche Feldtheorie* - powiedział bezbłędnie po niemiecku.

David wlepił wzrok w chłopca. Skąd znał tytuł pracy Einsteina?

- Coś ty powiedział?

- *Neue Untersuchung iiber die Einheitliche Feldtheorie* - powtórzył Michael. Potem odwrócił się z powrotem do półki skalnej i na nowo wpatrzył się w szczeliny.

Monique uniosła dłoń do ust i spojrzała na Davida. Oboje myśleli o tym samym. Michael nie widział laptopa wczorajszej nocy. Musiał natknąć się na ten tytuł gdzieś indziej.

David chwycił go za ramiona.

- Michael, gdzie widziałeś te słowa?

Chłopiec usłyszał strach w jego głosie. Jego wzrok umknął w lewo, unikając kontaktu. David przypomniał sobie dotychczasowe wyczyny nastolatka, zdolnego zapamiętać całe książki telefoniczne. Jezu Chryste, pomyślał, ile ten dzieciak wie?

- Proszę cię, to ważne. Przeczytałeś ten plik, grając w Wojownika?

Policzki Michaela zaróżowiły się, ale nie odpowiedział. David ścisnął go mocniej za ramiona.

- Posłuchaj mnie! Czy kiedykolwiek załadowałeś ten plik z serwera? Może to było dawno temu, jak jeszcze mieszkałeś z mamą?

Chłopak zaczął gwałtownie potrząsać głową, jak gdyby się trząsał.

- To było bezpieczne miejsce! Hans mi powiedział, że jest bezpieczne!

- Ile z tego przeczytałeś? Ile, Michael?

- Nie czytałem tego! - krzyknął chłopiec. - Pisałem to! Zapisałem to na serwerze! Hans powiedział, że to bezpieczne miejsce!

- Co takiego? Myślałem, że to Kleinman ukrył tam teorię!

- Nie, kazał mi się jej nauczyć na pamięć! Puść mnie już!

Chłopak próbował się wyrwać z uścisku, ale David nadal mocno go trzymał. - Jak to? Zapamiętałeś całą teorię?

- Zostaw mnie! Nie muszę ci nic mówić, jeśli nie masz klucza!

Potem szarpnął, a uwolniwszy się, uderzył Davida w żołądek.

Uderzenie było silne, aż Davidowi zabrakło powietrza. Stracił równowagę, przewrócił się na plecy. Wydawało mu się, że błękitne niebo wiruje nad nim. Leżąc w kurzu, próbując odzyskać oddech, ujrzał nagle przed oczami szereg liczb. Szes-

naście cyfr, które doktor Kleinman wyszeptał na łożu śmierci. Sekwencja, którą nazwał „kluczem”. Pierwsze dwanaście to współrzędne Instytutu Robotyki na Uniwersytecie Carnegie Mellon; kolejne cztery to numer wewnętrzny do gabinetu profesora Gupty. Ale teraz David przypomniał sobie, że numer wewnętrzny nie był bezpośrednią linią Gupty - to był numer do recepcji, do biurka, przy którym siedział Michael. Prawda uderzyła razem z kolejnym odzyskanym oddechem.

Sekwencja Kleinmana nie wskazywała na Amila Gupte.

Wskazywała na Michaela.

Przez kilka sekund David leżał bez ruchu. Monique pochyliła się nad nim i potrząsnęła go za ramię.

- Hej, wszystko w porządku?

Kiwnął głową. Wyrwawszy się z ośpienia, podczołgał się znów za półkę skalną i wyjrzał nad nią. Agenci byli już tylko kilkaset metrów od nich, na ostatnim fragmencie szlaku. Pewnie usłyszeli krzyk Michaela i przyspieszyli kroku.

Nastolatek siedział zgarbiony przy skale, wpatrując się w ziemię. David nie dotykał go. Zamiast tego zastosował tę samą technikę, jakiej używała Elizabeth, wydobywając od niego numery telefonów: pstryknął palcami przed nosem Michaela. Potem wyrecytował liczby, które podał mu doktor Kleinman:

- Cztery, zero... dwa, sześć... trzy, sześć... siedem, dziewięć... pięć, sześć... cztery, cztery... siedem, osiem, zero, zero.

Michael podniósł wzrok. Policzki miał nadal zaczerwienione, ale wzrok już się uspokoił.

- *Neue Untersuchung uber die Einheitliche Feldtheorie*  
- zaczął - *Die allgemeine Relatiuitatstheorie war bisher in erster Linie eine rationelle Theorie der Grauitation und der metrischen Eigenschaften des Raumes...*

To był tekst pracy Einsteina, recytowany z niemieckim akcentem, dokładnie takim, jak doktora Kleinmana. Stary fizyk znalazł niezwykle sprytną kryjówkę. Michael z łatwością zapamiętał całą teorię, ale w przeciwieństwie do naukowca, nigdy nie odczuje pokusy, by pracować nad równaniami albo podzielić się nimi z kolegami, bo nie rozumie z tego ani słowa, ani jednego symbolu. I w normalnych okolicznościach nikomu nie przyjdzie do głowy, by szukać równań w umyśle autystycznego nastolatka. Ale teraz okoliczności były wyjątkowo nienormalne.

David chwycił Monique za ramię.

- Słyszałaś to? On zna na pamięć całą tę pieprzoną teorię! Jeżeli FBI nas znajdzie, przesłuchają dzieciaka i na pewno zorientują się, że coś ukrywa!

Michael cały czas recytował teorię. Nagle David usłyszał znajomy odgłos. Wyjrzał nad występem skalnym i ujrzał dwa blackhawki krążące nad autostradą. Spanikował. Wyjął telefon z kieszeni i rzucił go na ziemię. Potem szarpnął Monique i Michaela, stawiając ich na nogi.

- Chodźcie! - krzyknął. - Zabieramy się stąd!

Niech szlag trafi pułkownika Tarkingtona, pomyślała Lucille, biegnąc szlakiem. Dowódca Delta Force przyrzekł, że jego żołnierze ukryją się i będą czekać w pogotowiu, ale teraz dwa helikoptery pojawiły się nad horyzontem. Widać je było w promieniu ośmiu kilometrów. Jej ludzie musieli biec co tchu na szczyt Haw Knob, zanim podejrzani się wystraszą. Ostatni fragment szlaku był stromą, śliską rynną, ale Lucille udało się podążyć ścieżką, nie łamiąc nóg. W końcu dotarła do wielkiego szarego wyłomu skalnego na środku porośniętej trawą polanki. Dwunastu agentów ustawiło się dookoła, wy-

machując glockami na wszystkie strony. Trzymając pistolet w obu dłoniach, Lucille podkradła się do krawędzi skały. Za kamieniem nikogo nie było. Potem przebiegła wzrokiem po zachodnim zboczu góry i kątem oka ujrziała trzy postacie biegnące pod sosnami.

- Stać! - ryknęła, ale oczywiście nie usłuchali. Odwróciła się do swoich ludzi i wskazała na las. - Ruszać tam! Są na wprost!

Młodzi mężczyźni puścili się pędem w dół zbocza, biegnąc dwa razy szybciej niż Lucille. Poczowała zbliżające się ukojenie: tak czy owak, to zadanie niedługo dobiegnie końca. Ale kiedy zespół uderzeniowy dotarł na skraj lasu, agent Jaworsky nagle krzyknął i upadł na ziemię. Pozostali zatrzymali się zaskoczeni. Chwilę później Lucille zobaczyła, jak kamień wielkości pięści wylatuje spomiędzy gałęzi i uderza w czoło agenta Kellera.

- Uwaga! - wrzasnęła. - Ktoś jest w zaroślach!

Agenci upadli na ziemię i zaczęli strzelać na oślep, nie mierząc, nie patrząc gdzie. Strzały odbiły się echem od gór, a z gałęzi spadły kępki sosnowych igieł. Ale Lucille nadal nie widziała żadnego ruchu w lesie. Cholera, pomyślała, to niedorzeczne! Cały zespół leżał na ziemi, bo ktoś rzucił parę kamieni.

Krzyknęła:

- Wstrzymać ogień! - ale nie było jej słychać przez huk wystrzałów. Pobiegła przez polanę. Jednak zanim dotarła do swoich ludzi, nad wzgórzem pojawiły się helikoptery Delta Force.

Blackhawki leciały nisko, jakieś siedem metrów nad polaną. Oba ustawiły się nad czołgającymi się agentami i zwróciły się równolegle do linii drzew i rozległa się seria z miotaczy ognia M-240.

Trwająca prawie minutę kanonada strąciła gałęzie z drzew i oderwała korę z pni. Agenci na polanie położyli się płasko na ziemi i zatkali uszy. Lucille starała się znaleźć radio, ale wiedziała, że to bez sensu: nie da się powstrzymać tych durnych bestii. W końcu dostrzegła jakiś ciężki przedmiot spadający z drzewa. Zahaczył o jeden z dolnych konarów i grzmotnął o leśne poszycie. Karabiny zamilkły, a agenci pospieszyli w kierunku masywnego, brodatego mężczyzny, którego klatka piersiowa była porozrywana ośmiomilimetrowymi pociskami.

Lucille potrząsnęła głową. Nie miała pojęcia, kim był zmarły.

Monique straciła z oczu Davida i Michaela niedługo po tym, jak rozpoczęła się seria wystrzałów. Słyszała za plecami huk glocków, a nad jej głową przemykały kule, biegła na oślep przez porośnięty drzewami stok, przeskakując korzenie, stosy kamieni i pagórki. Zapomniała o wszystkim. Pamiętała tylko, że musi się jak najbardziej oddalić od grupy agentów FBI. Schylała głowę, trafiając na gałęzie; ślizgała się po igliwiu. Kiedy dotarła do płytkiego strumyka u stóp zbocza, przebiegła przezeń i wspięła się na drugi brzeg. Biegła, dopóki słyszała strzały, pchana instynktem, który podobno zapomniała. To była lekcja, jaką odebrała jako dziecko od własnej matki w Anacostii: „Jeśli słyszysz strzały, słonko, lepiej bierz nogi za pas”.

Po chwili, która wydawała się wiecznością, huk ustał. Dopiero wtedy Monique zorientowała się, że jest sama. Ze wszystkich stron otaczał ją las. Podbiegła na najbliższy grzbiet, gdzie miała nadzieję znaleźć Davida i Michaela, ale kiedy dotarła na szczyt, zobaczyła przed sobą tylko zwirową dróżkę. Za nią, ponad drzewami, unosiły się dwa helikoptery. Były o kilometr oddalone, ale ryk śmigieł nadal głośno rozbrzmie-

wał. Szybko skierowała się w zarośla. Gdy znów niepewnym krokiem biegła w dół, usłyszała kolejny hałas po swojej prawej stronie. Odległy, ale znajomy krzyk. To Michael.

Monique popędziła w kierunku odbijających się echem wrzasków, mając nadzieję, że chłopcu nic nie jest. Nie umiała powiedzieć, jak daleko się znajdował, ale wnioskuje po czasie, który upłynął, obliczyła, że ma do pokonania niecały kilometr. Przeskoczyła przez kolejny potok i przedarła się przez porośnięty kudzu gąszcz krzaków.

Nagle, ni stąd ni zowąd poczuła silne uderzenie w tył głowy. Zamroczyło ją i upadła na ziemię.

Zanim straciła przytomność, zobaczyła nad sobą dwóch mężczyzn. Jeden z nich był wielki i łysy. Miał na sobie bojówki, a w ręku trzymał uzi.

Drugim był profesor Gupta.

Simon zawsze wierzył, że szczęściu należy pomagać. Kiedy ostatniej nocy Gupta odebrał telefon od córki, natychmiast pojechali po nią w góry Great Smokies. Za małą fiolkę metamfetaminy pokazała im, gdzie zatrzymali się na noc Swift i Reynolds. Niestety, uciekinierzy zdążyli już porzucić obozowisko, słusznie zakładając, że Elizabeth komuś ich wyda. Simon podejrzewał jednak, że są gdzieś w pobliżu. Rano spotkał się z agentem Brockiem i kazał mu monitorować awaryjną częstotliwość na krótkofalówce FBI. Kiedy usłyszeli o planowanym ataku na Haw Knob, skierowali się prosto na górę. Zaparkowali samochody na żwirowej drodze i puścili się pędem pod górę, gdy nagle Gupta usłyszał krzyk swojego wnuka. Profesor oznajmił, że przeznaczenie działa na ich korzyść, ale Simon wiedział lepiej. Pomagał swojemu szczęściu od samego początku i teraz zbliżała się nagroda.



Przyłożywszy Reynolds w głowę, przeciągnął jej bezwładne ciało w kierunku zwirowej drogi. Gupta kuśtykał obok niego, wciąż nawijając o przeznaczeniu. Brock znajdował się kilkaset metrów na północ, ścigając Swifta i wrzeszczącego nastolatka. Kiedy Simon dotarł do półciężarówki, sprawnie związał nadgarstki i kostki Reynolds kablem elektrycznym. Elizabeth już leżała na tylnym siedzeniu, związana, zakneblowana i oszołomiona. Zaczęła się rzucać, kiedy Simon wrzucił Reynolds do auta obok niej. Jej gwałtowne ruchy obudziły ogłuszoną Monique, która otworzyła oczy i po chwili też zaczęła się rzucać.

- Kurwa! - krzyknęła. - Wypuście mnie stąd!

Simon zmarszczył brwi. Nie miał czasu jej zakneblować. Musieli jak najszybciej jechać na północ, żeby pomóc Brockowi przesłuchać pozostałych. Wsiadł za kierownicę i włożył kluczyk do stacyjki.

Gupta siedział na fotelu pasażera. Kiedy Simon odpalił silnik, profesor spojrział na kobiety wijące się na tylnym siedzeniu.

- Przepraszam za takie warunki, doktor Reynolds, ale do czasu przesiadki będzie pani musiała dzielić siedzenie z moją córką.

Reynolds przestała się rzucać i wytrzeszczyła na niego oczy:

- Rany boskie, co pan tu robi? Myślałam, że agenci pana zabrali!

- Nie, spóźnili się. Mój współnik dotarł do mnie pierwszy - wyjaśnił, pokazując Simona.

- Przecież to terrorysta! To ten łysy skurwiel, który jechał złotym ferrari!

Gupta potrząsnął głową.

- To było nieporozumienie. Simon nie jest terrorystą. Ja go zatrudniłem. Ma takie samo zadanie, jakie miała pani, doktor Reynolds: pomóc mi znaleźć *Einheitliche Feldtheorie*.

Z początku Monique nie odpowiedziała. W półciężarówce zapadła cisza. Simon jechał zwirową drogą. Była tak kręta i nierówna, że nie dało się jechać szybciej niż piętnaście kilometrów na godzinę. Po chwili Monique odezwała się, lecz tym razem głos jej drżał.

- Dlaczego pan to robi, profesorze? Wie pan, co się może stać, jeśli...

- Tak, tak, wiem to od lat. Nie znałem tylko dokładnych równań, które są konieczne do tego procesu. Ale teraz jak już mamy teorię, możemy zrobić kolejny krok. Nareszcie możemy odpakować podarunek *Herr Doktora* i pozwolić, żeby zmienił świat.

- Ale już nie mamy teorii! Zniszczyliśmy pendrive, a na nim właśnie znajdowała się jedyna kopia!

- Nie, nie, nadal ją mamy. Cały czas ją mieliśmy, ale byłem zbyt głupi, żeby to zauważyć. Michael zapamiętał wszystkie równania, prawda?

Reynolds nie powiedziała ani słowa, ale zdradził ją wyraz twarzy.

Gupta uśmiechnął się.

- Kilka lat temu zapytałem Hansa, co się stanie z teorią po jego śmierci. Rzecz jasna, nie chciał mi tego wyjawić, ale kiedy trochę go pomęczyłem, powiedział: „Nie martw się, Amil, wszystko zostanie w rodzinie”. Wtedy założyłem, że chodzi o rodzinę fizyków, o wspólnotę naukową. Prawdy domyśliłem się dopiero wczoraj, kiedy zobaczyłem, że kopia teorii jest zapisana w Wojowniku. - Opadł na siedzenie pasażera i oparł zranioną nogę na desce rozdzielczej. - Wiedziałem, że Hans

nie mógł jej tam umieścić. Był pacyfistą. Zapisanie teorii *Herr Doktora* w grze wojennej byłoby dla niego jak klątwa. Ale Michael przepada za Wojownikami i kocha kopiować rzeczy, których się nauczy na pamięć. Dlatego zapisał na komputerze te książki telefoniczne, pamiętasz? A ponadto jest członkiem rodziny. Mojej i *Herr Doktora*.

Reynolds nic nie powiedziała. Najprawdopodobniej ogarnęła ją rozpacz. Ale Simon na chwilę podniósł wzrok znad zdradliwej drogi i spojrzał na profesora:

- Co pan mówi? Ten stary Żyd był pana ojcem?

Gupta znów zachichotał.

- Nie bądź śmieszny. Czy ja wyglądam jak *Herr Doktor*? Nie, był krewnym mojej żony.

Simon nie miał czasu na dalsze pytania. W tej chwili skręcił i zobaczył przed sobą samochód Brocka, starego dodge'a, który kiedyś należał do doktora Milo Jenkinsa. Simon przystanął na poboczu i spostrzegł, że miejsce za kierownicą jest puste; Brock najwyraźniej wysiadł, by na piechotę ścigać Swifta i chłopaka. Kiedy opuścił szybę, usłyszał krzyki nastolatka, dobiegające z doliny na wschód od drogi.

David nie był w stanie powstrzymać wrzasku Michaela. Chłopiec zaczął krzyczeć, kiedy agenci zaczęli strzelać. Pełne bólu wycie ciągnęło się jeszcze, kiedy obaj z Davidem biegli przez las. Przy każdym krzyku chłopak gorączkowo nabierał powietrza i przedzierał się przez leśne poszycie, mknąc przed siebie niczym pocisk. David z trudem dotrzymywał mu kroku, płuca bolały go od gwałtownego oddychania. Po kilku minutach dźwięk wystrzałów umilkł i Michael trochę zwolnił, ale z jego gardła nadal dobywały się wrzaski, każdy tak samo długi i głośny jak ten ostatni.

Patrząc na położenie słońca, David domyślał się, że zmierzają na północny zachód. Stracił z oczu Monique, ale nie mógł się teraz zatrzymać, żeby jej szukać. Bał się, że krzyki Michaela naprowadzą FBI na ich ślad. Choć agenci najwyraźniej zatrzymali się na skraju lasu, prędzej czy później na pewno znów ruszą w drogę. David rozpaczliwie przyspieszył, dogonił chłopca i złapał go za łokieć.

- Michael - wysapał - musisz... przestać krzyczeć. Wszyscy... cię usłyszą.

Nastolatek wyszarpnął ramię z jego uścisku i znów wrzasnął. David położył mu dłoń na ustach, ale chłopiec go odepchnął i popędził przez grzbiet górski. Zbiegł do wąskiego jaru otoczonego z obu stron skalnymi urwiskami. Przez środek płynął potok. Krzyki Michaela odbijały się echem od klifów, przez co było je słycać jeszcze lepiej. Choć David był u kresu wytrzymałości, rzucił się w dół zbocza i chwycił Michaela od tyłu. Zakrył chłopcu usta, próbując go uciszyć, ale dzieciak uderzył go łokciem w zębra. David zatoczył się do tyłu, upadając w błoto na brzegu strumyka. Chryste, pomyślał, co ja teraz zrobię, do jasnej cholery? Zirytowany potrząsnął głową, spojrzał w dół potoku i dostrzegł mężczyznę w szarym garniturze.

Zrobiło mu się zimno. To nie był członek ekipy uderzeniowej. Choć stał sto metrów od niego, David od razu go rozpoznał, bo jego twarz była nadal pokryta fioletowymi sińcami. To ten renegat, człowiek, który próbował ich porwać dwa dni temu w Wirginii Zachodniej. Z tym, że teraz zamiast glocka w dłoni trzymał uzi.

David chwycił Michaela za rękę i zaczął biec w przeciwnym kierunku. Na początku Michael opierał się, ale kiedy usłyszeli

serię z uzi, wyrwał do przodu. Biegli przez zarośla, które częściowo ich osłaniały, ale po chwili David zorientował się, że to był błąd. Gdy pędzili w kierunku północnym, klify po obu stronach jaru stawały się coraz wyższe, a po kilkuset metrach zabrnęli w dolinę bez wyjścia. Stali w pustym kanionie, otoczonym skałami z trzech stron; przed nimi piętrzył się kolejny spękany klif, zbyt stromy, by się na niego wspiąć.

David gorączkowo przebiegł wzrokiem po skale. U nasady klifu ujrzał poziomą szczelinę, która wyglądała jak gigantyczne usta. Otwór był wielkości przedniej szyby samochodu, ale jama była ciemna; wydawało się, że sięga w głąb skały. Grota wapienna, pomyślał. Graddick mówił, że jest ich tu mnóstwo. David wspiął się do szczeliny tak szybko, jak umiał, po czym pociągnął za sobą Michaela. Kiedy chłopiec umknął w odległą część jaskini, David położył się na brzuchu i wyjrzał na zewnątrz. Sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyjął pistolet, ten sam, który zabrał ścigającemu ich agentowi.

Michael nadal krzyczał i chociaż pieczara tłumiła odgłos, nadal było go słychać w dolinie. Po minucie David ujrzał agenta zbliżającego się do urwiska, próbując wybadać, skąd dobiegają wrzaski. Był jakieś siedemdziesiąt metrów od nich, więc jeszcze nie widział jaskini, ale wciąż się przybliżał. David oparł glocka o krawędź szczeliny, celując w ziemię przed agentem. Potem strzelił.

Mężczyzna obrócił się i uciekł z powrotem w zarośla. Po kilku sekundach zaczął strzelać z uzi w kierunku klifu, ale kule tylko odbijały się od skały. David ukrył się w naturalnym bunkrze, w idealnej pozycji obronnej. Mógł godzinami trzymać napastnika na dystans. Prawdziwi agenci FBI w końcu dotarliby do jaru razem z kilkoma oddziałami żołnierzy. Kiedy podejdą, David miał zamiar strzelić, by przykuć ich uwagę.

Potem on i Michael poddadzą się agentom rządowym. Była to ponura perspektywa, ale sto razy lepsza niż oddanie się w ręce terrorystów.

Po chwili krzyki Michaela zaczęły cichnąć. David wyjrzał przez otwór w skale i zobaczył, że agent nadal czai się w krzakach. Wtedy zauważył innego, łysego mężczyznę stojącego przy potoku na środku doliny. Miał na sobie bojówki i czarny podkoszulek. W prawej dłoni trzymał nóż myśliwski, a lewą ścisnął za kark wijącego się chłopca. Widok był tak dziwny, że David rozpoznał dzieciaka dopiero po dłuższej chwili. Kiedy zorientował się, kto to taki, poczuł ból w klatce piersiowej, tak silny, że upuścił pistolet i chwycił się za serce.

- Doktorze Swift? - zawołał mężczyzna. - Pański syn chciałby się z panem zobaczyć!

## Rozdział dwunasty

Najdziwniejsze w wiceprezydencie było to, że wyglądał jak pieprzony komunista, pomyślała Lucille. Miał okrągły tułów i łysiejącą czaszkę. Był ubrany w źle dopasowany niebieski garnitur jak sowiecki sekretarz partii. Nigdy wcześniej tego nie zauważyła, kiedy oglądała go w telewizji, ale teraz, kiedy siedziała w jego gabinecie w Zachodnim Skrzydle, podobieństwo było łudzące. Ułożył usta w asymetryczny, szyderczy uśmiech, przeglądając papiery na biurku.

- Tak, agentko Parker - zaczął. - Słyszałem, że dziś rano miała pani mały kłopot.

Lucille kiwnęła głową. Teraz już przestało jej zależeć. Zdażyła już napisać rezygnację.

- Przyjmuję pełną odpowiedzialność proszę pana. Spieszyliśmy się, by pochwyć podejrzanych i źle skoordynowaliśmy współpracę z Departamentem Obrony.

- A co konkretnie poszło nie tak? Jak zdołali uciec?

- Prawdopodobnie pobiegli na zachód jedną ze żwirowych ścieżek. Armia miała zabezpieczyć ten obszar, ale nie ustawili się na miejscach na czas.

- I co teraz?

- Niestety, wracamy do punktu wyjścia. Potrzebujemy większego wsparcia, proszę pana. Więcej ludzi na tym terenie.

Musimy złapać tych sukinsynów, zanim zdążą się podzielić informacjami z kimkolwiek innym.

Wiceprezydent zmarszczył brwi, zaciskając blade usta.

- Delta Force się tym zajmie. Razem z sekretarzem obrony zdecydowaliśmy, że pomoc FBI przy tej misji już nie będzie potrzebna. Od tej chwili jest to wyłącznie operacja militarna.

Chociaż spodziewała się tej decyzji, i tak odczuła ból.

- I dlatego tutaj jestem? Bo chciał mi pan osobiście odebrać sprawę?

Próbował się uśmiechnąć, ale niezbyt mu to wyszło. Wyszczerył się koślawo, prawym półgębkiem.

- Ależ skąd. Mam dla pani nowe zlecenie.

Podniósł egzemplarz „New York Timesa” i wskazał nagłówek na pierwszej stronie: **REPORTERKA ZASTRZELONA NA BROOKLYNIE.**

- Mamy pewien problem. „Times” oskarża FBI o zamordowanie jednej z reporterek, tej, która udzieliła schronienia żonie Swifta. Najwyraźniej znaleźli świadka, który twierdzi, że zabójca wyglądał na agenta. To oczywiście absurd, ale przyciąga uwagę.

- Obawiam się, że może w tym być ziarno prawdy. Jeden z naszych agentów zaginął i mamy dowody na to, że pracuje dla przeciwników. Mógł zastrzelić dziennikarkę, żeby dorwać żonę Swifta.

Lucille oczekiwała, że wiceprezydent dostanie nagłego ataku, usłyszawszy tę wiadomość, ale lekceważąco machnął ręką.

- To nieistotne. Zaplanowałem już konferencję prasową. Chciałbym, żeby zdecydowanie zdementowała pani te pogłoski. Proszę się trzymać historii z narkotykami. Powie pani, że wasi ludzie badają teraz hipotezę, jakoby partnerzy



Swifta z narkotykowego biznesu porwali jego żonę i zabili reporterkę.

Lucille potrząsnęła głową. Miała już po dziurki w nosie tych pierdoł.

- Przepraszam pana bardzo, ale nie mogę tego zrobić.

Wiceprezydent pochylił się nad biurkiem. Na jego twarzy znów pojawił się drwiący uśmiech.

- To jest tak samo ważne jak znalezienie podejrzanych, Parker. Potrzebujemy narzędzi do walki z terrorystami. A Kongres właśnie próbuje nam je odebrać. Ostatnia rzecz, jakiej nam teraz trzeba, to takie odkrycie.

Westchnęła i wstała z krzesła. Czas wracać do Teksasu.

- Lepiej już pójść. Muszę zabrać swoje rzeczy z biurka.

Wiceprezydent także wstał.

- Cóż, muszę przyznać, że jestem rozczarowany. Dyrektor biura twierdził, że ma pani jaja ze stali.

Lucille spojrzała na niego:

- Proszę mi wierzyć, nie tylko pan jest rozczarowany.

Van zatrzymał się. Mając ręce związane z tyłu, Karen nie mogła spojrzeć na zegarek, ale oceniła, że minęło jakieś sześć godzin, odkąd opuścili sosnowy las. Drżąc, przysunęła się do Jonaha.

- Jezu, proszę Cię - wyszeptała - niech te gnoje już go nie zabierają.

Kiedy wzięli go ostatnim razem, Karen o mało nie postradała zmysłów. I chociaż Brock przyprowadził go z powrotem dwadzieścia minut później, chłopiec płakał jeszcze przez dobre kilka godzin.

Brock wysiadł i obszedł samochód dookoła. Kiedy otworzył tylne drzwi, Karen poczuła na twarzy podmuch wilgotnego

powietrza i zobaczyła duży, ciemny garaż z rozbitymi oknami i wałącymi się ścianami. Byli w jakimś zniszczonym magazynie, w jakimś starym, od lat opuszczonym budynku. Trzy białe furgonetki stały niedaleko magazynu, a obok nich dwunastu młodych mężczyzn. Wszyscy niewątpliwie wyglądali na studentów: byli chudzi, bladzi i źle ubrani. Wytrzeszczyli oczy, spoglądając na Jonaha, Karen i pozostałe dwie kobiety, też związane, zakneblowane i leżące na podłodze samochodu. Potem Brock krzyknął:

- Na co czekacie, do cholery? - i studenci rzucili się do przodu.

Jonah zaczął się gorączkowo wyginać, kiedy dwóch z nich weszło do samochodu i podniosło go z ziemi. Karen krzyknęła zza knebla:

- Nie! - i wtedy kolejnych dwóch studentów skierowało się do niej. Złożyła się w scyzoryk, ale chwycili ją mocno i wynieśli z auta do garażu.

Podeszli do jednego z samochodów dostawczych. Na boku pojazdu widniał napis: FERMI NATIONAL ACCELERATOR LA-BORATORY\*. Wychudzony, wyjątkowo rozczochrany student w obrzydliwym podkoszulku z nadrukiem przedstawiającym układ okresowy odsunął drzwi do bagażnika. Dwóch chłopaków niosących Jonaha położyło go w środku, po czym ci, którzy trzymali Karen, zrobili to samo. Zaszlochała z ulgą, gdy posadzili ją koło syna. Przynajmniej teraz byli jeszcze razem.

Z bagażnika zobaczyła, jak studenci przenoszą dwie związane kobiety do innej furgonetki. To musi być jakiś punkt kontak-

Państwowe laboratorium fizyki cząstek elementarnych im. Enrico Fermiego, w skrócie FermiLab. Mieści się tam największy akcelerator cząstek Tevatron.

towy, domyśliła się Karen. Tutaj pewnie odbierają nowe pojazdy i dostawy. Rozejrzała się po pomieszczeniu, szukając jakichś znaków rozpoznawczych, jakichkolwiek wskazówek, dzięki którym mogłaby odgadnąć, gdzie w ogóle są, ale nic takiego nie dostrzegła. Potem zauważyła jakieś poruszenie na drugim końcu garażu. Kolejnych dwóch studentów stanęło obok jakiejś półciężarówki, starając się wynieść następnego skrepowanego więźnia. Karen poczuła ścisk w gardle - to był David. Stawił im opór, rzucając się tak gwałtownie, że studenci nie mogli go utrzymać i upuścili go na ziemię. Karen znów wydała zduszony okrzyk. Potem dołączył do nich trzeci student. Razem podnieśli Davida i wrzucili go do ostatniej furgonetki.

Było już dobrze po północy. Samochody jechały powoli krętą drogą. Choć Monique nie mogła wyrzeć na zewnątrz, słyszała dudnienie kół i czuła w żołądku każdy zakręt. Pewnie jechali bocznymi drogami, żeby uniknąć wszelkich punktów kontrolnych na drogach międzystanowych.

Po lewej stronie profesor Gupta i jego studenci stali dookoła komputera umieszczonego w drugim końcu luku bagażowego. Parę metrów za nią Michael siedział na ziemi, znów grając w Wojownika na swoim game boyu. (Ktoś doładował mu baterie.) Przez ostatnie kilka godzin Gupta siedział skulony obok wnuka i szeptem zadawał mu pytania dotyczące *Einheitliche Feldtheorie*. W tym czasie studenci wprowadzali odpowiedzi chłopca do komputera, ale teraz wyglądało na to, że profesor dowiedział się już wszystkiego, czego chciał. Z triumfalnym uśmiechem spoglądał na ekran komputera, po czym oddalił się od grupy i podszedł do Monique. Z początku miała ochotę chwycić drania za gardło, ale, niestety, nadal była związana i zakneblowana.

- Chciałbym, żeby pani coś zobaczyła, doktor Reynolds - powiedział. - Dla fizyka to spełnienie wszelkich marzeń.

Odwrócił się do dwóch bladych, niezgrabnych studentów w grubych okularach:

- Scott, Richard, podprowadźcie doktor Reynolds do terminala.

Studenci chwycili ją za ramiona i za kostki, by przenieść przez luk i położyć na składanym krześle przed monitorem. Gupta pochylał się nad jej ramieniem.

- Opracowaliśmy program, który symuluje stworzenie wiązki neutrin za pomocą dodatkowych wymiarów. Dzięki informacjom, które otrzymaliśmy od Jacques'a Boucheta i Alastaira MacDonalda wiedzieliśmy, że do wygenerowania wiązki można użyć Tevatronu. Kiedy Michael podał nam równania pola, mogliśmy obliczyć parametry, jakie należy ustawić w akceleratorze. Teraz możemy przeprowadzić symulację na komputerze, żebyśmy wiedzieli, co robić, gdy już dotrzemy do Fermilabu. - Sięgnął do klawiatury, nacisnął ENTER i wskazał na ekran: - Proszę patrzeć. Najpierw zobaczy pani symulację zderzenia cząstek w Tevatronie.

Nie mając wyboru, musiała spojrzeć. Na ekranie pojawiła się trójwymiarowa siatka, naszkicowana niewyraźnymi, lekko falującymi białymi liniami. To najwyraźniej miała być próżnia, obszar pustej czasoprzestrzeni z małymi fluktuacjami kwantowymi. Ale po kilku sekundach pojawiło się coś jeszcze. Monique zobaczyła roje cząstek napływające z prawej i lewej strony ekranu.

- To symulacja wiązek protonów i antyprotonów, biegnących przez Tevatron - wyjaśnił Gupta. - Teraz, używając wiązek wypukłych, otrzymamy sferyczną falę po zderzeniu. Proszę patrzeć!

Mrużąc oczy, Monique spojrziała na cząstki i dostrzegła, że w rzeczywistości są to maleńkie zwinięte klastry, a każdy prześlizguje się przez siatkę czasoprzestrzeni jak węzeł przesuwany się wzdłuż struny. W chwili uderzenia środek ekranu rozświetlał się i wszystkie węzły nagle rozplątywały się, gwałtownie wyginając otaczającą je siatkę. Potem sieć białych linii nagle pękła i przez powstałą w ten sposób dziurę wdarła się nowa seria cząstek. Sterylne neutrino.

Podekscytowany Gupta wskazał na cząsteczkę:

- Widzi pani, jak uciekają? Zderzenie wypaczy czasoprzestrzeń tak, że wypchnie wiązkę sterylnych neutrin z naszej brany, wysyłając je w dodatkowe wymiary. Proszę, przełączcie na większy obraz.

Uderzył w klawisze i na czarnym tle ekranu pokazał się pomarszczony, falujący arkusz czasoprzestrzeni. To była brana naszego wszechświata umieszczona w dziesięciowymiarowym bulku. Rój neutrin wystrzelił z ostrego skrzywienia arkusza czasoprzestrzeni.

- Musimy bardzo dokładnie skonfigurować doświadczenie - powiedział profesor. - Wiązka musi być skierowana tak, aby powróciła do naszej brany, najlepiej w punkcie znajdującym się pięć tysięcy kilometrów nad Ameryką Północną. W ten sposób wszyscy na naszym kontynencie zobaczą wybuch.

Cząstki podróżowały po prostej, przecinając bulk; migotały i przyspieszały, przemierzając dodatkowe wymiary. Wiązka pokonała odległość między dwoma zagięciami brany, po czym znów przeniknęła na arkusz czasoprzestrzeni, który w miejscu zderzenia skrzywił się, zadrżał i rozgrzał się do białości. To musiał być ten wybuch, o którym mówił Gupta. Postukał długim paznokciem w ekran komputera.

- Jeśli zrobimy wszystko tak, jak trzeba, powtórne wejście wiązki w naszą brane powinno uwolnić w niej tysiące teradzuli energii. To mniej więcej tyle, ile generuje wybuch głowicy atomowej o mocy jednej megatony. Jako że skierujemy wiązkę wysoko nad atmosferę, wybuch nie spowoduje żadnych szkód na ziemi. Ale widok będzie zaiste spektakularny. Przez kilka minut będziemy widzieli blask, jak gdyby powstało nowe słońce.

Monique wpatrywała się w oświetloną część brany, która stopniowo gasła, gdy energia rozpraszała się w czasoprzestrzeni. Jezu, myślała, po co on to w ogóle robi? Nie potrafiła zadać tego pytania na głos, więc tylko spojrzała na profesora, mrużąc oczy.

Właściwie odczytał jej spojrzenie i kiwnął głową:

- Musimy zrobić publiczny pokaz, doktor Reynolds. Gdy byśmy po prostu opublikowali zunifikowaną teorię, władze zatrzymałyby te informacje. Rząd chce mieć teorię dla siebie, żeby w ukryciu konstruować nową broń. Ale *Einheitliche Feldtheorie* nie należy do żadnego rządu. I jest czymś więcej niż tylko modelem do nowej konstrukcji broni.

Gupta schylił się nad klawiaturą i kilkoma ruchami przełączył widok na ekranie. Teraz widać było projekt elektrowni.

- Wykorzystując zjawiska międzywymiarowe, moglibyśmy generować nieograniczone ilości energii. Nie potrzebowałibyśmy już spalać węgla, moglibyśmy zapomnieć o reaktorach atomowych. A to dopiero początek. Tę technologię można by zastosować w medycynie - gdyby dokładnie wycelować wiązkę neutrin, dałoby się wyeliminować komórki rakowe. Moglibyśmy zastosować wiązki do wystrzeliwania rakiet w całym Układzie Słonecznym. Udałoby się nawet nadać statkowi kosmicznemu prędkość zbliżoną do prędkości światła! - Od-

wrócił się od ekranu i ze łzami w oczach spojrzął na Monique.  
- Nie rozumie pani, doktor Reynolds? Kiedy ludzkość obudzi się jutro rano, zobaczy zunifikowaną teorię w pełnej chwale! Nikt już nie będzie mógł jej ukryć!

Monique już dość usłyszała. Nie wątpiła, że Gupta mówił prawdę. Zunifikowana teoria obejmowała wszystkie zjawiska, więc z pewnością mogła dać początek wielu wspaniałym wynalazkom. Ale chodziło jeszcze o cenę, straszliwą cenę. Monique nie mogła przestać myśleć o gorącym, białym wybuchu na samym środku ekranu. Profesor powiedział, że to będzie pokaz, wspaniałe oświadczenie, wypisane na niebie. Ale Monique zastanawiała się, co ludzie z niego rozumieją. W końcu Hiroszima też była pokazem.

Oczywiście, nie mogła wyrazić swoich wątpliwości, mając w ustach knebel. Spojrzała tylko na Gupte i potrzęsła głową.

Profesor uniósł brwi.

- O co chodzi? Boi się pani?

Gwałtownie pokiwała głową.

Gupta podszedł do niej i położył dłoń na jej ramieniu.

- Strach to uczucie, które nas osłabia, moja droga. *Herr Doktor* też się obawiał i do czego to doprowadziło? Kleinman i inni ukrywali *Einheitliche Feldtheorie* przez pół wieku. A czy ich obawy komukolwiek pomogły? Nie, to była tylko strata, haniebna strata. Zanim będziemy mogli wkroczyć w nową epokę, musimy przezwyciężyć nasz strach. I ja to zrobiłem, doktor Reynolds. Ja się już niczego nie boję.

Staruszek ścisnął ją za ramię Monique poczuła nagłą odrazę. Zaskowyczała przez knebel i próbowała się rzucić na komputer Gupty. Ale profesor złapał ją, zanim zeskoczyła z krzesła. Znow się uśmiechnął z wyraźnym rozbawieniem.

- Widzę, że ma pani wątpliwości, ale niedługo przekona się pani, że mam rację. Świat ogłosi nas zbawicielami, kiedy odkryjemy przed nim teorię. Wybaczą nam wszystko, jak to baczą... - Tym razem przerwał mu szum zakłóceń. Odpinając radio od paska, mruknął: - Przepraszam - i oddalił się na drugi koniec luku.

Wrócił do studentów po jakichś dwudziestu sekundach i uniósł ręce w geście błogosławieństwa.

- Panowie, musimy się jeszcze zatrzymać, zanim dotrzemy do Fermilabu. Musimy zabrać sprzęt konieczny do modyfikacji Tevatronu.

David siedział oparty o ścianę części bagażowej. Piętnaście minut temu furgonetka przystanąła i studenci załadowali do środka dwanaście drewnianych skrzynek, które zajęły prawie całą przestrzeń luku. Studenci przenieśli się do innego samochodu w konwoju, a David został sam na sam z łysym szaleńcem w bojówkach, który na zmianę czyścił lufę swojego uzi i pociągał stoliczną prosto z butelki.

Po raz tysięczny David spróbował rozluźnić sznur, którym miał splecione z tyłu dłonie. Palce mu zdrętwiały, ale i tak próbował, wykręcając ramiona, aż poczuł, jak ścięgna mu się naprężają. Pot spływał mu po policzkach i wsiąkał w knebel. Walcząc z więzami, utkwiał wzrok w łysym najemniku, w tym skurwielu, który przyłożył Jonahowi nóż do gardła. Wściekłość dodała mu siły, ale po minucie zamknął oczy. To jego wina. Powinien był się poddać ludziom FBI, kiedy miał po temu okazję.

Kiedy otworzył oczy, zobaczył, że łysy stoi tuż nad nim. Wyciągnął do niego butelkę wódki:

- Wyluzuj, towarzyszu. Zrób sobie przerwę w tym hardym wysiłku.



Pełen odrazy David próbował się cofnąć, ale łysy usiadł przy nim i pomachał mu butelką stolicznej przed nosem.

- No, napijże się. Chyba ci się to przyda.

David potrząsnął głową. Zapach wódki przyprawiał go o mdłości.

- Odpierdol się! - krzyknął przez knebel, ale słyhać było tylko rozpaczliwy charkot.

Najemnik wzruszył ramionami.

- Jak sobie chcesz. Ale szkoda, mamy całą skrzynkę sto licznej, a czas się kończy.

Uśmiechnął się, przechylił butelkę i pociągnął spory łyk. Potem otarł usta wierzchem dłoni.

- A tak w ogóle to nazywam się Simon. Chciałem panu pogratulować, doktorze Swift. Ta książka, którą pan napisał o asystentach Einsteina, bardzo mi pomogła. Zaglądałem do niej bardzo często w trakcie tej sprawy.

David starał się opanować gniew. Odetchnął głęboko przez śmierdzący knebel, po czym skupił całą uwagę na głosie zabójcy. Chociaż miał wyraźny rosyjski akcent, znakomicie mówił po angielsku. Wbrew pozorom nie był tylko bezmyślnym mordercą.

Simon znów napił się wódki, po czym sięgnął do kieszeni.

- Przez ostatnich parę godzin trochę się nudziłem. Do ostatniego postoju jechałem w samochodzie profesora, w tym przed nami. Ale profesor był zajęty przesłuchiowaniem wnuka i wydawaniem rozkazów studentom. Dla zabicia czasu uciałem sobie pogawędkę z córką Gupty i znalazłem coś, co może pana zaciekawić.

Wyjął z kieszeni spodni okrągły przedmiot i położył go na dłoni. David od razu go rozpoznał: to złoty wisiorek, który

Elizabeth Gupta nosiła na szyi. Simon otworzył go i spojrzął na zdjęcie umieszczone wewnątrz.

- W dziedzinie nauki, którą się pan zajmuje, pewnie byłoby to uznane za swego rodzaju dowód. Spóźniony dodatek do pańskich badań historycznych, nie? Na pewno wyjaśni kilka kwestii.

Odwrócił wisiorek, aby David mógł zobaczyć zdjęcie. To była stara, sepiowa fotografia, przedstawiająca matkę i córkę. Matka była piękną kobietą z długimi ciemnymi włosami; córka miała może sześć lat. Obie pustym wzrokiem wpatrywały się w obiektyw. Żadna się nie uśmiechała.

- To zdjęcie zrobiono w Belgradzie, przed wojną - wyjaśnił Simon. - Najprawdopodobniej pod koniec lat trzydziestych. Elizabeth nie była pewna dokładnej daty.

Najpierw wskazał na córkę:

- To Hannah, matka Elizabeth. Przyjechała do Ameryki po wojnie i wyszła za Gupta. Niezbyt trafiony wybór.

Przesunął palcem na postać ciemnowłosej kobiety.

- A to babka Elizabeth. Zginęła w obozie koncentracyjnym. Była półkrwi Żydówką. Coś panu pokażę.

Wyjął fotografię z oprawki. Na odwrocie ktoś nagryzmołił podpis: „Hannah i Lieserl”.

Simon znów się uśmiechnął. - Rozpoznaje pan imię, prawda? Zapewniam, że to nie zbieg okoliczności. Elizabeth wszystko mi opowiedziała. Jej matka była nieślubną córką *Herr Doktora*.

W innych okolicznościach taka informacja ścięłaby Davida z nóg. Dla historyka pasjonującego się życiem Einsteina taka wiadomość była jak odkrycie nowej planety. Podobnie jak większość badaczy, David założył, że Lieserl zmarła w dzieciństwie; teraz dowiedział się, że nie tylko przeżyła, ale ma

żyjących potomków. Ale w obecnym stanie nie umiał się cieszyć z takiego objawienia. To tylko przypomniało mu, jaki był ślepy.

Simon włożył zdjęcie z powrotem do wisiorka.

- Po wojnie *Herr Doktor* dowiedział się, co się stało z jego córką. Posłał po swoją wnuczkę, Hannah, która ukrywała się u jakiejś serbskiej rodziny. Nigdy jednak nie przyznał się, że łączy go z nią więzy pokrewieństwa. Jak pan wie, ten stary Żyd nie był specjalnie rodzinny. - Zamknął wisiorek i schował go do kieszeni. - Hannah jednak powiedziała o tym Gupcie. Kleinmanowi też. Dlatego tak bardzo o nią walczyli. Obaj chcieli poślubić wnuczkę *Herr Doktora*.

Wziął kolejny łyk wódki, odwracając butelkę dnem do góry. Wypił już ponad połowę.

- Pewnie się pan zastanawia, dlaczego to wszystko mówię. Odpowiedź jest prosta: ponieważ jest pan historykiem. Powinien pan znać historyczne podłoże tej operacji. Kiedy Gupta ożenił się z Hannah, został protegowanym *Herr Doktora*, jego najbliższym asystentem. A kiedy *Herr Doktor* powiedział mu w zaufaniu, że odkrył *Einheitliche Feldtheorie*, Gupta założył, że stary Żyd podzielił się z nim tą tajemnicą. Ale *Herr Doktor* musiał już wtedy wyczuć, że z Gupta jest coś nie tak. Postanowił przekazać teorię Kleinmanowi i pozostałym. To doprowadziło Gupta do szaleństwa. Uznał, że teoria należy się jemu.

Simon zaczynał mówić niewyraźnie. David pochylił się i przyjrzał mu się dokładnie, szukając innych oznak osłabienia. Może nadarzy się jakaś okazja. Może ten skurwiel zrobi coś głupiego.

Najemnik spojrział na przód furgonetki. Przez minutę milczał, wpatrując się w ściany luku bagażowego. Potem znów zwrócił się do Davida:

- Gupta od lat planował ten pokaz. Zainwestował miliony dolarów w stworzenie swojej małej armii studentów. Przekonał ich, że zbawią świat, że ludzie zaczną tańczyć z radości na ulicach, kiedy ujrzą na niebie blask pochodzący z wiązki neutron. - Skrzywił się i splunął na podłogę. - Uwierzyłby pan, że ktoś się nabierze na takie bzdury? Ale Gupta w to wierzy, a teraz również jego studenci. To szaleniec, wie pan. A szaleńcy bywają bardzo przekonujący.

Simon łyknął stolicznej, po czym znów podstawił butelkę Davidowi pod nos.

- No, musisz się napić. Nie chcę słyszeć odmowy. Wznieśmy toast, za jutrzejszy pokaz. Za nową epokę oświecenia Gupty.

Zaczął grzebać przy kneblu Davida. Wódka nieco go otepiła, więc upłynęło trochę czasu, zanim rozluźnił materiał. David poczuł przypływ adrenaliny. Czekał na taką okazję. Kiedy zdejmie mu knebel, zacznie wołać o pomoc. Ale co mu to da? Najprawdopodobniej jada opustoszałymi wiejskimi drogami, przez lasy i pola w Kentucky albo w Indianie. Krzykiem nic nie osiągnie. Musi porozmawiać z Simonem, przekonać go, żeby go uwolnił. To ich jedyna szansa.

Szczęka go bolała, gdy Simon zdjął knebel. Zaczepnął świeżego powietrza i spojrzał najemnikowi w oczy.

- Ile Gupta płaci za twoje usługi?

Simon zmarszczył brwi. Przez chwilę David obawiał się, że zmieni zdanie i z powrotem go zaknebluje.

- To nieuprzejme pytanie, doktorze Swift. Ja nie pytałem, ile pan zarobił za książkę, prawda?

- To co innego. Wiesz, co się stanie, kiedy wszyscy zobaczą wybuch? Pentagon zacznie prowadzić własne badania i...

- Tak, tak, wiem. Każda armia na świecie będzie próbowała skonstruować taką broń. Ale nikt nie będzie robił badań w Pentagonie. Ani nigdzie w pobliżu Waszyngtonu.

David spojrzął na najemnika, zбитy z tropu:

- Jak to? Co masz na myśli?

Simon nadal marszczył brwi, ale w jego oczach pojawił się błysk zadowolenia.

- Pokaz profesora Gupty będzie jeszcze bardziej spektakularny, niż się spodziewa. Zmienię kierunek wiązki neutrin tak, że powróci do naszego wszechświata w miejscu, gdzie stoi Jefferson Memoriał\*. - Wskazał butelkę stolicznej z tyłu furgonetki i zamknął oko, jakby mierzył z pistoletu w szyjkę butelki. - Nie mam nic do Thomasa Jeffersona. Wybrałem ten cel, bo ma dobrą lokalizację, w samym centrum. Znajduje się w równej odległości od Pentagonu, Białego Domu i Kongresu. Wszystkie trzy obiekty doszczętnie spłoną podczas wybuchu. Tak jak wszystko w promieniu dziesięciu kilometrów.

Na początku Davidowi wydawało się, że najemnik żartuje. Miał dziwne poczucie humoru. Ale twarz Simona stężała, gdy spojrzął przez szyjkę od butelki. Ściągnął górną wargę, odsłaniając zęby. David patrzył na pełną nienawiści twarz mężczyzny, czując, że zasycha mu w ustach.

- Kto ci za to płaci? al Kaida?

Simon potrząsnął głową.

- Nie, robię to dla siebie. A właściwie dla mojej rodziny.

- Dla rodziny?

Simon powoli odłożył butelkę i znów sięgnął do kieszeni. Tym razem wyjął telefon komórkowy.

Budynek w Waszyngtonie poświęcony Thomasowi Jeffersonowi, trzeciemu prezydentowi Stanów Zjednoczonych.

- Tak, miałem kiedyś rodzinę. Bardzo podobną do pańskiej, doktorze Swift. - Włączył telefon i podsunął Davidowi, żeby mógł zobaczyć wyświetlacz. Po kilku sekundach na telefonie pojawiło się zdjęcie: chłopiec i dziewczynka, dwoje dzieci uśmiechających się do aparatu. - To moje dzieci, Siergiej i Larisa. Zginęły pięć lat temu w Wąwozie Arguńskim, na południu Czechenii. Pewnie słyszałeś o tym miejscu?

- Tak, ale...

- Zamknij się! Zamknij się i patrz! - Pochylił się, podsuwając telefon Davidowi przed oczy. - To mój synek, Siergiej, miał sześć lat. Podobny trochę do twojego chłopca, prawda? A Larisa miała tylko cztery latka. Zginęli razem z matką od pocisku raketowego. Rakieta Hellfire wystrzelona z helikoptera Delta Force lecącego niedaleko granicy czecheńskiej.

- Amerykański helikopter? Co tam robił?

- Nic pożytecznego, mogę pana zapewnić. Kolejna spięprzona operacja antyterrorystyczna, która zabiła więcej kobiet i dzieci niż terrorystów. - Znów splunął na ziemię. - Nie obchodzi mnie, jakie mieli powody. Załatwię każdego, kto zajmował się dowodzeniem i rozstawianiem tamtej jednostki. Dlatego za cel obrałem zarówno Pentagon, jak i cywilnych przywódców. Prezydenta, wiceprezydenta, sekretarza obrony. - Zatrzasnął klapkę od telefonu. - Mam tylko jedną próbę, więc muszę ustalić odpowiednio szeroką strefę rażenia.

David poczuł, że zaczyna mu się zbierać na wymioty. Tego właśnie obawiał się Einstein - tego, co miało się wydarzyć za kilka godzin.

- Ale najwyraźniej to, co się przytrafiło twojej rodzinie, było nieszczęśliwym wypadkiem! Jak możesz...

- Powiedziałem ci, nic mnie to nie obchodzi! - Podniósł butelkę wódki za szyjkę i wziął nią zamach, jak pałką. - To nie do zniesienia! Nie do wybaczenia!

- Ale zabijesz miliony...

Coś twardego uderzyło Davida w policzek. Simon trzasnął go butelką w twarz. David upadł na bok, uderzając czołem o łóżko zamontowane w furgonetce. O mało nie zemdlął, ale Simon chwycił go za kołnierz i podciągnął w górę.

- Tak, wszyscy umrą! - wrzeszczał. - Dlaczego mieliby żyć, skoro moje dzieci zginęły? Umrą! Wszystkich zabiję!

Dzwoniło mu w uszach. Krew lała się z rozciętego policzka, a przed oczami majaczyły roje zielonkawych kropek. Widział teraz tylko rozwścieczoną twarz najemnika, ale nawet ten widok rozmazywał się w czerwone, różowe i czarne strugi.

Dźwigając Davida jedną ręką, Simon wyciągnął drugą po butelkę stolicznej. Jakimś cudem butelka wciąż była cała i nadal zostało w niej kilka łyków wódki. Przytknął ją do ust Davida i wlał weń odrobinę alkoholu.

- No, to za koniec tego wszystkiego! - krzyknął. - Reszta jest milczeniem!

Wódka paliła przełyk Davida, nim dotarła do żołądka. Kiedy butelka była już pusta, Simon rzucił ją na bok i puścił jego kołnierz. David osunął się na podłogę, a potem ogarnęła go ciemność.

Lucille przyjechała do kwatery głównej FBI w poniedziałek rano, żeby nie natknąć się na nikogo ze współpracowników, ale kiedy dotarła do swojego gabinetu, odkryła, że te dranie z Agencji Wywiadu Obronnego zdążyły już opróżnić jej biurko. Zniknęły akta dotyczące Kleinmana, Swifta, Reynolds i Gupty. Nie było również jej egzemplarza książki *Na ramionach gigan-*

tów. Zostały tylko prywatne przedmioty: odcinki wypłat, listy pochwalne, szklany przycisk do papieru, w kształcie teksańskiego sześciostrzałowca oraz oprawione zdjęcie, na którym Ronald Reagan ściska jej dłoń.

Cóż, pomyślała, właściwie to oddali mi przysługę. Teraz nie trzeba będzie się długo pakować.

Znalazła kartonowe pudełko i w pół minuty schowała do środka to, co zostało. Zadziwiająco - cały jej dobytek ważył około dwóch kilogramów. Przez trzydzieści cztery lata wkładała serce i duszę w pracę dla biura, a teraz zostało jej tak niewiele. Z niechęcią spojrzała na stary komputer i tandetną plastikową tackę na korespondencję. Przygnębiające.

I wtedy zobaczyła, że na tacce leży jakiś dokument. Któryś z agentów z nocnej zmiany musiał go tu zostawić po tym, jak ci durnie z wywiadu obronnego już zabrali, co należało. Przez kilka sekund Lucille tylko patrzyła na kartki, powtarzając sobie w duchu, że nie ma po co ich ruszać. Ale w efekcie ciekawość zwyciężyła. Podniosła dokument.

To była lista ostatnich połączeń telefonicznych profesora Gupty. Lucille prosiła o tę informację już trzy dni temu, ale ci idioci u operatora oczywiście się nie śpieszyli. Numerów było niewiele - Gupta rzadko korzystał z telefonu komórkowego, dzwonił tylko dwa lub trzy razy dziennie. Jednak przeglądając dokument, zauważyła coś dziwnego. Przez ostatnie dwa tygodnie co dzień powtarzał się jeden numer. I nie był to numer Swifta, Reynolds ani Kleinmana. Zaciekawilo ją to, że Gupta dzwonił pod ten numer dokładnie o wpół do dziesiątej. Codziennie dokładnie o 9.30.

Lucille przypomniała sobie, że to już nie jest jej sprawa. Właściwie zdążyła już wypełnić dokumenty emerytalne.

Ale jeszcze ich nie złożyła.



Simon prowadził ciężarówkę jadącą na przedzie konwoju, gdy zbliżali się do wschodniej bramy laboratorium. Była piąta rano, kilka minut po świcie. Większość domów przy Batavia Road była jeszcze pogrążona w ciemności. Samotna kobieta w czerwonych szortach i białym podkoszulku biegła truchtem, mijając podjazdy i trawniki. Simon przez chwilę się jej przyglądał, podziwiając długie, gęste kasztanowate włosy. Potem ścisnął palcami grzbiet nosa i ziewnął. Nadal był trochę oszołomiony po wczorajszym piciu. Żeby się rozbudzić, sięgnął pod wiatrówkę i wyciągnął uzi. Nadszedł dzień odwetu. Niedługo będzie już po wszystkim.

Gdy minęli skrzyżowanie z Continental Drive, furgonetka przeskoczyła przez przejazd kolejowy i po obu stronach drogi pojawił się nowy widok. Zamiast podmiejskich domów i trawników Simon zobaczył rozciągające się zielone pola, pas dziewiczej prerii Illinois. Znajdowali się teraz na obszarze, który był własnością federalną, czyli na wschodniej krawędzi terenu laboratorium. Przed nimi stała mała budka wartownicza, w której siedziała potwornie gruba kobieta w niebieskim mundurze. Simon potrząsnął głową. Trudno uwierzyć, że laboratorium zatrudnia do ochrony obiektu kogoś tak otyłego. Najwyraźniej nikt nie spodziewał się problemów przy tym wjeździe.

Simon zwolnił, a następnie zatrzymał się. Kobieta z trudem wy dostała się z budki. Uśmiechnął się do niej i wręczył dokumentację, którą przygotował wcześniej profesor Gupta - gruby plik sfalszowanych faktur i listów polecających.

- Proszę bardzo, serduszko - powiedział, próbując naśladować amerykańskiego kierowcę ciężarówki. - Dzisiaj wcześniejsza dostawa.

Kobieta nie odpowiedziała uśmiechem. Uważnie przejrzała papiery, porównując je z listą w swoim notatniku.

- Nie ma was w rozpisce.
- Nie, ale mamy wszystkie potwierdzenia.

Dalej przyglądała się dokumentacji. Albo bardzo wolno czytała, albo sprawiało jej przyjemność trzymanie kogoś w niepewności. W końcu podniosła masywną głowę.

- Dobra, proszę wyjść z samochodu i otworzyć tylne drzwi. Proszę powiedzieć kierowcom z innych pojazdów, żeby zrobili to samo.

Simon zmarszczył brwi.

- Mówiłem już, mamy na to zgodę. Nie widziała pani listów?

- Tak, ale muszę kontrolować wszystko, co jest przywożone. Proszę wyłączyć silnik i...

Simon przerwał jej dwoma strzałami w czaszkę. Potem podszedł do tylnych drzwi furgonetki i trzy razy zastukał.

- Proszę otworzyć, profesorze! - zawołał. - Musimy coś jeszcze zapakować!

Jeden ze studentów otworzył drzwi i pomógł Gupcie wysiąść. Profesor wydał się zaniepokojony widokiem leżącej na ziemi wartowniczkii.

- Co się stało? Przecież mówiłem, żadnych więcej ofiar!

Simon zignorował go i zwrócił się do studentów:

- Chodźcie, włożycie ciało do samochodu.

Po chwili ułożyli zwłoki w luku bagażowym i wytarli krew z asfaltu. Gdyby ktoś tędy przejeżdżał, będzie wyglądało tak, jakby kobieta po prostu opuściła swoje stanowisko. Simon wrócił za kierownicę, a Gupta usiadł obok niego na siedzeniu pasażera. Spojrzał na niego surowo:

- Nikogo więcej nie zabijaj, proszę - powiedział. - W latach osiemdziesiątych pracowałem z paroma tutejszymi fizykami, kiedy konstruowali Tevatron.

Simon wrzucił bieg. Nie był w nastroju do rozmowy, więc nic nie odpowiedział. Konwój znów ruszył.

- Właściwie to ja zaproponowałem tę nazwę dla akcelera tora - ciągnął Gupta. - *Teva* to skrót od teraelektronowolta. To największa ilość energii, jaką mogą osiągnąć protony w akceleratorze. Poruszają się wtedy z prędkością równą 99,9999 procent prędkości światła.

Profesor zakręcił pięścią w powietrzu, a następnie uderzył w drugą pięść, symulując zderzenie cząstek. Był tak podekscytowany, że nie mógł usiedzieć spokojnie.

- Oczywiście, Wielki Zderzacz Hadronów\* w Szwajcarii może teraz osiągnąć wyższe poziomy energii. Ale Tevatron wykonuje znakomitą robotę, ściskając protony w wiązkę. Dla tego najlepiej nadaje się do naszych celów.

Simon zazgrzytał zębami. Długo nie wytrzyma tego nerwowego paplania.

- Nic mnie to nie obchodzi - warknął. - Proszę mi tylko powiedzieć, ile osób będzie w nastawni.

- Nie martw się, będzie tam tylko podstawowa załoga. Najwyżej pięciu lub sześciu operatorów. - Gupta machnął ręką lekceważąco. - To przez cięcia budżetowe. Rząd nie chce już dawać pieniędzy na fizykę. Narodowe laboratoria utrzymują akceleratory z prywatnych datków. W zeszłym roku mój Instytut Robotyki wspomógł Fermilab sumą dwudziestu pięciu milionów dolarów. Widzisz, chciałem mieć pewność, że nie zamkną Tevatronu. Miałem przecucie, że może nam się przydać.

Droga skręciła w lewo i Simon zobaczył na horyzoncie budynek o dziwnym kształcie. Obok zauważył niski nasyp, biegnący wielkim kołem przez trawnik.

Akcelerator cząstek znajdujący się w CERN - laboratorium w Szwajcarii i Francji.

Gupta najpierw wskazał na budynek.

- To Wilson Hall, kwatery główna laboratorium. Miałem tam gabinet na szesnastym piętrze. Wspaniałe widoki.

- Opuścił ramię, wskazując teraz nasyp. - Pod tym wałem biegnie tunel akceleratora. Tor wyścigowy cząstek, tak to nazywaliśmy. Sześciokilometrowy pierścień z tysiącem magnesów nadprzewodzących, które prowadzą wiązkę. Protony poruszają się zgodnie z ruchem wskazówek zegara, antyprotony w przeciwnym kierunku. Każda z tych wiązek ma na tyle mocy, że mogłaby wypalić dziurę na wylot w murem ściany.

Potem wskazał kolejny budynek, bliżej drogi. Była to niepozorna konstrukcja pozbawiona okien, przypominająca magazyn. Znajdowała się dokładnie nad częścią tunelu. -A to Hala Zderzeń. Tutaj zderzają się protony i antyprotony. Stąd właśnie wystrzelimy neutrino w dodatkowe wymiary.

Profesor zamilkł, patrząc na obiekt przez przednią szybę. Wdzięczny za tę przerwę, Simon przejechał obok szeregu walcowatych zbiorników. Na każdym widniał napis: UWAGA! SPRĘŻONY HEL. Potem dotarli do długiego połyskliwego basenu przed Wilson Hall. W wodzie odbijał się dziwny kontur budynku.

- Skręć tutaj i wjedź za budynek - poinstruował go Gupta.  
- Nastawia jest przy akceleratorze protonów.

Konwój wjechał na podjazd, otaczający Wilson Hall, po czym dotarł do parkingu przed niską konstrukcją w kształcie litery U. Wydawało się, że Gupta miał rację co do liczby osób w obiekcie: na parkingu stało tylko kilka samochodów. Za jakieś trzy godziny, kiedy rozpocznie się normalny dzień pracy, będzie ich na pewno więcej. Ale przy odrobinie szczęścia do tego czasu już skończą robotę.

Simon zaparkował ciężarówkę i zaczął wydawać rozkazy. Jedna grupa studentów rozładowała skrzynki ze sprzętem elektronicznym, a kolejny zespół skierował zakładników do furgonetki, którą prowadził Brock. Simon uznał, że będzie lepiej, jeśli Brock nie zbliży się do nastawni, by nie zorientował się, co jest grane. Były agent został poinformowany, że ich misja polega na kradzieży materiałów radioaktywnych z laboratorium. Simon podszedł do samochodu Brocka, żeby zwrócić jego uwagę.

- Zabierz zakładników w bezpieczne miejsce - rozkazał.
- Nie chcę, żeby nam włązili w drogę. Kilometr na zachód stąd jest kilka nieużywanych budynków. Znajdź jeden z nich i siedźcie tam przez najbliższych kilka godzin.

Brock spojrzał na niego wyzywająco.

- Jak to wszystko się skończy, musimy porozmawiać. Za mało mi płacisz za tę gównianą robotę.

- Nie martw się, wynagrodzę ci to.

- Po co właściwie trzymamy tych zakładników przy życiu? Prędzej czy później będziemy musieli ich zastrzelić. Wszystkich z wyjątkiem córki profesora, oczywiście.

Simon pochylił się w jego stronę i zniżył głos:

- Profesora bawi to, że są jeszcze żywi. Zresztą nie obchodzi mnie to. Jak nam znikniesz z oczu, możesz z nimi zrobić, co ci się podoba.

Studenci rzucili Davida do części bagażowej obok Monique i Elizabeth, ale gdy tylko samochód ruszył, David podczołgał się do Karen i Jonaha. Gdy sunął po podłodze, oczy jego syna rozszerzyły się, a jego była żona zaczęła płakać. Ktoś na nowo związał Davidowi knebel na ustach, więc nie mógł nic powiedzieć; zamiast tego po prostu przytulił się do rodziny.

Nadal było mu niedobrze od wódki i od ciosów Simona, ale w tej chwili odetchnął z ulgą.

Po paru minutach ciężarówka znów się zatrzymała. David wyteżył słuch i po chwili jego uszu dobiegł szorstki odgłos przesuwanego metalu. Potem Brock otworzył tylne drzwi furgonetki i David ujrzał porośniętą trawą kopiec w kształcie kopuły. Miał może siedem metrów wysokości i ponad trzydzieści metrów szerokości. Wyglądał jakby usypano go nad jakąś podziemną strukturą, nad dużą piwnicą albo bunkrem. Samochód zaparkował przed wejściem wydrążonym u stóp kopca. Nad podniesionymi w górę drzwiami widniał napis: FERMIONAL ACCELERATOR LABORATORY, DETEKTOR - NEUTRIN.

Brock wspiął się do luku bagażowego, sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął nóż myśliwski, taki sam jak ten, który Simon przyłożył Jonahowi do gardła. Szczercząc zęby w uśmiechu, agent podszedł do rodziny Swiftów. David zza knebla krzyknął:

- Nie! - próbując osłonić syna, ale ze związanymi rękami i no gami ledwo udało mu się usiąść. Nie dałby rady odeprzeć ataku.

Brock stał tak przez kilka sekund, obracając w ręce nóż, w którego ostrzu odbijało się światło. Potem pochylił się i przeciął sznur kępujący kostki Davida.

- Zrobisz dokładnie to, co ci każe - wyszeptał. - Albo zarżnę ci dzieciaka. Rozumiemy się?

Brock przeciął sznur wokół kostek Jonaha, po czym zrobił to samo z więzami Karen i Monique. Zignorował Elizabeth, która leżała zemdlona w kącie. Trzymając dłoń na przewieszonym przez ramię uzi, zmusił wszystkich zakładników, by powstali.

- Wysiadać - rozkazał. - Wchodzimy do tego baraku.

Ręce mieli nadal związane z tyłu, ale udało im się wysiąść z furgonetki i gęsiego pomaszerować do wejścia. Serce Davida

waliło, gdy zbliżyli się do drzwi; agent najwyraźniej prowadził ich do kryjówki, gdzie będzie mógł ich pozabijać w ramach rozrywki. Cholera jasna, pomyślał. Musimy coś zrobić, i to szybko! Ale Brock szedł tuż za Jonahem, mierząc z uzi w głowę chłopca. David nie odważył się wystąpić z szeregu.

Weszli do ciemnego pokoju oświetlonego tylko migotającymi diodami. Brock zamknął drzwi i powiedział im, żeby się nie zatrzymywali. W głębi pokoju znajdowały się kręcone schody prowadzące w dół. David odliczył trzydzieści kroków, gdy schodzili w ciemność. Potem Brock włączył światło; znaleźli się na platformie, z której rozciągał się widok na olbrzymi okrągły zbiornik, spoczywający w betonowym wgłębieniu jak piłka golfowa. W tym przypadku jednak piłka miała prawie czternaście metrów średnicy. Platforma, na której stali, znajdowała się na równi ze spłaszczonym czubkiem stalowej kuli ukoronowanej okrągłą płytą, niczym gigantyczną pokrywą wjazdu. Patrząc na zbiornik, David przypomniał sobie, że czytał o nim w „Scientific American”. Była to część doświadczenia poświęconego badaniu neutrin, które były tak ulotne, że naukowcy potrzebowali skomplikowanej aparatury, by je wychwycić. W zbiorniku znajdowało się prawie milion litrów oleju mineralnego.

- Siadać! - krzyknął Brock. - Pod ścianę!

No tak, to już, pomyślał David, gdy cała grupka skuliła się na podłodze. Za chwilę ten drań zacznie strzelać. Brock podszedł bliżej, mierząc z karabinu. Monique oparła się o Davida, a Karen zamknęła oczy i pochyliła się nad Jonahem, który schował twarz na brzuchu matki. Ale zamiast strzelić, Brock zdał Davidowi knebel z ust i rzucił go na drugi koniec pomieszczenia.

- Dobra, teraz możemy zaczynać - powiedział. - Mamy niedokończone sprawy do załatwienia.

Znów wyszczerzył się w uśmiechu, najwyraźniej napawając się tą chwilą. Nie zabije ich tak szybko. Będzie to odwlekał, jak długo się da.

- No, Swift, pokrzycz trochę - powiedział. - Krzycz tak głośno, jak chcesz. Nikt na zewnątrz cię nie usłyszy. Jesteśmy pod ziemią.

David otworzył usta i natychmiast je zamknął. Zrobił to tylko po to, by rozruszać zdrętwiałą szczękę. Brock i tak nie pozwoli mu długo mówić, więc musi się streszczać. Wziął kilka głębokich oddechów, po czym spojrzał agentowi w oczy.

- Wiesz, co się będzie działo w Tevatronie? Masz pojęcie, co oni tam robią?

- Prawdę mówiąc, gównu mnie to obchodzi.

- A powinno, szczególnie jeśli masz jakichś krewnych lub przyjaciół w Waszyngtonie. Twój ruski kolega szykuje się, by wysadzić całe miasto w powietrze.

Brock zaśmiał się.

- Naprawdę? Jak na filmach? Z wielkim grzybem dymu?

- Nie, dysponuje znacznie nowszą technologią. Zmieni ustawienie wiązki neutron, którą Gupta chce wygenerować. Ale efekt będzie ten sam. Zniknie Biały Dom, Pentagon i kwatery FBI.

Przeżrana Monique wytrzeszczyła oczy na Davida, ale Brock nadal się śmiał.

- Czekaj, czekaj, niech zgadnę. Mam was wypuścić, tak? Bo jesteś jedynym, który może to powstrzymać? To mi próbujesz powiedzieć?

- Próbuję powiedzieć, że długo nie pożyjesz, jeśli plan twojego kumpla się powiedzie. Jeżeli nie będzie rządu, władzę w kraju prawdopodobnie przejmie wojsko, a pierwszym rozkazem, jaki wydadzą, będzie odszukanie drani, którzy



wysadzili Waszyngton. Jeżeli zamierzasz przemknąć się przez granicę, a następnie zniknąć, zapomnij o tym. Znajdą cię i przygwoźdzą.

David mówił bardzo poważnie, ale agent nadal mu nie wierzył. Wydawał się szczerze ubawiony.

- A wszystko zacznie się od... jak to nazwałeś? Wiązki neutralnej?

- Wiązki neutrin. Słuchaj, jeśli mi nie wierzysz, idź i pogadaj z profesorem Gupta. Zapytaj go...

- Jasne, na pewno tak zrobię - chichocząc, Brock odwrócił się i spojrział na gigantyczny zbiornik. Podszedł do pokrywy i tupnął nogą w stalową płytę. Łomot odbił się echem po ścianach. - Co tu jest? Neutrina?

David potrząsnął głową. To bez sensu. Brock był zbyt głupi, by to zrozumieć.

- Olej mineralny. Do wykrywania cząstek.

- Olej mineralny? A na cholere im to?

- Żeby zadziałał detektor, potrzebny jest przezroczysty płyn zawierający węgiel. Kiedy neutrina uderzają w atomy węgla, wydzielają światło. Ale jak sam powiedziałeś, kogo to obchodzi?

- Olej mineralny może się przydać do innych rzeczy. Wiesz, to dobry lubrykant.

Brock zaczął majstrować przy zaciskach przytrzymujących płytę. Po kilku sekundach odkrył, jak je otworzyć. Potem nacisnął stopą czerwony przycisk i elektryczny silnik zaczął mruczeć. Pokrywa otworzyła się jak muszla ostrygi, odsłaniając otwór rozmiarów jacuzzi.

- Patrzcie. Starczy na bardzo długo.

Kłękając na brzegu, Brock zanurzył rękę w zbiorniku. Potem wstał i podniósł w górę błyszczącą dłoń. Spoglądając na Davida, zatarł ręce.

- Mamy rachunki do wyrównania, Swift. Rzuciłeś się na mnie w hacie w Wirginii Zachodniej. Pokieraszowałeś mi twarz. Teraz ja się z tobą zabawię.

David poczuł ściskanie w gardle. Przez moment nie mógł złapać oddechu. Z trudem przełknął ślinę.

- No dobra, dawaj - zdołał wykrztusić. - Tylko nie rób krzywdy pozostałym.

Brock przez kilka sekund popatrzył na Karen, a potem na Monique. Olej mineralny kapał z końcówek jego palców.

- Nie, właśnie że zrobię.

Przejęcie kontroli w nastawni Tevatronu odbyło się bez większego wysiłku. Gdy tylko Simon stanął w drzwiach, trzymając uzi, wymizerowani operatorzy odsunęli się od monitorów i podnieśli ręce nad głowy. Podczas gdy studenci Gupty zajmowali miejsca, Simon wyprowadził pracowników laboratorium do pobliskiego składzika i zamknął ich w środku. Ustawił czterech studentów na warcie, wręczając każdemu krótkofalówkę i uzi. Dwóch zajęło miejsca na parkingu, a pozostali patrolowali wejścia do tunelu akceleratora. Gdyby pojawili się jacyś inni pracownicy, Simon zamierzał zacząć się na nich i zamknąć w schowku razem z resztą operatorów. Władze przez najbliższe dwie, trzy godziny nie zorientują się, że coś jest nie tak, tym samym dając Gupcie i jego studentom sporo czasu na przygotowanie Tevatronu do doświadczenia.

Profesor stał na środku pomieszczenia i dyrygował studentami jak orkiestrą. Przebiegł wzrokiem po wyłącznikach, kablach i ekranach, by zorientować się w sytuacji. Za każdym razem, gdy jakiś szczegół przykuwał jego uwagę, rzucał się w kierunku studenta na danym stanowisku i żądał raportu. Był niesamowicie zaangażowany. Skóra wokół jego oczu i na czole

napięła się, likwidując wszelkie oznaki zmęczenia i podeszłego wieku. Simon musiał przyznać, że było to imponujące. Jak na razie wszystko szło zgodnie z planem. Po chwili jeden ze studentów zawołał:

- Inicjacja strumienia protonów!
- Znakomicie! - odparł profesor.

Wydawało się, że trochę się rozluźnił. Spojrzał przez ramię i uśmiechnął się do swego upośledzonego wnuka, siedzącego w nastawni nad grą boyem. Potem, wciąż się uśmiechając, odwrócił głowę i spojrzał w sufit.

Simon podszedł do niego.

- Zbliżamy się do celu?

Gupta pokiwał głową.

- Jesteśmy już bardzo blisko. Czas nam sprzyjał. Kiedy przyjechaliśmy, operatorzy właśnie przygotowywali nową porcję cząstek. - Znów zaczął się przyglądać monitorom. - Wprowadziliśmy już konieczne poprawki i zaczynamy przemieszczać protony z głównego wstrzykiwacza do pierścienia Tevatronu. Musimy przesunąć trzydzieści sześć paczek po dwieście miliardów protonów w każdej.

- Jak długo to potrwa?

- Około dziesięciu minut. Normalnie operatorzy rozmieszczają paczki równo na obwodzie pierścienia, ale tym razem musimy zmienić ustawienie, żeby doszło do kolizji sferycznej. Zmodyfikowaliśmy również niektóre magnesy w pierścieniu, żeby uzyskać geometrię odpowiednią dla rojów protonów. Do tego właśnie był nam potrzebny sprzęt, który przywieźliśmy w skrzynkach.

- Czyli za dziesięć minut zacznie się zderzenie?

- Nie, jak już przemieścimy protony, musimy wprowadzić antyprotony. To najbardziej skomplikowana część całego pro-

cesu, więc może zająć trochę dłużej, może nawet dwadzieścia minut. Musimy uważać, żeby nie utracić nadprzewodnictwa.

- Co to takiego?

- Coś, do czego utraty nie możemy dopuścić za wszelką cenę. Magnesy, które naprowadzają cząstki są nadprzewodzące, a to znaczy, że działają tylko w temperaturze dwustu siedemdziesięciu stopni poniżej zera. System kriogeniczny Tevatronu utrzymuje taką temperaturę, pompując wokół zwojów płynny hel.

Simon poczuł się nieswojo. Przypomniwał sobie pojemniki ze sprężonym helem, które widział, kiedy mijali tunel.

- A co może pójść nie tak?

- Każda wiązka cząstek niesie ze sobą dziesięć milionów dżuli energii. Jeśli źle ją skierujemy, przedrze się przez rurę. Nawet jeśli popełnimy niewielki błąd, cząstki mogą trafić w jeden z magnesów i podgrzać płynny hel. Jeśli temperatura helu zbyt wzrośnie, zamieni się on w gaz i wybuchnie. Wtedy magnes utraci nadprzewodnictwo, a opór elektryczny stopi zwoje.

Simon zmarszczył brwi.

- Da się to naprawić?

- Prawdopodobnie tak. Ale zajęłoby to kilka godzin. A potem jeszcze parę, żeby skalibrować wiązkę.

Cholera jasna, pomyślał Simon. Powinien był zdawać sobie sprawę, że operacja jest bardziej ryzykowna, niż wynikało z tego, co na początku mówił profesor.

- Powinien był mi to pan powiedzieć wcześniej. Jeżeli rząd się zorientuje, że tu jesteśmy, przysła zespół uderzeniowy. Przez chwilę uda mi się ich powstrzymać, ale nie przez kilka godzin!

Paru studentów odwróciło się i spojrzało na niego nerwowo. Ale Gupta spokojnie położył mu dłoń na ramieniu:

- Mówiłem ci już, będziemy ostrożni. Wszyscy moi studenci mają doświadczenie w obsłudze akceleratorów, a poza tym przeprowadziliśmy wiele symulacji na komputerze.

- A co z wycelowaniem neutrin? Kiedy wprowadzi pan współrzędne miejsca wybuchu?

- Zajmiemy się tym, jak wprowadzimy paczki antyprotonów. Trajektoria neutrin zależy od dokładnego wymierzenia w czasie... - urwał w pół zdania i tępo spozjrzał przed siebie. Otworzył usta. Przez chwilę Simon bał się, że staruszek dostał zawału. Ale po chwili znów się uśmiechnął. - Słyszałeś to? - wyszeptał. - Słyszysz?

Simon nastawił uszu. Usłyszał szybki przerywany sygnał dźwiękowy.

- To oznacza, że protony już krążą w tunelu! - krzyknął Gupta. - Sygnał na początku jest niski, a potem coraz wyższy, w miarę jak wiązka przybiera na sile! - Łzy pociekły z kącików jego oczu. - Co za wspaniały dźwięk! Czyż nie cudowny?

Simon kiwnął głową. Dźwięk brzmiał jak wyjątkowo gwałtowne bicie serca. Jak ostatni trzepot tuż przed śmiercią.

Kabel wrzynał się Davidowi w nadgarstki. Jeszcze raz podjął szaloną próbę uwolnienia rąk, gorączkowo wykręcając ramiona za plecami, podczas gdy Brock zbliżał się do Karen i Jonaha. Kilka godzin napinania sznura w furgonetce trochę rozluźniło więzy, ale to nie wystarczyło. Krzyknął z bezsilności, gdy agent podszedł do Karen, która siedziała skulona, obejmując Jonaha. Brock schylił się nad nią i chwycił ją za kark. Już miał ją oderwać od chłopca, kiedy David wstał i rzucił się na nich.

Całą nadzieję pokładał w rozpędzie. Zniżył prawe ramię i skoczył na agenta niczym szarżujący byk, z tułowiem pochylonym równoległe do ziemi. Ale Brock go zauważył.

W ostatniej chwili usunął się na bok i podstawił Davidowi nogę. David bezwładnie zawisł w powietrzu. A potem, nie mogąc zamortyzować upadku rękoma, wylądował na twarzy. Uderzył czołem o betonową posadzkę. Krew buchnęła mu z nosa, zalewając usta. Brock zaśmiał się:

- Niezły ruch, durniu.

Pociemniało mu przed oczami. Pokój zawirował. David na chwilę stracił przytomność, a kiedy przyszedł do siebie, zobaczył, że Monique biegnie w kierunku agenta. Ta próba również zakończyła się niepowodzeniem. Gdy się zbliżyła, Brock uderzył ją pięścią w klatkę piersiową. Upadła do tyłu, a agent znów wybuchnął śmiechem. Jego twarz zarumieniła się teraz w miejscach, gdzie nie była sina, a jego oczy rozbłysły radosnym blaskiem. Przeszedł nad Monique, przełożył uzi do lewej dłoni, a prawą wsunął do kieszeni spodni. Wyglądało, jakby miał zamiar wyjąć kolejną broń, nóż sprężynowy, garotę albo kastet. Ale Brock trzymał rękę w kieszeni, poruszając powoli w górę i w dół. Ta świnia się masturbowała!

Nagle Brock się odwrócił i podszedł z powrotem do zbiornika z olejem. Tym razem powiesił sobie karabin na ramieniu i zanurzył obie ręce w cieczy.

- No co, Swift? - wrzasnął. - Nie masz za grosz jaj? Będziesz tak siedział i patrzył?

David zacisnął zęby. Wstawaj, mówił sobie, wstawaj! Z trudem stanął na nogi i zrobił krok do przodu, ale teraz wydawało mu się, że idzie w zwolnionym tempie. Brock znów się odsunął i chwycił za kabel, którym związane były dłonie Davida. Obrócił go i zmusił do ukłęknięcia. Ręce agenta były zimne i śliskie.

- Zabawię się z czarnuchą - wyszeptał. - Ale jeszcze lepiej będzie z twoją żoną. Zdejmę jej knebel, żebyś słyszał, jak krzyczy.

Brock rzucił go na ziemię. David po raz drugi uderzył głową w beton; ból przeszył mu czaszkę. Ale tym razem nie zemdlął. Wbił paznokcie w dłonie i przygryzł wargi aż do krwi, ze wszystkich sił starając się zachować świadomość.

Słaby, oszołomiony i przerażony ujrzał, jak Brock odciąga Karen od Jonaha i wlecze ją w stronę stalowego zbiornika. Patrzył, jak agent zdiera jej knebel z ust i usłyszał, że Karen cichuteńko jęknęła. To było jeszcze gorsze niż krzyk. Ten dźwięk doprowadził Davida do białej gorączki. Rzucił się na podłogę, próbując wstać. Gdy tak walczył, jego prawa dłoń nagle wyśliznęła się z pętli, którą Brock niechcący nasaczył olejem.

David był tak zaskoczony, że przez chwilę jeszcze leżał na ziemi z rękami założonymi na plecach. Ale w jednej chwili jego osłabienie zniknęło i powróciła zdolność logicznego myślenia. Wiedział, że jest za słaby, by walczyć. Gdyby spróbował wyrwać Brockowi uzi, ten po prostu odepchnąłby go i zacząłby strzelać. Musi go obezwładnić i w nagłym przypływie świadomości dotarło do niego, jak może to zrobić. Sięgnął do tylnej kieszeni i chwycił automatyczną zapalniczkę z Samotną Gwiazdą Teksasu, którą zabrał agentce Parker.

Udając, że nadal ma związane ręce, dźwignął się na nogi. Brock uśmiechnął się i puścił Karen.

- To mi się podoba! - zaskrzeczał, przekraczając kobietę i przyjmując pozycję jak do walki: - No, dawaj, wielkoludzie. Pokaż, na co cię stać!

Tym razem David nie biegł. Zrobił parę niepewnych kroków, aż wreszcie stanął przed agentem. Rozczarowany Brock potrząsnął głową:

- Wiesz co, nie wyglądasz za dobrze. Wyglądasz jak...

David pstryknął zapalniczkę i rzucił nią w twarz agenta.

Brock odruchowo podniósł ręce, chcąc się osłonić przed płomieniem, i jego pokryte olejem dłonie zajęły się ogniem.

Resztkami sił David chwycił go w pasie i popchnął do tyłu. Agent bił rękami na oślep, ale tym sposobem tylko rozniecał płomień. David liczył kroki: jeden, dwa, trzy, cztery. Potem wepchnął Brocka do zbiornika z olejem mineralnym.

Gdy tylko dłonie Brocka zanurzyły się w cieczy, płomień objęły całą powierzchnię zbiornika. Ale nawet gdyby nie było ognia, agent nie dostałby się z kadzi. Wpadł do oleju ciężko jak kamień, natychmiast idąc na dno. Olej jest nie tylko łatwopalny - jest również lżejszy niż woda. Jako że ciało ludzkie składa się w przeważającej części z wody, nie da się pływać w cieczy, która jest o wiele rzadsza. David sporo zapomniał z fizyki, której nauczył się w szkole, ale na szczęście to akurat pamiętał.

Sygnal w nastawni nie przypominał już bicia serca. Stawał się coraz wyższy, aż w końcu przerodził się w przenikliwy nieczłowieki pisk. Brzmiał jak alarm, jak zautomatyzowane ostrzeżenie o mechanicznym uszkodzeniu, ale profesor Gupta nie wydawał się zmartwiony. Znowu spojrzął w sufit, a kiedy odwrócił się do Simona, na jego twarzy malowała się niemal ekstaza.

- Wiązka jest silna - oznajmił. - Można to stwierdzić, słuchając sygnału. Wszystkie protony są w pierścieniu.

Cudownie, pomyślał Simon. Teraz czas skończyć robotę.

- Jesteśmy gotowi na wprowadzenie współrzędnych celu?

- Tak, to będzie następny krok. Potem wpuścimy antyprotony do akceleratora.



Profesor zrobił krok w kierunku pulpitu sterowniczego, za którym siedzieli Richard Chan i Scott Krinsky, bladzi fizycy w okularach, pracownicy Narodowego Laboratorium w Oak Ridge. Ale zanim Gupta zdążył wydać jakiegokolwiek instrukcje, Simon chwycił go za ramię i przyłożył mu uzi do czoła.

- Chwileczkę. Musimy wprowadzić małą poprawkę. Mam nowe współrzędne miejsca wybuchu.

Gupta wpatrywał się w niego, nie rozumiejąc, o co chodzi.

- Co ty wyrabiasz? Zabieraj łapy!

Richard, Scott i inni studenci odwrócili głowy. Kilku wstało z miejsc, kiedy ujrzeni, co się dzieje, ale Simon się tym nie przejął. Nikt poza nim nie miał broni.

- Jeśli cenicie życie swojego profesora, radzę wam usiąść - powiedział spokojnie. Dla podkreślenia własnych słów wbił Gupcie w skroń koniec lufy karabinu.

Studenci posłusznie opadli na krzesła.

- Po co dzwonicz? Już dla mnie nie pracujesz.

Lucille ledwo rozpoznała głos dyrektora biura, który warknęła na nią przez telefon.

- Proszę pana - zaczęła ponownie. - Mam nowe...

- Nie chcę już tego słuchać! Jesteś na emeryturze. Oddaj broń, odznakę i opuść budynek!

- Proszę posłuchać! Zidentyfikowałam numer telefonu, który może należeć do jednego z...

- Nie, to TY posłuchaj! Właśnie straciłem przez ciebie pracę, Parker! Wiceprezydent wybrał już kogoś na moje miejsce i nawet podał jego nazwisko w Fox News!

Westchnęła głęboko. Jeżeli chciała, żeby jej wysłuchał, musiała mówić szybko.

- Ten podejrzany może współpracować z Amilem Gupta. Jego numer jest zarejestrowany na nazwisko jakiegoś George'a Osmonda. Falszywa tożsamość, fałszywy adres. Według rejestrów operatora przez ostatnie dwa tygodnie włączał aparat raz dziennie, żeby odebrać telefon od Gupty, po czym natychmiast go wyłączał. Ale wydaje mi się, że pan Osmond popełnił błąd. Dziś o pierwszej w nocy włączył telefon - od tamtej pory jest namierzany.

- Wiesz co, Lucy? To już nie jest mój problem. Dziś po południu wracam do sektora prywatnego.

- Zdobyłam dane przekazywane przez ten aparat. Wynika z nich, że podejrzany pojechał bocznymi drogami do Bata-vii w stanie Illinois. W tej chwili tam właśnie się znajduje, w Fermi...

- Słuchaj, po co mi to mówisz? Porozmawiaj z Agencją Wywiadu Obronnego. Teraz oni się tym zajmują.

- Próbowалам, proszę pana, ale nie chcą mnie słuchać! Ci idioci z agencji powtarzają, że nie potrzebują żadnej pomocy!

- To olej ich! Niech idą do diabła!

- Gdyby pan tylko mógł...

- Nie, ja już skończyłem. Pieprzę Pentagon, pieprzę Biały Dom, pieprzę całą administrację.

- Ale musi pan tylko...

Usłyszała kliknięcie. Dyrektor FBI odłożył słuchawkę. David wyprowadził Karen, Jonaha i Monique z podziemnego laboratorium z powrotem do furgonetki. Choć zamontowany w środku zraszacz zdążył już ugasić ogień w zbiorniku, wszystkim spieszyło się, aby wyjść z pomieszczenia. Kiedy już byli na zewnątrz, David rozwiązał im nadgarstki. Karen i Jonah rzucili mu się w ramiona, szlochając. Monique jednak pobięła z powrotem do laboratorium.

- Czeka! - zawołał David. - Dokąd pędzisz?
- Muszę znaleźć telefon! Zabrali nam komórki!

David delikatnie wyzwoił się z uścisku syna i byłej żony, po czym skierował się do drzwi laboratorium. Monique maszerowała po pomieszczeniu, szukając telefonu między długimi stołami zastawionymi komputerami.

- Jezu! - krzyknęła. - Gdzie tu do diabła jest jakiś telefon? Mają sprzęt za milion dolarów, a ani jednego cholernego telefonu!

David stał w drzwiach. Nie chciał wchodzić do środka.

- Chodźmy już - ponaglił. - Ten Rusek może w każdej chwili przysłać posiłki.

Monique potrząsnęła głową.

- Najpierw musimy zadzwonić po pomoc. Gupta przynosił wszystko do załamania czasoprzestrzeni. leżeli teraz wycelują w Waszyngton, to... Ooooo, a to co? - Wskazała metalową płytę na ścianie niedaleko drzwi. - To interkom?

Chcąc nie chcąc, David wszedł do pomieszczenia, żeby rzucić okiem na to, co pokazywała Monique. Faktycznie wyglądało jak interkom - pod kratką głośnika znajdował się rząd kolorowych przycisków. Były podpisane: NASTAWNIA, GŁÓWNY WSTRZYKIWACZ, TEVATRON I HALA ZDERZEŃ.

- Nie przyciskaj NASTAWNI - ostrzegł David - Gupta prawdopodobnie tam jest.

- Może uda nam się skontaktować z pomieszczeniem, którego jeszcze nie zajęli? Jeżeli uda nam się znaleźć jednego z inżynierów Tevatronu, może przekonamy go, żeby odłączył zasilanie akceleratora. - Przez chwilę przyglądała się szeregowi przycisków, po czym nacisnęła ten podpisany TEVATRON.

- Halo? Halo?

Nikt nie odpowiedział. Ale kiedy David przysunął ucho do płyty, usłyszał serię szybkich, wysokich dźwięków.

- Cholera - szepnęła Monique. - Znam ten sygnał. - Chwyciła go za ramię, żeby się uspokoić. - Wiązki zaraz będą gotowe.

- Co? Co to...

- Nie mamy czasu! - Rzuciła się do drzwi, ciągnąc go za sobą. - Mamy dziesięć, najwyżej piętnaście minut!

Pobiegła do furgonetki i chwyciła za klamkę przy drzwiach dla kierowcy. Niestety, były zamknięte. Kluczyk znajdował się pewnie w kieszeni spodni Brocka, na dnie zbiornika z olejem.

- Cholera! - krzyknęła. - Musimy biec!

- Dokąd? Gdzie mamy biec?

- Do tunelu wiązek! Tędy!

Monique popędziła przed siebie, na południe, w kierunku pierścienia Tevatronu. David podbiegł do Karen, która kłęzczała na ziemi przy Jonahu. Przerazała go myśl, że miałyby zostawić ich tu samych, ale to, co działo się w akceleratorze, było jeszcze gorsze.

- Musimy się rozdzielić - powiedział. - Ty i Jonah musicie się stąd natychmiast wydostać. - Pokazał jej chodnik oddalony dwieście metrów na północ. - Musicie dojść do tej drogi, a potem w lewo. Jeżeli natkniecie się na jakichś strażników albo policję, powiedzcie, że w tunelu wiązek jest pożar i trzeba odciąć zasilanie. Rozumiesz?

Karen kiwnęła głową. David był zaskoczony jej spokojem. Wzięła go za rękę, ścisnęła ją, po czym popchnęła go w kierunku tunelu:

- Idź, David - powiedziała. - Idź, zanim będzie za późno.

Simon miał problem. Chciał skontaktować się z Brockiem przez krótkofalówkę, ale nie otrzymał odpowiedzi. Spróbował jeszcze trzy razy, ale słyszał tylko szum zakłóceń. Ciężko sobie wyobrazić, że człowiek uzbrojony w uzi mógł się dać podejść garstce związanych i zakneblowanych zakładników. Ale tak się właśnie stało.

Simon nadal trzymał lufę karabinu przytkniętą do głowy profesora Gupty, a studenci w nastawni przez cały czas monitorowali Tevatron, posłusznie ustawiając wiązki protonów i antyprotonów tak, aby zgadzały się z nowymi współrzędnymi. Za jakieś dziesięć minut wiązki będą gotowe, a po kolejnych dwóch minutach w akceleratorze rozpoczną się zderzenia. Ale jeśli Swift i Reynolds faktycznie uciekli Brockowi, jest szansa, że dostaną się do tunelu i przeszkodzą w doświadczeniu. Teraz Simon musiał wybrać: ścigać zakładników czy zostać w nastawni.

Po krótkim namyśle przycisnął uzi do czaszki Gupty i popchnął profesora w przód. Starszy człowiek był tak przerażony, że ledwo stał na nogach. Simon chwycił go za kołnierz i zwrócił się do studentów:

- Profesor Gupta i ja idziemy obejrzeć doświadczenie z innego miejsca, niedaleko stąd. Spodziewam się, że wypełnicie moje rozkazy. Jeśli pokaz się nie uda, zabiję waszego profesora w najbardziej bolesny sposób, jaki możecie sobie wyobrazić. A potem wrócę tutaj i zabiję was wszystkich po kolei.

Studenci kiwnęli głowami i odwrócili się znów do monitorów. Byli słabi, przerażeni i łatwo ich było zastraszyć. Simon nie miał wątpliwości, że go posłuchają. Poszedł na drugi koniec nastawni i otworzył szafkę, w której znajdowały się klucze do tunelu. Upośledzony wnuk profesora patrzył na nich przez chwilę, nie zdając sobie sprawy, co się dzieje. Potem spuścił

głowę i wrócił do gry. W tym czasie Simon wyprowadził profesora z nastawni.

Od Tevatronu dzieliło ich jakieś osiemset metrów. David i Monique przebiegli kilkaset metrów brukowaną drogą, po czym skręcili na błotniste pole. Po chwili ujrzeli porośniętą trawą wał biegnący nad tunelem oraz niski murowany budynek z bramą przesuwaną zamiast drzwi. W pobliżu nie było widać żadnych samochodów ani ludzi. Monique wskazała budynek:

- To jedno z wejść do tunelu. Punkt dostępu F-2.

- Cholera - wysapał David. - Brama jest pewnie zamknięta. Jak u diabła mamy się dostać do środka?

- Siekiery - odparła. - Są przy każdym wejściu na wypadek, gdyby w tunelu coś się zdarzyło. Pamiętam, że je widziałam, kiedy ostatnim razem robiłam w nim doświadczenie.

- A jakaś sterownia, która zamyka wiązkę? Pamiętasz, gdzie jest?

- Są wyłączniki ręczne w tunelu, ale Gupta pewnie je zablokował. Założę się, że była to jedna z pierwszych rzeczy, jakie zrobił.

W końcu dotarli do murowanego budynku; szybko zlokalizowali gablotkę z siekierą na zewnętrznej ścianie. Monique wyjęła siekiere i pospieszyła do wejścia. David przez bramę zobaczył schody prowadzące do tunelu. Chwycił Monique za łokieć.

- Chwilę! Jak odłączysz akcelerator, jeśli wyłączniki są zablokowane?

Monique uniosła siekiere.

- Tym. Jedno szybkie cięcie przez powierzchnię torusa powinno załatwić sprawę.

- Ale jeśli wiązka będzie w ruchu, protony rozlecą się na wszystkie strony! Napromieniuje cię!

Ponuro kiwnęła głową.

- Dlatego ty tutaj zostaniesz i będziesz pilnował wejścia. Bez sensu, żebyśmy się oboje usmażyli.

David mocniej ścisnął jej łokieć.

- Ja to zrobię. Zejdę na dół zamiast ciebie.

Zmarszczyła brwi. Spojrzała na niego tak, jakby właśnie palnął głupotę.

- To niedorzeczne. Ty masz dziecko, rodzinę. Ja nie mam nikogo. Bardzo prosty rachunek. - Wyrwała ramię z jego uścisku i stanęła przed bramą.

- Nie, zaczekaj! Może moglibyśmy...

Uniosła siekiere nad głowę i już miała ją opuścić na zamek w bramie, kiedy przeszła ją kula. David usłyszał strzał i zobaczył, jak krew tryska z miejsca tuż nad talią. Wydała z siebie zdziwione westchnienie i upuściła siekiere. Chwycił ją za ramiona, gdy upadała i szybko przeciągnął za róg budynku.

- Jezu! - krzyknął. - Monique!

Wykrzywiła twarz z bólu. Ścisnęła Davida za ramię, gdy położył ją na ziemi i podciągnął jej podkoszulek. Pocisk wszedł po lewej stronie podbrzusza, a wyleciał po prawej. Krew lała się z obu stron.

- Kurwa! - jęknęła, z trudem łapiąc powietrze. - Co się stało?

David wyrzwał za róg. Pięćdziesiąt metrów dalej, przy ścianie innego budynku, stało dwóch studentów Gupty. Choć obaj mieli uzi, stali jak wryci, najwyraźniej przferażeni swoim pierwszym kontaktem z bronią palną. Jeden z nich mówił coś przez krótkofalówkę.

David odwrócił się do Monique:

- Jest ich dwóch, ale nadchodzą posiłki - oznajmił. Klęknął obok niej, wsunął jedno ramię pod jej plecy, a drugie pod kolana. - Zabieram cię stąd.

Ale kiedy próbował ją podnieść, krzyknęła, a krew szerokim strumieniem trysnęła z rany po prawej stronie, wsiąkając w jego spodnie.

- Połóż mnie, połóż! - jęknęła. - Będziesz musiał poradzić sobie sam. Drugi punkt dostępu jest kilometr na południe.

- Nie mogę...

- Nie ma czasu na kłótnie! Bierz siekiere i idź!

Simon zamknął profesora Gupte w schowku w hali zderzeń. Kiedy oddalili się od nastawni, mógł go równie dobrze zastrzelić, ale uznał, że wypada, aby profesor żył na tyle długo, by na własne oczy zobaczyć wynik swojego doświadczenia.

Wychodząc z hali zderzeń, otrzymał przez krótkofalówkę wiadomość od studentów, którzy patrolowali tunel. Trzy minuty później dotarł do punktu F-2. Studenci stali dziesięć metrów od Reynolds. Obaj nerwowo celowali w nią z karabinów, chociaż najwyraźniej i tak nie była w stanie w żaden sposób im zagrozić. Leżała na ziemi w kałuży krwi. Jeszcze żyła, ale wyglądało na to, że już niedługo.

- Była sama? - spytał Simon. - Widzieliście kogoś jeszcze?

Gruby student potrząsnął głową, ale ten chudy nie był taki pewien. Otarł pot z czoła i nasunął okulary na nos.

- Jestem przekonany, że jak Gary ją postrzelił, widziałem, jak ktoś ją przeciąga za róg. Ale nie zdążyłem mu się dobrze przyjrzeć.

Simon zrobił krok w kierunku niedowidzącego głupka.

- W którą stronę poszedł?



- Nie wiem, już później go nie widziałem. Wzywałem pana przez radio, a kiedy...

Uciszył go jednym pociągnięciem za spust. Potem obrócił się na pięcie i zastrzelił również grubasa. Ci studenci byli całkowicie bezużyteczni. Swift był teraz na wolności, pewnie szukał innego wejścia do tunelu, a on nie wiedział, do którego punktu dziewięciokilometrowego pierścienia zdążyć. Z wściekłością nadepnął na twarz pierwszego studenta, którego zabił, miażdżąc mu okulary.

Wtedy ranna kobieta wydała gardłowy, urywany jęk:

- Daaaaavid.

Miała zamknięte oczy, ale była jeszcze przytomna. Być może ona wie, dokąd poszedł Swift, pomyślał Simon.

Wyjął z futerału nóż myśliwski. Żeby zadać jak największy ból, najlepiej zacząć od palców.

Karen nie mogła uwierzyć we własne szczęście. Razem z Jonahem biegła drogą, którą wskazał David, kiedy nagle zobaczyła jadące w ich kierunku trzy wozy strażackie i biało-czerwonego jeepa. Gorączkowo pomachała rękami, chcąc zwrócić uwagę kierowców. Wozy minęły ją z wyjącymi syrenami, ale jeep z napisem NADZÓR POŻARNICZY FERMILAB zatrzymał się. Z okna wychylił się łysiejący mężczyzna z uśmiechniętą okrągłą twarzą.

- W czym mogę pani pomóc?

Przez chwilę próbowała złapać oddech, po czym wydusiła:

- Pożar! W tunelu wiązek! Musicie odłączyć zasilanie!

Strażak uśmiechnął się, najwyraźniej nieporuszony.

- Spokojnie, spokojnie. Dostaliśmy zgłoszenie, że uruchoił się system zraszaczy w Detektorze Neutrin. Wozy już tam pojechały.

- Nie, nie, tam już się nie pali! Musicie jechać do tunelu wiązek! I odłączyć zasilanie, zanim go wysadzą!

Uśmiech na twarzy strażaka był już trochę mniej serdeczny. Mężczyzna zmierzył wzrokiem Karen i płaczącego wciąż Jonaha.

- Przepraszam bardzo, ale czy ma pani przepustkę dla odwiedzających?

- Nie! Przywieźli nas tu furgonetką!

- Przykro mi, ale nie można przebywać na terenie laboratorium bez przepustki. Musi pani...

- Jezu Chryste! Banda terrorystów okupuje to miejsce, a pan się martwi pieprzoną przepustką?

Uśmiech zniknął z twarzy kierowcy jeepa. Zaparkował samochód i otworzył drzwi.

- Łamie pani prawo. Myślę, że lepiej będzie, jak pójdzie pani ze...

Karen chwyciła Jonaha za rękę i puściła się pędem drogą-

David przebiegł pod dębami, które osłaniały go, gdy mknął wzdłuż wału nad tunelem wiązek. Nie oglądał się za siebie, odkład zostawił Monique. Przebiegł już jakieś osiemset metrów, więc i tak by jej już nie widział. Niemniej jednak nie chciał patrzeć za siebie. Musiał wyprzeć ze świadomości wszystko poza tunelem.

Z siekierą w dłoni podbiegł do wejścia E-0 murowanego budynku dokładnie takiego samego jak ten, który właśnie opuścił. Przed budynkiem stał spory żółty wózek elektryczny - pewnie używano go do przewozu personelu technicznego lub sprzętu z jednego punktu dostępu do następnego. Ale o tej porze nikt jeszcze nie pracował. David słyszał tylko ćwierkanie

ptaków i niskie brzęczenie dobiegające z klatki schodowej prowadzącej w dół do tunelu.

Szybko zmierzył wzrokiem bramę przed schodami. Była zabezpieczona łańcuchem i stalową kłódką, ale łańcuch był tandetny i cienki. David chwycił siekierę, jakby to był kij baseballowy, i wykonał kilka próbnych uderzeń. Potem zamachnął się porządnie i uderzył ostrzem w liche ogniwa łańcucha. Od siły uderzenia aż zadrżały mu dłonie i o mało co nie upuścił siekiery, ale kiedy spojrzął na łańcuch, okazało się, że już jest przecięty.

Otworzył bramę i popędził schodami w dół. Na samym dole musiał się jednak zatrzymać - wstępu do tunelu broniła kolejna brama. Przez pręty widział torus - długi, zakrzywiony, srebrnoszary wiszący jakieś trzydzieści centymetrów nad podłogą. O tym też czytał w „Scientific American”. Nadprzewodzące magnesy okalały torus; były przyczepione do niego na całej długości jak gigantyczne korale, z tym że każdy magnes wyglądał jak trumna o długości siedmiu metrów. Dzięki magnesom protony i antyprotony biegły przez stalową rurę w ścisłych wiązkach. Jedno przesunięcie wyłącznika mogło sprawić, że te same magnesy zbliżą do siebie dwie wiązki, dając początek apokalipsie.

David znów uniósł siekierę, ale druga brama była trudniejsza do sforsowania. Zamknięto ją dwoma ryglami, które wystawały z framugi. Kiedy zamachnął się na nie, ostrze topora nawet ich nie drasnęło. Spróbował wycelować w środek bramy, ale szczeble tylko zagrzecotały. Problem był również w tym, że korytarz był za wąski - nie było miejsca, żeby wykonać porządny zamach. Sfrustrowany jeszcze raz uderzył w rygle, ale tym razem ostrze siekiery odpadło. David krzyknął:

- Kurwa! - i zaczął walić w bramę złamaną rękojęcią. Torus był na wyciągnięcie ręki, ale nie mógł do niego podejść ani na krok.

Nie mając już innych pomysłów, David pobiegł schodami z powrotem w górę. Chociaż pewnie znalazłby w pobliżu jakąś inną siekiere, wiedział, że dużo nią nie zdziała. Gdyby walił w bramę raz po raz przez jakąś godzinę, może udałoby się ją złamać, ale w najlepszym wypadku miał teraz jeszcze kilka minut. Kiedy wyszedł na zewnątrz, gorączkowo rozejrzał się za jakimś wybawieniem - kluczem, brzeszczotem, laską dynamitu. Nagle jego wzrok padł na wózek elektryczny.

Silnik na szczęście uruchamiany był na przyciski. David usiadł za kierownicą i skierował pojazd do wejścia do tunelu. Wyglądało na to, że się zmieści. Docisnął pedał gazu do podłogi i rozpedził wózek do jakichś trzydziestu kilometrów na godzinę. Potem wyskoczył z pojazdu i patrzył, jak ten stacza się po schodach w dół.

Po chwili rozległ się niesamowity huk, co napełniło Davida nadzieją. Popędził w dół i ujrzał żółty wózek kołyszący się na sterce żelastwa. Przód pojazdu znajdował się w tunelu, a tył zwiślał tuż przed bramą. Tylne koła szaleńczo wirowały w powietrzu - silnik nadal pracował, a pedał gazu najwyraźniej się zaklinował - ale David zdołał przecisnąć się obok wraku i dostać przez wyłom w tunelu.

Ześliznął się na betonową posadzkę, na której poniewierały się kawałki przednich świateł wózka. Sam torus nie został jednak uszkodzony. Parę metrów dalej David znalazł na ścianie panel sterowniczy. Mamrocząc pod nosem modlitwę, otworzył go i nacisnął guzik wyłącznika. Ale nic się nie stało. Długi szereg nadprzewodzących magnesów nadal brzęczał. Gupta unieszkodliwił wyłączniki, tak jak przewidziała Monique.

David podniósł z ziemi ciężką stalową sztabę, wyrwaną z bramy. Nic innego nie przychodziło mu do głowy. Nie było możliwości, aby zniszczyć jeden z magnesów - zwoje były osłonięte grubymi stalowymi kolumnami - a wszystkie kable zasilające akcelerator biegly wzdłuż łukowatego sklepienia tunelu; nie mógł tam dosięgnąć. Niestety, jedynym sposobem odłączenia Tevatronu było uszkodzenie torusa. Musiałby wałnąć na tyle mocno, by wykrzywić trajektorię cząstek, które natychmiast przeniknęłyby do jego ciała niczym miliony maleńkich strzałek. David poczuł, że oczy go pieką. Cóż, pomyślał, przynajmniej będzie szybko.

Przetarł oczy i wyszeptał:

- Żegnaj, Jonah - po czym podniósł nad głowę stalową sztabę.

Ale kiedy podszedł do odcinka torusa między dwoma magnesami, zauważył tuż nad nimi jeszcze jedną rurę, na której widniały czarne litery HE. Tędy doprowadzano do magnesów ciekły hel, który obniżał temperaturę tytanowych zwojów do wartości, przy której mogły przewodzić prąd bez żadnego oporu - w ten sposób magnes stawał się nadprzewodnikiem. Przyglądając się rurze, David zorientował się, że można jeszcze inaczej zatrzymać wiązkę cząstek.

Zacisnął palce na sztabie, celując w rurę z helem. Należało tylko przebić ją w jednym miejscu. Połączony z powietrzem ciekły hel zamieni się w gaz i ulotni; potem magnesy się przegrzeją i Tevatron sam się wyłączy. David zamachnął się i tak mocno, jak tylko mógł, uderzył prętem dokładnie w czarne litery HE. Uderzenie odbiło się echem w tunelu; na rurze widniało szerokie na dwa centymetry pęknięcie - poszło dobrze, ale to za mało. David jeszcze raz wałnął sztabą w to samo miejsce. Pęknięcie było odrobinę głębsze. Jeszcze raz

i będzie dziura, pomyślał David, robiąc kolejny zamach. Ale w tej chwili ktoś wyrwał mu pręt z dłoni i odepchnął go od torusa.

David uderzył głową w betonową posadzkę. Nie widział napastnika, ale podnosząc się z ziemi, usłyszał znajomy głos.

- Witam ponownie, doktorze Swift. Pańska znajoma, doktor Reynolds, była tak uprzejma, że powiedziała mi, gdzie mogę pana znaleźć. Wystarczyło jej uciąć jedynie dwa palce.

- Nie, proszę pani, nic się nie dzieje. Kolejny piękny dzień w naszym laboratorium. Dwadzieścia cztery stopnie i ani jednej chmurki na niebie.

Adam Ronca, szef ochrony Fermilabu, miał soczysty akcent rodem z Chicago. Słyszając przez telefon jego głos, Lucille wyobrażała sobie, jak może wyglądać: przysadzisty, rumiany, w średnim wieku. Wyluzowany gość, któremu udało się znaleźć niezbyt uciążliwą pracę.

- A co z raportami o naruszeniu bezpieczeństwa? - spytała.  
- Odebraliście jakieś sygnały? Czy w ciągu ostatnich paru godzin działo się coś niezwykłego?

- Hm. Zobaczmy - przerwał, przeglądając papiery. - O czwartej nad ranem strażnik przy Bramie Zachodniej zauważył, że ktoś się rusza w lesie obok. Okazało się, że to lis. O szóstej dwadzieścia osiem jednostka przeciwpożarowa odebrała alarm z Detektora Neutrin.

- Alarm?

- Pewnie nic ważnego. Mieli jakiś problem z systemem zraszaczy. To cholerne urządzenie co chwilę... - przeszkodziły mu nagle zakłócenia na linii. - Eee, przepraszam, agentko Parker. Wzywa mnie szef straży.

Lucille krzyknęła:

- Proszę poczekać! - ale zdążył już przełączyć ją w stan oczekiwania.

Przez minutę bębniła palcami w biurko, wpatrując się w rejestr rozmów telefonicznych George'a Osmonda. Fermi-lab nie było prawdopodobnym celem ataku terrorystycznego - w laboratorium nie przechowywano żadnych planów budowy broni. Znajdowała się tam tylko niewielka ilość materiałów radioaktywnych. Ale może pana Osmonda interesowało coś innego.

W końcu Ronca wrócił do rozmowy:

- Przepraszam bardzo. Dowódca straży pilnie potrzebował mojej pomocy. To, o co pani...

- Dlaczego potrzebował pańskiej pomocy?

- A, zauważył dwójkę intruzów. Jakaś szalona baba z dzieckiem. To się zdarza częściej, niż pani sądzi.

Lucille ścisnęła słuchawkę w dłoni. Przyszła jej na myśl była żona Swifta i ich syn. Zniknęli dwa dni temu.

- Czy kobieta ma trzydzieści parę lat, jest blondynką i ma około metra siedemdziesiąt wzrostu? Jest z siedmioletnim chłopcem?

- Hej, a skąd pani wie...

- Proszę mnie uważnie posłuchać. Możliwe, że właśnie trwa atak terrorystyczny. Musicie zamknąć laboratorium.

- Ale, ale! Chwileczkę! Nie mogę...

- Słuchaj pan, znam dyrektora oddziału FBI w Chicago. Powiem mu, żeby przysłał do laboratorium kilku agentów. Proszę tylko dopilnować, żeby nikt się stamtąd nie wydostał!

Profesor Gupta doskonale wiedział, gdzie się znajduje. Szafka, w której był zamknięty, stała niedaleko detektora zderzeń,

serca Fermilabu. Opierając się o ścianę, słyszał buczenie urządzenia i czuł drżenie podłogi.

Detektor miał kształt olbrzymiego koła o średnicy ponad dziesięciu metrów. Torus, którym biegły wiązki, stanowił oś tego koła. Protony i antyprotony miały się zderzyć w samym środku koła, w punkcie otoczonym koncentrycznymi pierścieniami oprzyrządowania: komorami śladowymi, kalorymetrami i licznikami cząstek. Podczas normalnego doświadczenia w Tevatronie przyrządy śledziły trajektorię przeróżnych kwarków, mezonów i fotonów emitowanych podczas wysokenergetycznych zderzeń. Ale dzisiaj ze środka koła nie wylecą żadne cząstki. Tym razem kolizja zrobi dziurę w naszym wszechświecie, pozwalając sterylnym neutronom uciec w dodatkowe wymiary. Żadne ziemskie urządzenie nie wykryje ich obecności, dopóki nie wrócą z krzykiem do naszej bramy. Gupta podsłuchiwał nowe współrzędne celu, które Simon podał jego studentom, więc mógł odgadnąć, w jakim punkcie powrócą cząstki. Byłoby to w przybliżeniu tysiąc kilometrów na wschód, czyli gdzieś na Wschodnim Wybrzeżu.

Profesor spuścił głowę i spojrzał w ziemię. To nie była jego wina. Nie miał zamiaru nikogo skrzywdzić. Oczywiście, od początku zdawał sobie sprawę, że przedsięwzięcie może wymagać ofiar. Wiedział, że Simon będzie musiał użyć siły, by wydobyć *Einheitliche Feldtheorie* od Kleinmana, Boucheta i MacDonalda. Ale to było nie do uniknięcia. Kiedy Gupta w końcu dostał równania, starał się unikać wszelkich aktów przemocy, które mogłyby zepsuć pokaz zunifikowanej teorii. Nie można go winić za to, że jego rozkazów nie wykonano co do słowa. Problemem była zwykła ludzka przewrotność. Rosyjski najemnik od początku go oszukiwał.



Siedząc w ciemności, Gupta usłyszał teraz nowy odgłos - odległe dudnienie. To dźwięk systemu RF, który teraz generował oscylujące pole o częstotliwości radiowej, aby przyspieszyć protony i antyprotony. Podczas każdego okrążenia, pięćdziesiąt tysięcy razy na sekundę, pole RF kolejny raz je przyspieszało. W ciągu niecałych dwóch minut roje protonów i antyprotonów osiągną maksymalny poziom energii, a nadprzewodzące magnesy skierują obie wiązki tak, by się zderzyły. Profesor podniósł głowę i nasłuchiwał w skupieniu. Być może nie usłyszy rozerwania się czasoprzestrzeni, ale niedługo do- wie się, czy eksperyment się powiódł.

David leżał twarzą do góry na posadzce tunelu wiązek. Simon stanął nad nim. Postawił mu stopę na klatce piersiowej, utrudniając oddychanie. David nie mógł się podnieść; oszołomiony, zdyszany, chwycił skórzany but napastnika i próbował go podnieść, ale najemnik tylko nadepnął mocniej, wbijając mu piętę w żebra. Na dodatek wycelował Davidowi karabin w czoło, ale nie wydawało się, żeby miał ochotę strzelić. Być może obawiał się, że kula, odbijając się rykoszetem, trafi w torus. A może po prostu chciał się napawać tą chwilą. Wbijając Davidowi stopę w mostek, usłyszał coraz głośniejsze buczenie nadprzewodzących magnesów. Podłoga zaczęła drgać.

- Słyszysz? - spytał Simon, wykrzywiając w uśmiechu spoconą twarz. - To końcowe przyspieszenie. Zostały jeszcze dwie minuty.

David wił się, kopał i tłukł pięściami nogę Simona, ale drań stał w miejscu, niewzruszony.

Wyglądał jak ogarnięty pasją szaleniec, z otwartymi ustami patrząc na ofiarę, którą przygwoździł do ziemi. Po chwili David

zaczął słabnąć. Serce waliło mu jak szalone, krew sączyła się z ran na twarzy. Płakał. Płakał z bólu i rozpacz. To wszystko jego wina, od początku do końca. Wydawało mu się, że może bezkarnie spojrzeć na teorię ostateczną. Teraz ponosił konsekwencje własnej pychy, cierpiał za próbę odczytania zamiarów Boga.

Simon pokiwał głową:

- Boli, prawda? Czułeś ból tylko przez kilka sekund. A teraz wyobraź sobie, że musiałbyś żyć z nim przez całe lata.

Mimo ciężaru spoczywającego na jego piersiach, David zdołał zaczerpnąć powietrza. Nawet jeśli sytuacja jest beznadziejna, będzie do końca walczył z tym draniem.

- Ty skurwielu! - wysapał. - Ty pieprzony tchórze!

Najemnik zachichotał.

- Nie zepsujesz mi nastroju, doktorze Swift. Po raz pierwszy od pięciu lat jestem szczęśliwy. Zrobiłem to, czego chciałyby moje dzieci. - Spojrzał przez ramię na torus. - Tak, właśnie tego chciały.

David potrząsnął głową:

- Odwaliło ci!

- Być może. - Simon otworzył usta, paskudnie opierając język na dolnej wardze. - Ale zrobiłem to. Jak Samson i Filistyni. Obalę filary ich domu, by zawałił się im na głowy.

Simon zacisnął pięść. Na chwilę odwrócił się od Davida i spojrzął na ścianę tunelu:

- Nikt nie będzie się śmiał nad moim grobem - wymam rotał. - Żadnego śmiechu, żadnej litości. Nic, tylko... - Jego głos stopniowo zamierał. Simon kilka razy zamrugał, po czym ścisnął grzbiet nosa. Chwilę później wrócił do rzeczywistości, spojrzął na Davida i jeszcze mocniej nadepnął mu na klatkę piersiową. - Nic, tylko cisza! Reszta jest milczeniem!

David poczuł szarpnięcie pod żebrami, ale nie był to but Simona. Wpatrzył się w twarz najemnika. Drań wyglądał teraz na nieco oszołomionego. Szczeka zwisała mu luźno, a powieki opadały. David przeniósł wzrok na rurę z ciekłym helem, którą próbował przedziurawić. Obok napisu HE rura była nietknięta, ale kawałek dalej na lewo widać było niewielkie wgłębienie. Wyglądało na to, że na złączeniu może być mały przeciek - nie wystarczy, aby przegrzać magnesy, ale może być na tyle duży, by wyprzeć tlen z tunelu. Jako że hel jest drugim po wodorze najlżejszym pierwiastkiem, szybciej rozprzestrzeni się na górze niż przy podłodze.

Simon mrugnął jeszcze parę razy:

- Co robisz? Na co się gapisz? - wyciągnął prawe ramię, przysuwając uzi na odległość trzydziestu centymetrów od twarzy Davida. - Powinienem cię teraz zastrzelić! Powinienem cię wysłać prosto do piekła!

Najemnik oddychał coraz szybciej. To jeden z objawów niedotlenienia. Kolejnym była utrata koordynacji mięśni. David podniósł ręce do góry, jak gdyby chciał się poddać. Być może jeszcze jest szansa.

- Nie, nie strzelaj! - krzyknął - Proszę, nie!

Simon przygryzł wargę.

- Ty nędzny robaku! Ty...

David poczekał, aż przeciwnik znów zamruga. Wtedy zamachnął się i wytrącił mu uzi z ręki. Karabin poleciał na betonową podłogę, a Simon przeniósł ciężar ciała na drugą nogę, unosząc stopę, którą miażdżył żebra Davida. Swift chwycił oburącz jego but, wykręcił nogę napastnika jak korkociąg i Simon upadł na ziemię.

Karabin, pomyślał David. Muszę dorwać karabin. Została niecała minuta. Podniósł się, ale niezbyt wysoko, żeby nie

wdychać za dużo helu. Po kilku sekundach dostrzegł uzi, które wysliznęło się pod torus, jakieś sześć metrów dalej. Natychmiast pobiegł w tamtą stronę, ale okazało się, że zwlekał zbyt długo. Zanim zdążył ująć trzy kroki, Simon dopadł go i chwycił w pasie. Rzucił nim o ścianę i puścił się pędem w kierunku uzi.

Przez chwilę David patrzył na niego z przerażeniem. Potem odwrócił się i pomknął w drugą stronę, do wyjścia. Biegł gnany instynktem, myśląc tylko o ucieczce, ale nie mógł uciec, dopóki nie odłączy akceleratora. Simon klęczał na ziemi, sięgając po broń, podczas gdy David rozglądał się gorączkowo, próbując w stercie żelastwa znaleźć coś ciężkiego, czym mógłby rzucić w torus. Nagle podniósł wzrok i ujrzał wózek elektryczny. Stał w połowie wyłomu; podwozie niebezpiecznie kołysało się na zgniecionej bramie, a silnik wciąż obracał koła w powietrzu.

Wyciągnął rękę do wózka i usłyszał za sobą odgłos kroków. Simon biegł wzdłuż tunelu, trzymając w ręku uzi. Nie pociągnął jednak za spust. Strzelanie z takiej odległości byłoby niebezpieczne, bo pocisk mógłby się odbić rykoszetem. Wstrzymał ogień, dając uciekinierowi kolejną cenną sekundę na działanie. David chwycił przód żółtego wózka i z całych sił pociągnął pojazd, który jednak nie ruszył się ani o milimetr. Był ciężki, ważył co najmniej dwieście kilogramów, a podwozie spoczywało na stosie zmiażdżonego metalu. David pociągnął jeszcze raz, ale na nic. Cholerna maszyna zaklinowała się.

Kiedy Simon był już tylko trzy metry od niego, podniósł broń i wymierzył. David wydał zwierzęcy ryk, okrzyk buntu. Najemnik strzelił, ale David schylił się, by szarpnąć wózek jeszcze raz i kule przeleciały mu nad głową. W tej samej chwili pojazd w końcu poddał się jego woli i zjechał do tunelu.

Gdy tylko koła dotknęły ziemi, wózek ruszył do przodu niczym szarżujący byk. Simon gwałtownie opuścił karabin i rzucił się naprzód. Skoczył na maszynę, próbując chwycić za kierownicę, ale pośliznął się na kawałku rozbitego reflektora. Upadł prosto pod koła pojazdu, gdy maszyna toczyła się w kierunku torusa.

David przeskoczył przez połamaną bramę i upadł na bok za betonową ścianą. Ujrzał błysk białego światła, a potem rozległ się ogłuszający łomot.

Profesor Gupta usłyszał odległy huk. Chwilę później umilkło buczenie magnesów nadprzewodzących. Po kilku sekundach w Hali Zderzeń zapanowała cisza. Tevatron się wyłączył.

Przykucnięty w kącie schowka Gupta słyszał bicie własnego serca. Zamknął oczy i zobaczył pomarszczony, falujący arkusz, taki sam jak na komputerowej symulacji, którą stworzył. Ujrzał jak rój sterylnych neutrin wystrzeliwuje z arkusza i frunie między załamaniem, niczym miliardy rozpalonych do białości węgielków. Potem upadł i nie widział już nic poza ciemnością.

Obudziły go przenikliwe wrzaski studentów. Byli gdzieś niedaleko; udręczonym głosem wołali:

- **Profesorze! Profesorze!**

Gupta podniósł się z trudem i podczołgał do drzwiczek schowka, waląc w nie pięściami. Głosy zbliżały się:

- Profesorze? To pan?

Ktoś znalazł klucz i otworzył drzwi. Gupta najpierw zobaczył Richarda Chana i Scotta Krinskiego, którzy wpadli do schowka i uklękli obok niego. Za nimi pojawiła się reszta, tłocząc się na małej przestrzeni. Gupcie zaschło w ustach; ledwo mógł cokolwiek z siebie wykrztusić:

- Richard - wychrypiał.

- Co się stało?

Policzki Richarda były mokre od łez.

- Profesorze! - zaszlochał. - Myśleliśmy, że pan nie żyje! Z dziecięcą tęsknotą chwycił Gupta w objęcia. Profesor wyrwał się z uścisku.

- Co się stało? - powtórzył, tym razem głośniejsze.

Scott zrobił krok do przodu. Miał przekrzywione okulary, a z jego ramienia zwisał karabin.

- Wypełnialiśmy rozkazy Simona, ale kilka sekund przed zderzeniem nastąpiła eksplozja w sektorze E-0.

- Czyli w ogóle nie doszło do zderzenia? Nie nastąpiło załamanie czasoprzestrzeni?

- Nie, eksplozja uszkodziła torus i Tevatron się wyłączył.

Gupta poczuł ulgę. Dzięki Bogu.

- Po wyłączeniu akceleratora od razu zaczęliśmy pana szukać - dodał Scott. - Baliśmy się, że Simon pana zabije, tak jak zapowiedział. - Przygryzł dolną wargę. - Zabił Gary'ego i Jeremy'ego. Znaleźliśmy ich ciała przed wejściem F-2. Za brałem im jeden karabin.

Gupta spojrział na obrzydliwe czarne uzi.

- Gdzie jest Michael? - spojrział za Scotta i Richarda, szukając twarzy wnuka. - Nie przyszedł z wami?

Spojrzeli po sobie nerwowo.

- Hm, nie - odpowiedział Scott. - Nie widziałem go, odkąd wyszliśmy z nastawni.

Profesor potrząsnął głową. Studenci stali dookoła, jak grupka bezradnych dzieciaków. Ogromnie go zawiedli, a teraz czekali na przebaczenie i na kolejne instrukcje. Gniew Gupty dodał mu sił. Wyciągnął rękę do Scotta:

- Pomóż mi wstać - rozkazał. - I oddaj broń.

Scott bez wahania podniósł go na nogi i wręczył mu uzi. Gupta ułożył broń na biodrze i wyszedł ze schowka.

- Dobrze, wracamy do nastawni - oznajmił. - Znajdziemy Michaela i jeszcze raz rozpoczniemy doświadczenie.

Richard spojrział na niego ze zgrozą:

- Ale torus jest poważnie uszkodzony! Według naszych odczytów sześć magnesów nie działa!

Gupta lekceważąco machnął ręką.

- Możemy naprawić szkody. Mamy potrzebny sprzęt.

Przemaszerował przez Halę Zderzeń do jednego z wyjść, a zdenerwowani studenci podążyli za nim. Jeszcze nie było za późno na kolejną próbę. Naprawa torusa może zająć kilka godzin, ale przy odrobinie szczęścia do wieczora uda się zgromadzić kolejną porcję cząstek. Tym razem wycelują neutrina, wprowadzając początkowe współrzędne, pięć tysięcy kilometrów nad Ameryką Północną. Wybuch wspaniale rozświetli niebo tuż po zapadnięciu zmroku.

Kiedy wyszli, Scott dogonił profesora i delikatnie chwycił go za łokieć.

- Jest jeszcze jeden problem, profesorze - powiedział. - Ochrona laboratorium wie, że tu jesteśmy. Widzieliśmy jak trzech strażników zmierzało do nastawni tuż po tym, jak wyszliśmy.

Gupta nadal szedł przez parking w kierunku wału biegnącego nad tunelem.

- To nie ma znaczenia. Wypełnimy nasze przeznaczenie. Zmienimy świat.

- Ale oni mają broń! I na pewno będzie ich jeszcze więcej!

- Mówiłem już, to nie ma znaczenia. Ludzkość czekała pięćdziesiąt lat. *Einheitliche Feldtheorie* nie może dłużej pozostać w ukryciu.

Scott mocniej ścisnął łokieć Gupty.

- Profesorze, proszę posłuchać! Musimy się stąd wydostać, zanim nas aresztują!

Profesor odtrzącił dłoń Scotta i podniósł uzi, celując w klatkę piersiową głupiego studenta. Inni zatrzymali się zaskoczeni. Imbecyle! Czy nie rozumieli, co należy zrobić?

- Zastrzelę każdego, kto będzie chciał mi przeszkodzić!  
- krzyknął. - Nic na świecie nie jest w stanie mnie powstrzymać!

Scott podniósł ręce, ale nie cofnął się. Zamiast tego biedny głupiec zrobił krok do przodu.

- Profesorze, musi pan być rozsądny. Możemy jeszcze kiedyś spróbować, innym razem, ale teraz musimy...

Gupta uciszył go, strzelając mu prosto w serce. Potem zastrzelił Richarda, który upadł do tyłu na asfalt. Reszta stała z szeroko otwartymi oczami. Nie mieli nawet na tyle rozumu, żeby uciekać. Rozwścieczony ich głupotą profesor strzelał dalej, przesuwając lufę karabinu po ich zaskoczonych twarzach. Podskakiwali jak marionetki, po czym padali martwi na ziemię. Gupta wystrzelił jeszcze kilka serii, by upewnić się, że wszyscy nie żyją. Tak czy owak, byli bezużyteczni. Złodzieje powietrza. Wróci teraz sam i wypełni przeznaczenie.

Skierował się do Wilson Hall, maszerując obok wału, ale w tej chwili czarny chevrolet suburban zaparkował przy drodze i wyskoczyło z niego trzech mężczyzn w szarych garniturach. Przycupnęli za samochodem, mierząc w Gupta z pistoletów i wykrzykując jakieś niezrozumiałe bzdury. Kolejni głupcy, pomyślał profesor. Dzisiaj było ich nieskończenie dużo.

Zniecierpliwiony odwrócił się do nich i podniósł uzi, ale zanim zdążył pociągnąć za spust, zobaczył że z jednego z pistoletów wydobywa się żółty błysk. Dziewięćmilimetrowy



pocisk przeszył powietrze na wprost, jak proton o wysokiej energii, choć dużo, dużo wolniej. Strzał rozłupał czaszkę Gup-ty, rozbrzdgując cząsteczki skóry, kości i krwi. Umysł profesora uwolnił się z naszego wszechświata i uniósł w bezchmurne niebo.

Karetka i wóz strażacki stały przed wejściem F-2. David przyspieszył kroku, kuśtykając tak szybko, jak mógł w kierunku budynku. Po eksplozji w tunelu stracił przytomność, więc nie miał pojęcia, ile czasu upłynęło, odkąd zostawił Monique. Dwadzieścia minut? Może trzydzieści? Pamiętał koszmarnie rany w jej brzuchu i krew tryskającą z obu stron. Miał nadzieję, że pomoc dotarła do niej na czas.

Kiedy był już dwadzieścia metrów od wejścia, zobaczył leżące na ziemi ciało przykryte płótnem. Niedaleko stało dwóch strażaków w pełnym umundurowaniu - spoglądali w dół na zwłoki. David zatrzymał się; nogi mu drżały. A potem, trochę bardziej na lewo, zobaczył dwóch sanitariuszy w niebieskich kombinezonach, wkładających nosze do karetki. Mignęła mu brązowa twarz z maską tlenową na ustach.

- Monique! - zawołał, rzucając się w stronę noszy. Ona żyje!

Trzeci sanitariusz, wysoki chłopak z czarnym wąsem, złapał go, zanim dotarł do karetki.

- Hej, kolego, powoli! - powiedział, chwytając go za ramię i przyglądając mu się uważnie. - Co ci się stało?

David wskazał na nosze. Monique była przewiązana w pasie kawałkiem gazy. Zabandażowano jej również jedną rękę.

- Jak ona się czuje? Nic jej nie będzie?

- Nie martw się, ustabilizowaliśmy ją. Straciła dużo krwi, ale wszystko będzie w porządku. Chirurdzy przyszyją odcięte

palce. - Z wyraźną troską spojrzął na poranione czoło Davida.  
- Wygląda na to, że tobie też przyda się pomoc.

David zeszywniał i wyrwał ramię z uścisku sanitariusza. Tak się przejął Monique, że zapomniał, co sam przeszedł. Choć przeturlał się za betonową ścianę zanim torus uległ uszkodzeniu, wiedział, że protony o wysokim poziomie energii mogą generować różne rodzaje szkodliwych cząstek wtórnych.

- Nie dotykaj mnie - ostrzegł. - Byłem w tunelu więzów, mogło mnie napromieniować.

Wąsy chłopaka lekko drgnęły. Cofnął się i odwrócił do jednego ze strażaków stojących obok zwłok.

- Alex! Potrzebuję wskaźnika napromieniowania, szybko!

Alex podszedł do nich z licznikiem Geigera, grubą metalową rurą połączoną z przenośnym monitorem. Jeżeli David był wystawiony na działanie cząstek z torusa, licznik wykryje radioaktywny materiał na jego ubraniu i skórze. Wstrzymał oddech, gdy strażak machał przed nim miernikiem, rysując w powietrzu skomplikowany wzór.

W końcu spojrzął znad monitora:

- Nic nie wykryto - oznajmił. - Jesteś czysty.

David gwizdnął z ulgą. Może i był trochę napromieniowany, ale na pewno nie tak, żeby umrzeć. Dzięki Bogu za betonową osłonę.

- Powinniście wysłać jeden wóz do wejścia E-0 - zwrócił się do strażaka. - Należy zabezpieczyć tamten sektor tunelu. Jest tam kolejna ofiara, ale właściwie niewiele z niego zostało.

Alex potrząsnął głową:

- Chryste! Co się dzisiaj dzieje? Najpierw ludzie strzelają się z uzi, potem jakiś szalony nastolatek miota się w szale, a teraz ty mówisz, że są kolejne zwłoki w...

- Chwileczkę. Jaki nastolatek?

- Jakiś zwariowany dzieciak darł się na parkingu przy nastawni. Rozwalił cały sprzęt w furgonetkach i... halo! Dokąd się wybierasz?

David zaczął biec. Strażacy krzyczeli za nim, po czym sięgnęli po krótkofalówki, ale zdążył już minąć murowany budynek. To ostatni odcinek jego podróży, ostatnie pięćset metrów. Był teraz całkiem sam, wyczerpany do granic możliwości, ale starczyło mu sił, by popędzić wzdłuż wału, minąć Główny Iniektor, Źródło Antyprotonów, Przyspieszacz i Akumulator, aż wreszcie dotarł do długiego budynku, w którym mieściła się nastawnia Tevatronu.

Wbiegł na parking, gdzie stały furgonetki Gupty. Najpierw zauważył czarne chevrolety ustawione przy obu wyjściach, by nikt nie mógł się wydostać ze środka. Potem z radością zauważył Karen i Jonaha siedzących na masce jednego z samochodów. Obok stało dwóch agentów FBI; jeden podawał Jonahowi batonik, a drugi proponował Karen kubek wody. Obaj wydawali się niesamowicie spokojni: żaden nie wyciągnął broni, gdy ujrzeli biegnącego w ich stronę Davida. Jeden nawet się uśmiechnął, gdy Jonah ześliznął się z maski i rzucił się ojcu w ramiona.

Agenci czekali, nie chcąc przerywać czułego powitania, po czym odciągnęli Davida na bok i przeszukali. Następnie ich dowódca, siwy rumiany dżentelmen z Matką Boską w klapie, podszedł do niego i uściśnął mu dłoń.

- Agent Cowley - przedstawił się. - Wszystko w porządku, doktorze Swift?

David przyjrzał mu się podejrzliwie. Dlaczego do cholery był taki miły?

- Nic mi nie jest.

- Pańska była żona już nam opowiedziała, co pan przeszedł. Miał pan sporo szczęścia. - Agent spoważniał i ściszył głos. - Obawiam się, że prawie nikt nie przeżył. Profesor Gupta i jego studenci. Istna krwawa jatka.

- Wie pan o Gupcie? I o tym, co chciał zrobić?

- Tak, mniej więcej się orientujemy. Agent Parker przedstawiła mi skrótowe sprawozdanie, kiedy tu jechaliśmy. Mamy jednak parę pytań. Bylibyśmy wdzięczni, gdyby mógł pan podejść do naszego biura i pomóc nam uzupełnić raport. Oczywiście po tym, jak otrzyma pan pomoc medyczną.

Agent uśmiechnął się jak troskliwy dziadunio i ścisnął Davida za ramię.

David nie dał się jednak nabrać. Dalej chodziło im o jedno.

Fałszywa uprzejmość to tylko zmiana strategii. Poprzednie próby nie powiodły się, więc teraz zastosowali nową taktykę.

David uśmiechnął się do niego:

- Jasne, tyle mogę zrobić. Ale najpierw chciałbym zobaczyć się z Michaelem.

- Z Michaelem? Chodzi panu o wnuka profesora Gupty?

- Tak, chciałbym sprawdzić, jak się ma. Wie pan, on cierpi na autyzm.

Agent Cowley przez chwilę się zastanawiał.

- Jasne, może pan. Chłopak jednak nie jest zbyt rozmowny. Kiedy go znaleźliśmy, strasznie się darł, a teraz w ogóle nie chce się odezwać.

Położył Davidowi dłoń na plecach i zaprowadził go do jednej z furgonetek Gupty. Gdy podeszli bliżej, David zobaczył stos zniszczonego sprzętu komputerowego, który wyglądał, jakby go ktoś zrzucił z dachu bagażówki. FBI zabezpieczyło teren żółtą taśmą, ale najprawdopodobniej i tak nie uda się nic odzyskać z tej kupy żelastwa. Wszystkie komputery, na których

Gupta przeprowadzał symulacje załamania czasoprzestrzeni, były otwarte; z każdego usunięto twardy dysk. Lśniące odłamki dysków pamięci były rozsypane po całym parkingu.

Michael stał za żółtą taśmą. Pilnowało go dwóch agentów. Ręce miał skute z tyłu kajdankami, ale nie wyglądał na zmartwionego. Szczyrzył zęby w uśmiechu, patrząc na stertę roztraskanego sprzętu, jak gdyby to był jego prezent urodzinowy. David nigdy przedtem nie widział go tak szczęśliwego.

Cowley dał znak agentom stojącym obok Michaela. Cofnęli się kawałek.

- Oto doktor Swift. Trochę nam namieszał w szykach, ale już jest w porządku.

David ze zdumieniem patrzył na zniszczone obwody, chipy i dyski, na których przez bardzo krótki czas była zapisana zunifikowana teoria pola. Zdał sobie sprawę, że nie doceniał Michaela. Chociaż chłopiec padł ofiarą sztuczek własnego dziadka, David był pewien, że nigdy nie zdradzi teorii agentom FBI, jakkolwiek dokładnie by go przesłuchiwali. W końcu był praprawnukiem Einsteina. Tak jak Hans dotrzymał słowa danego *Herr Doktorowi*, tak samo Michael dotrzyma obietnicy, którą złożył Hansowi.

David uśmiechnął się do chłopca i wskazał na szczątki sprzętu:

- Michael, ty to zrobiłeś?

Chłopak pochylił się, przysuwając usta do ucha Davida:

- Musiałem - wyszeptał. - To nie było bezpieczne miejsce.

## Epilog

W ciepłe październikowe sobotnie popołudnie trudno sobie wyobrazić lepsze miejsce niż szkolne podwórko na Siedemdziesiątej Siódmej Zachodniej ulicy. Na prostokątnym asfaltowym boisku o długości pięćdziesięciu metrów biegało ponad dwadzieścioro dzieci. Kopały piłki, kozłowały, machały raketami do lacrosse'a i uderzały w krążki do hokeja na trawie. Rodzice siedzieli na ławkach dookoła boiska, czytając gazety lub jedząc grillowanego kurczaka z budki po drugiej stronie ulicy. Ale David stał na środku podwórka, w centrum całego zamieszania, i bawił się z Jonahem i Michaelem.

Odchylając się do tyłu, David rzucił piłkę do baseballu wysoko w powietrze, co najmniej piętnaście metrów do góry. Jonah złapał piłkę w rękawicę, po czym poturlał ją do Michaela, który podniósł ją i odrzucił Davidowi. Piłka wpadła w jego rękawicę. Całkiem niezłe, pomyślał. Od sierpnia chłopcy grali w baseball co weekend i widać było postępy. Jeśli ćwiczy się coś odpowiednio długo, pomyślał, nabiera się wprawy. Tak było z szachami, z grą na fortepianie i z fizyką.

Karen siedziała na jednej z ławek z Ricardem, swoim nowym chłopakiem. Ricardo był basistą w zespole jazzowym, który grywał w małych klubach na Manhattanie. Miał długie włosy jak Jezus, nigdy nie nosił skarpetek i był praktycznie

bez grosza przy duszy, ale Karen za nim szalała. Prawdę mówiąc, David lubił Ricarda znacznie bardziej niż poprzedniego przyjaciela Karen, podstarzałego prawnika Amory'ego Jak-Mu-Tam. Już nawet nie pamiętał nazwiska tego starego piernika.

Monique siedziała na ławce obok i czytała „New York Timesa”. Odkąd przyznano jej opiekę na Michaeliem, przyjeżdżała z nim do miasta w miarę regularnie. W ciągu dwóch tygodni, które spędziła w szpitalu uniwersyteckim w Chicago, dochodząc do siebie po odniesionych obrażeniach, między nią a chłopcem nawiązała się silna więź. FBI pozwoliło Davidowi i Michaelowi co dzień ją odwiedzać. Wtedy jeszcze agenci udawali miłych, mając nadzieję, że wydobędą od nich jakieś informacje. Kiedy biuro w końcu dało za wygraną, agenci próbowali oddać Michaela matce, ale Beth Gupta nie chciała go wziąć do siebie. Po dwóch tygodniach w areszcie nie mogła się już doczekać powrotu na Victory Drive. Wobec takiego obrotu spraw dowódca specjalnego oddziału FBI - Lucille Parker, ta sama, która przesłuchiwała Davida - zaskoczyła wszystkich, sugerując, by Michael zamieszkał z Monique w Princeton.

David rzucił kolejną wysoką piłkę do Jonaha. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym lepiej zdawał sobie sprawę z tego, jakie mieli ogromne szczęście. Agent Parker mogła przecież miesiącami trzymać ich w areszcie, dręcząc długimi przesłuchaniami. Zamiast tego po prostu dała im spokój. David wyczuł, że chyba żałuje tego, co się stało i chce to jak najszybciej zakończyć. Ale może zauważyła ryzyko związane ze zbytnią dociekliwością. Na podstawie dowodów z Fermilabu domyśliła się prawdopodobnie, że teoria Einsteina wpadła w ręce szaleńca, który o mało nie doprowadził do katastrofy. Sam

fakt, że David i Monique nie chcieli ani słowem wspominać o teorii, wskazywał na ogrom niebezpieczeństwa. Być może agent Parker doszła do tego samego wniosku co Einstein pięćdziesiąt lat temu: teoria ostateczna musi pozostać w ukryciu. Nie można jej powierzyć nawet rządowi.

Gdy piłka zakończyła kolejną rundę, David spojrzał w stronę ławek i zauważył, że Karen i Ricardo wstali. Wybierali się do centrum na kolejny koncert Ricarda; Jonah miał zostać na noc u Davida. Karen pomachała im na pożegnanie, posyłając Jonahowi buziaki i przypominając mu o myciu zębów. A potem, zanim odeszła, pochyliła się nad Monique i pocałowała ją w policzek. David był najbardziej zaskoczony tym, że jego była żona i nowa dziewczyna tak się zaprzyjaźniły. Koszmarne wydarzenia w Fermilabie sprawiły, że obie kobiety zbliżyły się do siebie. Teraz Karen udzielała Monique rad, jak ma sobie radzić z przeróżnymi nerwicami Davida. Wszechświat to faktycznie dziwne i zdumiewające miejsce.

- Hej, tato! - krzyknął Jonah. - Rzucaj już!

David w zamyśleniu przesuwał palce po szwach na piłce. W końcu rzucił ją do Jonaha i zdjął rękawicę.

- Pograj przez chwilę z Michaelem, dobra? Ja muszę trochę odpocząć.

Podszedł do ławki, na której siedziała Monique. Czytała jakiś artykuł dotyczący spraw międzynarodowych, w skupieniu marszcząc brwi. David usiadł obok niej i spojrzał na pierwszą stronę gazety. Największy nagłówek brzmiał: REZYGNACJA SEKRETARZA OBRONY. Pod spodem, mniejszym drukiem, napisano: WICEPREZYDENT CHWALI JEGO DOROBEM.

- Czytasz o sekretarzu obrony? - spytał David. - Słyszeliśmy końcówkę jego przemówienia w Fort Benning, pamiętasz?



Monique potrząsnęła głową. Szeroko rozpostarła gazetę i pokazała mu artykuł na dole strony czternastej. Nagłówek brzmiał: FIZYCY ODKRYLI NOWĄ CZĄSTKĘ.

- Znam ich - wyjaśniła. - Pracują przy Wielkim Zderzaczu Hadronów w Genewie. Odkryli bozon o masie spoczynkowej równej dwustu trzydziestu sześciu miliardom elektronowoltów.

- A co to dokładnie znaczy?

- Według standardowych teorii ta nowa cząstka w ogóle nie powinna istnieć. Ale zunifikowana teoria to przewiduje. Einstein przewidział tę cząstkę.

- Dalej nie...

- To wskazówka, David. A kiedy fizycy widzą wskazówki, zaczynają teoretyzować. - Złożyła gazetę i rzuciła na ławkę. Zatraskana zmarszczyła czoło. - Jeszcze kilka takich odkryć i poskładają je w całość. Wykombinują to. To tylko kwestia czasu.

- Chodzi ci o zunifikowaną teorię? Ktoś ją ponownie odkryje?

Kiwnęła głową.

- Są już blisko. Przecież równie dobrze jakiś student w Princeton albo na Harvardzie może już w tej chwili pracować nad tymi równaniami.

David wziął ją za rękę. Tylko tyle mógł zrobić. Na razie sekret *Hen Doktora* był bezpieczny w głowie Michaela, ale wszelkie podjęte środki ostrożności na nic się nie zdadzą, jeśli inny fizyk odkryje teorię i ją opublikuje. Wtedy pozostanie już tylko nadzieja. David zadrzał, siedząc obok Monique. Spojrzał na boisko, po którym biegały pełne energii dzieciaki. Wszystko jest takie delikatne, pomyślał. Wystarczy chwila, by przepadło.

Przesunął dłoń na brzuch Monique, rozstawiając szeroko palce na jej bawełnianej bluzce. Odwróciła się do niego z uśmiechem.

- Jeszcze za wcześnie, żebyś mógł cokolwiek poczuć. Będzie kopała dopiero w czwartym lub piątym miesiącu.

David również się uśmiechnął:

- Dlaczego ciągle mówisz, że to ona? Jesteś pewna, że to będzie dziewczynka? - Monique wzruszyła ramionami.

- Po prostu mam przeczucie. Kiedyś śniło mi się, że przywoziliśmy ją ze szpitala. Wkładałam ją do samochodu, zapinając w foteliku, a ona nagle zaczęła mówić. Przedstawiła mi się. Powiedziała, że ma na imię Lieserl.

- Ho, ho, a to ciekawe. - Poglaskał ją tuż nad pępkiem. - Tak byś ją chciała nazwać? Lieserl? A jak będzie chłopczyk, to może Albert?

Spojrzała ze zdziwieniem.

- Zwariowałeś? Kolejny Einstein to ostatnia rzecz, jakiej ten świat potrzebuje.

David roześmiał się i chociaż wiedział, że to niemożliwe, mógłby przysiąc, że poczuł, jak coś pod jego dłonią lekko się porusza.

## Słowo od Autora

Zdażyłem napisać już połowę *Teorii ostatecznej*, kiedy zorientowałem się, jak doskonała była dla mnie ta powieść. Moja praca w „Scientific American” polega na upraszczaniu skomplikowanych pojęć, takich jak teoria strun, dodatkowe wymiary i równoległe wszechświaty. W 2004 roku, kiedy redagowałem opowiadanie do specjalnego numeru poświęconego Albertowi Einsteinowi, zainteresowałem się jego długim poszukiwaniem zunifikowanej teorii - jednego zestawu równań, który zawierałby zarówno względność, jak i mechanikę kwantową, łącząc tym samym fizykę gwiazd i galaktyk z prawami świata subatomowego. Einstein zmagał się z tym problemem od lat dwudziestych aż do swojej śmierci w 1955 roku, ale wszelkie wysiłki zmierzające do sformułowania zunifikowanej teorii zakończyły się niepowodzeniem. Czytając tę część życiorysu Einsteina, zacząłem się zastanawiać: A co, gdyby mu się udało? Odkrycie zunifikowanej teorii byłoby jednym z największych osiągnięć w historii nauki, ale mogłoby również mieć nieprzewidziane konsekwencje. Einstein dobrze wiedział, że jego teoria względności stanowiła fundament dla bomby atomowej. Czy ujawniłby zunifikowaną teorię, gdyby wiedział, że może przetrzeć ślady dla jeszcze gorszych rodzajów broni? A może utrzymałby ją w tajemnicy?

Moja fascynacja Einsteinem rozpoczęła się jeszcze podczas moich studiów. Robiłem dyplom z astrofizyki na Uniwersytecie w Princeton, a moim promotorem był znany teoretyk J. Richard Gott III (autor *Podróży w czasie we wszechświecie Einsteina*). Profesor Gott zasugerował, żebym w pracy dyplomowej zajął się pewnym problemem względności: Jak równanie Einsteina działałoby w Krainie Płaszczków, modelowym wszechświecie z dwoma przestrzennymi wymiarami, niczym olbrzymia kartka papieru. Wypełniwszy notes po brzegi nagryzmołonymi równaniami, pokazałem rozwiązanie Gottowi i usłyszałem od niego najpiękniejszy komplement, jaki można usłyszeć od fizyka teoretyka:

- Rozwiązanie nie jest trywialne!

Wspólnie napisaliśmy pracę naukową pod tytułem *Względność ogólna w  $(2 + 1)$  - wymiarowej czasoprzestrzeni*, którą opublikowano w magazynie naukowym „Ogólna względność i grawitacja” w 1984 roku.

Jednak kiedy artykuł się ukazał, podjąłem już decyzję, że zostanę raczej poetą niż fizykiem, więc zapisałem się na studia literackie na Uniwersytecie Columbia. Dwa lata później, kiedy doszedłem do wniosku, że z poezji nie da się wyżyć, zostałem dziennikarzem. Pracowałem dla gazet w Pensylwanii, New Hampshire i Alabamie, po czym wróciłem do Nowego Jorku i zacząłem pisać dla *Fortune*, *Popular Mechanics* i dla CNN. Zatoczyłem pełne koło w 1998, kiedy rozpocząłem pracę dla czasopisma naukowego „Scientific American”. Zaskoczyło mnie, jak wiele zmian zaszło w astronomii i fizyce odkąd ja zmieniłem obszar zainteresowań. Wtedy również ku mojemu wielkiemu zdziwieniu zapomniany artykuł, który napisałem wspólnie z profesorem Gottem, stał się dokumentem ważnym dla fizyków kontynuujących rozpoczęte przez Einsteina po-

szukiwania teorii ostatecznej. W ciągu ostatnich dwudziestu lat nasz artykuł cytowano ponad sto razy w różnych czasopismach naukowych. Jak się okazało, teoretyków interesuje możliwość testowania hipotez w dwuwymiarowych modelach, ponieważ wtedy matematyka jest prostsza.

Ten właśnie artykuł zainspirował mnie do napisania *Teorii ostatecznej*. Praca naukowa, którą mój bohater, David Swift, napisał wspólnie ze swoim promotorem, profesorem Kleinmanem, traktuje o względności w dwóch wymiarach. Tak jak ja, David jest byłym studentem fizyki, obecnie pisującym o nauce dla szerszego grona czytelników. Z tą różnicą, że David jest profesorem, a nie redaktorem czasopisma. No i jest o wiele odważniejszy i przystojniejszy niż ja.

Próbowałem zadbać o to, by wszystkie zasady naukowe przedstawione w powieści, jak i gadżety technologiczne, były autentyczne. Na przykład, samochód-robot Highlander naprawdę jest pojazdem zbudowanym przez Instytut Robotyki Uniwersytetu Carnegie Mellon. Urządzenie zwiadowcze Biegnący Smok również zostało opracowane przez ten sam instytut i przetestowane przez amerykańskie oddziały piechoty morskiej w Iraku. Symulator Bitew Wirtualnych, który pojawia się w rozdziale dziesiątym, przypomina VirtuSphere - system, który miałem okazję testować, kiedy odwiedziłem Laboratorium Badań Marynarki Wojennej. A pomysł, że sterylne neutrino mogą na skróty pokonywać drogę przez dodatkowe wymiary, jest autentyczną hipotezą, mającą wyjaśnić niektóre odbiegające od normy wyniki uzyskane w Narodowym Laboratorium im. Fermiego w 2007 roku.

Niemal od początku wiedziałem, że punkt kulminacyjny mojej powieści chcę umiejscowić w Fermilabie, więc zaaranżowałem wizytę w laboratorium i zwiedziłem Tevatron,

długi na dziesięć kilometrów pierścien, w którym protonom i antyprotonom nadaje się prędkość zbliżoną do prędkości światła, po czym doprowadza się do kolizji. Najlepszą częścią wizyty w laboratorium było obowiązkowe spotkanie dotyczące kwestii bezpieczeństwa, kiedy to personel laboratorium wyjaśniał nam rozmaite zagrożenia, które możemy napotkać w tunelu, takie jak promieniowanie pozostałe po zderzeniach zabłąkanych protonów lub możliwość zamartwicy spowodowanej oparami helu z nadprzewodzących magnesów. Robiąc notatki, pomyślałem: Toż to wspaniały materiał! Ta książka napisze się sama!

Koniec końców jednak potrzebowałem dużej pomocy. Moi koledzy z „Scientific American” dali mi ogromne wsparcie. Ludzie z mojej grupy na studiach literackich - Rick Eisenberg, Johanna Fiedler, Steve Goldstone, Dave King, Melisa Knox i Eva Mekler - służyli nieocenioną krytyką i zachętą (szczególnie Rick, który przeczytał każdą stronę pierwszej wersji tekstu i wypełnił marginesy rozsądnymi poradami). Mam szczęście, że moim agentem jest niezrównany Dan Lazar z agencji literackiej Writers Mouse, a do tego mam wspaniałego wydawcę w osobie Sulay Hernandez z wydawnictwa Touchstone/Fireside. Ale najwięcej zawdzięczam mojej rodzinie. Rodzice wykształcili zamiłowanie do nauki, a żona Lisa wspierała realizację marzenia o pisarstwie, mimo że każda inna rozsądna osoba już dawno dałaby za wygraną. Ta książka jest właśnie dla Lisy.